

# KENNETH ROBERTS

**arundel**

**kronika prowincji maine**

**I**

**warownia**

**arundel**

**II**

**pochód straceńców**

**KENNETH ROBERTS**

**warownia arundel**

**Od wydawcy**

Kenneth Roberts (1885—1957) był dziennikarzem, wydawcą, autorem przekładów literackich i pisarzem, który największą, żywą do dziś sławę, zyskał swymi powieściami historycznymi. Jego książki — a głównie właśnie „Arundel”, wydana w Polsce międzywojennej aż dwukrotnie w stosunkowo krótkim czasie — cieszyły się dużym powodzeniem, choć trudno porównywać je z gorącym zainteresowaniem, wręcz entuzjazmem, z jakim spotkały się w USA. „Kronika prowincji Maine” (1930) stała się tam prawdziwym bestsellerem, sukcesem wydawniczym niemal na miarę nieco późniejszego „Przeminęło z wiatrem”, zaś autor, zachęcony wciąż rosnącymi nakładami, kontynuował ten cykl, pisząc dalsze tomy — aż do roku 1934. Trzeba przy tym zaznaczyć, że nie mamy tu do czynienia z zamkniętą w jakiś sposób całością: „Kroniki” składają się raczej z osobnych powieści, połączonych głównie miejscem akcji. Sukces nie przewrócił autorowi w głowie, nie uczynił z niego producenta seryjnych

bestsellerów. Przeciwnie — amerykańscy krytycy chwalą go zgodnym chórem za historyczną solidność i wielką pracę włożoną w studiowanie materiałów źródłowych: literatury przedmiotu, także czasopism, dokumentów, rękopisów i wręcz pamiętników traktujących o epoce będącej czasem akcji jego powieści. Robert P. T. CoiTin nazywa go „żywą encyklopedią Maine”, Stanley Kunitz zalicza go więc do ścisłej czołówki współczesnych mu autorów amerykańskiej powieści historycznej, zaś CotTin — by przywołać jego opinię jeszcze raz — pisze, że Roberts to „żywe srebro wśród autorów, którzy głównym przedmiotem swych zainteresowań uczynili historię”. Chwali wartką, trzymającą w napięciu i pełną nieoczekiwanych zwrotów akcją, element przygodowy, wątki romansowe — słowem to wszystko, co składa się na bestseller, co jednak u Roberta nigdy nie przybiera cech powierzchownej literatury wyłącznie rozrywkowej.

Słowa te charakteryzują właściwe uroki „Warowni Arundel”

## 5

i „Pochodu straceńców”. Szerokie tło historyczne toczącej się w latach 1775—1783 amerykańskiej wojny niepodległościowej nie krępuje bynajmniej fantazji autora, który — w dobrym rozumieniu tej praktyki — podejmuje jednocześnie cały szereg wątków awanturniczych, wprowadza perypetie związane z Indianami (dziś nazwalibyśmy je westernowymi, choć byłoby to pewne uproszczenie), wbudowuje w swoją opowieść motyw romansowy. Porównanie z „Przeminęło z wiatrem” było chyba jak najbardziej na miejscu, choć „Arundel” prezentuje wyższy poziom literacki i wnosi też więcej do naszej wiedzy o historii Stanów Zjednoczonych.

## Marek Wydmuch

### prolog

#### I

Bynajmniej nie pragnąc pozować na literata i dążąc tylko do tego, aby zadość się stało sprawiedliwości, ja, Stefan Nason z miasta Arundel, hrabstwa York, prowincji Maine, spisuję oto przebieg wydarzeń, których byłem świadkiem, a które tak czy inaczej wiążą się z historią mojej ojczyzny.

O czynach, jakich dokonałem wspólnie ze sławetnym Capem Huffem, o siłach, jakie rzekomo skupiałem w ręku swoim, długo krążyły pogłoski sprzeczne i niewiarogodne.

Fałszywie przedstawiano moją zażyłość z Indianką Jacataquą. Powątpiewano o lojalności Natanisa. Kanapowi wojownicy opowiadali sobie ze śmiechem, jak to pułkownik Enos opuścił nas w sercu kanadyjskiej puszczy. Roztrajkotane staruchy złośliwie wspominały mój pościg za Mary Mallinson i jak to kapitan Henri Guerlac porachował się ze mną, chociaż chciałbym ja wiedzieć za co.

Nade wszystko zaś przywołać muszę do porządku ludzi, którzy, pomni pożałowania godnych wypadków spod Przylądka Zachodniego, pozwalają sobie ze wzgardą mówić o pułkowniku Arnoldzie \* (żaden z nich nie jest godzien oczyścić mu trzewika!) lub pomniejszają znaczenie naszej wyprawy na Quebec \*\*. Moim

\* Arnold Benedykt — urodził się w r. 1741 w Nuiwich (Connecticut), zmarł w Londynie w r. 1801. Jako kilkunastoletni chłopiec brał udział w wojnie francusko-indiańskiej (1754—1763), toczącej się na

terenie Północnej Ameryki, pomiędzy Anglii) i Francją sprzymierzona, z Indianami, a zakończonej zwycięstwem Anglii. Wsławił się jednak w okresie amerykańskiej wojny o niepodległość (1776—1783). walcząc w armii generała Jerzego Waszyngtona w randze pułkownika. Najślynniejsze bitwy stoczył przy Forcie Ticonderoga (1775). pod Saratoga. (1777). a przede wszystkim odznaczył się w walkach o Quebec (przyp. red.).

**\*\* Q u e b e c** — prowincja i miasto we wschodniej części Kanady. Niegdyś obszar zamieszkały przez Indian, głównie Irokezów; w XVII wieku skolonizowany przez Francuzów, stał się obiektem sporów i walk francusko-angielskich; w r. 1759 zdobyty przez Anglików pod dowództwem generała Wolfe'a i przyznany Anglii w r. 1763 traktatem paryskim (przyp. red.).

8

zdaniem z wyprawą tą nie da się porównać żadne inne wojenne przedsięwzięcie, a znam się na wojnie, wiele czytałem podczas długich zawiei śnieżnych, kiedy rozjuszone fale łamią się na ławicach i plażach, kiedy za pozostałościami letniego obozowiska Abenaków sosny tężeją od szronu, przywodząc mi na myśl dachy dolnego Quebecu, budząc wspomnienia owych dni głodnych i chłodnych, gdy, przywarci do ośnieżonych skał, z góry spoglądaliśmy na obleżone miasto.

Mało mam wprawy w pisaniu i lepiej się czuję gdzieś na dzikim szlaku leśnym niż przy pulpicie. Moja ręka zgrabniej trzyma rękojeść siekiery niż obsadkę pióra. Ale nie ma rady, pukało się do wron, puknijmy i do cietrzewia, jak mawiał pułkownik Arnold. Postanowiłem, że raz na zawsze wyświetlę te sprawy.

Piszząc, kieruję się zdaniem mojego ojca, który nie tylko był dobrym łowcą i tropicielem, ale i wielkim znawcą ścieżek człowieczych w ogólności, chociaż podróży odbył mało, jeśli nie liczyć wyprawy na Przylądek Breton, do Louisburga \*, gdzie dwa tysiące naszych osadników wypilo dwa tysiące beczek rumu i pomogło Anglikom odebrać miasto z rąk Francuza. Właśnie z Louisburga przywiózł, jako trofea, tę srebrną cukiernicę, która zdobi nasz stół, i biały dzbanek z wypukłymi figurami tańczących wieśniaków: dzbanek, z którego zimną nalewamy do szklanek jabłecznik, gdy od ogrodu dobiega trzaskanie kry ocierającej się o piaszczysty brzeg rzeki Arundel, gdy powłoka lodowa boryka się z burzliwym rozpasaniem morza.

Kiedy chcesz coś napisać, mawiał mój ojciec, uczyn to w imię prawdy. Jeżeli rzecz sama przez się godna jest wzmiankowania, ludzie przeczytają bez żalu. Jeżeli opisałeś wypadki nieważne, niewielu znajdziesz czytelników i jeszcze mniej takich, którzy będą cię dręczyć wymówkami.

Spodziewam się przeto, że komu w ręce wpadnie moja książka, ten wspaniałomyślnie przeoczy jej wady i przeczyta, co tu spisałem, gwoli prawdzie i sprawiedliwości.

" L o u i s b u r g — miasto na Przylądku Breton (Kanada), założone przez Francuzów w r. 1713. Ufortyfikowane w latach 1720—1740. pełniło rolę strategiczną przy wejściu do Zatoki Świętego Wawrzyńca. W r. 1745 zostało przejęte przez amerykańskich kolonistów pod wodzą Sir Williama Pepperella, ale na mocy traktatu Aix-la-Chapelle wróciło w r. 1748 do Francji. Po dziesięciu latach zostało przejęte przez Anglików pod dowództwem generała Amhersta i admirała Boscowena, a fortyfikacje uległy zniszczeniu. Ruiny fortów zachowały się i są obecnie terenem

Historycznego Parku Narodowego (przyp. red.).

9

II

Nie po to opowiadam o pierwszym osiedleniu się rodziny mojej w Arundel, iżbym szczyć się chciał rodowodem, byliśmy bowiem prostymi farmerami, kowalami, oberżystami, żołnierzami, z ojca na syna, zawsze. Pragnę jednak, aby prawnukowie moi wiedzieli, jakich mają praojców, i aby, pomni dawnych naszych cnót, nigdy nie wykorzystywali przewagi nad słabymi i maluczkimi, aby nigdy nie dawali drapaka, gdy w sercu poczują strach, a rękę, że będzie po temu okazji niemało. Obym miał tyle złotych podków, ile razy mnie samemu serce uchodziło w piętę.

Mój' dziadek Beniamin pracował jako kowal i rusznikarz w Kittery, w dzielnicy Berwick, jego zaś dziadek, Ryszard, przybył do Ameryki ze Stratfordu nad Avonem w roku Pańskim tysiąc sześćset trzydziestym drugim.

W owych dniach granice Nowej Anglii rozszerzały się ku wschodowi i północy. Na wschód od Kittery leżało miasto Wells, z roku na rok zyskując na obszarze, ale zamieszkiwane przez ludność'ubogą i niezaradną, zabudowane drewniakami bez najprostszycy wygód, nieustannie niepokojone przez Indian.

Dotkliwie odczuwając brak kowala, ławnicy miasta wystosowali do mojego dziadka pismo, które do dziś dnia leży w moim zielonym marynarskim kuferku, i przyrzekli mu dać dwieście akrów gruntu suchego i dziesięć akrów trzęsawiska, jeżeli przed upływem trzech miesięcy przeniesie się do Wells, pozostanie tam przez pięć lat i wykonywać będzie

roboty kowalskie dla mieszkańców za taką płacę w kruszcu, jaka znajdzie się w miejskiej szkatule. Mój dziadek przystał na te warunki, ale — Bogiem a prawdą — zamiast harować w kuźni, chadzał na polowanie z Abenaka-mi, którzy obdarzali go przyjaźnią i zaufaniem, tak jak później, w większym jeszcze stopniu, mojego ojca. Osobiście nie dziwię się, że mało dbał o miechy i kowadło, bo jedynym kruszcem, w jakim miasto wypłacało mu się za robotę, był bezwartościowy kruszec obietnic.

Krótko mówiąc, ojciec mój urodził się w Wells. A gdy doszedł do lat siedemnastu, był już wytrawnym kowalem, rusznikarzem i myśliwym. Niebo pobłogosławiło go dziewięciorgiem rodzeństwa. Pragnąc więc zażyć uciech stanu małżeńskiego, a nie potykać się na każdym kroku o cudze dziecko, zaczął poważnie rozmyślać o przyszłości.

O trzy niemieckie mile od Wells, pomiędzy sierpowatymi brze-

10

gami, tak często spotykanymi w południowych częściach naszej prowincji, płynie rzeka Arundel. Wąska to rzeka, ale głębsza od innych nadmorskich wód. Jej mierzeja sięga daleko w zatokę i tak jest trudna do wyminięcia, że podróżni spoglądają na nią z drzeniem.

W towarzystwie przyjaciół swoich z abenackiego szczepu Web-hannet, a najczęściej z młodym Bomazenem, synem sachema Wawy, mój ojciec chadzał nad ujście rzeki Arundel na polowanie i połów ryb. Mówił — nieraz to słyszałem — że niewiele zna równie pięknych okolic. Kraj, w którym wyrosliśmy, zawsze przejmuje nas zachwytem, ale zachwyt mojego ojca był wyjątkowo usprawiedliwiony.

Na wiosnę rzeka aż kipi od łososi, które można brać oszczepem, bo koryto jest wąskie. Gdy kończą się łososie, odpływ osadza na głazach i

mieliznach całe kolonie tłustych węgorzy, kolonie tak gęste, że uzbrojony trójzębem chłopiec może w ciągu godziny nałowić beczkę. Nieraz tak czyniłem, bowiem do moich ulubionych przysmaków należy do dziś dnia wędzony węgorz, zakropiony galonem dobrego jabłecznika, jako skromna przekąska przed obiadem, podczas obiadu lub na odwieczny, kiedy powietrze szczybie jesiennym chłodem... chociaż, prawdę powiedziawszy, wędzony węgorz dobry jest o każdej porze dnia i nocy.

Po węgorzach przychodzą milionowe rzesze zielonych głowaczy, które się soli i suszy. Radzę je solić i suszyć sposobem, wynalezionym przez mojego ojca: wówczas mięso ich skruszeje, nabierze przedziwnej delikatności i będzie się rozpływało w ustach.

Po głowaczach kolej na bezkresne ławice małych, spiczastych makreli, a gdy przytyw dosięgnie najwyższego pasma mierzei, w piasku leżą piękne, płaskie fladry, zdradzając swoją obecność wypuczonymi, jakby zdumionymi oczami.

Jesienią brną przez słoną wodę sarny i jelenie, ociążałe łosie, czasami nawet widuje się dzikiego indyka. Poza tym gołębi, cy-ranek, czarnych kaczek, gęsi kanadyjskich, lecących kluczami lub łańcuchem, ile dusza zapagnie. Nasze sady i olszyny pełne są słonek i rozbrzmiewają łopotem kuropatwy, tego smakowitego ptaka-głuptaka, który na widok ujadającego psa siada na gałęzi i w oszołomieniu czeka, aż myśliwy podejdzie bezszelestnie i celnym strzałem strąci zdobycz na ziemię.

Wiosną i późnym latem hałaśliwe stada kulików, siewek i żół-tonózek unoszą się nad piaskiem, a tyle tego, że garść śrutu wystarczy, aby moja najmłodsza siostra Cyntia mogła upiec wielki pasztet, który dla niej jest chlubą, a dla mnie rozkoszą podniebienia.



Przy ujściu rzeki ojciec znalazł podłużny skrawek urodzajnego gruntu, obronny dzięki trzem naturalnym granicom — rzece, łądze i oceanowi. Założony tu posterunek handlowy mógłby przynosić skromne, ale pewne dochody. W pobliżu nie mieszkał ani jeden biały, zapewne ze strachu przed Indianami, którzy tłumnie przybywali latem na połów ryb i całymi dniami wylegiwali się w słońcu i chłodnych powiewach morskich. Niewiele myśląc, ojciec przywłaszczył sobie ten grunt. Indianie byli zadowoleni, bo handlował uczciwie.

Farmę naszą odgranicza od oceanu srebrzysta plaża, wygięta jak łuk myśliwski, a długa na pół angielskiej mili. Ta plaża na pozór otwiera się na pełne morze. Ale wybrzeże niedaleko od nas raptownie się załamuje, dzięki czemu plaża wychodzi nie na wschód, lecz na południe, ku Bostonowi. To dlatego latem gorące południowo-zachodnie wiatry, zanim dotrą do nas, biorą morską kąpiel i przynoszą miły chłodek zamiast dręczącej spieki.

Na zachodnim krańcu plaży wznosi się nieforemna piramida kamieni. Wiosną i jesienią dobrze się stamtąd strzela łyski i kaczki, chwytają się szorstkowłose foki, z których skór wyrabiamy mokasyny, łowi się okonie błękitne. Okonie łowimy o każdej porze roku na potrawkę. Jadłem żółtą potrawkę rybną, którą Francuzi z Quebecu nazywają *bouilla-baisse* i którą wychwalają pod niebiosa. I mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że w porównaniu z potrawką, jaką moja siostra Cyntia przyrządza z okoni błękitnych, sucharów okrętowych i skrawków wieprzowiny, ten bujda-bes nadaje się chyba tylko pod zielone żyto jako nawóz; a i to bałbym się, że na takim nawozie ziarno wyrośnie karłowate i koślawe.

Na wschodnim krańcu plaży i zarazem naszej farmy znajduje się ujście.

Po drugiej stronie rzeki ukosem wchodzi w morze skalisty cypel Przylądka Arundel. O dwieście jardów wyżej odchodzi od rzeki łącha i biegnie na zachód równolegle do wybrzeża, aż ginie w długim, słonym bagnie.

W ten sposób farma nasza obwarowana jest od południa oceanem, od wschodu rzeką, od północy łąchą i otwarta tylko od zachodu, a na zachodzie leżą nowoangielskie osady. Przeto, przy zastosowaniu odpowiednich ostrożności, można się obawiać ataku ze strony zwykłych oddziałów bojowych nieprzyjaciela. Nawet wybrzeże morskie stawia opór francuskiemu najeźdźcy, bo czyha

12

ta.m półkole raf skalnych, podczas cichego przyływu ukrytych pod wodą, ale wzbijających białe piekło piany i pchających w bój rozszalałe pułki fal, gdy wiatr wieje od wschodu lub północo--wschodu.

Rafy, pokryte trawą morską, są źródłem rozkosznej woni, przenikającej latem tutejsze powietrze, bowiem nieustanne wiatry, owiewając je, niosą ku lądowi zapach, rzekłbyś, pochodzący z samego oceanu — orzeźwiający zapach, którego nie spotkałem nigdzie indziej, chociaż pewni stojący u nas gospodą Francuzi twierdzili, że tak samo pachną wybrzeża Bretonii. Może to i prawda, ale z dwojga złego wolałbym uwierzyć Indianinowi niż Francuzowi.

Tak jest, kocham ten zakątek. I jeżeli tyle o nim mówię, to dlatego, aby czytelnicy mogli wraz ze mną napawać się jego malow-niczością, aby zakręciła im w nozdrzach jego ożywcza woń. aby się nauczyli miłować go tak, jak ja miłuję.

Na najwyższym wzniesieniu tego gruntu ojciec mój, siedemnastoletni

podówczas wyrostek, mając do pomocy swojego ojca, Bomazena syna Wawy, sprowadzonego z Yorku cieślę, oraz przyjaciół Abenaków, obozujących po przeciwnym brzegu zatoki, zbudował z bali ośmioizbowy dom warowny.

Kiedy stał w drzwiach kuchennych, widział łachę i roziskrzone wydmy przy ujściu rzeki i na wybrzeżu morskim, widział brunatne skały Przylądka Arundel, spoza którego co rano wylaniało się słońce, aby przygrzewać mu do pracy. Z drzwi frontowych oglądał zamknięty sierp wybrzeża, rafy w kłębach mlecznej piany i płaskie, solankowe bagno, ciągnące się na zachód. A daleko, daleko za wybrzeżem, za plażą, za rafami widział to, co ja widzę w tej chwili, to, co i ty, czytelniku, możesz ujrzeć, jeśli przyjedziesz do Arundel: błękitny bezmiar zatoki Wells na tle góry Agamentyk, a na lewo od Agamentyku lądowe obszary nad tą zatoką i skały Yorku, zmniejszone oddaleniem, jasnoniebieskie nad granatem oceanu — rozkosz dla oka.

Był to dom, jak na owe czasy, urządzony zbyt kownie, bo i podłogi miał z desek, i przyzwoite łóżka w sypialniach, a w łóżkach materace wypchane plewą i sprężyste postronki pod materacami. W każdej izbie stała szafa i krzesło, a w kuchni stół, rzeźbiony kredens i kilka mocnych stołków. Dom był dobrodziejstwem dla znużonych wędrowców i, zadziwiające, jak często tych, co tędy wędrowali, ogarniało znużenie właśnie przy naszych frontowych drzwiach.

13

Za domem mieściła się kuźnia, w której ojciec uprawiał kowalskie rzemiosło, dalej zabudowania stajenne. Całość była otoczona wysoką palisadą dla obrony przed wrogimi plemionami indiańskimi. W

nadrzecznym piasku leżała łódź do przewożenia ludzi i koni. Wobec tego, że on jeden zamieszkiwał te strony, miasto nadało ojcu wyłączny przywilej utrzymywania promu' przy ujściu rzeki.

### III

O pierwszej żonie ojca wiem niewiele. Pochodziła z Wells. Była kobietą melancholijną, wiecznie pełną żalów i pretensji. Nie mogła darować mojemu ojcu, że zimą wyrusza samotnie w puszcę. Podczas tych wędrówek kupował od Indian bobrowe skóry, wynajdywał szlaki leśne i punkty osadnicze z polecenia Sir Williama Pepperelia, gubernatora Shirleya i przedstawicieli Rządu Kolonialnego, którzy tak się wyznawali na północnych obszarach naszego kraju, jak królik wyznaje się na gatunkach ryb.

Wprawdzie nigdy tego nie słyszałem od ojca, ale podejrzewam, że uchodził w puszcę przed natrętną obecnością swojej pierwszej żony. Z czasem te wędrówki po lasach, polowania z Indianami, noclegi w wigwamach stały się jego nałogiem, z którego nie wyzwolił się już nigdy.

Była kobietą słabowitą, wiecznie chorowała na niestrawność. Nie miał z nią dzieci i to go bardzo bolało. Nie znosiła Abenaków i często przepędzała ich miotłą, kiedy nieproszeni wchodzili do naszej kuchni, jak to jest w zwyczaju Indian. Ale lepiej, aby po sąsiedzku wchodzili do kuchni, niż ukryci w pobliżu domu, jako nieprzyjaciele, czatowali na niebaczną ofiarę, która sama wpadnie im w ręce i bez oporu odda skalp. Te kuchenne utarczki były dla ojca źródłem nieustannego niepokoju. Wojny indiańskie wybuchają z najbłaższych przyczyn, ilekroć więc zdarzyło się, że pierwsza żona ojca przepędziła Indian miotłą, przez wiele

tygodni potem, wyruszając w lasy, obawiał się, że przy powrocie zamiast domu zastanie zgliszcza.

Była uparta i za nic nie chciała się zgodzić na trzymanie służby, chociaż mój ojciec, uzbierawszy sporą sumkę z opłat za prom i ze sprzedaży skór bobrowych, chętnie nająłby pomoc. Te jej fochy były zupełnie nie na miejscu, bo często stawali u nas gospodą

14

podróżni, rajcowali, nocowali, pili, nie mówiąc już o żołnierzach, którzy za lada pogłoską o indiańskich zamieszkach ściągali do naszej warowni. Nieustannie narzekała na nadmiar roboty, a jednak wszystko chciała robić sama. Nic tedy dziwnego, że w domu nie było chwili spokoju.

Na domiar złego nie umiała gotować. Może nie powinienem mówić w ten sposób, ale chyba dobrze się stało, że dostała suchot i umarła, dobrze dla niej, dobrze dla mojego ojca, dobrze dla Indian i z pewnością dobrze dla mnie, bo w przeciwnym wypadku nigdy bym nie ujrzał światła dziennego.

Ojciec miał mało czasu na oplakiwanie jej zgonu, a myślę, że i ochoty niewiele.

Zwiększyła się liczba osadników i coraz częściej przybywały z północie wrogie plemiona indiańskie, zagrażając osadom. Nasza warownia nie mogła pomieścić tych wszystkich, którzy szukali w niej schronienia i żywności. Mając to na względzie, ojciec wybudował nad brzegiem łachy tartak i jął na własny użytek przecinać sosny Jego Królewskiej Mości. Wychodził przy tym, podobnie jak wszyscy nasi sąsiedzi, ze słusznego założenia, że sosny Jego Królewskiej Mości, rosnące na gruncie osadnika, należą do osadnika, a nie do króla. Wprawdzie literatura powiadała ina-

czej, ale mój ojciec uważał to prawo za idiotyczne i łamał je, ilekroć po temu nastęczała się sposobność. Deski pochodzące z tych królewskich sosen miały czterdzieści cali szerokości, były wolne od sęków i czyste jak mahoń z Wysp Cukrowych.

Desek tych używał na powiększenie warowni, tak że wygodnie mogło się w niej pomieścić czterdzieści osób. Surowe kłody pokrył dachówkowato ułożonymi tarcicami, z tyłu dobudował obszerną nawę, a kuchnię przerobił na izbę zborną, która była jednocześnie świetlicą i jadalnią. Postawił w niej kominek tak szeroki, że po każdej stronie mogłoby zasiąść sześć osób i też nie byłoby ciasno. Nie ma 10 jak w chłodną noc garniec rumu z masłem przy trzaskającym ogniu! Ale tym, którzy będą pić gorący rum z masłem przy kominku mojego ojca, zalecam ostrożność, bo rum z masłem to nie to, co zwyczajny rum, i każdy wytrawny pijak wiek, że masło nadaje mieszaninie moc diabelską. Niechaj więc pije spragniony gość, póki masło nie uderzy mu do głowy, tylko mała uwaga: jak rymnąć, to albo na prawo, albo na lewo, albo i na wznak, byle nie plackiem prosto w ogień!

Wnętrze świetlicy było wyłożone deskami świerkowymi, zebrowanymi cienko na krawędziach i zachodzącymi jedna na drugą,

15

tak że nawet podczas największych upałów nie groziło otwarcie się szczelin. Ojciec zmajstrował parę stolików z owalnymi blaktami i postawił je przy kominku dla wygody tych, którzy zechcą w małym, ale dobranym gronie rozprawić się z parą pieczonych czarnych kaczek lub z młodą soczystą gąską.

Miasto udzieliło mu koncesji na wyszynk napojów wysokowych. Nic

tedy dziwnego, że ktokolwiek wędrował wybrzeżem, poczytywał sobie za obowiązek zajrzeć do naszej warownej oberży. Ojciec sprowadził z Wells Murzynkę imieniem Malary, niedawno wyzwoloną, wraz z sześcioma innymi niewolnikami. Malary była doskonałą kucharką, a do jej specjalności należało prażenie bobu. Umiejętność tę godnie odziedziczyła po niej moja siostra Cyntia.

Wszystko to wiem od ojca, który lubił wieczorem zasiąść ze mną przy kominku i opowiadać stare dzieje. A przecież dzisiaj wydaje mi się, że tak niewiele wiem o nim i o jego czasach.

Najważniejsze wydarzenie zaciera się w pamięci po dziesięciu latach, po upływie lat pięćdziesięciu zasnuwa się mgłą i przechodzi do historii, i w końcu poza naocznymi świadkami i uczestnikami nikt o nim nie ma fioletowego pojęcia. Nie wiem, jak żył mój dziadek Beniamin, jak mówił, co jadał. Mój prapradziadek w r. 1653 był chorążym Kittery, a w r. 1655 wybrano go do Komisji Trzech, która miała ustalić granicę pomiędzy miastami Kittery i Wells. Ale te fakty są mi znane tylko dzięki temu, że staraniem obu miast nazwisko jego wyryte zostało na skale przy Źródle Piekarskim. Jak przyrządzał czarne kaczkę, jak zabezpieczał się przed odmrożeniem, czy na starość uniknął przekleństwa reumatyzmu i co myślał o niektórych fragmentach Biblii, tego nigdy się nie dowiem. A przecież mój prapradziadek był u szczytu sił nie dawniej niż sto lat temu.

#### IV

Gdy w r. 1745 Sir William Pepperell werbował wojsko, zamierzając zająć francuskie miasto Louisburg na Przylądku Breton, mój ojciec, wolny od trosk finansowych i nie mający chwilowo nic ważnego do roboty,

wsiadł na konia, pojechał do Berwick i zaciągnął się do kompanii kapitana Mojżesza Butlera. Tam poznał córkę kapitana, Sarę.

Była wysoka, miała kasztanowate włosy i czarne oczy. Śmiejąc się, dotykała górnej wargi koniuszkiem wąskiego języka, jakby

16

oblizywała się z uciechy. W odróżnieniu od mieszkanek Wells i Arundel, była kobietą wykształconą, w swoim czasie czytała Platona Horacego, Plutarcha, Szekspira i Congreve'a. Potem opowiadała mi nieraz, jak wykradała książki z sypialni matczynej, spod materaca. Dobrze mówiła po francusku. Od niej nauczyłem się tych kilku francuskich słów, które tak mi się przydały w dniach późniejszych.

Gdy\ kompania kapitana Butlera pomaszerowała do Bostonu, Sara i jej matka jechały obok w jednokonnym kabriolecie. I zanim ojciec mój stanął na pokładzie okrętu, który miał go zawieźć do Louisburga, był już zaręczony z Sarą.

Powróciwszy z tej szalonej i zwycięskiej wyprawy, natychmiast stanął przed ołtarzem. I oto po upływie dziesięciu lat w warownej oberży, tkwiącej pomiędzy srebrzystymi wydmami wybrzeża i Białymi falami oceanu, obok łachy i tartaku, poruszanego napęciem lśniących wód, mieszkałem ja, ojciec i matka moja, najśłodsza, najlepsza kobieta na świecie (jedną tylko znam taką, co może się z nią równać), moje siostry: Hersylia, Jane i najmłodsza Cyntia, brat Ivo, foka Eunice i pies Łowca, pierwszy, choć nie ostatni mój pies tego imienia, pół spaniel, pół seter, cały czarny z białą kamizelką.

Wesoło się żyło i nie tak zbyt kownie jak teraz. Dzisiaj z Bostonu do Portlandu jedzie się dyliżansem dwa dni. Dzisiaj na stole mamy fajans,



ściany naszego domu są tynkowane. A przecież nie mogę rzec z czystym sumieniem, że tamte czasy były lepsze, chociaż wielu tak mniema. Wojna się skończyła i można podróżować bezpiecznie. Mamy doskonalsze narzędzia, a więc i obfitsze zbiory. I chociaż powiadają, że młodzież niewieścieje od wygod i nadmiaru pieniędzy, nasza młodzież, ręczę za to, bić się będzie w razie potrzeby nie gorzej od nas. I zapewne tchórzów będzie mniej niż w naszych czasach.

## **księga pieiwsza**

### **~~czwone ibale~~**

I

Na dzień szósty września roku Pańskiego tysiąc siedemset pięćdziesiątego i dziewiątego przypadła dwunasta rocznica moich urodzin. Tak czy owak, zapamiętałbym sobie ten dzień, bo ojciec podarował mi nowy, prosto z kuźni, oszczep na węgorze, a od matki dostałem myśliwską bluzę z jelonkowej skóry, ozdobioną frędzlami na ramionach i u dołu, haftowaną pięknie kolcami jeżozwierz. Ale dzień ten utrwalił się w mojej pamięci z powodu innych, ważniejszych przyczyn.

Słońce wstało, otoczone przejrzystą tęczową obwódką, splakane i zasepione, jak przez cały dzień poprzedni. A u nas, z wyłączeniem okresów posuchy, kiedy wszystkie znaki zawodzą, obwódka taka uchodzi za niewątpliwą zwiastunkę bliskiego deszczu.

Zrobiło mi się smutno, bo zazwyczaj po pierwszym ulewnym wrześniowym deszczu obozujący po tamtej stronie łąchy Abenakówie zwijają wigwamy, ładują letnie zbiory miodunki, suszoną rybę, suszone żyto, nowo narodzone szczenięta i z całym dobytkiem wracają do ojczystych stron. Ich ojczyzną są okolice góry Ossipee, słodkowodny kraj,

obfitujący w bobry, wydry i łosie — kraj piękny i żyzny. Ale ja wolę świeżość i jaśnienie naszego oceanu, długie skiby nadmorskiego piasku i solankowe bagna, przetykane świetlistymi strumykami.

Licząc się z zapowiedzią słoty, od samego rana krzątałem się koło domu, naznosiłem białego, suchego nadmorskiego piasku, którym wysypujemy podłogę świetlicy, ze studni naczepałem świeżej wody do dzbanków, a przy okazji odwiedziłem moją fokę, młodą i piękną Eunice. Tej wiosny przywiozłem ją od skał, mierzyła wtedy stopę długości. Teraz uważała siebie za pełnoprawnego członka rodziny i wszędzie, gdzie się ruszyłem, szastała za mną, dopraszając się kaszlącym, charkliwym głosem codziennej porcji ryb, ku wielkiemu zgorszeniu Łowcy.

Wiedząc, że rychło Abenakowie wyruszą ku swoim leżom zi-

## 20

mowym, zamierzałem po ukończeniu zajęć domowych przeprowić się przez łachę i w towarzystwie młodego Mogga Chabonoke, syna sachema, zapolować na nocne czaple. Delikatne, białe czaple pióra mieliśmy złożyć w darze, ja — matce, a Mogg — Fali Ramanascho, wnuczce starej Ramanascho, kobiety-wodza. W naszych stronach zdarza się, że Indianie nadają wyjątkowo mądrej kobiecie godność sachema. Taką kobietą była właśnie Ramanascho, bo chociaż niegdyś wszystkie okoliczne tereny należały do jej szczepu, nie wszczęła daremnej walki, kiedy król podarował kraj hrabiemu Arundel i jego drużynie.

Dla dwunastoletniego chłopca, rwącego się do zabawy, nie ma nic przykrzejszego niż nadprogramowy obowiązek. Toteż bynajmniej nie byłem zbudowany, gdy z przeciwległego brzegu łachy huczący bas zażądał promu.

To wołał niejaki pan Mallinson. Zjawił się w naszych stronach, diabeł wie skąd, przełknął, niby pigułkę, ładny nadział gruntu nad górnym biegiem rzeki i szybko zdobył sobie poważanie wśród naszych mieszkańców.

Był niewysoki i krępy. Oblicze jego cechowała głęboka powaga. Mówił z takim namaszczonego dostojeństwem, że ziemia, rzekłbyś, zawali się, ponieważ pan Mallinson czuje swędzenie w nosie lub raczy przewidywać deszcz. Ale gdy z głębokim zasępieniem czoła oświadczał, że wschodni wiatr ziębi go do szpiku kości, można było z łąry przyjąć, że wiatr wieje od zachodu. Pan Mallinson bowiem nigdy nie miewał racji. Ścisłej mówiąc, był głupcem. Jednakże ludzie sądzą bliźniego nie po słowach jego, ale po minie, która słowom tym towarzyszy, przeto pan Mallinson zażywał powszechnie sławy mędrca.

Dwukrotnie był członkiem komisji reprezentującej osadę Arundel. W obu wypadkach przemawiał długo i patetycznie w przedmiocie naszych bolączek. Za pierwszym razem uzyskał dla Arundel podwyższony wymiar podatku, za drugim zwiększony kontyngent rekruta. Omawiając jego wystąpienia, sąsiedzi podkreślali wspaniałość przemówień, podczas gdy mój ojciec zwracał głównie uwagę na przykre dla nas następstwa. Wszystko razem wzięwszy, jest rzeczą zrozumiałą, że ochryple nawoływania Mallinsona nie brzmiały mi w uchu jak niebiańska muzyka. Ale że zamierzał wstąpić do naszej oberży, nie miałem prawa, jako przewoźnik, udawać kompletnie głuchego. Zepchnąłem łódź na wody łąchy i robiąc wiosłami, począłem oddalać się od brzegu. Rozbawiona Eunice wynurzała się to z lewej, to z prawej strony, płacząc mi się pod wiosła-

mi. Miałem wielką ochotę zdzielić ją wiosłem przez łeb, ale tak była zwinna, że 'nigdy mi się to nie udawało.

Z Mallinsonem była jego córka Mary, nieśmiała dziewczę o złocistych włosach, zaplecionych dokoła głowy sposobem Indianek, które podczas wędrówek leśnych związują sobie warkocze na czole, aby nie zaczepiać o gałęzie drzew. Prawie się nie znaliśmy, więc, jak to dzieci, woleliśmy milczeć. Widziałem ją zaledwie parę razy, a i wtedy, o ile pamiętam, całe zbliżenie polegało na tym, że przyglądaliśmy się sobie z daleka. Mallinson zagadnął mnie protekcyjnie i z namaszczeniem oświadczył, że zapowiada się piękny wrzesień. Rzecz prosta, nie miał racji, bo słońce otaczała tęczowa obwódka.

Mary zaplotła ręce na kolanach, skrzyżowała opalone nogi pod sukienką z wypłowiałego perkalu i spod opuszczonych powiek patrzyła na Eunice, która płynęła obok łodzi, hałaśliwie wydymając bąble powietrza i ciekawymi okrągłymi oczami przyglądając się dwojgu nowo przybyłych, jak to jest w zwyczaju fok: potrafią na przestrzeni wielu mil towarzyszyć posuwającemu się brzegiem wędrowcowi, raz po raz wyzierając z fal, śledząc każdy jego ruch, chwytając każde jego spojrzenie.

Gdy osadziłem łódź w sprężystej trawie, porastającej brzeg łachy, i wyciągnąłem ją na piasek poza zasięg przyływu, Mallinson ruszył sztywno, jak na szczudłach, miedzą przecinającą łany zboża ku oberży. Mary w pierwszej chwili jakby zamierzała pójść za nim, ale rozmyśliła się i przystanęła, patrząc na Eunice, która z wielkim trudem wciągała na brzeg swoje ciężkie, tłuste ciało.

Wówczas Mallinson odwrócił się i krzyknął, że może się pobawić ze

mną, tylko żebyśmy uważali, bo możemy wpaść do rzeki i utonąć. Już wtedy byłem dobrym pływakiem i z łatwością przebywałem wpław odległość do kamienia milowego i z powrotem. Pomyślałem więc sobie, że i w tym Mallinson nie ma racji, jak we wszystkim. A Mary nie będzie się ze mną bawić, ponieważ czeka mnie inne, bardziej męskie przedsięwzięcie.

Mary zaś osunęła się w chłodną trawę u brzegu łachy i rzekła w zamyśleniu, niby do siebie, ale dość głośno: — Znowu się schleje jak świnia. — Eunice, jakby pełna zrozumienia, uderzając płetwami i ogonem, podsunęła się ku Mary i spojrzała na nią z głębi smutnych, okrągłych, piwnych oczu, jakby przepelnionych łzami. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że między łagodnym zwierzęciem a jasnowłosą dziewczyną nawiązała się jakaś łączność. Po twarzy Mary — a może tylko mi się zdawało — spłynęła łza. Po-

## 22

czułem nieprzewyciężoną niechęć do tych dwóch sentymentalnych kobiet i postanowiłem odejść niezwłocznie.

Ale zanim zdołałem się odwrócić, Mary spojrzała na mnie. Uśmiechnięta, wpatrywała się we mnie długo. Miała oczy niebieskie, wyraziste, urzekające. Przykuty tym spojrzeniem i uśmiechem, poczułem w piersi łopotanie, podobne do łopotania płetw ogonowych Eunice, kiedy w przystępie strachu skacze z nadbrzeżnego kamienia w wodę.

Stałem jak wryty, nie mając siły się odwrócić. Eunice położyła się na boku i błagalnym gestem wyciągnęła do Mary upłetwioną łapę. Mary zrozumiała i podrapała ją w zagłębienie pachy. Wówczas ukradkowym spojrzeniem ogarnąłem oberżę i obozowisko Indian, upewniłem się, że

nikt nas nie widzi, i postanowiłem, że jeżeli młody Mogg Chabonoke zamierza dzisiaj po południu polować na czaple, będzie polował sam.

To hańba, powiedziała Mary, żeby taki duży chłopak więził biedną fokę, zamiast ją puścić na wolność, do krewnych i przyjaciół. Na to ja, że zaprowadziłem kiedyś Eunice do południowo--zachodnich ławic, gdzie foki wylegają się w słońcu i nagrzewają swoje tłuste brzuchy, ale Eunice przywlokła się za mną do domu; potem wywiozłem ją w morze cztery mile od brzegu, wrzuciłem do wody i co sił powiosłowałem z powrotem; jakież było moje zdumienie, gdy foka tarzała się już w piasku, strosząc wąsy i płacząc mi się pod nogami.

Pomogłem Mary wstać. Zapewne nogi jej zdrętwiały od długiego siedzenia, bo potknęła się i przywarła do mnie ślicznymi, miękkimi ramionami. Po raz wtóry spojrzała mi w twarz, jakby czegoś się doszukując, uśmiechnęła się i znowu w piersi mojej zafalowało i załopotowało, niby ogon przerażonej Eunice.

We czworo ruszyliśmy skrajem morza ku rzece: ona, Eunice, Łowca i ja. Był odpływ. Przybrzeżne głazy sterczały wysoko nad poziomem wód, do połowy obrośnięte frędzlastą gęstwą trawy morskiej. Widok tych głazów przypomniiał nam, że od śniadania minęło już dobrych parę godzin i że po drugie śniadanie wystarczy wyciągnąć rękę.

Zapusciliśmy dłonie w gąszcz morskiej trawy. Raz po raz trafialiśmy palcami na twardą skorupę lub ostre kleszcze. Wówczas wyciągaliśmy z wody wywijającego ogonem, zgrzytającego kleszczami homara.

Złowiwszy sześć małych sztuk, ruszyliśmy ku wydmom, które wznoszą się przy ujściu rzeki, niby mały łańcuch górski, stłoczone,

sięgające dziewięciu i dziesięciu stóp wysokości. Między nimi są dolinki. W ciepłym zagłębieniu jednej z dolinek rozpaliliśmy na płaskich kamieniach ognisko.

Odpędziliśmy Eunice na piaszczystą przełęcz, prowadzącą do sąsiedniej dolinki, i postawiliśmy nad nią Łowcę, po czym myśliwskim nożem przekroiliśmy homary wzdłuż i położyliśmy je na rozżarzonych kamieniach, aż przypieczone mięso zbiełało i nabrało mleczej konsystencji.

Jedząc, mieliśmy poczucie domowej przytulności, ciepła i bezpieczeństwa, poczucie, które, nie wiadomo czemu, wzrosło jeszcze, gdy Eunice zaczęła schodzić ze swojej górskiej twierdzy, spodziewając się, że coś dostanie, ale poślizgnęła się, spadła na rozpalone kamienie i z wrzaskiem pomknęła przez wydmy, aby ochłodzić się w wodzie.

Nie wiem do dziś dnia, jak to się stało, że zaczęliśmy mówić o małżeństwie. Mary, o ile pamiętam, opowiedziała mi, że jej matka chorowała na płuca i umarła, że ojciec sprowadził do domu Indiankę, że Indianka gotuje i sprząta, ale Mary jej nienawidzi i chciałaby czym prędzej wyjść za mąż. Możliwe, że zaczęło się od tego.

W pewnym momencie zapytała mnie, kiedy myślę się ożenić. Aż do tej chwili czułem się z nią swobodnie, ale teraz nagle zaniemówiłem. Nie odważyłem się nawet spojrzeć na nią, bałem się jej oczu. Stałem, nerwowo przelękając ślinę, odchrząknąłem, podrapałem się po głowie i znowu odchrząknąłem. Wreszcie głosem, który zapewne wiązał mi w gardle, powiedziałem, że nie wiem, ale chyba ożenię się, kiedy będę miał osiemnaście lat, jak wszyscy.

Wówczas ona oświadczyła, że jej narzeczony musi być wysoki i silny,

musi znać indiańskie sposoby walki, golić twarz, mieć szerokie ramiona i wąskie biodra; że chciałyby mieć tylko dwoje dzieci, jeździć do Portsmouth i Bostonu, ubierać się w różowe brokaty i kosztowne koronki; i jeżeli znajdzie takiego, który ucieleśni w sobie te wszystkie zalety i zapewni jej te wszystkie rozkosze, gotowa jest wyjść za mąż przy pierwszej okazji.

Zachowałem milczenie. Nic lepszego nie można zrobić w takich (i często w innych) okolicznościach.

Po minucie zauważyłem, że Mary klęczy obok mnie i patrzy mi w oczy. To, co powiedziała, w niewielu zawierało się słowach, ale na długo utkwiło mi w pamięci.

— Stefku — powiedziała rozsiewając zapach miodunki, za-

## 24

pach, który tak mi był zawsze miły; spostrzegłem, że zdźbła miodunki wplotła sobie we włosy. — Stefku, chcę cię pocałować.

Może zawinił tu mój wiek, a może dziedzictwo po prapradziadku Ryszardzie, może też zwyczajna głupota. W każdym razie powiedziałem coś, z czego później, gdy bezsennie leżałem w łóżku, bynajmniej nie byłem dumny. Bóg mi świadkiem, że chciałem, aby mnie pocałowała. Ale powiedziałem coś innego i zdaje się, że powiedziałem głosem drewnianym, chociaż nie ręką za to: — Nikt nas nie widzi. A mnie wszystko jedno.

Zamknąłem oczy. Czuję bliskość jej twarzy, dotknięcie jej rąk na ramionach. Czekałem na pocałunek. Ale po chwili usłyszałem cieniutki, dźwięczny głosik: — Stefku, otwórz oczy.

Podniosłem powieki i ujrzałem jej niebieskie oczy, otoczone długimi,



ciemnymi rzęsami, ciężkie złociste warkocze, jasną skórę twarzy ocienioną pod oczami leciuteńkim nalotem piegów, czerwone usta. Nieśmiały, niewypowiedzianie słodki uśmiech rozchyłał te wargi. Rzekła cicho: — Stefku, obejmij mnie.

Oplotłem ją ramionami. Pamiętam, jak drobna wydawała mi się wówczas i jak przyjemnie było ją trzymać przy sobie. Dłonie oparła mi na karku, a gdy przybliżała twarz do mojej twarzy, przestałem widzieć kształty i kolory. Raz w lesie Fala Ramanascho prosiła mnie, abym ją pocałował. Całowaliśmy się, ale pocałunki Mary były zupełnie inne.

Nagle odskoczyła ode mnie ze śmiechem i zapytała: — Stefku, dlaczego nie całujesz mnie lepiej?

Na to ja, głupiec, odrzekłem poważnie: — Gdzie się nauczyłaś całować?

Zerwała się na nogi, tupnęła gniewnie i zawołała: — Nienawidzę cię! Jesteś dzieciak! — Pobiegnęła na przelaj przez wydmy, w kierunku palisady, ja za nią. W samą porę, bo wiatr już wiał od wschodu, a gęstniejący mrok, przetykany igiełkami deszczu, potwierdzał prorocstwo słonecznej obwódki.

Milczała, kiedy biegliśmy, jasne więc było, że uważa mnie za durnia. Zaprowadziłem ją do otworu w palisadzie, który wyciąłem wyłącznie dla siebie i dla Łowcy i który co wieczora musiałem zamykać wrótnią z kłód drzewnych.

Przeszła tamtędy na czworakach, wciąż milcząc. Ale kiedy ja z kolei przesunąłem przez otwór głowę i barki, ręce mając po tamtej stronie, ona zagroziła mi drogę. Klęcząc, obiema rękami ujęła moją głowę, mocno mnie pocałowała i rzekła: — Czy ożenisz się ze mną?

— Tak — odpowiedziałem zdyszany. Z całą siłą przekonania powtórzyłem: — Tak! Tak! Tak!

Szybko pocałowała mnie, i jeszcze raz, i jeszcze raz, po czym zerwała się na nogi i pobiegła do kuchni.

Dziś myślę, że było to najpoważniejsze postanowienie, jakie kiedykolwiek w życiu powziąłem.

## II

Świetlica pełna była zamętu i wesołego rozgwaru, bo podróżni, zamiast ruszyć w dalszą drogę, skwapliwie ulegli pogróżkom wschodniego wiatru i rozlokowali się w naszej oberży na dobre.

I słusznie uczynili, bowiem szlaki leśne, dumnie nazywane drogami, były właściwie setkami błotnistych wybojów, na których koń raz po raz poślizgiwał się i aż po grzbiet grzązał w miękkiej mazi, nie mogąc ruszyć dalej, choć wyrzucony z siodła jeździec wyczerpywał cały arsenał przekleństw.

Rzadko napotykało się tu osiedla, a osadnicy, zwabieni w puszcę kłamliwymi obietnicami bostońskich spekulantów gruntowych, mieszkali po większej części w mrocznych, nieprzytulnych chałupach — ciemnota i bieda z nędzą. Szukający u nich gościny wędrowiec siedział zazwyczaj jeden dzień w mrokach, przez tydzień bolało go gardło, a na domiar złego zdzierali zeń za to wszystko skórę.

Wciąż jeszcze toczyła się wojna z Francuzami i Indianami. Niektórzy nasi krajanie, znudzeni monotonią farmerskiego żywota i ożywieni nadzieją łupów, wyruszyli pod rozkazami lorda Jeffreya Amhersta na Quebec. Amherst oblegał miasto z jednej strony, z drugiej szturmował je

młody James Wolfe. Francuzi brali odwet przy każdej sposobności. W ciemne, dżdżyste noce podjudzeni przez nich czerwonoskórzy z północy czaili się w gęstwie leśnej, gotowi w każdej chwili wyskoczyć z zasadzki, obezwładnić niebacznego wędrowca, porwać go, osadzić w Kanadzie i zmusić do niewolniczej pracy ku chwale francuskiego króla.

W burzliwe noce nawet ojciec nie odważał się kroczyć szlakiem leśnym bez swoich czerwonoskórych przyjaciół. Jako kowal i rusznikarz był wielce upragnionym łupem dla północnych Indian, którzy spodziewali się od swoich francuskich chlebodawców sutej nagrody za sprowadzenie takiego rzemieślnika, tym bardziej że straciłyby na tym kolonie.

Tego więc słotnego wieczora wszystkie krzesła w naszej świetlicy były zajęte. Murzynka Malary, matka moja i siostry krzątały się po kuchni, a najstarsza siostra, Hersylia, pilnowała garnków z bobem, aby w odpowiedniej chwili rzucić na wierzch przysmażone kawałki wieprzowiny. Stąd właśnie bierze się rumieniec i ów przedziwny smak nowoangielskiego bobu.

Dokoła ognia, który płonął nisko, bo noc była niezbyt chłodna, zasiadło czterech ludzi: dwaj przedstawiciele miasta Wells i dwaj przedstawiciele osady Arundel, w ich liczbie ojciec Mary. Ta dostojna czwórka powoli sączyła rum i z namaszczeniem strzepywała popiół fajczany z jelonkowej odzieży. Ich ręce, jeśli się nie mylę, wykonywały przy tym ruchy zygzakowate i często zbędne.

W kącie na fotelu siedział mój ojciec. Mówił mało, ale wszystko słyszał i widział. Ustawiono stół na krzyżakach. Dokoła rozsiadła się morowa kompania, gardłując, śmiejąc się, waląc pięściami w blat, jak to zawsze bywa, kiedy w izbie ciepło i przyjemnie, a na dworze deszcz i zawierucha.

Był wśród gości porucznik Wattleby, wraz z dwoma milicjantami, przydzielony służbowo do naszej warowni. Był Tomasz Scammen, cieśla okrętowy, mistrz cechu, zamieszkały po drugiej stronie rzeki. Humphrey Bickford, wielki znawca ziół i korzonków, tak wprawny w leczeniu chorób, że osadnicy i mieszczanie przychodzili do niego po poradę, w braku lekarza. Ezechiel Kezer, handlarz, który właśnie szedł z Falmouth do Bostonu, aby nabrać towarów dla Indian. Ivo Fish, jeden z milicjantów, przydzielonych do naszej warowni i podległych rozkazom porucznika Wattleby.

Siedział także przy stole ktoś zupełnie mi nie znany. Był najmłodszy w tym towarzystwie, a przecież wyglądał staro, jak gdyby takie nagromadzenie nowych twarzy i głosów bawiło go, a zarazem, nużyło, i chyba bardziej nużyło, niż bawiło. Był szczupły i zgrabny, miał przyjemną, bladą twarz, a kiedy zwracał się do któregoś z sąsiadów, dziwacznie odrzucał głowę do tyłu i mierzył rozmówcę chłodnym, spokojnym spojrzeniem. Noe Gooch, roznoszący piwo i napoje wysokokowe, starannie go omijał i ani nie wpadał na niego, ani nie oblewał rumem, co należy uznać za cud. Noe był największym niezdara pod słońcem i potrafiłby wylać piwo na bluzę gościa, nawet gdyby to był jedyny gość w izbie i siedział oddzielony od stołu grotżaglem brygu. Nieznajomy nie odzywał się ani słowem, tylko z chłodnym uśmiechem obserwował ruchy Noego.

Nie odzieżą odróżniał się ten człowiek od reszty towarzystwa,

## **27**

gdyż miał na sobie jelonkową bluzę traperską, ufarbowaną na jaskrawożółty kolor jesiennych paproci, marszczone jelonkowe szarawary,

mokasyny i obcisłą letnią czapę z królików. Odróżniał się sposobem bycia i akcentem. W jego wymowie nie było nic z nowoangielskiej jednostajności, ale jakiś przygłos i przy-śpiew, który nasuwał słuchaczom wyobrażenie węża poruszającego się wśród zeschniętych liści. W jego gestach i twarzy malowała się wyniosłość, wzdorczywa pewność siebie. Był wytworny, pomimo zwyczajnej odzieży, i do tego stopnia odbijał od nas, prostaków, że spoglądaliśmy na niego jak na raroga. Ale kto pochwycił chłodną ironię jego oczu, natychmiast odwracał głowę, chrząkał i wdawał się w dysputę z sąsiadami.

Najhałaśliwszym biesiadnikiem był Cap Huif, którego imię niesłusznie uważano za skrót tytułu wojskowego. On sam popierał ten pogląd i nigdy nie poprawiał ludzi, którzy zwracali się do niego per „panie kapitanie”. Nie był jednak kapitanem, ale po prostu olbrzymim, gburowatym, chępliwym, wiecznie gardłującym młodzieńcem z Kittery. Nie miał wprawy w żadnym rzemiośle, ale umiał wyśpiewywać sprośne kuplety, w najwyszukańszy sposób przeklinać Indian, których serdecznie nienawidził, i tak opowiadać, że słuchacze nie odrywali oczu od jego ust; tłukli się hałaśliwie po udach i wybuchami śmiechu przyjmowali każde zabawne powiedzenie, w którym, jakby wbrew woli opowiadającego, tkwiło nieraz ziarenko prawdy.

Oddajmy mu sprawiedliwość: miał dobre oko do strzału i w lesie spisywał się niezgorzej. Ale był ryzykantem i bez potrzeby zapuszczał się na najniebezpieczniejsze szlaki. Zdaje się, że ufał swojemu szerokiemu, od ucha do ucha, uśmiechowi. Czasem uśmiech zawodził, wówczas Cap puszczał w ruch pięści, a nie były to piąstki liliputa.

Ja osobiście polubiłem Capa Huffa, gdy w późniejszych latach wspólne

związały nas losy. Wiem, że źle o nim mówiono w Kittery i Portsmouth, gdyż przesiedział parę miesięcy w tamtejszym więzieniu. Ale nie zgadzam się z tymi, którzy powiadają, że Cap Huff ma zwyczaj sięgać ręką po wszystko, co nie jest dość mocno przytwierdzone do podłogi lub ściany. Na życie zarabiał odnoszeniem pilnych pakunków z Portsmouth do Falmouth i z powrotem, a co najważniejsze, nigdy niczego nie zgubił po drodze. Podobno zdarzało się, że wracając miał z sobą więcej pakunków, niż mu powierzono. Stwierdziłem też, że jego pobyt w danej miejscowości z reguły łączył się z zaginięciem rozmaitych drobnych arty-

28

kułów: temu gdzieś podziało się prosię, tamtemu para pistoletów, inny znów opłakiwał stratę baryłki koniaku. Mnie jednak Cap nigdy nic nie ukradł, oprócz przedmiotów, bez których mogłem się doskonale obejść.

Prawdę powiedziawszy, niechętnie bym go postawił wnukom moim za godny naśladowania wzór, zwłaszcza pod względem kąpieli. O czystość dbał mniej niż najbardziej niechlujny z naszych mieszczuchów, a przecież byli tacy, co chełpili się, że niektórych części ich ciała nigdy nie tknęła kropla wody. Za to stwierdzam z całą stanowczością: może Cap Hut! nie zawsze wionął konwalia i miętą, ale wolałbym jego jednego mieć za towarzysza broni, niż stu takich cnotliwców, co to kąpią się dwa razy na tydzień i najbardziej ochoczej dziewczynie nie ukradną pocałunku.

Cap Huff niewiele wiedział o pochodzeniu swoich rodziców, zresztą było mu to obojętne. Ale w roku 1725 ludzie z naszych okolic walnie przyczynili się do wyzwolenia jeńców, wziętych przez Indian po klęsce Lovewella. Wiem od mojego ojca, że wracając z kraju Indian osadnicy sprowadzili do ojczyzny rodziców Capa wraz z dwojgiem dzieci: jedno

nazywało się Doświadczony-Ponad--Wiek, drugie, Nie-Polegaj-Na-Mnie. Rodzina osiadła w Kittery i przez wiele miesięcy żywiła się wyłącznie rybami i małżami. Niebawem narodziło się trzecie dziecko, syn. Ochrzczono go żartobliwym imieniem Capnięty-Z-Niewoli \* i wołano krótko Cap. Jego twierdzenie, że te trzy litery są skrótem słowa Captain (kapitan), uważałem za nieszkodliwą mrzonkę i chętnie go w tym popierałem, zwłaszcza przy obcych.

Kiedy ze stosu, spiętrzonego przy drzwiach kuchennych, nabrałem naręcze drzewa i wszedłem do świetlicy, właśnie Cap, pieszcząc w olbrzymich opalonych dłoniach cynową miarkę rumu i błyszcząc już od pierwszych kropel potu, opowiadał dzieje ostatniej swojej wyprawy.

Powoli układałem polana przy kominku, aby usłyszeć, ile tylko się da. Lubiłem opowieści Capa. Kto chce, może mi zarzucić, że mam zły smak, ale cóż ja na to poradzę. Mnie jakoś nie razi ten stek bezsensownych wyzwisk, którymi Cap przyozdabia co drugie zdanie.

Mówił o pewnym Indianinie, naszym sąsiedzie z południa. Bogu ducha winnym Abenaku imieniem Okawando. Oświadczył,

\* W oryg.: ..Seved-From-Captivity" — Ocalony od niewoli (przyp. tłum.).

## 29

że Okawando jest synem suki i śmierdziela, ma pchły i wszy, a na domiar złego żywi się pluskwami. Na tym miejscu pozwolę sobie stwierdzić, że sporo miałem w życiu do czynienia z Abenakami, ale nie zauważyłem, aby któryś z nich jadł robaki lub owady.

Cap, jak się okazało, spostrzegł młodego niedźwiedzia, sięgającego w

zadumie po miód ukryty w rozwidleniu wiązu. Wiąz rósł blisko wigwamu Okawanda, tak blisko, przysięgał Cap, że musiała w tym być ręka Opatrzności. Nie zaliczając się do ludzi, lekceważących wskazania Niebios, Cap odszukał Okawanda i zaofiarował mu cztery szylingi w bitej monecie w zamian za złapanie niedźwiedzia. Uradowany tą wspaniałomyślną propozycją pluskwojad Okawando skwapliwie się zgodził.

Podeszli do drzewa. Okawando wdrapał się na rozwidlenie i złapał niedźwiedzia za ogon. Ten zrazu reagował tylko rykiem, ale pszczoły przestały rozróżniać, który jest niedźwiedź, a który Okawando, i obaj stoczyli się na ziemię rycząc z bólu.

Gdy Okawando po raz wtóry chwycił niedźwiedzia za ogon, chcąc koniecznie zarobić cztery szylingi, bestia rzuciła się na niego z pazurami. Musiał więc Okawando trzymać za ogon i jednocześnie wywijać się pazurom, a to jest łatwiej powiedzieć niż wykonać.

- Wyobraźcie więc sobie — mówił Cap — jak oni się kręcili młynkiem! Okawando dał już za wygraną i błagał tylko, abym mu pomógł uwolnić się od zwierza.
- Czy pomogłeś mu? — zapytał porucznik Wattleby.
- Jeszcze co! — odrzekł Cap, wielce z siebie zadowolony. — Ruszyłem w dalszą drogę i zostawiłem ich samych. Niech sobie młynkują!
- Zapłaciłeś mu cztery szylingi? — zapytał mój ojciec.
- Coś ty, Stefanie! — rzucił Cap z obrażoną mirtą. — Jak mogłem mu zapłacić, skoro nikt by nie rozróżnił, czy Indianin złapał niedźwiedzia, czy niedźwiedź Indianina. — I dodał półgłosem, jakby



do siebie: — Błagam niebios, aby tym złapanym okazał się Indianin. Paskudny pluskwojad! Widziałem, jak jadł ślimaki, a ślimaki to pluskwy.

Wśród wybuchów powszechnego śmiechu Cap machinalnie sięgnął do flaszki nieznanego i ujmując swoją cynową miarkę wielkim i wskazującym palcem, tak że wysokość jej zwiększyła się o pół cala, lał, aż brunatny płyn przelał mu się przez rękę.

Nieznajomy ogarnął go chłodnym spojrzeniem. — Zdaje się,

### 30

że człowiek, od którego po raz pierwszy słyszałem ten kawał, nazywał się Ananias. Czy mogę was prosić, abyście się poczęstowali koniakiem?

Cap szybko wlał zawartość miarki do ust. Jeszcze raz napełnił ją po brzegi z ironicznie podsuniętej flaszki, przełknął i zawołał: — Na Belzebuba! Gorący trunek!

- Gorący? — z niedowierzaniem powtórzył nieznajomy, kładąc flaszkę poza zasięgiem rąk Capa i sprawdzając jej ciepłość.
- Gorący — powtórzył Cap. — I wiecie, czym to dobrze przegryźć? Bobem! — Odchrząknął hałaśliwie, otarł usta wierzchem dłoni, odrzucił głowę do tyłu i zaryczał:

Jeżeli cywilny dokuczył ci chlebek.

Wal, bracie, do wojska, pójdziemy na Quebec.

Na takich, jak my, Francuz nie ma sposobu. Prowadzi nas

Wolfe. Hejże, damy im bobu!

- Słyszeliście to? — zapytał Cap. — Rozumiecie, co damy tym małpom w Quebecu? Bobu, bobu, bobu! Nie słyszeliście tej

piosenki?

- Nie — odparł nieznajomy. — Nie słyszałem. Człowiek, który kupuje w Falmouth drzewo, mało ma okazji do wysłuchiwanie piosenek wojennych.
- To dziwne. Od Arundel do Bostonu wszyscy śpiewają piosenkę o bobie. Jedynym miejscem, w którym tej piosenki nie słyszano, jest chyba Quebec. Spodziewam się, że nie jesteście z Quebecu?

Wówczas ojciec mój wstał z fotela i trzepnął Capa po barach. — Słuchaj, Cap. Żyjemy w takim kraju, w jakim żyjemy. Okawando jest porządny chłop, mieszka w naszym sąsiedztwie i na to nic nie poradzisz. Do nas odnosi się przyzwyczajenie, więc nie powinniśmy go krzywdzić. Jeżeli będziesz swój kartoflany nos wsuwać do nieswoich spraw, pewnego pięknego dnia Okawando straci cierpliwość, przeprawi się przez rzekę i zrobi bigos z naszych kobiet. Znasz Indian.

- Pewno, że ich znam! — wrzasnął Cap. — Zdolni są do wszystkiego. Brr! Brudne pluskwojady...
- Nie są tacy brudni jak ty — spokojnie rzekł ojciec. — Okawando dwa razy w tygodniu bierze parową łaźnię, aby się wyleczyć z reumatyzmu. Założę się, że ty kąpałeś się po raz ostatni, kiedy armia Faraona utonęła w Morzu Czerwonym.

31

- Ależ Stefanie! — zaprzeczył Cap. — O ile sobie przypominam, wtedy również nie tknęła mnie kropelka wody. I nie drzyj, nie skrzywdzę twoich kochanych Indian. Ale jeżeli osądzam ich niesprawiedliwie, możesz mnie nazwać Francuzem!
- Czystemu wszystko czystym się wydaje — półgłosem zacytował

nieznajomy.

Cap znowu na niego spojrział. Odnosiłem wrażenie, jakby ci dwaj odgradzali się wzajem od siebie parawanem zimnego powietrza, mroźnym parawanem, który krępował ich ruchy. Było mi dziwnie przykro.

- Jeżeli jesteście z branży drzewnej — rzekł Cap — moglibyśmy zaśpiewać tę piosenkę o Benningu Wentworthie\*, którą śpiewa cały Portsmouth.
- Moglibyśmy — rzekł nieznajomy z wdziękiem — ale, niestety, nie śpiewam.
- Ha, jeżeli tak... No to może zechcecie mi powiedzieć, ile Benning Wentworth zapłacił generalnemu nadzorcy za podanie się do dymisji i ile sam z tej posady wyciąga pieniążków? Jeżeli pracujecie w branży drzewnej, na pewno słyszeliście o tych kombinacjach.
- Słyszałem coś niecoś — odparł nieznajomy, a w jego głosie zabrzmiał znowu ten szeleszczący przyśpiew, przypominający ruchy węża wśród zeschniętych liści. — Jedni mówią tak, drudzy mówią inaczej.

Cap gestem olbrzymiej łapy przywołał Noego Goocha. Noe skierował się ku niemu, niezgrabnie niosąc dzbanek z rumem, ostrożnie wyminął nieznajomego, oparł się o plecy Capa i lał, aż rum przelał się przez wielki i wskazujący palec, którymi młody olbrzym uzupełnił pojemność cynowej miarki.

—Cóż to za piosenka, Cap? — zagadnął go Humphrey Bickloid. — Porucznik Wattleby śpiewa tenorem.

—Dobra piosenka — rzekł Cap. — I jeżeli Wattleby nie zrobi ze swego tenoru należytego użytku, niechaj każdy po kolei zdzieli

go dzbankiem przez łeb. Ale proszę, aby przedtem dano mi wyśaczyć z tego dzbanka cały rum. — Łypnął okiem w stronę nieznajomego, który nie przestawał się zimno uśmiechać, i ciągnął dalej: — Co powiecie o gubernatorze prowincji, który kupuje urząd

\* Wentworth Benning (1696—1770) — kupiec i pierwszy gubernator prowincji New Hampshire, oskarżony o faworyzowanie rodziny w przyznawaniu stanowisk urzędniczych i nadawaniu ziemi, a także o nieuczciwe pomnażanie majątku (przyp. red.).

## 32

generalnego nadzorcy tejże samej prowincji? Dobry urząd! Dwieście funtów miesięcznie, a łapówek tyle, że stary Benning, niewiele się namyślając, zapłacił tamtemu za dymisję dwa tysiące w bitej monecie!

Kezer mlasnął językiem. — Lepsze niż handel — zauważył.

—Handel! — wrzasnął Cap. — Lepsze niż przemysł! Mniej kłopotu, a więcej mamony! — Odchylił się razem z krzesłem, rozdziawił usta i ryknął piosenkę, którą zdarzało mu się śpiewać również w latach późniejszych, latach brzemiennej katastrofy:

Stary Benning Wentworth to chłopaczek byczy, Bawi się, żre, chleje i pieniążki liczy.

Jeszcze synekurkę dla mamy wytrzaśnie,

Żonce da posadkę — i spokojnie zaśnie.

Zaśnie sobie w piekle na łożu ze smoły.

Hu-ha! Benning Wentworth to facet wesoły!

Odśpiewał chyba dziesięć zwrotek, coraz głośniej rycząc i coraz

bardziej się rozkoszując. Inni uderzali do taktu w stół pięściami i cynowymi miarkami. Pieśń działała podniecająco, chociaż co do mnie, to nie przypuszczałem, że można tak pogardliwie wyrażać się o gubernatorze prowincji New Hampshire, który musiał być człowiekiem dobrym, skoro był bogaty i wpływowy.

- Harmonijna pieśń — rzekł porucznik Wattleby, kiedy entuzjastyczne wrzaski ucichły. — Ale jeżeli będziesz popisywać się nią publicznie, staniesz przed sądem za obrazę władzy.
- Mam władzę w dużym poważaniu! — ryknął Cap. — Niech no kto spróbuje zawlec mnie przed sąd, a tak mu mordę wykrzywię, że będzie mógł dziesięć razy dziennie gryźć się w ucho! Mówię, co myślę, i żaden sąd nie potrafi mi tego zakazać.

Weszła matka. Wyprosiła mężczyzn na dwór, do palisady, bo czas już było zamieść w izbie i zastawić wieczerzę. Kiedy nieznajomy zerwał się z krzesła i złożył przed moją matką dworny ukłon, wszystkim zrobiło się nieprzyjemnie, chociaż nikt nie wiedział, dlaczego. Dziś chyba wiem. Tym ukłonem dawał nam niejako do zrozumienia, że jesteśmy nieokrzesane gbury. Wynik był taki, że mieliśmy wielką chęć zademonstrować mu w sposób dotkliwy nasze grubiaństwo.

Wyszedł, za nim inni. Cap stąpał niepewnie, nogi mu się plątały. Kiedy mijając matkę uchylił się żartobliwie, jakby od ciosu, pogroziła mu łyżką.

### 33

Podsyciono ogień, podłogę wymieciono do czysta i posypano piaskiem. Malary postawiła na stole dwa garnki prażonego bobu, talerz sałatki z kwaszonych ogórków i cebuli, dwa półcie dziczyzny, gorący razowiec prosto z pieca, masło prosto spod kierzanki. Obok stołu ustawiono na

drewnianych nożycach baryłkę cienkiego piwa, uwarzonego przez moją matkę. Nie było ono znowu tak bardzo cienkie, bo po wypiciu jednego galonu największemu chwatowi splątałby się język.

Zastawę uzupełniało sześć pasztetów, przyprawionych rumem, i salaterka bielutkiego sera śmietankowego. Taka wieczerza była w owych czasach prawdziwym darem Bożym. W większości nowo-angielskich oberż, słusznie nazywanych ordynariami, karmiono gości strawą niewybredną i tak tłusto omaszczoną, że potem aż paliło w żołądku.

Nie wiem, co tam się działo przy palisadzie, czy Cap podjudzał swoich przyjaciół przeciwko nieznanemu, czy też sami wyciągnęli odpowiednie wnioski. Dość na tym, że wróciwszy do świetlicy patrzyli na niego jeszcze bardziej ukradkowo, jeszcze posępniej i nieufnej niż przedtem. Odnosiłem wrażenie, że jego uśmiech staje się z minuty na minutę bardziej lodowaty. Z wyraźną przyjemnością wypowiadał ten egzotyczny przybysz rzeczy niemiłe uchu Nowoangielczyka, złośliwe, obelżywe, jęczące. Rzekłbyś, zręczny fechtmistrz drażni się z wsiowym prostakiem, nie bacząc, że ten prostak, w przyływie wściekłości lub rozpacz, może wytrącić mu szpadę i porąbać go na sztuki.

Gdy wieczerza dobiegła końca, Mallinson, dobrze już podpiwszy sobie, z pijacką dumą zakomunikował mojemu ojcu, że tegoż dnia podpisał z przedstawicielami Wellsu umowę, na mocy której granicą Wells i Arundel mianowana zostaje rzeka Arundel i zadawniony spór między osadami traci na przyszłość wszelkie podstawy. Ojciec rozgniewał się i nazwał go skończonym osłem, bowiem znaczyło to, że odtąd Wells będzie mierzyć siedem mil długości, zaś Arundel mniej niż dwie.

— Ależ zrozumcie! — zaperzył się Mallinson. — Obrady trwały tak

długo, że już nie mieliśmy pieniędzy na zapłacenie rachunku!

Przedstawiciele Wellsu zapłacili za nas. Cóż mieliśmy robić? Musieliśmy przyjąć ich propozycję.

Ojciec był purpurowy z wściekłości. Inni patrzyli na Mallin-sona z półotwartymi ustami. Ale nieznajomy, siląc się na ten swój ironiczny uśmiech, oświadczył, że przecież raz już mieszkańcy Maine dali się poprowadzić na barbarzyńską wojnę z powodu ryb,

### 34

cóż więc się stanie, jeżeli w przyszłości będą musieli rozwiązywać zagadnienie tak poważne, jak granica pomiędzy miastami?

Obecni zapomnieli o Mallinsonie. Rozległ się gniewny pomruk, bo słowa nieznajomego zawierały obelgę, chociaż nikt dobrze nie rozumiał, jaką.

Dla mnie stał się nienawistny. Przypominał mi nieprzyjaznego Indianina, który godzinami siedzi bez ruchu, aby nagle cisnąć między nas dziryt zakończony nożem.

- Wolnego! — rzekł mój ojciec, stając za pustym krzesłem i oburącz trzymając się poręczy, jak zwykł był czynić, ilekroć zanosilo się na awanturę. — My, Nowoangielczycy, nie bijemy się o ryby, a barbarzyńskie metody prowadzenia wojny widzieliśmy tylko u północnych Indian, którzy napadają na nasze osady.
- Najbrudniejsze pluskwojady pod słońcem! — wtrącił Cap Huff, wycierając talerz kromką chleba.
- Jakże to! — rzekł nieznajomy robiąc zdziwioną minę. — Czyżbyście nie pamiętali, że oblężenie Louisburga, podobnie jak poprzednie wojny, wynikło na tle sporu o prawo łowienia ryb u Wielkich Ławic?

- Tylko bez rybich conceptów — odrzekł ojciec. — Brałem udział w tym oblężeniu. Byłem jednym z tych, którzy wzięli Wielką Baterię i na saniach przeciągnęli armaty przez bagno, co uważano za rzecz niewykonalną. Nie dla ryb wybrałem się na Przylądek Breton, ale dlatego, że Francuzi zatruli mnie, mojemu ojcu i mojemu dziadkowi życie swoimi korsarskimi szalupami i brygami; dlatego, że wynajęci i opłaceni przez nich Indianie rąbali toporkami nasze żony i dzieci lub czynili z nich janczarię; dlatego, że wrogowie nasi pogrążali cały kraj w krwawym zamęciu!
- A jednak — upierał się nieznajomy — na dnie tych wszystkich zatargów tkwiły ryby. Porozmawiajcie z politykami, a przekonacie się. Cóż więc stanie się z nami, jeżeli sąsiedzi lekkomyślnie zaprzepaszczą będącym ziemie należne naszym dzieciom?
- Bóg świadkiem, że nie jestem mocny w gębie — odparł mój ojciec. — Ale tak mi się jakoś wydaje, że nie macie prawa używać słów „my”, „nasz”. Sądząc po waszej mowie, nie jesteście z naszych stron. Połowa tych, co wzięli Louisburg, wywodziła się z prowincji Maine. To była nasza wojna, do kroćset! Gdybyście w niej brali udział, nie śmierdziałoby wam rybami. Tak!

—Brawo, Stefanie! Dalej tak! Pod siódme żebro! — zawołał Cap rozkładając łokcie na stole.

### 35

—A co do rozdziału terytoriów w naszym kraju — spokojnie ciągnął ojciec — to jest to kwestia, którą zechciejcie nam pozostawić. Starczy ziemi dla naszych dzieci jeszcze na wiele setek lat, nawet jeżeli pobożne podbiskupki z Bostonu będą ją nadal roz-



kradać, jak rozkradają. I jeszcze jedno: wspomnieliście tu o bar barzyńskiej wojnie. Uczestniczyłem w niej, nie pozwolę więc, aby takie słowa wypowiedano w moim domu.

Nieznajomy wzruszył ramionami. — Czyż pastor Moody nie porąbał ołtarza i obrazów w louisbourgskim kościele? Czyż oddziały bostońskie nie zamordowały ojca Rale \* w Norridgewock?

—Na Boga żywego! — zawołał mój ojciec. — Po co zagłębiać się w całą tę starożytną historię? Wiem tyle tylko o pastorze Moody, że był to bigot z Yorku, przykry, tetryczny staruszek, i że dał francuskiej załodze swobodnie wymaszerować ze zdobytej przez nas fortecy pod bronią i z chorągwiami. A jeżeli już mowa o bar barzyństwach, to przypomnijcie sobie, jak to Francuzi obojętnie i beczynn timerzypatrywali się z Fortu William Henry, kiedy ich śmierzający sprzymierzeńcy — północni Indianie — mordowali nie uzbrojone wojsko, bezradne kobiety i dzieci. Co zaś do ojca Rale, to bostońskie oddziały zabiły go dowiedziawszy się, że przyobiecał Norridgewokom wieczyste zbawienie w zamian za nowoangielskie skalpy i sam z muszkietem w ręku stanął na czele czerwonej watahy, podobnie jak ten szczer Le Loutre z Acadii. Wybór był prosty: śmierć ojca Rale lub śmierć naszych rodaków. Bostończycy uczynili to, co uczyniłby każdy z nas: wsadzili mu kulkę w łeb i gratulowali sobie, że nie za późno.

Nieznajomy wzruszył ramieniem. — Tak bywa, kiedy Bóg powołuje dobrych kalwinów, aby spełniali jego dzieła. Oczywiście, nigdy nie jesteśmy winni nieszczęściom, które na nas spadają. My tylko uczymy papistów i innych pogan, jak mają żyć.

Biesiadnicy wymienili między sobą ukradkowe spojrzenia. W spojrzeniach tych była zapowiedź przewracanych stołów i tłuczonych butelek.

—Nie jestem kalwinem — odwarknął ojciec. — Nienawidzę rozmodlonych obłudników, jakiegokolwiek ich wyznanie. Będziecie więc łaskawi nie krytykować naszych poczynań. Mówcie za siebie, nie za nas.

\* Rale Sebastian (1654—1724) — francuski misjonarz, jezuita, działający wśród Abenaków nad rzeką Kennebec. W r. 1705 Anglicy spalili osadę Abenaków wraz z jego kaplicą. Oskarżony o podżeganie Indian przeciw Anglikom, został zabity w pobliżu własnego domu (przyp. red.).

36

— Jakże to? — niedbale zapytał tamten. — Czyż nie jesteście marionetkami w ręku rozmodlonych obłudników z Massachusetts? Czyż te świętoszki nie zamierzają z waszą pomocą odebrać Francuzom Kanady? A kiedy to się stanie i z was, wolnych ptaszków, porobią się zdyscyplinowani, posłuszni żołnierze, jakie czeka was następne zadanie? Wojna z Anglią. Anglicy i Nowoangielczycy będą wyłącznymi posiadaczami całego terytorium, a umysłowość Nowoangielczyka jest całkowicie odmienna od umysłowości brytyjskiej. Zgodzicie się, że człowiek najchętniej wojuje z tymi, którzy myślą nie tak jak on.

Uśmiechnął się ironicznie i ciągnął dalej: — Jeżeli wespół z bigotami z Massachusetts wystąpicie zbrojnie przeciwko Anglii, nie obejdzie się bez

pomocy. A liczyć możecie tylko na pomoc papistowskiej Francji, która gotowa jest walczyć nawet ramię przy ramieniu z bostońskimi świętoszkami, jeżeli to jej pozwoli wziąć odwet na Anglii. I tak wy, którzy nienawidzicie rozmodlonych obłudników i papistowskich Francuzów, będziecie walczyć ramię przy ramieniu z obłudnikami i papistami!

Słuchacze posepnie spojierali *na* niego, ogłuszeni i zdezorientowani. Błady uśmiech, błakający się na ustach nieznajomego, wyrażał pogardę dla naszej tępoty, dla zakłopotania, w jakie wprawiała nas sprawność cudzego umysłu.

Zaskrzypiało krzesło. To Cap Huff poruszył się niezręcznie. Głosem, w którym brzmiała pogrożka, zapytał najbliższego sąsiada: — Jak on powiedział, zanim powiedział, że będą z nas żołnierze? Powiedział coś na nas, he?

- Powiedział, że jesteśmy wolne ptaszki.
  - Tak powiedział? — denerwował się Cap. — Kiedy to mówił, nie podobała mi się jego mina. Hej, wy! — Wyciągnął ramię nad stołem i łapę wielką, jak szynka, położył na barku nieznajomego. — Jak powiedzieliście: ptaszki czy złodziejaszki?

Tamten spojrział mu prosto w oczy. — Może byście tak zabrali rękę?

Cap bez wielkiego pośpiechu cofnął dłoń i spojrział na nią z wyrazem łagodnego zdziwienia. — On chyba powiedział złodziejaszki — mruknął pod nosem i znowu pochylił się przez stół. — Hej, wy... — zaczął i przerwał. Odnosiło się wrażenie, że szuka w głowie stosownych oskarżycielskich słów, ale widocznie nic nie znalazł, bo nic nie powiedział.

Właśnie w tym momencie Mary nadbiegła z kuchni szukając ojca.

Biedaczysko, z głową opuszczoną bezwładnie na stół, z twa-

### 37

rzą w kałuży rumu, chrapał serdecznie. Widząc, że nie dobudzi ojca, Mary usiadła przy mnie na schodku kominka, a jej włosy blond lśniły w blasku ognia jaśniej niż guziki porucznika Wattleby. Zażenowany jej bliskością, obróciłem się w przeciwną stronę i spostrzegłem, że nieznajomy uporczywie przygląda się Mary. Jego oczy, na poły przysłonięte powiekami, jarzyły się jak ślepią psa, który wywachał szopa w dziupli drzewnej. Przemówił do Kezera, handlarza: — Słowo daję, prześliczna! W sam raz do łóżeczka!

Ogarnęło mnie drzenie, chociaż wcale nie byłem pewien, czy dobrze pojmuję znaczenie usłyszanych słów. Nienawidziłem go z całych sił.

Chętnie bym zrobił coś złego, gdybym tylko wiedział, jak to zrobić. Ale mogłem z powodzeniem pozostawić tę troskę innym, bardziej powołanym.

Cap dźwignął się, przetarł olbrzymimi łapami czerwoną twarz i wyzywająco zatknął wielki palec za pas ze skóry węgorza.

—Tak, on powiedział złodziejaszki! Zjem dwie zdechłe mewy i jedną żywą wronę na dodatek, jeżeli tak nie powiedział. — Przechylił się i ciężko zwałił rękę na bark nieznajomego, który mu siał oderwać oczy od Mary. Wyniośle spojrział na przeciwnika i z wolna podniósł się z krzesła.

W izbie panowała taka cisza, jak w letnie popołudnie, gdy z zachodu nadciąga czarna burza. Ale nieznajomy albo nie rozumiał, na co się zanosil, albo nie chciał rozumieć.

- Muszę powtórnie prosić was o zabranie ręki! Nie przywykłem, aby

panowie obdarzali mnie afektami!

- Afektami! — powtórzył Cap. Jego szeroka twarz powlokła się ognistą czerwienią — Afektami!

Przeżuwał to słowo, jakby doszukując się intencji przeciwnika. W końcu widać je przeniknął, bo nagle wyrzucił z piersi ogłuszający ryk, ryk rozwścieczonego lwa.

- Afekty! Na Belzebuba! Pokażę ja ci afekt! — I zanim nieznajomy zdążył uczynić ruch w swojej obronie, ten człowiek-góra wyrwał go spoza stołu, przeciągnął nad blatem i jedną ręką trzymając za kołnierz jelonkowej bluzy, drugą za siedzenie, podniósł go z podłogi jak piórko.
- Na Belzebuba! — zaryczał. — Dam ja afekt temu wolnemu ptaszkowi!

Pobiegłem przodem, aby otworzyć drzwi wewnętrzne i zewnętrzne. Cap przestąpił jeden próg i drugi, w obezwładniającym uchwyc-

38

cie dzierżąc swoją ofiarę. Za nim wyroiło się z gospody całe towarzystwo, klnąc radośnie i hałaśliwie dzieląc się uwagami.

Była pora odpływu. Muł łachy przelśniewał słabo w mglistym mroku wieczora. Nie przestając ryczeć, Cap podparł stopą plecy przeciwnika i wyrzucił go, jak kamień z procy, prosto w czarny muł. Chlupnęło na potęgę, kiedy upadał. Jeszcze oślizgnął się o krok i został. Leżał nieruchomo, póki nasze śmiechy nie zaczęły milknąć.

Wówczas dźwignął się i obrócił w naszą stronę. Śmiechy zamilkły zupełnie. Nastąpiła złowroga cisza.

Jego rysy były niewidoczne pod oblepiającą twarz pokrywą czarnego

błota. Okropne widowisko! Wydawało się, że spogląda na nas dumne zwierzę, zeszpecone hańbiącą raną, rozwścieczone i niebezpieczne.

Chociaż więc przed chwilą wszyscy, ilu nas było, biliśmy się w uda ze śmiechu, nagle sprawa przestała być zabawna.

Patrzył na nas w milczeniu. A my patrzyliśmy na niego nie dłużej, niż trzeba, aby sztormowa fala zdażyła się najeżyć i opaść. Obrócił się do nas plecami i powoli powlókł się przez lepkie błoto w kierunku abenackich wigwamów, stojących na przeciwległym brzegu. I nie wiem czemu, ale ten jego powolny krok dogłębniej przejmował grozą i lękiem, niż najwymowniejszy gest pięści.

Śledziliśmy go spojrzeniami, póki nie zniknął. Stojący obok mnie ojciec odetchnął głęboko. Wreszcie przemówił szorstko do Capa, chociaż zdaje mi się, że szorstkie były tylko słowa, a nie ton:

— Powinieneś jąć się korsarstwa! To najodpowiedniejsze rzemiosło dla ciebie! Draniu! Nieszczęście sprowadzisz na nas przez te burdy. Właż do środka. Dostaniesz tyle rumu z masłem, że język ci skołowacieje, i nareszcie będziesz siedział cicho.

### III

Następnego dnia przespałbym świt, ale zbudził mnie Cap Huff i omal nie wytrzymał ze mnie życia razem ze snem.

Wypuściłem go z oberży, jak mogłem najciszej, a on mi za to podarował nowy nóż. Z tą ciszą wypadło nie najlepiej, bo Cap zachrypłym basem uskarżał się na ból głowy, twierdząc, że jest od ucha do ucha przebita siedemnastoma zardzewiałymi gwoździami. Językowi swemu prorokował odtąd wieczyste milczenie, bo jak tu mówić językiem, który

spuchł do rozmiarów sporego

39

sztokfisza, a na domiar złego usmarował się przewrotnie klejem i oblepił piaskiem? Takim językiem nawet ruszyć niepodobna i kto wie, czy nie byłoby najlepiej po prostu wyrwać sobie z gęby bezużyteczny narząd i raz na zawsze zaniemówić?

Co się tyczy noża, to jeśli mnie nie myliła pamięć, widziałem go na biodrze nieznajomego, zanim go Cap cisnął w muł. Możliwe, że w bojowym zapale Cap bez żadnej ubocznej myśli wyrwał nóż nieprzyjacielowi zza pasa. W każdym razie postanowiłem dobrze baczyć, aby nie wyniósł od nas worka cukru, co byłoby dla mojej matki stratą nieodżałowaną.

Wiatr wciąż jeszcze dał od wschodu. Cap pożegnał mnie basowym „bywaj” i konno ruszył wzdłuż granatowej granicy oceanu, na zachód, ku piaszczystemu pomorzom Wellsu. Deszcz ustał, wrony szwargotały między sobą, żerowały, ciskały w locie muszle na twarde piasek, przez rozbitą skorupę docierały do mięsa. Była to niewątpliwa zapowiedź przejaśnienia.

Odwracając się plecami do łąchy ujrzałem, że w domu już nie śpią. Moje siostry stały z Mary przy drzwiach kuchennych i mokrym ręcznikiem wycierały sobie twarze. Widok Mary nappełnił mnie żalem, bo wiedziałem, że dziewczyna wkrótce odjedzie. Świat, zamiast radować serce coraz pogodniejszymi barwami, głęboko je zasmucał.

Odtąd przez całe życie prześladował mnie ten smutek. W jesienne poranki, kiedy świt jest cichy, bo śpiewające ptaki odleciały na południe; kiedy zima nawiedza dom pierwszym dotknięciem lodowych palców; kiedy wrony kołują nad polanami i opustoszałą plażą — w takie poranki,

zda się, obchodzę żałobną rocznicę tego dnia.

Dręczy mnie wtedy poczucie bliskiej straty, zmarnowanych dni, unicestwionych przyjaźni. I znam tylko jedno lekarstwo na tę melancholię — iść ze strzelbą w bagna, w las, upolować tyle kuropatw i cyranek, ile trzeba na wysoki, okrągły pasztet, i zjeść ten pasztet przy trzaskającym ogniu, zakrapiając dzbanem grzanego jabłecznika.

Byłem zły na Mary, bo chciałem z nią znaleźć się sam na sam, a nie mogłem. Wyminąłem ją w milczeniu i wszedłem do kuchni. Dąsałem się na matkę, kiedy mi dała na śniadanie chleb żytni z mlekiem. Po śniadaniu powiedziałem głośno, ale tonem rubasznym i obojętnym, że idę na plażę po piasek. Jednak Mary ani na mnie nie spojrzała, ani nie odezwała się słowem. Powlokłem się więc samotnie między wydmy. Łowca galopował obok mnie, robiąc przegląd nor szurzych i króliczych. Nigdy nie zaniedbywał tego obowiązku.

Eunice leżała w wodzie nie opodal brzegu, wyciągając spłaszczoną główkę wysoko nad fale i z niepokojem przyglądając się plaży. Na mój widok dała nurka i raźnie wygramoliła się na brzeg chlapiąc i chlupocząc, zakaszłała jak suchotnica i przycisnęła mokry nos do moich nóg. Kiedy ją odepchnąłem gniewnym kopnięciem, z trawy, porastającej wydmy, wyskoczyła nagle Mary i z całych sił pchnęła mnie w plecy.

- Nie waż się! — krzyknęła. Opadła na kolana i ramionami oplotła mokrą szyję Eunice. Foka tkliwie dmuchnęła jej w twarz.
- Fu! Ryba! — zaprotestowała Mary, marszcząc nos i ciągnąc Eunice za wąsy. Głupie zwierzę, widąc dotknięte na honorze, odsunęło się, położyło się na boku, zamachało w powietrzu płetwą, zapatrzyło się



na słońce i poczęło smutnie, po foczemu, chrząkać, jakby się dławiło.

Wiele miałem Mary do powiedzenia, ale wiedziałem, że zawsze wychodzi co innego, niż chciałbym wyrazić, wolałem więc milczeć. Bez słowa napełniałem wiadra piaskiem. Podeszła i stanęła przy mnie. Po chwili rzekła półgłosem: — Ojciec już przyszedł do siebie. Kiedy zje bób i pasztet, zabierze mnie do domu.

Rozumiałem, że to jest nieuniknione. Nie umiałem też ukryć przed Mary swojego niezadowolenia. Nie znajdując stosownych słów, dalej napełniałem wiadra piaskiem i milczałem.

Nagle postawiła stopę na krawędzi jednego z wiader i przewróciła je. Kiedy spojrzałem na nią w zdumieniu, rzuciła się ze śmiechem do ucieczki. Wobec tego pobiegłem za nią.

W pewnej chwili przystanąła i obróciła się do mnie. Był to podstęp, bo zanim mogłem się zorientować, moje ramiona już ją oplatały, a ona przytulała się do mnie żarliwie. Zawstydzony, odsunąłem się i końcem mokasynu zacząłem żłobić dołki w piasku. Czułem, że Mary na mnie patrzy, ale sam nie odważałem się spojrzeć na nią, chociaż pokusa była wielka.

Obróciła się plecami i zaczęła wchodzić na trawiastą diunę. Byłem zły, że się oddała, chociaż niczym nie zachęciłem jej do pozostania. Przez chwilę stała bez ruchu. Ale ja nie podniosłem oczu, lecz w dalszym ciągu żłobiłem dołki w piasku i tylko w sercu pragnąłem, aby zeszła do mnie na dół.

Wreszcie odezwała się cichym, dziecinnym głosem: — Czy to, co mówiłeś wczoraj, to była prawda? — Choć bardzo chciałem powiedzieć, że tak, to jednak, jakby na przekór sobie, potrząsną-

łem przecząco głową. Gdy dalsze słowa nie następowały, podniosłem oczy: Mary już nie było.

Od razu rozchmurzyłem się. Zapomniałem o wiadrach, wspiąłem się na skarpę brzegu; Mary biegła w kierunku palisady. Goniąc ją, wołałem: — Mary, to była prawda! Najświętsza prawda! — Ale ona nie zwalniała kroku, póki spomiędzy łańców nie wyłonił się Ivo Fish, pełniący straż przy wrotach palisady.

Zaczekawszy, aż się z nią zrównam, zapytała: — Czy cieszysz się z danej wczoraj obietnicy? — Bałem się, że Ivo się domyśli, co to za obietnica, potwierdziłem jednak. Mary wciąż nie była zadowolona. — Chodź, poszukamy jodłowej żywicy!

Wiedziałem, że w lasach nie jest bezpiecznie, rzekłem więc: — Nie. Możemy spotkać złych Indian z północy. — Wówczas przystanąła i przy Ivo Fishu oświadczyła, że pewno wczoraj mówiłem na wiatr, inaczej nie przerażaliby mnie Indianie. Spiesznie odpowiedziałem, że pójdę zbierać jodłową żywicę i że nie mówiłem na wiatr, lecz na mur, co było prawdą.

Nic jej nie zaspokajało. Wyobrażała sobie najbardziej nieprawdopodobne sytuacje. Pytała, czy odwiedzałbym ją, nawet gdyby jej ojciec przeprowadził się do Portsmouth lub Bostonu, albo aż na Górę Pustynną. Odpowiadałem „tak” na wszystkie pytania, nie licząc się już z obecnością Ivo Fisha. Gdyby zażądała ode mnie, przysięgłbym, że podążę za nią na Wyspy Cukrowe lub do Londynu. Ale zanim tego zażądała, z drzwi kuchennych wyszedł Mallinson i dał jej znak ręką. Równocześnie zjawiała się moja matka i zawołała, abym ich przewiózł przez łąkę, bo ojciec jest zajęty na rzece. Niecierpliwie machała fartuchem w stronę

Mallinsona. Zrozumiałem, że chce się go jak najprędzej pozbyć.

Gdy zszedłem, aby spuścić łódź na wodę, namiotów abenackich nie było już na przeciwległym brzegu zatoki. Znaczyło to, że kobiety wyruszyły wraz z połową wojowników na zimowe leża. Przed zmrokiem odejdą pozostali. Myśl o tym pogłębiła mój smutek, bowiem Abenakowie byli dla mnie zawsze dobrzy i uprzejmi, a nigdzie nie znajdę serdeczniejszych przyjaciół niż Mogg Chabo-noke i Fala Ramanascho.

Często przynosili mi dary: to strzelbę, to czarodziejski kamień przeciwko utonięciu, to bransoletę z końskiego włosia przeciwko strzykaniu w kościach. Od nich nauczyłem się rozniecać ogień bez krzesiwa, z pomocą tylko myśliwskiego łuku i kawałka surowej skóry. Dzięki nim mówię po abenacku. W kanadyjce podczas

## 42

wiosłowania zwracam za ich przykładem palce stóp do tyłu, co pozwala całymi godzinami trwać w tej samej pozycji.

Ja miałem im niewiele do ofiarowania: szczyptę soli lub cukru, paciorek, skrawek perkalu, odrobinę prochu lub kulę muszkietową. A przecież byliby moimi przyjaciółmi, nawet gdybym im nic nie dawał. Chętnie bym ich zatrzymał na zawsze w ojczystej mojej krainie.

Mallinson majestatycznie zstąpił na brzeg, za nim szła Mary. Spojrzał na mnie oczami, które przypominały oczy zdechłego rekina. Worki pod nimi były tak rozległe, że, przysiągłbym, wiszą na końcach brwi.

— Nie kołysz łodzią, chłopczyku — rzekł z dostojeństwem. — Potrawy, które spożyłem wczoraj, musiały mi nie posłużyć. — Sztywno postawił stopę na dziobie, pochylił się i przeszedł nad wiosłem, z pomocą

którego przytrzymałem łódź przy brzegu.

Gdyby to nie był ojciec Mary, pchnąłbym go łopatką wiosła za to, że mnie nazwał chłopczykiem i że odpowiedzialność za swój pijacki kociokwik składa na kuchnię mojej matki. Ale zapomniałem o nim, gdy Mary, wsiadając do łodzi, uchwyciła się mojego ramienia i obdarzyła mnie ukradkową pieśczęcią.

Jej czar działał na mnie tak przemożnie, że nawet się nie skrzywiłem, kiedy Mallinson przepowiedział słotę i oświadczył, że nareszcie skończą się utarczki z Indianami, ponieważ Abenakowie zwinęli namioty. Głupiec nie wiedział, że wiatr ze wschodu przesuwają się na południe, co zawsze jest wróżbą pogody, i że odjazd przyjaznych Abenaków ośmieli nieprzyjacielskich Indian z St. Francis, którzy będą nas bezkarnie gnębić i napastować.

Nie zastanawiałem się wtedy nad jego słowami, bo przez cały czas patrzyłem na Mary, łowiąc rzucane mi ukradkiem spojrzenia. Raz, gdy stary spojrział przez ramię na resztki abenackiego obozowiska, tak rozkosznie wykrzywiła do mnie nos, że aż ręce mi omdlały, straciłem panowanie nad wiosłem i omal nic wpadłem do rzeki.

Póki mogłem, karmiłem oczy widokiem Mary. Kiedy łódź dotknęła brzegu, Mallinson wygramolił się bez słowa podziękowania, wziął Mary za rękę, spiesznie wspiął się na brzeg i podążył wąską ścieżką, wiodącą w gęstwę wysokich sosen. Dwa razy Mary odwróciła się i uśmiechnęła. Odgrodziły ją ode mnie krzaki. Jeszcze nigdy sosny nie wydawały mi się tak wysokie i ciemne. Nigdy otoczony palisadą dom warowny nie tkwił tak szaro i beznadziejnie nad bezkresem oceanu.

Długo stałem, patrząc na krzaki, które ją pochłonęły. Te dwa ostatnie pożegnalne spojrzenia przejęły mnie ciepłem i słodyczą, ale zarazem nauczyły boleśnie tęsknić. Wreszcie odwróciłem się. Z przeciwległego brzegu naszczekiwał ku mnie Łowca.

Wiosłowałem powoli, ze zwieszoną głową.

Nie było już Mary,

Dzień był niepodobny do wszystkich innych dni. Przyjaciele i znajomi wydawali mi się ludźmi obcymi i nierealnymi. Ivo Fish, pełniący straż przy wrotach, miał minę uśmiechniętego półgłówka. Porucznik Wattleby, dzielny żołnierz, dotychczas cieszący się moim wielkim szacunkiem, zdawał się pleść kosałki-opałki. Nawet w matce dopatrzyłem się tępoty, ponieważ śmiała się i rozmawiała wesoło, nie bacząc na moje ołowiane serce, które tętniło coraz wolniej, obciążone ciężarem tęsknoty.

Co się tyczy ojca, który właśnie obrabiał w kuźni sztabę rozgrzanego żelaza, to odnosiłem wrażenie, że to nie mój ojciec, lecz jakiś nieludzki, bezduszny potwór.

Gdy Malary postawiła na kuchennym stole półmisek z klopsem, z tym naszym domowym klopsem, rumianym i delikatnym, oraz żytni chleb, obstawiony dzbanuszkami klonowego syropu, zrozumiałem, że już nie mam po co żyć. Mało rzeczy budzi we mnie taki entuzjazm, jak klopsy i chleb z klonowym syropem. A przecież owego dnia te przysmaki przejmowały mnie wstrętem. Nawet ich nie tknąłem.

Dzień włókł się w nieskończoność. Po obiedzie wyjrzało słońce i powiał świeży wiatr od południa. Pracowałem w polu, obojętnie rozchylając łuski i zaplatając kłosa, które matka zamierzała powiesić na

kuchennym pułapie, gdy w głębi lasu po przeciwnej stronie łąchy wypadł młody Mogg Chabonoke i zbiegł po wąskiej ścieżynie na skraj wody. Zagwizdał przenikliwie na palcach.

Pędem rzuciłem się do łodzi, spuściłem ją na wodę i powiosło-wałem. Gdy znalazł się obok mnie, spojrzał mi w oczy dziwnie jakoś i rzekł: — Mój ojciec posyła do twojego ojca, Stefku. — Pokazał mi pasemko brzozonej kory, pokryte znakami abenackiego pisma. Nieraz słyszałem z ust ludzi, którzy mienili się mędrkami, że Indianie nie umieją pisać. Powoływałem się na setki listów otrzymanych od Indian. Nie wierzono mi.

Kiedyśmy przybili do brzegu, Mogg skierował się biegiem do kuźni, a ja, uwiązawszy łódź, podążyłem za nim. Ojciec wyszedł z kuźni i zdjął skórzany fartuch, bo kiedy Indianin biegnie, jak

#### **44**

w tej chwili biegł młody Mogg, jest to najlepszy znak, że trzeba się przygotować do walki lub do ucieczki.

Wziął pasmo brzozonej kory z rąk Mogga i przeczytał, po czym spojrzał na mnie i rzekł: — Stefku, Indianie dzisiaj rano napadli na Mallinsona, zabili go i oskalpowali. Był z nimi jakiś biały. Mary wzięli żywcem. Udali się na północ.

Obróci się do Mogga: — Opowiedz, synu mojego drogiego przyjaciela.

Nie mogąc utrzymać się na nogach, przysiadłem przy ścianie kuźni. Jak przez mgłę słyszałem głos młodego Mogga, podobny do bicia fal o dalekie wybrzeże.

Ośmiu ich było, oświadczył, przyłączył się do nich biały w odzieży

pokrytej nie zaschłą jeszcze skorupą błota. Przez całą noc leżeli pod obrywem skalnym, na zachód od ścieżki, przy zakręcie.

—Z pewnością na kogoś czekali — zauważył ojciec. — Inaczej wyruszyliby o świcie.

Pomyślałem o Mary; o pieśczoce, jaką obdarzyła mnie wsiadając do łodzi; o ledwo dostrzegalnych piegach pod jej oczami; o ślicznych rękach przytrzymujących moją głowę i o całujących mnie ustach; o blasku ognia prześwietlającym jej złociste włosy, o łakomych spojrzeniach nieznajomego. Mgła, stłoczona pod mą czaszką, poczęła się rozwiewać. Przerwałem Moggowi. — Czekali na tego miglanca, którego Cap cisnął w błoto!

Ojciec zmarszczył czoło. — Błoto gryzł wczoraj wieczorem, nie musieli więc na niego czekać aż do późnego rana.

—To on im kazał czekać. Na Mary. Chciał porwać Mary.

Ojciec popatrzył na mnie w zamyśleniu, kiwnął głową i skierował się ku domowi. Dźwignąłem się z trudem i poszedłem za nim. Wszedł do kuchni, gdzie siedziała matka, robiąc na drutach wełnianą pończochę. Spojrzała na wchodzącego męża, a widząc zmianę w wyrazie jego twarzy, chciała się podnieść. Ale on wziął ją za ramię i nie pozwolił.

—Mallinsona zabito i oskalpowano, małą uprowadzono na północ.

Matka przyciągnęła mnie do siebie i objęła ramieniem. — Prze-  
czuwałam, że ta wczorajsza awantura źle się skończy!

Ojciec sięgnął ręką nad kominek. Zdjął z gwoźdźcia długi muszkiet żołnierski, u którego zamku wisiał paciorkowy pas Norridgewoków — indiańskie wampum. Matka mocniej mnie objęła. — Czy musisz,

Stefanie?

45

- Muszę — spokojnie odparł ojciec. — Znam Indian i oni znają mnie. Umiem mówić ich językiem. Nie narażam się na wielkie niebezpieczeństwo, wiesz o tym. Inni na moim miejscu straciliby skalpy przed upływem jednego dnia. Muszę Francuzom pokazać, że naszych ludzi nie morduje się bezkarnie.
- Mamo — rzekłem. — Idę z ojcem.

Matka zaśmiała się i koniuszkiem języka dotknęła górnej wargi, jakby rozkoszując się wspaniałą absurdalnością moich słów.

—Muszę — powiedziałem. — Muszę odnaleźć Mary.

Matka pytająco spojrzała na ojca, jakby chcąc wyczytać, co myśli o moim szaleństwie, i z przerażeniem spostrzegła, że ojciec poważnie się zastanawia. Potrząsnęła mnie za ramię. — Dlaczego się upierasz, Stefku?

—Bo muszę. Obiecałem Mary, że się z nią ożenię, kiedy będziemy dorośli. Muszę ją odnaleźć. Jeżeli ojciec mnie tu zostawi, umrę z rozpacz.

Ojciec kiwnął głową. — Może iść, nic mu się nie stanie. Włos mu nie spadnie z głowy, tak jak mnie.

- Jest za młody, Stefanie.
- Nie — odparł ojciec. — Nie jest za młody. W lesie spisuje się pierwszorzędnie. Dorównuje mi wzrostem. Rozumie znaki i mowę Indian, zna się na pogodzie. Potrzebna mu praktyka. Kiedy doświadczy niebezpieczeństw, będzie mógł skuteczniej ochraniać ciebie i siostry.
- W takim razie zabierz również innych. Weź porucznika Wattleby i



Ivo Fisha. Będą was bronić przed wpadnięciem w zasadzkę.

Ojciec potrząsnął głową. — Wattleby i Fish są na służbie. We dwójkę lepiej damy sobie radę. Gdyby nas było więcej, gubilibyśmy się w lasach i tracili czas na zbędne poszukiwanie. Stefek i ja dotrzemy tam, gdzie nikt inny nie dotrze. Ten pas paciorkowy zapewni nam przyjazne przyjęcie w osadach Norridgewoków. Najważniejsze to zaskoczyć rabusiów.

Podniósł i opuścił kurek muszkietu. Metaliczny trzask rozległ się w ciszy zalegającej kuchni. — Kiedy ich znajdziemy, zawsze będzie czas na wezwanie pomocy.

Matka westchnęła, podniosła się z krzesła i ucałowała go. — W polu i przy gospodarstwie będzie mi pomagał brat Ivo Fisha, również sam Ivo w godzinach pozasłużbowych. Ale pośpiesz się, bo trzeba dom opatrzyć na zimę.

Zakrzętała się, szukając soli, zapasowych skałek, czystych

46

pończoch wełnianych i gęsto dzianych wełnianych koszul, które ojciec nosił na gołym ciele pod jelonkową bluzą, ilekroć wybierał się w lasy, nawet podczas ciepłej pogody wrześniowej.

Naoliwiłem swój muszkiet. Ojciec przygotował pakiety igieł, nikłowe paciorki i mosiężne pierścienie — dary dla indiańskich przyjaciół — kulami nappełnił naszywane kieszenie naszych bluz i śrutem kapciuchy. Wszystko, co było nam nieodzowne w drodze, zawinał; w brązowe derki, porządnie, umiejętnie, tak żeby nie uwierało w plecy.

Słońce jeszcze grzało, gdy ruszyliśmy w kierunku łachy, odprowadzani przez matkę, siostry, Ivo Fisha, porucznika Wattleby i Murzynkę Malary. Ale mnie w porywie młodzieńczej niecierpliwości wydało się, żeśmy już

zdążyli zmarnować całe godziny bezcennego czasu.

Ojciec jeszcze raz pouczył matkę, co należy zrobić w domu podczas jego nieobecności. Między innymi przykazał ogacić dolne partie ścian chrustem, aby nie przenikały do środka kąśliwe jesienne wiatry.

Niecierpliwiłem się coraz bardziej, bo ojciec zastanawiał się jeszcze przez minutę, czy nie pominął jakiegoś ważnego zlecenia.

Kiedy matka mnie pocałowała, nie myślałem o tym pocałunku.

Myślałem tylko o szubrawcach, którzy porwali Mary i prowadzą ją na północ. A gdy Ivo Fish przewiózł nas na drugą stronę i zamajaczyły przed nami czarne filary sosen, dopiero wtedy obejrzałem się i ze ściśnięciem serca dostrzegłem małą, a wielce przyjazną grupkę stojącą na przeciwległym brzegu, machającą rękoma i chustkami, rozmigotaną w złocistym popołudniowym słońcu na tle zielonych łąk i pól; grubego porucznika Wattleby w rozpiętej niebieskiej kurtce; Murzynkę Malary w szkarłatnym zawoju; moją matkę, w szarej sukni, z białą tylko chustką na szyi, z pięścią przy ustach; tuż przy niej Hersylię, .lane i Cyntię; Łowcę, czarnego z białą kamizelką, z podwiniętym na piasku ogonem, z wyciągniętym pyskiem — wyjące żałośnie na uboczu, porzucone przez pana biedne, dobre psisko.

Targające mną uczucia musiały się uwidocznic na twarzy, bo ojciec położył mi rękę na ramieniu, skierował mnie na ścieżkę i rzekł: — Nie bierz do serca zbyt wielu ciężarów naraz. Wyprawa, na którą wyruszamy, ma na celu zabezpieczenie naszej rodziny od napadów. Im raźniej będziemy wędrowali, im prędzej uporamy się z przeszkodami, tym rychlej wrócimy do domu.

Jeszcze raz spojrzeliśmy na tamtą stronę, jeszcze raz posłaliśmy ręką pocałunek i ruszyliśmy w gęstwę sosen na poszukiwanie Mary.

#### IV

Od łachy ścieżka biegnie kręto po wzniesieniu i prowadzi przez most do gościńca, który łączy osadę Saco z miastem Falmouth. W połowie drogi pomiędzy łachą i mostem mieszkał Hiram Marvin, jeden z nielicznych, którzy ocalili w niedawnej rzezi pod Fortem William Henry. Wrócił ze strzałą w łopatce i szramą po tomahawku na plecach. Północni Indianie okrutnie go oporzadzili.

Od ojca wiedziałem, że Marvin to poczciwy chłop, a żonie i córkom daje się we znaki tylko przy zmianie pogody, kiedy rany zaczynają mu dokuczać. Jedyнным lekarstwem na ten ból był rum. Rum zaprawiał sokiem tytoniowym, bo, powiadał, jak trunek to trunek, musi trochę poszczypać w język.

Mieszkał w niewielkiej dwuizbowej chałupie, odległej o wystrzał z pistoletu od warowni Mitchella i mostu. Zbliżając się, ujrzeliśmy przed chałupą kilku ludzi z warowni, samego Marvina, jego najmłodszą córkę Febe, sachema Mogga Chabonoke i młodego Mogga, który wyprzedził nas i przeszedł łachę w bród, aby zawiadomić ojca o naszym wymarszu.

Febe widziała, jak Mallinsona wciągnięto w przydrożną trawę, zabito ciosem noża i oskalpowano. Widziała też, jak biały w zbłoconej odzieży dogonił Mary, zatkał jej usta ręką i obezwładnioną poniósł w krzaki. Serce mi się skręcało od tej opowieści. Mógłbym stłuc dziewczynę za to, że tak chętnie, tak swobodnie opowiada.

Nigdy nie lubiłem Febe. Była denerwująco ruchliwa i hałaśliwa, ciemna

jak Etiopka, cienka i zwinna jak pchła. Tego roku zdarzyło się, że dojąc w polu krowy zauważyła Indianina zaczajonego w pobliskich krzakach, który zapewne zamierzał ukraść mleko, bo Indianie są jego wielkimi amatorami. Błysk szpiegujących oczu wprowadził ją w taką wściekłość, że rzuciła się na Indianina i zdzieliła go szkopkiem przez łeb. Uciekł w popłochu, zostawiając za krzakiem cudnej roboty francuski pled. Z tego pledu Febe uszyła sobie zimową sukienkę i nosiła ją z taką miną, że wszyscy spotkani, rzekłbyś, o niczym innym nie mówią, tylko o tej przygodzie w polu. A mówili często, aby dogodzić jej próżności. Próżna bowiem była nie do zniesienia.

48

A jaka bezczelna! Zadawała najniestosowniejsze pytania i śmiała się do rozpuku ze starszych, gdy źle odpowiadali. Najchętniej śmiała się z własnych błazeństw, które, nie wiadomo czemu, uważała za dowcipy. Wówczas chichot jej brzmiał dziko i radośnie. Na miejscu Marvina wolałbym zostawić życie i skalp w błotach przy jeziorze George, niż wracać do takiej córki.

Skacząc, gestykulując, kołysząc się ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, opowiadała, jak z krzykiem rzuciła się ku miejscu, w którym po raz ostatni mignęła jej sukienka Mary, i jak na jej oczach jeden z Indian znikł pośród drzew, a dwaj inni, zapewne wartownicy zabezpieczający odwrót, dźwignęli się z krzaków po obu stronach drogi i również znikli.

Wartownicy, mówiła, byli umalowani. Na policzkach mieli zielone plamy z żółtą obwódką w kształcie nieregularnej gwiazdy, której górne promienie przecinały powieki, a dolne spływały na szyję.

Nie ujrzała już ani Mary, ani człowieka, który ją porwał. Wobec tego

wszczęła alarm.

Nie mogłem nic zarzucić temu sprawozdaniu, gdyż Febe wykazała dużą spostrzegawczość, co, niestety, o niewielu białych ludziach da się powiedzieć. Biali opowiadają o armiach Indian, kiedy na ścieżce wojennej są tylko odosobnione grupy, o stadach wilków, kiedy każdy myśliwy wie, że wilki polują nie stadami, lecz rodzinami. Z dawna wiedziałem, że jeśli chcę poznać przebieg jakiegoś wydarzenia, powinienem zasięgnąć języka u Indianina lub Murzyna, nigdy u białego.

Sprawozdanie było jasne i dokładne, ale raziły mnie ton i gestykulacja Febe. Wydawało mi się, że dziewczyna cieszy się z wypadku Mary, jest przejęta własną ważnością, dumna, że to ona potrafiła podpatrzeć i ujść cało, a tamta, niezdara, pozwoliła się porwać.

Kiedy Febe skończyła, ojciec mój spojrział na starego Mogga Chabonoke. Mogg potwierdził skinieniem głowy. Wówczas ojciec mój pociągnął Febe za pukiel włosów i pochwalił ją. Śmiejąc się piskliwie, Febe nadepnęła mu na nogę — przypuszczam, że umyślnie — i czmychnęła za węgiel domu.

Sachem oznajmił ojcu, że oddział składał się z ośmiu Indian i jednego białego. Odwrót zabezpieczali, zgodnie z relacją Febe, dwaj wartownicy, a takie zabezpieczenie cechuje taktykę, stosowaną dwa lata temu przez francuskich oficerów w Acadii.

Opisany przez Febe zielono-żółty malunek, mówił stary Mogg,

49

robią sobie farbą na twarzach Indianie z St. Francis, kiedy ruszają na jesienne wyprawy. Są to Abenakowie pozostający pod opieką Francuzów. Mieszkają nad Rzeką Świętego Franciszka w pobliżu Quebecu.

Zestawienie barwy zielonej z żółtą sprawia, że zaczajeni wśród jesiennych, zielonych jeszcze i już ognistych liści, są nie do rozpoznania.

—Znaczy to, że biały jest francuskim oficerem —(rzekł mój ojciec. — Żaden inny biały człowiek nie będzie podróżował w towarzystwie Indian z St. Francis. Francuski oficer z Quebecu, wysłany przez Vaudreuila na zwiady. Jaką drogą uda się do Quebecu, mój przyjacielu?

Stary Mogg z namysłem podrapał się w podbródek. - Ja bym popłynął w górę rzeki Connecticut i w dół Rzeki Świętego Wawrzyńca.

- Starzejesz się, bracie — rzekł mój ojciec. — Popłynąłbyś w górę Connecticut i w dół Rzeki Świętego Wawrzyńca, ponieważ to jest droga łatwa.
- Wiózłbym białą dziewczynę.

Ojciec potrząsnął głową. — Jeffrey Amherst oblega Quebec z jednej strony, Wolfe z drugiej. Bóg jeden wie, jakie są ich najbliższe plany. Ale Wolfe ma głowę nie od parady i odwagi też mu nie brakuje. Z pewnością w najbliższym czasie usłyszymy o czymś nowym. Otóż ten Francuz jest młody i silny. Wie, że Quebec otaczają wojska i że trzeba jakoś się przemknąć pomiędzy piechotą Amhersta i flotą Wolfe'a. Będzie zmierzał prosto do celu, choćby miał wdrzeć się bocznymi drzwiami, i ani go nie powstrzymają białe dziewczyny, ani nie przerazi puszcza, ani nasi Indianie. Najkrótsza droga do Quebecu prowadzi przez Kennebec. Tędy więc płynąć będzie Francuz. Gdyby droga przez piekło była krótsza, popłynąłby przez piekło.

- Przez piekło łatwiej niż po Kennebecu — rzekł Mogg i przyjaźnie

uśmiechnął się do mojego ojca.

- Być może — zauważył ojciec. — Ale czyż nie mam racji?
- Mądry z ciebie człowiek, Stefanie — rzekł stary Mogg i jał trząść młodym Moggiem, który zdążył sobie uciąć drzemkę na moim ramieniu.

Dotknąłem nogawicy starego Mogga i zapytałem, siląc się na ton obojętny:

—Dokąd oni zawiozą Mary?

Stary Mogg spojrzał na mnie i wzruszył ramionami.

—Quebec — powiedział omijając mnie spojrzeniem. Kiedy

50

się odwróciłem, ujrzałem Febe Marvin. Usiadła przy mnie, poważna i nastroszona jak sowa.

Stary Mogg rzucił przez ramię, mówiąc, nie wiem, czy do mnie, czy do Febe: — Quebec dobre miejsce dla dziewczyn.

Jeżeli zwracał się do Febe, to powinien był wymienić jakąś odleglejszą i bardziej zapadłą miejscinę, bo kiedy chciałem wstać i podążyć za ojcem, okazało się, że dziewczusko zahaczyło mi bluzę o gwóźdź w ścianie, tak że mogłem tylko szarpać się na uwięzi jak poganiana wiatrem boja.

Sprawczyni głupiego figla wybuchnęła piskliwym śmiechem i rzuciła się niby to mnie odczepiać, ale jakoś za długo to trwało. Kiedy wreszcie uwolniłem się od gwoździa i jej chichotu, kiedy bez jednego słowa pobiegłem za ojcem, przeszło mi przez głowę, że nie cierpię tej dziewczyny całą duszą.

Febe musiała pobiec lasem i dobrze nas wyprzedzić, bo kiedyśmy dotarli do warowni Mitchella, ona już tam była. Zrazu nie przyjmowałem

do wiadomości jej okrzyków: „Stefku! Stefcu! Stefanie!” — ale w końcu, sądząc, że poszła jednak po rozum do głowy, spojrzałem na nią i zamierzałem się po ludzku pożegnać. Wówczas ona, skacząc dziko i wymachując rękami z uciechy, zaczęła wołać: — Stefek zakochał się w Mary! Stefek zakochał się w Mary!

Z rozkoszą bym na kawałki rozszarpał wrzeszczącego bachora. Ale to jeszcze nie był koniec. — Zobaczymy się w Quebecu, Stefcu! — zawyła jak hiena, po czym sama siebie nagrodziła za koncept kaskadą potępieńczego śmiechu. Wlokąc się za ojcem po żywicznej ścieżce, która wiedzie do gościńca Saco i wschodnich szlaków indiańskich, rozważałem w duchu, jak mądrzy są Indianie. Porywają tylko dzieci miłe i dobre, a rozwrzeszczane skrzaty i bęcwały zostawiają rodzicom i rówieśnikom na wieczne utrapienie.

Była godzina pierwsza nad ranem, kiedy minęliśmy cypel i weszliśmy do miasta Falmouth, dziś nie wiadomo czemu przemianowanego na Portland. Pomimo spóźnionej pory, głębokich ciemności, ciężkich pakunków i muszkietów zdołaliśmy w ciągu siedmiu godzin zrobić trzydzieści mil.

W późniejszych czasach zdarzało mi się maszerować prędzej, ale byłem już wtedy starszy i nie miałem takiego obciążenia. Kiedy myślę o tej pierwszej wędrówce i usiłuję uprzytomnić sobie, jak wyglądałem na ulicach Falmouth o godzinie pierwszej w nocy, nieodmiennie staje mi przed oczami obraz nowo narodzonego

niedźwiadka, małego, drżącego, wilgotnego. Zrazu nie pojmuję, jakim cudem dokonałem takiego marszu. Nagle przypominam sobie, że przecież



miałem dogonić Mary i zabrać ją z powrotem do Arundel — i wszystko staje się jasne.

Szliśmy ulicą Królowej, minęliśmy ulice Miłosną i Cromadzką, skręciliśmy w Skrzypcową, potem w Indyczą, która jest przeczną Skrzypcowej i prowadzi na ulicę Królewską. Wodziłem oczami po fasadach domów, a ojciec przystanął przed drzwiami, na których wisiał wycięty z blachy wizerunek czerwonej krowy, i z całej siły jął walić w tę wywieszkę. Nad naszymi głowami otworzyło się okno i wyjrzała szeroka twarz właścicielki, pani Jane Woodbury. — Kto tu się rozbija po nocach?

- Stefan Nason z Arundel — odparł ojciec.
- A! Trzeba było od razu tak mówić! — zawołała.

Po upływie pięciu minut leżeliśmy już w wygodnym, ciepłym łóżku. Pomimo ogarniającej mnie senności, ciekawie wsłuchiwałem się w odgłosy wielkiego miasta, w nawoływania straży nocnej, w bicie kopyt końskich o ścianę pobliskiej stajni, w kroki mężczyzny i kobiety, zmierzających nie wiadomo dokąd i *po co*, w jęśliwe rozmowy kotów. Ten chaos dźwięków zapewne długo by mi nie dał zasnąć, gdybym był trochę mniej zmęczony.

Wstaliśmy o świcie, a równocześnie z nami wstała pani Woodbury, aby dać nam śniadanie i poznać cel naszej wędrówki. Lubiła częstować sąsiadów nowinkami, a nasza wyprawa wyglądała interesująco. Kiedy ojciec opowiedział o zabójstwie Mallinsona i porwaniu Mary, pani Woodbury tak głośno zamlaskała językiem, jakby pies przeszedł po chlupoczącym błocie.

- Jakże wy znajdziecie tego Francuza, kiedy nawet nie wiecie, co to za jeden?

- Myślę, że znajdziemy — rzekł ojciec.

Pani Woodbury wsparła się dłońmi o tłuste kolana i podniosła oczy, jakby szukając natchnienia we własnych brwiach.

—Wczoraj wieczorem przybył tu handlarz, Britt, prosto z terenów, które na niewidzianego rozsprzedaje Plymouth Company. Gadał bez przerwy o skamieniałych łosiach, trzy razy większych niż nasz zwykły łoś, o łososiach dużych jak pień topoli, o węzłach morskich i rozmaitych innych abenackich cudёнkach. Nie słuchałam go nawet, bo i cóż, od wielu miesięcy nie widział białej kobiety, tylko same squaw. Wiecie, kiedy człowiek z puszczy zawędruje do dużego miasta, z początku kręci mu się w głowie. — Znowu językiem odtworzyła chlupotanie psa po błocie. — O ile

## 52

jednak dobrze pamiętam, mówił coś o Francuzie, który wczoraj wraz z kilkoma północnymi Abenakami popłynął w górę Kennebecu. Wiem, co zrobię. Obudzę go.

Pożeglowała po schodach jak korweta. Po chwili dom się trząsł od jej pukania i nawoływania. Sprowadziła na dół zmiętoszonego, nieco oszołomionego mężczyznę o sterczących wąsach, które w chwilach namysłu zginał wskazującym palcem, przytrzymywał je dolnymi zębami i natychmiast wypuszczał, tak że wąs odskakiwał, jak odciągany sprężyną. Opadł na krzesło przy stole, z jabłecznego przekładańca, który postawiła przed nim pani Woodbury, odciął kawałek kruszej skórki i zaczął opowiadać:

—Uderzcie mnie kaczym piórem, a upadnę, taki jestem skołatany — rzekł ssąc wąsy. - Przybyłem tu wczoraj wieczorem prosto

z Zatoki Wesołego Spotkania. Szedłem szlakiem indiańskim w towarzystwie dwóch Assaguntikuków. Księżyc przyświecał, niczego nie obawiałem się, mogłem spokojnie marzyć o solidnej chrześcijańskiej wieczerzy, którą dostanę w Falmouth zamiast tego nie dźwiedziego smalcu i wiecznej mamałygi. Aż tu nagle, nie dalej niż o trzy stopy ode mnie, wychodzi ci z krzaków ktoś, człowiek-nie-człowiek, w każdym razie młody, i staje mi w poprzek ścieżki.

Rzucił spłoszone spojrzenie na popstrzoną przez muchy ścianę. Pani Woodbury jeszcze raz odtworzyła kroki człapiącego po błocie psa. Britt zaśmiał się pod nosem, wpychając sobie wąż w usta.

- Będę opowiadał po kolei — rzekł. — Myślę ja: może to Pa-mola, zły, który zjawia się nocą, a może Pulowech, albo może któryś z tych ludzi, co to rodzą się ze skał? Bo słyszałem opowieści Abenaków i wiem, jak to bywa. — Zatopił zęby w kawałku przekładanca.
- Czy miał oczy jak rozżarzone węgle? — szyderczo zapytał ojciec.
- Bracie, miał coś ciekawszego. Miał zegarek z brylantowymi literkami.
- Cóż to były za literki?
- Jakież dwie litery, których nie rozróżniłem w mroku, potem „de S.”. Ten Pamola, o którym opowiadają Abenakowie, nie ma chyba zegarka.
- Ja też myślę, że to nie był Pamola.
- Jasne — zgodził się Britt. — Był to szczupły młodzieniec o bardzo bladej twarzy, nosa zadzierał, widzi mi się, trochę za wysoko i gadał za bardzo z waszecia. Miał przy sobie kilku Abe-

naków. Przemówili do moich Assaguntikuków. Francuscy Indianie. Z St. Francis. Prowadzili białą dziewczynę. Byłem już tak znużony, że moglibyście mnie uderzyć sosnową igłą, a padłbym na twarz i nie wstał przez dobę.

- To będzie ten sam — rzekł ojciec. — Czego chciał?
  - Wiadomości. Tylko wiadomości. Chciał wiadomości o facecie, który przed paroma dniami popłynął w górę Kennebecu.
- O jakim facecie?

Britt nie wiedział. My również nie domyślaliśmy się, o kogo chodzi.

—Mniejsza o to — rzekł ojciec. — Grunt, że on jest teraz na Kennebecu. Na pewno dowiemy się czegoś nowego na Wyspie Łabędziej albo w Norridgewock. Jeżeli pan „de S.” ujdzie teraz naszemu pościgowi, możecie mnie uważać za papistę.

Zarzucił sobie toból na plecy i zapiął rzemienie. Ja poszedłem za jego przykładem. Britt rzekł: — Jeżeli nie badacie leśnego tropu, radzę wam o siódmej rano wsiąść na łódź wielorybniczą, która kursuje między przystanią Preble'a a zatoką Maquoit. Przez zatokę Casco, o ile wiatr jest pomyślny, droga trwa tylko dwie godziny. Potem godzina pieszego marszu po równym trakcie i jesteście w Brunswick.

Wdzięczni za tę wiadomość, która oszczędziła nam całodzienną mordęgę na wyboistych szlakach, wiodących z Falmouth na północ, pożegnaliśmy panią Woodbury. Ojciec chciał uiścić rachunek, ale ona niecierpliwie machnęła ręką i oświadczyła, że następnym razem, kiedy pojedzie do Bostonu po fatałaszki, odbierze sobie u nas w naturze.

Byłem zdumiony rozmiarami, ruchliwością i bogactwem Falmouth.

Oczy mi wyłaziły na te haftowane kamizelki, koronkowe mankiety, srebrne sprzączki u trzewików. Ze sklepów przy ulicy Królewskiej przywiewały wonie wykwintnego jadła i trunku. Sama ulica szeroka była na pięć prętów. Tyle po niej przesuwało się pojazdów i tylu szło pieszych, że widziałeś tylko błotnistą maź, przysypaną pyłem, i ani śladu trawy.

Trafiały się domy trzypiętrowe, zbory i gmachy publiczne, wszystko z gładziutkich tarcic, ani jednej belki. Niektóre pomalowano na ładny kolor czerwony, inne świeciły naturalną żółtością drzewa. Nie mogłem pojąć, że mieszkańcy miasta nie zwariują, żyjąc w takim hałasie i podnieceniu. Powziąłem wówczas postanowienie i postanowienia tego nie zmieniłem do dziś dnia, że

## 54

dokonam żywota w śródleśnym zaciszu, a wielkomiejski zamęt pozostawię ludziom o mocniejszych nerwach.

Ale najbardziej mnie oszołomił gorączkowy zgiełk, otaczający przystań przy ulicy Przedniej — przystań tak rozległą, że największego kalibru łodzie wielorybnicze wyglądały na jej tle jak muchy. Nawet stutonowe brygi, które z rzeki Arundel wyparłyby na brzeg wszystkie węgorki i głowacze, ledwo uwidoczniały się przy potężnym nadbrzeżu.

Łodzie wielorybnicze stały przy ostatnich filarach: jedna brała zapasy i towary dla Fortu Brunswick, druga — ładunek dla fortów i osad rozsianych po brzegach Kennebecu. Załogę każdej łodzi stanowiło czterech wioślarzy, po dwóch na burtę, sternik z muszkietem i kapitan na dziobie, uzbrojony w muszkiet i oszczep rybacki. Żegluga w owych czasach nie była bezpieczna.

O siódmej, kiedy już wyczerpali zasób przekleństw i zachrypli od krzyku, okryto ładunki brezentami i łódź ruszyła. Oprócz nas było jeszcze dwóch pasażerów: jakiś handlarz i młody milicjant z Fortu Brunswick, wracający z urlopu. Przygnębienie, które ogarnęło mnie wczoraj po południu, po raz pierwszy ustąpiło miejsca radosnej pewności, że oto wkraczamy w kraj Indian i że prędzej czy później — oby jak najprędzej — znajdziemy Mary, odbierzemy ją rabusiom i zawieziemy z powrotem do Arundel, moją najmilszą, najbliższą, najlepszą.

Zdaje się, że ojciec również się rozpogodził. Z przyjemnością patrzył na zielone wysepki, które mijała nasza łódź wypływając na głębie.

- Dzisiaj — rzekł — zanocujemy u przyjaciół na Wyspie Łabędziej. Musimy tylko znaleźć dwóch Assaguntikuków, którzy nas zawiozą do kraju Norridgewoków. — Obrócił się do młodego milicjanta i zapytał, gdzie w Brunswick znaleźć można Assaguntikuków.
- Bogiem a prawdą — z zażenowaniem odparł tamten — nie znam tych czerwonych diabłów po maci. Dla mnie jeden z drugiego diabły. Gdyby to ode mnie zależało, żaden by już nie chodził żywcem po świecie. Skończyłyby się płacze i wyrzekania, żeśmy im zagarnęli kraj, że ich gnębimy, a i kres położyłoby się kradzieżom i orgiom pijackim.

Niestety, tak o wielkim narodzie abenackim myślą ludzie, którzy go wcale nie znają, i ludzie, którzy powinni by go znać, ale oczy mają zasnutę bielmem przesądów i fałszywej świętobliwości. W dalszym ciągu tej opowieści nieraz przyjdzie mi wspominać

abym spisał kilka wiarogodnych danych, które zebrałem ja, a przede mną mój ojciec.

To, co dziś powszechnie wiadomo o naszych czerwonoskórych sąsiadach, nadaje się chyba tylko do straszenia niemowląt. Minie jeszcze sto lat i jedynym śladem, jaki po nich pozostanie, będzie tysiąc dźwięcznych nazw, jakie ponadawali wzgórzom, strumieniom i zatokom na wschodzie naszego kontynentu.

Naród abenacki jest związkiem szczepów zamieszkujących doliny prowincji Maine; jesienią ruszają w górę rzek, aby zapolować na zwierzęta jadalne i futerkowe, wiosną nawiedzają nasze strony dla połowu ryb i ucieczki od letniej spiekoty. Pomędzy tymi dwiema wielkimi żeglugami starają się zasiać i zżąć kukurydzę oraz bób na żyznych poletkach, ciągnących się wzdłuż brzegów rzecznych. Mikmakowie z Acadii należą również do Abenackiego Przymierza. Są nieco podlejszej rasy niż nasi prawdziwi Abena-kowie, ponieważ nieustannie się mieszają ze skośnookimi Indianami zimnych stref. To samo dotyczy, chociaż w mniejszym stopniu, Abenaków ze Wschodu — Penobskotów i Passamaquodów. Ci również grubiej są ciosani i odznaczają się mniejszą bystrością, niż nasi Abenakowie, tak jak mieszkaniec leśnego matecznika zawsze będzie mniej bystry od mieszkańca osady. Przyczyna jest dla mnie jasna: wschodni Abenakowie mają żyłkę awanturniczą, która skłania ich do wędrówek między dzikie szczepy północy i do zawierania mieszanych małżeństw.

Tak czy owak, wszyscy Abenakowie związani są niemi pokrewieństwa. Ziemię naszej prowincji stanowią ich wspólną własność, przeto Passamaquod, jeśli ma chęć, może polować w dolinie Kennebeku, a

Kennebec — nad Penobscotem. Używają podobnych języków, tak że Abenak z doliny Saco może zrozumieć Abenaka z doliny Penobscot, choć nie bez pewnego trudu. Na przykład Abenakowie z Kennebecu mówią na łososa *kobossi*, a Penobskotowie — *kapassi*. Niby te same słowa, a jednak różne.

Głównymi rzekami, płynącymi od Bostonu ku wschodniej części naszej prowincji, są: Merrimac w Massachusetts; Saco; Androscoggin wraz z Kennebekiem, bowiem Androscoggin wpada do Kennebecu przy śródlądowym jeziorze, podległym przyptywom i odpływowom, a nazwanym Zatoką Wesołego Spotkania; wreszcie piękna rzeka Penobscot.

W dolinie Merrimac mieszkali niegdyś Pennakukowie, którzy potem, zrażeni do Anglików, przenieśli się do Kanady i osiedli

56

nad Rzeką Świętego Franciszka. W dolinie Saco mieszkają Soko-kisi, to jest ci Abenakowie, którzy wiosną schodzą do Arundel na ryby. Dolinę Androscoggin zamieszkują Assaguntikukowie, a dolinę Kennebec — Kennebekowie, zwani również Norridgewokami, ponieważ największym ich miastem jest Norridgewock. Uważam Sokokisów, Assaguntikuków i Kennebeków za najszlachetniejsze szczepy abenackie, Abenaków zaś za najszlachetniejszy z indiańskich narodów.

Dalej ku wschodowi, nad brzegami rzeki Penobscot, w sąsiedztwie Góry Pustynnej, mają swoje siedziby Penobskotowie. Poza nimi, na najdzikszych, najbardziej zamglonych wybrzeżach naszej prowincji, widnieją wigwamy Passamaquodów. Wszyscy oni, włączając w to Mikmaków z Nowej Szkocji, należą do Abenackiego Przymierza.



Smutne, ale prawdziwe: nasi osadnicy poczytywali sobie za punkt honoru krzywdzić i oszukiwać Indian. Albo po prostu i bezceremonialnie zagarniali ich terytoria, albo najpierw ich spijali, a potem namawiali do sprzedaży olbrzymich obszarów za garść paciorków, baryłkę rumu i parę muszkietów. Zawierali z nimi układ za układem — wszystkie te układy były korzystne dla białych, a niekorzystne dla czerwonych, co nie przeszkadzało białym, że łamali je na każdym kroku.

Jak Nowa Anglia długa i szeroka, osadnicy okłamywali Indian, oszukiwali i okradali. Łatwo im to przychodziło, gdyż Abenakom wpaja się od dzieciństwa, że własność jest bezpieczna i nie wymaga zamków ani rygli. Handlują uczciwie i z godnością. Nic ich bardziej nie zdumiewa niż zbrodnie, które biali popełniają dla pieniędzy.

U Abenaków powiedzieć nieprawdę przyjacielowi — o ile nie czyni się tego żartem lub w celach leczniczych — uchodzi za zbrodnię. Za skrzywdzonym z reguły ujmują się wszyscy jego przyjaciele. W przyjaźni są Abenakowie wierni i tkliwi, umieją się odwdzięczać i nigdy nie zapominają dobrodziejstw. Ale jeżeli za życzliwość płaci im się oszustwem, wówczas stają się mściwi i niebezpieczni.

Umiejętnie wykorzystując te rysy ich charakteru, Anglicy mogli z łatwością zdobyć zaufanie Abenaków i zapewnić sobie ich poparcie przeciwko Francuzom. Ale Anglicy woleli oszukiwać, znieważać, przerażać — nic tedy dziwnego, że wiele abenackich szczepów zbuntowało się i przeszło na stronę francuską. Francuzi umieli

## **57**

schlebiać i znali cenę uczciwości. Dzięki temu zyskali wiernego i bojowego sprzymierzeńca. W ten sposób wydzielila się jeszcze jedna

grupa abenackiego narodu, powszechnie uważana za plemię, ale w rzeczywistości złożona z ułamków kilku plemion. Jeszcze przed przyjściem na świat mojego ojca mieszkali Abenakowie na południe od nas, w dolinie Merrimaku. Wspominałem już o nich, był to szczerp Pennakukow. Gdy biali osadnicy bez żadnej przyczyny sprawili im krwawą łaźnię, niedobitki Pennakuów udały się do Kanady. Tamtejszy gubernator przyjął ich z otwartymi ramionami, zawarł z nimi układ i dotrzymał słowa. Przyznano im tereny nad Rzeką Świętego Franciszka i pod Becancour, w pobliżu Trzech Rzek. Po r. 1724, po naszej krwawej rozprawie z Ojcem Rale i Norridgewokami, bardziej krewcy wojownicy plemienia powędrowali ku Rzece Świętego Franciszka, ku osadzie St. Francis i pod Becancour. W następnym roku, po natarciu Lovewella na Peąuawket, przyłączyło się do nich wielu Sokokisów. Później przeniosło się do St. Francis również sporo Assaguntikuków.

Tych Indian nazywano powszechnie Indianami z St. Francis lub Indianami Północnymi. W rzeczywistości byli to Abenakowie, niczym nie różniący się od naszych Abenaków, ale prowadzeni przez francuskich dowódców i ozywieni żądzą odwetu na gwałcicielach. Mówili tym samym melodyjnym językiem, mieli to samo paciorkowe abecadło, opowiadali te same bajki o bohate-rze-olbrzymie, imieniem Glooskap, i o jego ulubionym ptaku — nurku; o złym olbrzymie-wilku Malsumie; o złośliwym chochliku indiańskim Loksie i o wielkim czarowniku imieniem Pulowech, który był kuropatwą; o podstępny Pamoli.

Widać z tego, jak boleśnie może się zemścić na białym nieznajomość z Indianami. Jeżeli zna tylko Sokokisów, łatwo padnie ofiarą lotnych band z St. Francis. Jeżeli zna tylko Indian z St. Francis, narazi się na zatarg z

zaprzyjaźnionymi Assagantikukami i Pe-nobskotami.

Mój ojciec znał wszystkie ugrupowania abenackie, prócz może północnych odszczepieńców, a i do tych dotarła jego sława. Handlował z Indianami uczciwie, dawał im pełną miarę i niesfałszowaną wagę, nie dolewał wody do rumu, nie dosypywał piasku do prochu, ufał im, a gdy zachodziła potrzeba, chętnie dopomagał; skrupulatnie dotrzymywał słowa i rozmawiał z nimi, jak z równymi sobie. Przeto i oni okazywali mu swą przyjaźń i zaufanie.

Norridgewokowie i ich sąsiedzi nie tylko obdarzyli go swymi wampumami, ale postawili kamienne pomniki zgody przy palisadzie naszej oberży w Arundel. I póki pomników nie zniszczono, poty rodzina nasza cieszyła się przyjaźnią okolicznych plemion.

Poranek rozjaśniał się w dzień. Wietrzyk powiał od zachodu. Postawiliśmy maszt i rozpięliśmy na nim żagiel. Niewielki to był żagiel, a przecież niezmiernie przyśpieszył żeglugę, przeniósł nas mimo archipelagu wysepek i osadził u brzegu zatoki Maquoit. Wysiedliśmy i pieszo ruszyliśmy do Brunswick. Szlak był tak wyraźny, że po upływie godziny dotarliśmy do rzeki Androscoggin i zameldowaliśmy się u kapitana fortu.

Okazało się, że nie słyszał o oddziale Indian z St. Francis, ani o opisanym przez mojego ojca Francuzie, ani o białej dziewczynie z Arundel. Bo i skąd miał słyszeć? Jeżeli przechodzili obok fortu, to ukradkiem, nie wychylając się z gęstwiny leśnej. Zaopatrzył nas w prowianty i kazał przywołać Warriksosa i Wheyorsawanda, dwóch chudych Assagantikuków w jelonkowych nogawicach, ale bez bluz. Gdy im powiedziano, że wybieramy się na wyprawę wojenną, zgodzili się

przewieźć nas do Fortu Richmond.

Wsiedliśmy na czółno, przygrzane przedpołudniowym słońcem, i pomknęliśmy z prądem rzeki. Drzewa nad brzegami stały już w gwiazdkach szronu. Po godzinie chwyciliśmy w nozdrza woń przyływu. Przed nami rozbłysła lustrzaną powierzchnią Zatoka Wesołego Spotkania, otoczona lasem płomiennoczerwonych klonów. Słony przyływ nie odrzucił nas wstecz, ale przeciwnie, niósł na północ, aż wpłynęliśmy na wody Kennebecu.

Stada czarnych kaczek i cyranek podrywały się z wody, opadały na towarzyszące rzece łąchy i moczary. Brzegi i przylądki zwały się ciasniej, rzeka rozdzieliła się na dwa rękawy, a pomiędzy tymi rękawami tkwił skrawek bagnistego gruntu, kształtem przypominający grot strzały. Ten grząski trójkąt wspierał się o zakrzywiony przylądek wyspy, jak grot strzały wspiera się o wygięte drzewce łuku.

— Wyspa Łabędzia — rzekł mój ojciec z nieukrywaną radością.

Trzęsawisko pocięte było strumykami. Ojciec kazał Warriksosowi skierować czółno w jeden z tych strumyków, ku przylądkowi.

Podpłynawszy bliżej, zauważyliśmy ukrytych za drzewami, śledzących nas Abenaków. Kiedy od przylądka dzieliło nas wiele kroków, z brzegu zeskoczyła wysoka dziewczyna i pobiegła ku nam przez wodę. Za nią rzucili się mężczyźni, broń zostawiwszy na brzegu. Pluskając, chlupocząc nogami, śmiejąc się, gestykulując, wołali wesoło: — Stefanie! Bracie Stefanie!

Chwycili naszą kanadyjkę za poprzeczki i biegiem wynieśli ją na ląd. Z radości malującej się w ich twarzach i z rozjaśnionych spojrzeń wysokiej

dziewczyny wywnioskowałem, że ojciec mój musiał się tu zapisać czymś donioślejszym niż garść szklanych paciorków lub kawałek czerwonej flaneli.

## V

Przylądek Wyspy Łabędziej, wysoko wzniesiony nad strzałkowanym bagnem, służył za strażnicę tutejszym Indianom, którzy są Abenakami i należą do szczepu Kennebeków, pomimo że prawie się nie zadają z innymi mieszkańcami doliny. Ten przylądek jest tak wysoki, że z jego cypla ogląda się, jak na mapie, wszystkie kręte strumyki, przecinające bagno, i stawy, przez które strumyki te przechodzą. Nawet podczas odpływu można rozróżnić, po których stawach pływają łabędzie, a po których szare gęsi i kaczki, podkraść się ku nim w małej płaskiej łódeczce, używanej w tych stronach do polowania, i ustrzelić, ile dusza zapragnie.

Za przylądkiem ziele głęboka jama, z której wytryska źródło, a dalej rozciąga się płaska, zadrzewiona wyżyna, ozdobiona dwudziestoma wigwamami. Wigwamy przeświecały tak i ówdzie przez gęstwę dębów i brzoź, i wszystkie, z wyjątkiem trzech, sklecone były z żerdzi i kory drzewnej. Te trzy zbudowano z obciosanych pni: jeden był to tak zwany Długi Dom i w nim się odbywały plemienne zebrania, w drugim mieszkał sachem, a w trzecim m'teulin, czyli Indianin obdarzony czarodziejską mocą, również zwaną m'teulin.

O tej czarodziejskiej mocy wiem niewiele. Wielki m'teulin olśniewa widownię takimi sztukami, jak znikanie skrawka per-kalu, a nie jest to sztuka trudna: wystarczy zręcznie pociągnąć za ukryty w rękawie sznurek. Ale pewnego razu jeleń poranił mnie ostrymi jak brzytwa kopytami i

dostałem silnej gorączki. Przyszedł m'teulin, odśpiewał nade mną czarodziejskie mruczando, spalił wąsy rosomaka i pióro nurka w muszli morskiej i poszedł sobie. Zasnąłem i nazajutrz zbudziłem się zdrów i wesół. Takiej sztuki nie podjąłbym się dokonać, nawet gdyby mi w zamian ofiarowano udział w Plymouth Company.

Sachemem Indian z Wyspy Łabędziej była kobieta Rabomis. Nieczęsto zdarza się to u Indian, bo od sachema plemię wymaga mądrości, odwagi i zręczności myśliwskiej. Rabomis była tą dziew-

60

czyną, która wybiegła mojemu ojcu na spotkanie. Mówiła mu po prostu „Stefanie” i spoglądała na niego z tą władczą dumą, z jaką kobieta podziwia wspaniały pierścień na swoim palcu. Nie mogłem pojąć, dlaczego obrano ją sachemem. Była zbyt piękna i młoda, aby mądrze rządzić lub zręcznie polować.

Nasz przyjazd na wyspę wyglądał jak powrót do domu. Rabo-mis, przytulona do ojca, wyminęła cypel przylądka i poprowadziła nas w górę, ku wigwamom. Za Rabomis i ojcem dreptały squaw, niosąc nasze toboły, a wojownicy nieśli muszkiety, iżby squaw dotknięciem swoim nie pozbawiły oręży mocy i celności.

Młody byłem w owych czasach i na ojca patrzyłem jak na Boga. Wiedziałem, że cokolwiek czyni, ma po temu dostateczne powody. Często włóczył się po północnych lasach za życia swojej nadąsanej pierwszej żony i przynosił do domu masę skórek wydrzych i bobrowych. Jak często bywał wtedy na Wyspie Łabędziej, nie wiem. W każdym razie on to nauczył piękną Rabomis sztuki polowania i rządzenia, tak że z czasem przewyższyła mężczyzn. Od Indian dowiedziałem się, że te trzy domy z

obciosanych pni zostały zbudowane według jego planu i pod jego osobistym nadzorem. On również nauczył tubylców budować latryny, utrzymywać je w czystości, oceniać futra i nie dawać się oszukiwać handlarzom.

Wydało mi się, że im mniej będzie matka moja wiedziała o Rabomis, tym lepiej dla niej, przeto w opowiadaniach pomijałem wszystko, co się tyczyło Wyspy Łabędziej. Myślę, że mniej by było zamętu na świecie, gdybyśmy mniej gadali i rozmyślali o postępkach naszych bliźnich, nie znając bowiem przyczyn, które ich doprowadziły do takiego czy innego rozstrzygnięcia, żądamy od nich cnoty, do jakiej sami nie jesteśmy zdolni. Nawet tu nie wzmiankowałbym o Wyspie Łabędziej, gdyby nie było to tak istotne dla całości.

Mój ojciec musiał zażywać wśród Indian sławy wesołka i kawalarza. Kiedy zbliżyliśmy się do chaty m'teulina, nfteulin stał już w progu. Na głowie miał mitrę z łabędzich skrzydeł, których białe lotki muskały mu ramiona. Pokazał mojemu ojcu pusty kocioł.

— Pozdrawiamy cię, bracie — rzekł przykrywając kocioł bębniem z surowej skóry. — Jeśli smutkiem cię przejmuje widok naszych pustych kotłów, poślij słowo do Glooskapa, a Glooskap wysłucha i spuści nam bogactwa. Oto jest goniec, bracie.

Uniósł bęben. W kotle siedział królik. Wyskoczył na ziemię,

61

odbił się tylnymi nóżkami i dał nura. Stłoczeni za ojcem Indianie wyli z uciechy. Ojciec wyciągnął ku m'teulinowi obie ręce.

— Posłałem słowo — rzekł — i oto jest odpowiedź. — Pokazał wierzch prawej i wewnętrzną stronę lewej dłoni, potem wierzch

lewej i wewnętrzną stronę prawej. Nic nie miał w rękach. Szybko wyrzucił je w powietrze, lewą dłonią z wolna powiódł po prawej — i oto w prawej jego ręce leżał nowy składany nóż. Indianie palcami pozatykali sobie usta w udanym zdumieniu. Ojciec rzucił nóż na dno kotła.

Rabomis zaciągnęła nas do swojej chaty, a wojownikom kazała iść do Długiego Domu. — Zaraz wrócimy i odbędziemy naradę.

Chata sachema była ciepła i przytulna. Po środku na kominku z kamieni płonął ogień. Ściany były zawieszane skórami, na podłodze leżała skóra niedźwiedzia. Przy ogniu siedziała malutka dziewczynka i bawiła się lalką, wyrzezaną z jeleniej pischzeli. Chociaż skóra dziewczynki była brunatna, coś nieuchwytnego w jej rysach, sam nie wiem co, przywiodło mi przed oczy obraz siostry mojej, Cyntii.

—Jacataqua — powiedziała Rabomis.

Ojciec kiwnął głową i rozejrzał się po chacie. — Bez zmian — rzekł. Jego spojrzenie zatrzymało się na twarzy Rabomis. — Bez zmian — powtórzył uśmiechając się do niej.

—Bez zmian — potwierdziła Rabomis. Nagle nachyliła się i pocałowała mnie. Co ją do tego skłoniło, nie wiedziałem i nie wiem po dziś dzień.

Ojciec przykucnął przy małej Jacataqui, która przyglądała mu się poważnymi oczami. Wziął ją na ręce, wyprostował się i usiadł na łóżku.

—Stefku — rzekł. — Jestem nie gorszy czarodziej od niejednego n'Tteulina i też potrafię robić cuda. Między tobą a tą dziewczynką dostrzegam pewne podobieństwo. Ona też przesypia wschód słońca i udaje, że nie lubi, kiedy ją całują. Stwierdzam więc, że



ona jest twoją siostrą, a ty jej bratem. Powtórz te słowa, Stefku.

Wiedziałem, że ojciec żartuje. Pomimo to powtórzyłem słowa obrzędu:  
— Ona jest moją siostrą, a ja jej bratem.

—W każdym miejscu i po wszelkie czasy — nalegał ojciec —  
póki niebo nie zapadnie się pod ziemię, a wiewiórka znowu nie  
będzie większa od niedźwiedzia.

Powtórzyłem. Ojciec ukłuł mnie nożem w mały palec lewej ręki i  
kroplę mojej krwi położył na języku Jacataqui, czyniąc ją w ten sposób  
moją siostrą.

## 62

Rabomis uśmiechnęła się i rzekła: — Gdyby wszyscy Anglicy byli tacy  
jak ty, Stefanie, a wszyscy Francuzi jak ten, co przejeżdżał tędy wczoraj,  
walczylibyśmy obok was przeciwko Francuzom, a nie tak, jak teraz.

Ojciec rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie.

—Aha! — rzekł. — Więc francuski kapitan chce się przedo  
stać do swoich!

Rabomis skinęła głową: — Podróżuje po nocach, aby ujść oczom  
straży.

- Doznał obelgi od naszych braci z południa — rzekł ojciec —  
ponieważ za wysoko zadzierał nosa. Radziłbym temu kapitanowi...  
ha, wyleciało mi z głowy, jak on się nazywa...
- Henri Guerlac.
- No pewno! Guerlac! Radziłbym temu kapitanowi Guerlac, aby  
wprzód się nauczył dobrych manier, a potem dopiero wybierał się w  
nasze strony; aby nie okazywał nam pogardy i aby nie wojował z  
bezbronnymi mężczyznami i dziećmi.

- Dziewczynka dobrze się czuła w jego towarzystwie — rzekła Rabomis.

Na to byłem zupełnie nieprzygotowany. — Nieprawda! — zawołałem. — To niemożliwe!

Ojciec potrząsnął mnie gniewnie. — Posłuchaj, jak to było — rzekł do Rabomis. — Guerlac przybył do nas przed dwiema nocami. Zabił mojego sąsiada i uprowadził jego córkę, przyjaciółkę mojego syna, który jest bratem Jacataqui. Wyrządził krzywdę mnie i mojemu domowi. Musimy go znaleźć, odebrać mu dziewczynkę i wziąć odwet. Innej drogi nie ma.

- Zostaniesz na noc, Stefanie, i wyruszysz o świcie?
  - Nie — odparł mój ojciec. — Zaraz ruszamy w drogę. Później wrócimy. Upiecz dla nas parę kaczek i daj nam pomoc.
- Jakiej pomocy chcesz, Stefanie?
  - Chcę dostać czółno kanadyjskie, dwa krótkie łuki i dwóch wioślarzy.

Rabomis zawahała się, po czym poprowadziła nas do Długiego Domu, gdzie czekali zgromadzeni wojownicy. Kiedy ojciec wszedł, rozległy się szmery powitań. Rabomis obróciła się ku Zgromadzonym i stała tak, milcząc, aż i oni umilkli. Wreszcie rzekła: — Nasz brat prosi o pomoc. Wysłuchajcie go i postanówcie.

Ojciec stanął przed nimi, silny, prosty jak świeca, promieniejący młodością.

—W czasach minionych — rzekł — nieraz okazywałem wam

63

pomoc. Nazwaliście mnie swoim bratem. Dziś powołuję się na imię brata. Krzywda mnie spotkała z ręki Francuza Guerlaca, któ\*ry teraz ucieka na północ. Ja i mój syn gonimy go, aby wziąć odwet. Francuz i ja mamy

między sobą porachunki osobiste. Jeśli dojdzie do walki, mój syn i ja będziemy walczyć bez waszej pomocy. Dajcie nam tyle, ile trzeba, abyśmy dogonili Francuza.

- Francuzi są również naszymi braćmi — zauważył młody wojownik.
- Puste słowa — odparł m'teulin. — Jeśli nie chcemy zasłużyć na nazwę psów, musimy uczynić zadość jego żądaniu.
- Dajcie mu czółno i dwóch silnych ludzi — odezwał się z kąta czerwonoskóry starzec. ->- Doznał krzywdy, a jest naszym bratem. Rzecz prosta i zrozumiała. Choćbyśmy mieli przegadać cały dzień, nie ugodzimy bliżej prawdy.
- Powinniście zrównać się z nimi gdzieś powyżej Cushno-ku — powiedziała Rabomis. — Natawammet zna rzekę powyżej Cushnoku. Czy zgadzasz się, Natawammecie, i kogo byś wziął?
- Woromquida — odparł Natawammet.

Wyszliśmy z Długiego Domu i ruszyliśmy ku wybrzeżu. Wywrócone dnem do góry stały rzędem przy skarpie kanadyjki. M'teulin wskazał palcem tę, która była najwęższa i najmniej. Ojciec chwycił ją za poprzeczki, zatoczył nad głową i położył na wodzie. M'teulin zauważył lakonicznie, że to jest szybkie czółno. Ojciec przytwierdził skinieniem głowy.

Jeden z wojowników przyniósł nam łosiowy futerał na łuki, dwa kołczany i pęk strzał o szerokich grotach i żłobkowanych drzewcach. W futerale znaleźliśmy trzy krótkie łuki myśliwskie, cztery zapasowe cięciwy i kłębek ścięgien. U futerału wisiał na sznurku woreczek z grotami.

Łuki mierzyły po cztery stopy długości. Były z cedrowego drzewa, po

zewewnętrznej stronie obklejonego hikorą, którą z kolei obklejono skrawkami surowej skóry. Ojciec pożyczył od małego Indianiątka trzy tępe strzały, aby wypróbować jeden z łuków. Abenakowie przyglądali się uważnie, bo mój ojciec, kiedy strzela z łuku, to ciągnie cięciwę do zuchwy i doskonale trafia w tarczę celowniczą, podczas gdy Abenakowie z Kennebecu ciągną cięciwę do śródpiersia, trzymając łuk ukosem, i źle strzelają do> tarczy, ale nie najgorzej do zwierzyny.

Z odległości dwudziestu kroków strzelił do drzewnego kloca stojącego na krawędzi bagniska. Kloc zawirował i plusnął w wodę. Następnie strzelił do czerwonej wiewiórki, skaczącej po gałęziach

64

sosny. Strzała uderzyła w gałąź. Wiewiórka skoczyła na pień i pomknęła do góry, strosząc futerko i pusząc ogon. Wówczas ojciec mój oświadczył żartobliwie, że łuk stracił sprężystość, a strzała została źle zrobiona i w ostatniej chwili zniósł ją podmuch wiatru. Abenakowie, którym nieraz zdarzało się słyszeć takie wymówki z ust marnych strzelców, trzęśli się ze śmiechu.

Trzecią strzałę posłał czarnej kaczce, pływającej po stawie w odległości sześćdziesięciu kroków. Kaczka, słysząc czy widząc nadciągający pocisk, poderwała się w powietrze i tak jakoś machnęła skrzydłem, że pocisk wpłatał jej się między lotki. Szamocząc się opadła na wodę, po czym odleciała z ochrypłym wrzaskiem.

Gdy Natawammet i Woromquid ułożyli w kanadyjce nasze toboły, muszkiety i dwa zapasowe wiosła, wojownicy otoczyli irfteulina, który rysował na piasku mapę.

- Z naszej wyspy wyruszył Francuz na dwóch czólnach wczoraj z

zapadnięciem mroku — rzekł — aby przemknąć się niepostrzeżenie obok fortów. Przyływ utrudniał czółnom drogę. Robiły w mroku cztery mile na godzinę, może i mniej. Cushnok jest o dwadzieścia dwie mile stąd, chociaż ci, którzy nigdy nie próbowali dopłynąć tam czółnem, powiadają, że osiemnaście. Tam Francuz będzie musiał wyminąć Fort Zachodni i jego załogę.

- Nad Fortem Zachodnim — ciągnął dalej irrteulin — woda jest płytka i wartka. Nie będą podróżować nocą, gdyż. nie znają rzeki i boją się skał. Dzisiaj muszą się posuwać bardzo ostrożnie i przed każdym zakrętem wypatrywać żołnierzy wędrujących między Fortem Zachodnim, a Fortem Halifax. Wieczorem zatrzymają się na południe od Fortu Halifax. Jutro czeka ich długa przeprawa lądowa z czółnami na plecach. Naokoło Fortu Halifax i dalej, za Pięciomil Falisty. Tam już kończą się osady. Jeżeli szczęśliwie miną ten pas, mogą liczyć na bezpieczną drogę do Norridgewock i dalej.

Otóż — mówił irrteulin — od kaskady Ticonic, sąsiadującej z Fortem Halifax, biegnie szlak leśny. Przecina zakręt i znowu zbliża się do rzeki przy Pięciomilu. O dwie mile od Pięciomilu jest wyspa. Po jednej stronie wyspy woda jest płytka i wartka, po drugiej jasna i głęboka, ocieniona drzewami. Tam możecie dopaść Francuza. Tylko tam, zapamiętajcie sobie. I w tym celu musicie dotrzeć do wodospadu Ticonic, zanim na dobre wzejdzie słońce. Nie słyszałem, aby ktoś dokonał takiej podróży.

Natawammet i Woromquid spokojnie patrzyli na mojego ojca.

Ojciec dał mi znak, abym wszedł do czółna, a sam poszedł do grupy czerwonoskorych wojowników i każdego po kolei uściskał za ramiona. —

Jesteście moimi braćmi — rzekł. — Kiedy wrócę, urządzimy wielką ucztę. — Ponad moją głową skierował się do następnej poprzeczki, Woromquid stanął na dziobie, Natawammet pchnął kanadyjkę w strumień i przeprowadził ją przez bagnisty trójkąt. Z cypla wołała Rabomis:

— Wracaj prędko, Stefanie!

Słońce przebyło już trzy ćwierci dziennego łuku, kiedy wypłynęliśmy na Kennebec. Przyływ parł w górę rzeki, wiejąc czystą wonią soli. Obracając się do Natawammeta, klęczącego u steru, ojciec rzekł: — Ten Francuz jest zły człowiek. Jeżeli przejdziemy szlakiem, który się zaczyna u wodospadu Ticonic, zanim dzień się zestarzeje o godzinę, podaruję tobie i Woromquidowi piękne nowe muszkiety. — Natawammet dźwignął się i stanął w półprzysiadzie. Za każdym uderzeniem dwułopatkowego wiosła czółno wyskakiwało z wody. Fala z sykiem opływała wąskie burty.

Zmierzchało się. Przelatywały nad nami gromady dzikiego ptactwa, dążąc na południe. Ociążałe łosie stały w płycznach i na nasz widok podnosiły wielkie, rogate łby. Widzieliśmy czarne niedźwiedzie, czatujące na ryby. Kiedyśmy je ochlapywali wodą, zrywały się i umykały w gęstwę, chrapiąc i świszcząc ze strachu.

Żeby nadać wiosłom równomierny rytm, Woromquid zaciągnął starą pieśń abenacką o Sprawcy Wiatru, Wuchowsenie, który siedzi na wysokim cyplu u skraju nieba i sprawia wiatr uderzeniami skrzydeł.

W owej zamierzchłej dobie, kiedy duchy wędrowały między ludźmi, wielki duch Glooskap lubił sobie wypłynąć w czólnie i zapolować na morskie ptactwo. Zdarzyło się, że przez szereg dni wiatr dął bardzo gwałtownie i nie można było strzelać. Potem wiatr zadał jeszcze gwałtowniej, a następnie przyszła burza i Glooskap wcale nie mógł

opuścić wybrzeża. Rzekł więc Glooskap: „Wuchowsen, wielki ptak, winien jest temu”.

Wyruszył na poszukiwania Wuchowsena. Po wielu dniach znalazł go, wielkiego białego ptaka, usadowionego na iglicy skalnej.

Rzekł więc Glooskap: „Dziadku, miej miłosierdzie dla dzieci twoich. Łagodniej poruszaj skrzydłami, bo wiatr jest za mocny”.

Ale ptak-olbrzym odparł: „Siedzę tu od prawieków. Poruszałem skrzydłami, jeszcze zanim cokolwiek poruszało się na ziemi. Nikt mi nie zabroni sprawiać wiatru”.

Wówczas Glooskap, zagniewany, wydłużył się, że aż głowa

66

jego dosięgła chmur, pochwycił ptaka Wuchowsena jak gołębia, związał mu skrzydła i cisnął go na dno skalnej rozpadliny.

I stało się, że Indianie mogli wypływać w czólnach, kiedy tylko chcieli, albowiem nie było wiatru. Ale rychło zgęstniały wody, ścięły się mułem i wodorostem. Glooskap nie mógł wiosłować.

Przypomniawszy sobie Wuchowsena, zszedł do rozpadliny i wyciągnął ptaka-olbrzyma, który nie doznał szwanku, był bowiem nieśmiertelny.

Odwiązał mu jedno skrzydło i znowu go posadził na iglicy skalnej. Odtąd wiatry nie wieją już tak gwałtownie, jak w dniach zamierzchłych.

Panowała zupełna ciemność, kiedy usłyszeliśmy szum wodospadu Cushnoc, u stóp którego leży Fort Zachodni, najlepszy z fortów na Kennebecu, nie tylko dlatego, że zajmuje doskonałą pozycję, ale i dlatego, że ma pierwszorzędną załogę. Z lądowiska okrzyknął nas strażnik. Po drugiej stronie rzeki płonęło ognisko, przez którego świetlne smugi,

migocące na falach, nikt nie mógł przemknąć się niepostrzeżenie. Ojciec podał nasze imiona i po wąskiej ścianie udał się ze strażnikiem do fortu, aby stanąć przed kapitanem Howardem. Usłyszawszy, że zamierzamy dotrzeć do Fortu Halifax przed świtem, kapitan powątpiewająco pokręcił głową, ale na wszelki wypadek zaopatrzył nas w żywność, abyśmy się mogli posilić podczas mozolnego okrążania wodospadu.

Tak, ciężka to była przeprawa. Woda kipiała jak w kotle. W ciągu godziny po tysiąc razy musieliśmy pokonywać małe progi, wielkie progi, skręty, odmęty, wiry. Sunęliśmy pomiędzy wysokimi, nastrzępionymi ścianami skał, pchaliśmy czołna, odbijaliśmy się od dna tykami, słabymi wiosłami przeciwstawialiśmy się szaleńczemu naporowi fal. Skakaliśmy do lodowatej wody i z powrotem do czołen. Parliśmy przeciwko sile prądu cal po calu, łokieć po łokciu, mila po mili, niestrudzenie, uparcie, zajadle. Z rzadka tylko trafiały się równiejsze pasma wody i jakże prędko schodziły z drogi nowym odmętom i wirom.

Nie wiem dzisiaj, jakim cudem przemogliśmy to wszystko. Co do mnie, to z pewnością bym się załamał, gdyby nie nadzieja odzyskania Mary. Postanowiłem, że już nigdy w życiu nie dam się namówić na podobną przeprawę, że walka z takim żywiołem jest bezcelowa. I nagle uświadomiłem sobie, że przecież mój ojciec dokonuje tego najwyższego wysiłku nie dla osobistych względów, ale dlatego, że społeczności stała się krzywda, zaś Natawammet i Wo-

67

romquid narażają się na śmiertelne niebezpieczeństwa w imię przyjaźni i aby dostać nowe muszkiety. Zrozumiałem, że wytrzymałość ludzka nie zna granic i że sprawy, dla których człowiek gotów jest podjąć najbardziej



uciażliwe trudy, nie mają ceny.

Kiedy wierzchołki drzew, rosnących po wschodniej stronie, wyodrębniła szarość przedświtu, Natawammet i Woromquid sięgnęli tyką dna i zatrzymali czółno przy skalnym cyplu lewego brzegu. Poprzez bulgot fal na pobliskich progach przedzierał się monotony huk wodospadu.

— Ticonic — rzekł Natawammet. — W ciągu ośmiu godzin zrobiliśmy szesnaście mil, a droga przez bystrzyny tak dała mi się we znaki, że na myśl o niej jeszcze dziś dreszcz mnie przechodzi.

Indianie wyciągnęli kanadyjkę na wysoki brzeg i położyli się obok niej. Kiedy słońce wzeszło, wzięli czółno na barki i ruszyli w gęstwę, szukając drogowskazów-drzewek oznaczonych trzema ukośnymi nacięciami.

Przez trzy godziny wlekliśmy się lasem, obciążeni tobołami i muszkietami, smagani przez gałęzie i ciernie. Wolnymi rękami odchylaliśmy gałązki młodych drzewek, aby nam nie rozpruły kanadyjki, usuwaliśmy kamienie i pnącza Abenakom spod nóg. Po trzech godzinach znowu zbliżyliśmy się do Kennebeku. Rzeka płynęła równo, bez wirów i progów. Nigdzie nie widać było ani śladu żywej duszy.

Popłynęliśmy w górę, czając się za każdym zakrętem, pieniąc się na myśl, że może Francuz już tędy przepłynął. NTteulin dobrze nam określił drogę, bo wkrótce dotarliśmy do malowniczej wysepki. Po prawej stronie rzeka zwężała się w cieśninę, po lewej ciekła po kamiennych progach zupełnie nie do przebycia.

Wysiedliśmy na brzeg wysepki, uzbrojeni w muszkiety i łuki. Czółno razem z 7 tobołami Abenakówie zabrali na pełną rzekę, opodal cieśniny, i wyciągnęli na odległy ląd.

Badając wyspę ze wszystkich stron, ojciec i ja porozumiewaliśmy się szeptem. Obaj baliśmy się, że nasze wysiłki pójdą na marne, że wróg nam umknał.

Ojciec, jako lepszy strzelec, zaczął się na wyniosłości brzegu. Ja, jako lepszy pływak, przycupnąłem nad rzeką, trzymając w ręku gałąź, gęsto pokrytą liśćmi. Gdyby czołna się pojawiły, ojciec miał zagwizdać głosem żółtonózki, a ja miałem rzucić się w rzekę i popłynąć, gałęzią przykrywając sobie twarz, żeby widzieć, nie będąc widzianym. Zrównawszy się z pierwszym czołnem, miałem położyć

68

rękę na burcie, wywrócić je i pochwycić Mary, tymczasem ojciec miał się zająć Guerlakiem i Indianami.

Czekaliśmy bezkresnie. Pochylny nad falami rzeki, rozumiałem coraz lepiej, że moje polowania na gęsi, indyki czy nawet łosie — to dziecinna igraszka wobec tego przejmującego pościgu za człowiekiem.

Niebo było zasnute chmurami. Panowała cisza, przerywana tylko głuchymi nawoływaniami kurki wodnej i głośnym szwargo-taniem krasek. Nie słyszałem bicia własnego serca, bo rosła we mnie pewność, że Guerlac wyprzedził nas i bezpiecznie płynie do Quebecu.

W chwili gdy już straciłem wszelką nadzieję, usłyszałem pogwizd żółtonózki, cztery żalosne, minorowe tony. Rzuciłem się w pław, gałęzią osłaniając sobie twarz. Serce tak mi waliło w piersi, że za chwilę, zdawało się, rozsadzi żebra.

Ujrzałem czołno. Jego czterej wioślarze rytmicznie podnosili się i opadali, podnosili się i opadali. Byli nadzy i brązowi, wskalpowych puklach mieli pióropusze. Zielona i żółta farba pokrywała twarze.

Wzruszenie zdławiło mi krtań. Poczulem bolesną zgagę. Zanurzyłem się, aż woda przykryła mi usta.

Czółno sunęło prosto na mnie, brązowi wioślarze wznosili się i opadali, wznosili się i opadali.

Zamajaczyło tuż nad moją głową. Spojrzałem w łyskające, wyłupiaste oko czołowego wioślarza, zauważyłem głęboką szramę koło jego ust. Dźwignąłem się z wody, wciąż przykryty gałęzią, sięgnąłem do burty i chybiłem — sięgnąłem jeszcze raz, poczułem ją pod palcami i szarpnąłem ze wszystkich sił.

Usłyszałem zimny śmiech Guerlaca. Potem okrzyk ojca i szczęk cięciwy. Gejzer białego światła wybuchnął mi w mózgu.

## VI

Barwne plamy zatańczyły przed moimi oczami, kiedy się zbudziłem — z rozkołysanego zielonego morza nadpływała mroczna czerwona ściana, aby mnie zmiażdżyć, i nagle, nie dokonawszy straszliwego dzieła, cofała się w podskokach i skrętach. Język rozpychał mi usta: rzekłbyś, nie język, ale para wełnianych pończoch, świeżo zacerowanych przez matkę i zwiniętych w kosmaty kłębek. Mógłbym wypić każdą wodę deszczową, tę każdą, która stoi przy kuchennych drzwiach naszego domu w Arundel.

69

Miałem poczucie, jakbym dostał się w kaskadę bez dna i obracając się z wolna, spadał w dół. Ale gdy wyciągnąłem ręce, aby uchwycić obrzmiałe kamienie, wystające z rozpędzonej wody, zatrzymałem się. Zrozumiałem, że leżę w czólnie, na posłaniu ze świerkowych gałązek. Zbałwanione zielone morze rozszczepiło się na pojedyncze drzewa, porastające rzeczny

brzeg. Mroczna czerwona ściana były to obnażone plecy Woromquida, podnoszące się i opadające z każdym uderzeniem wiosła.

Czaszkę rozsadzało mi od wewnątrz, jakby zamieszkała w niej wiewiórka. Gdy poruszyłem się, czołno zawinęło do brzegu. Ojciec wyskoczył, podłożył mi rękę pod kark i nachylił do moich ust rozek z kory brzozonej, napełniony wodą. Głowę miałem owiązaną, przypominała raczej belę skór bobrowych. Ojciec naciął gałęzi świerkowych, wetknął je pode mnie i przykazał mi spać. Kiedy zbudziłem się po raz wtóry, zachodzące słońce kłuło oczy purpurą, a czołno przemykało się przez sadzawkę omywającą cypel Wyspy Łabędziej.

Stłoczeni na przylądku ludzie rozmawiali — z daleka dochodziły mnie ich głosy i nie wiem dlaczego, byłem na tych ludzi zły. Czyjeś ręce dźwignęły mnie razem z czołnem, zaniósły na wzgórze i położyły w chacie. Zanim znowu zapadłem w sen, ujrzałem nad sobą twarze Rabomis, m'teulina i ojca. Moją tętniącą głowę ogarniała jakaś kojąca miękkość, dobrze mi było z przyjaciółmi, a przecież na dnie serca czaiło się przygnębienie, którego źródeł wciąż nie umiałem dociec.

Dopiero nazajutrz zacząłem myśleć jasno. Uświadomiłem sobie, że nasz pościg za Mary i Guerlakiem spełził na niczym, ponieważ nie zdołałem przewrócić czołna od pierwszego rzutu.

Guerlac — dowiedziałem się od ojca — wyprostował się w czołnie, kiedy chwyciłem za poprzeczkę, i zadał mi toporkiem potężny cios w głowę. Ojciec krzyknął i spuścił strzałę z cięciwy, ale strzała, jak to się zdarza strzałom, które nie mają swojej wagi lub wylatują z łuku wykonanego nie dość precyzyjnie, zboczyła na lewo, drasnęła Guerlaca w policzek i rozdarła mu ucho. Dzięki temu toporek obrócił się Guerlakowi

w łapie i dostałem płazem, zamiast ostrzem. Czólno się przewróciło. Wówczas ojciec jął krzyżeć rozmaitymi głosami, aby Indianie pomyśleli, że jest nas wielu. Mary nie było w pierwszym czólnie. Zbyt późno zrozumiał ojciec, że źle obmyśliliśmy tę zasadzkę.

Wysłał jeszcze dwie strzały i wypalił z muszkietu, raniąc jednego Indianina w łopatkę, drugiego w takie miejsce, że odtąd

## 70

będzie musiał przyjmować posiłki w pozycji klęczącej lub stojącej.

Nie przestając wyc i wrzeszczeć, rzucił się w rzekę, wyciągnął mnie na brzeg i powiesił do góry nogami. Tymczasem Indianie wyciągnęli Guerlaca na przeciwny brzeg. Nagle na zakręcie pojawiło się drugie czólno. Indianie, sądząc, że jest nas cały batalion, przybili do brzegu i puścili się lasem, uprawdzając z sobą Mary. Ojciec wypalił z drugiego muszkietu i posłał za nimi jeszcze dwie strzały dla przestrogi, po czym zebrał muszkiety i łuki, wziął mnie, ociekającego krwią, na ramię i ruszył na poszukiwanie Natawammeta, Woromquida i naszej kanadyjki.

Twarz miałem podobno całą we krwi i białą jak podbrzusze nurka, a oddychałem jak nowo narodzony kociak. Postanowił więc ojciec udać się kanadyjką w dół rzeki, przez Pięciomil Falisty.

Jeżeli — rozumował — czólno się rozbije, to i tak nie będzie gorzej, niż jest. Jeżeli natomiast przedrzemy się przez Pięciomil, odpływ dosięgnie nas przy Cushnoc. Wówczas, dobrze robiąc wiosłami, o zachodzie dotrzemy do Wyspy Łabędziej. Rabomis i m'teulin znają się na ziołach i zrobią, co tylko w ich mocy, aby wyleczyć mi rozplataną głowę.

Ojciec nie pamiętał, jakim cudem Natawammet i Woromquid przeprowadzili nas przez bystrzyny bez wypadku, bo przez cały czas

podtrzymywał moją głowę, aby ją uchronić od wstrząsów. Czólno nieustannie podskakiwało na tym Pięciomilu Falistym, który jest pięciomilowym pasmem zbałwanionej toni, tańczącej między głazami ostrymi jak zęby rekina. Później słyszałem, że kiedy dwaj nasi przewodnicy zjawili się w domu zbornym, aby odegrać swoje przygody przed plemieniem, jak to jest w zwyczaju Abenaków, Woromquid wśród entuzjastycznej wrzawy opowiedział, co następuje. W pewnej chwili czólno pędziło na wystający ostry głaz i ani rusz nie można było zboczyć. Wówczas, pobudzony gniewnymi krzykami ojca, Woromquid tak mocno szarpnął wiosłem, że czólno wyskoczyło z wody i przefrunęło nad głazem.

Od Rabomis dowiedziałem się, że toporek Guerlaca rozłupał mi czaszkę i że byłem o włos od śmierci.

Ojciec mnie zapewnił, że kiedy wyzdrowieję, udamy się do Norridgewock, aby zasięgnąć języka o Mary i Guerlacu.

M'teulin przyniósł warstwę delikatnego, zielonego mchu, który porasta martwe pnie drzewne, i rozsmarował na nim galaretkę z rozgotowanego lipowego korzenia. Ten plaster przyłożył mi do

71

głowy, a na wierzch wciągnął myckę z miękkiej skóry jelonkowej z wiązany pod brodą rzemykami, która wyglądała jak nocny czepek starej baby.

Przez sześć dni przykładał mi trfteulin lipową galaretkę. Jakoś te dni mijały. Często siadywał przy mnie ojciec, odlewając kule lub rozprawiając z irfteulinem o wojnie i o czarach. Rabomis wydobyła z plemiennego kufra zwoje wampum i odczytywała mi z paciorków prastare opowieści abenackie: o wojnach, jakie jeszcze przed przybyciem białych

Abenakowie toczyli z Irokezami; o tym, jak wielki duch Glooskap wystrugał pierwszego człowieka z pnia jesionu; jak tenże Glooskap uczynił wiewiórkę zbyt wielką w porównaniu z resztą stworzenia i potem musiał jej ująć wzrostu; o tym, że gęsi dzielą się na plemiona i radzą o pogodzie z Wucho-wsenem, Sprawcą Wiatru, po czym zawiadamiają o swoim postanowieniu inne plemiona; o tym, jak Wiwilmekg, straszliwy rogaty robak, urasta pod wodą do rozmiarów łośia; jak Lox, przemyślny diablak indiański, odrodził się z popiołów.

Przed laty, mówiła Rabomis, znano więcej takich opowieści, ale najstarsze zwoje wampum zaginęły lub uległy zniszczeniu, inne znowu przenieśli do Kanady owi krnąbrni wojownicy, którzy mieszkają w St. Francis i Becancour, przyjmują podarunki od Francuzów i napadają na angielskie osady. Gdy zwoje wampum zaginęły, zapomniano spisanych tam opowieści. Te drobne fragmenty, które pozostały w głowach starców, nadają się tylko do zabawiania dzieci w zimowe wieczory.

Ojciec pyknął z fajki i zauważył, że jeszcze kilkadziesiąt lat, a nie zostanie ani śladu nie tylko z legend, ale nawet z dziejów abe-nackiego narodu. Nie należy się temu dziwić, skoro Abenakowie wolą trwać przy swoich zwyczajach, zamiast przejść od białych to, co jest dobre. Biały człowiek, wywodził ojciec, spisuje swoje myśli, aby przekazać je potomkom. Abenakowie nie chcą tak czynić, żyją z dnia na dzień, jak Bóg da, przeto ich myśli i dzieje muszą się rozwiać w nicość, jak dym na wietrze.

— Bez wątpienia — dalej ciągnął ojciec — wasze obyczaje są weselsze i przyjemniejsze niż nasze. Jeżeli tak jesteście do tego trybu życia przywiązani, proszę, żyćcie terażniejszością i nie frasujcie się o

przyszłość, jak biali.

Rabomis stała obok, odziana w piękny jelonkowy kaftan, ściągnięty pasem z paciorków, smukła i prosta. Położyła rękę na ramieniu ojca: — Czasem — rzekła — człowiek żyje nie tak, jakby chciał, ale tak, jak musi.

## 72

Ojciec widząc, że Jacataqua i ja przyglądamy się i przysłuchujemy, pochylił się, aby wypukać fajkę o kamienie ogniska, a wówczas dłoń Rabomis, spadła z jego ramienia. W późniejszych czasach, ilekroć ludzie uskarżali się przy mnie na dzikość i barbarzyństwo Abenaków, nie wiem dlaczego, przypominała mi się Rabomis.

Miała twarz owalną, mlecznobrunatną, wcale nie ciemniejszą niż twarze Febe Marvin po letnich igraszkach w słońcu. Tylko pod jej oczami zaznaczały się czerwieńsze plamki, jak gdyby wydobyte rzuconymi od dołu promieniami ciepłego światła. Czarne włosy były spowite wąską wstążką z paciorków. Jelonkowy zakiet otwierał się u szyi, ukazując sznury błękitnego wampum, szacownego na wagę złota.

Mówiła po angielsku miękko i ładnie, czasami tylko zadziwiała mnie osobliwościami wymowy, które przejęła od swego ojca, hu-genota, niegdyś kapitana okrętu (okręt jego rozbił się przy ujściu rzeki Georges, niedaleko Monheganu). Przyjemny również był jej sposób wyrażania się. Mowa Abenaków odznacza się zawiłością i kwiecistością. Rabomis mówiła po angielsku, ale myślała po abenacku.

Nie mogę zrozumieć, skąd wzięło się u białych mniemanie, że Abenakowie, i wszyscy zresztą Indianie, mówią gardłowo, niewyraźnie, gęgając i charcząc. Znam język abenacki nie gorzej od ojczystego i stwierdzam z całą odpowiedzialnością: trudno o mowę bardziej melodyjną



i miłszą dla ucha. Podobno wybitni francuscy podróżnicy zaświadczenia w drukowanych pamiętnikach, że żaden europejski język nie nadaje się tak do wyrażania dyplomatycznych zawłości i subtelności towarzyskich, jak język Abenaków znad Kennebecu, Androscoggin i Saco.

Ilekroć ktoś mówi o dzikości Abenaków, przypominam sobie ich gościnność, szczodropliwość, wierność, a zarazem myślę o tych wszystkich obelgach i krzywdach, jakich doznali od żyjących ich trudem i potem handlarzy i gburowatych traperów.

Może czeka mnie za te słowa męka piekielna, ale jeżeli dobrze zrozumiałem, com wyczytał w Biblii, to Bogiem a prawdą, więcej chrześcijańskich cnót znajduję w Rabomis, w Hobomoku, który był irfteulinem, w Natawammecie, w Moggu Chabonoke, w Nata-nisie i innych moich indiańskich przyjaciółach, niż w wielce czcigodnym i gwałtownym Cottonie Matherze, bostońskim kaznodziei, który w pismach swoich oświadczył, że wszyscy czerwonoskórzy to jeden w drugiego Scytowie i że Bóg pozwala ich katować oraz łamać zawierane z nimi układy.

## **73**

W ciągu swojego niekrótkiego żywota widywałem abenackie dzieci, porwane przez białych kolonistów i następnie wychowane w osadach na ratajów i niewolników. Abenakowie też porywali dzieci białym, ale wychowywali je gdzieś w obozowiskach nad Androscoggin, Kennebec i Penobscot na swoich synów i braci. Dziwne to, lecz prawdziwe: dzieci abenackie, porwane przez białych, niemal z reguły uciekały w dzicz, często rozpowszechniając wśród Indian zgubne nałogi, przejęte od białych panów. Natomiast białe dzieci, uprowadzone przez Abenaków," albo nie

chciały opuścić plemienia, albo, przeniósłszy się do ojczystej osady, żyły w nieuleczalnym smutku, póki nie nadarzyła się okazja powrotu do czerwonych braci.

Sachem Androscogginów, Paweł Higgins, był Anglikiem. W dzieciństwie został porwany przez Indian. Powiedział mi kiedyś, że gdyby sprowadzono go do osady angielskiej i kazano latami całymi wykonywać wciąż te same roboty, czułby się jak kokosz, nieustannie chodząca w kółko i gdacząca bezmyślnie, i w końcu musiałby oszaleć.

Nawet kuchnia abenacka nie jest taka zła, jak niegdyś myślałem. Podczas mojej choroby żywiliśmy się zwierzyną podaną po indiańsku bez soli. Każdy kawałek macza się w tłuszczu szopowym, zaprawionym odrobiną cukru. Z początku nie chciałem jeść niesolonego mięsa, ale mojemu ojcu aż się uszy trzęsły. W końcu skosztowałem i doszedłem do wniosku, że to nie jest złe, chociaż wolałbym półmisek bobu uprażonego przez moją siostrę Cyntię. Sądzę, że Abenakowie mogą przez lata całe żywić się tak przyrządzoną zwierzyną i mieć się doskonale.

Od nich to dowiedziałem się, że jeżeli człowiek ma do Wyboru tylko jedną potrawę, nigdy jej sobie nie uprzykrzy, oraz że mięso ptasie i łosie traci niektóre składniki odżywcze, jeśli je posolić, natomiast spożywane po abenacku, z cukrzonym tłuszczem, dodaje sił i zapobiega przedwczesnej starości.

Nie ma za grosz prawdy w twierdzeniu niektórych ludzi, że mięso dzikich kaczek spożywają Abenakowie na surowo. Nic podobnego. Oskubawszy kaczkę, wtykają ją na rożen i przypiekają przez dziesięć, piętnaście minut, dzięki czemu pierś zachowuje krwistość i delikatność. Jeżeli piec kaczkę jeszcze przez kwadrans, jak czynią ludzie, poczytujący

się za bardziej cywilizowanych, mięso staje się kruche i suche, owszem, smakuje, ale tylko raz. Niedopieczona kaczka jest jak niedosmażony befsztyk: można ją jeść dzień w dzień bez przesytu i bez zaburzeń żołądkowych.

## 74

Po sześciu dniach Rabomis i m'teulin zbadali moją ranę i przemyli ją wodą pomieszaną z popiołem. M'teulin przyniósł swoje czarodziejskie przybory: tytoń, fajkę wyrzezaną z zęba łosia, mostkową kość czarnego łabędzia, łopatkę żbika i kilka barwionych piór. Potarł łopatką o kość mostkową, owiał ją dymem z fajki, rozżarzył nad ogniem, okurzył piórami i spojrzał na jej powierzchnię. Zapewne wyczytał tam pomyślne wiadomości, bo oświadczył, że muszę wyjść z chaty, w przeciwnym razie choroba przeniesie się na inne członki mojego ciała. Kazał mi nazajutrz wyjść i posiedzieć w słońcu, z tym że za ewentualne skutki ujemne odpowiedzialność spada na łopatkę żbika.

Abenakówie wysoko cenią swoich mędrców, obdarzonych lub rzekomo obdarzonych magiczną mocą, zwaną m'teulin. Zauważyłem jednak, że ci, którzy wróżą za pomocą łopatki żbika, starają się przedtem jak najdokładniej zbadać stan rzeczy. Jeżeli przepowiedzieć mają wynik jutrzejszego polowania, przedtem sprawdzają, czy okolica jest bogata w zwierzynę. Przepowiadając wynik bitwy, dowiadują się wprzód o liczebności nieprzyjaciela. Poza tym formułują wróżby w sposób wieloznaczny. Jeżeli więc przepowiednia się nie ziści, zawsze można to wytłumaczyć niedomyślnością rodaków.

Nazajutrz wyszedłem na powietrze. Leciutki wiatr zawiewał z południo-zachodu, na pełnym morzu stała mgła, dzikie ptactwo piszczało,

gdakało, podrywało się z łopotem skrzydeł, cicho opadało na ziemię. Z oddali dochodziło trąbienie łabędzi unoszących się nad zatoką, tak silnych, że mogły całymi godzinami latać bez spoczynku. Gdzieś w dole melancholijnie sklamrzyły gęsi, zmęczone lotem pod wiatr. U samych brzegów przylądka, przy samej wodzie, szwargotały kaczki, a imię ich było legion.

Widząc, że Jacataqua wraz z innymi Abenakami podąża ku strażnicy, poszedłem za nią. Cypel obsiadły kobiety. Szyły mokasyny, haftowały paciorkami jelonkowe bluzy i przyglądały się mojemu ojcu, który wybierał się na polowanie. Kiedyś — opowiadały kobiety — będąc gościem na Wyspie Łabędziej, zmajstrował sobie płaskodenną łódkę z wiązowej kory i w łódce tej zręcznie podchodził gęsi i kaczki, nawet w porze, kiedy były najczujniejsze.

Ta płaskodenna łódka znajdowała się w strumieniu, łączącym się nieco dalej z lśniąca sadzawką. U dziobu leżał na wznak mój ojciec, mając przy sobie oba nasze muszkiety. Na rufie, osłonięta pękiem błotnych turzyc, siedziała w kucki Rabomis, również

## 75

z dwoma muszkietami, ponieważ, jako sachem, poddana została przez m'teulina obrzędowi oczyszczającemu i w odróżnieniu od innych kobiet indiańskich swoim dotknięciem nie odbierała orężom sprawności.

Z cypla widać było, że wszystkie sadzawki, wszystkie strumyki na przestrzeni całego bagniska roją się od kaczek — rożeńców, krzyżówek, małżojadek, podgorzelców i cyranek — kwaczących, piszczących, wrzeszczących, jazgoczących. Nieliczne w tym tłumie szare gęsi zachowywały się podejrzliwie. A wiedziałem, że gęsi są ulubionym łupem

ojca.

Po niejakiem czasie z zachodu doleciało smutne sklamrzenie stada gęsi, przebijającego się przez mgłę. Ujrzełmy je, kiedy zawisły nad bagniskiem. Skręciły w naszym kierunku i leciały powoli, boleśnie gęgając, jakieś dwieście sztuk, wreszcie złożyły skrzydła i z wysoko zadartymi głowami, z rozkraczonymi nogami, opuściły się w sadzawkę, do której prowadził strumień. Rabomis odepchnęła płaską łódeczkę. Robiąc wiosłem, przetkniętym przez otwór w rufie, skierowała łódkę ku sadzawce, wciąż osłonięta trawą, na pozór nieruchoma.

Z naszego wzniesienia widać było, jak łódka powoli, nieuchronnie zbliża się do rojowiska. Czujne, lecz niczego nie podejrzewające gęsi, i dumne, zawsze pewne siebie kaczki pluskały się w wodzie, goniły się, tłoczyły, jak larwy moskitów w kadzi z wodą deszczową.

Przystanęli w oddaleniu ośmiu łokci od sadzawki, osłonięci zakrętem strumyka. Ojciec dźwignął się i usiadł, Rabomis wstała. Gęsi i kaczki frunęły do góry. Ojciec i Rabomis jednocześnie wypalili w gęstwą podnoszących się ptaków, z których kilkadziesiąt natychmiast opadło w wodę. Zanim te, co pozostały przy życiu, zdążyły się rozproszyć, ojciec i Rabomis chwycili zapasowe muszkiety i wypalili powtórnie. I znowu martwe ptaki spadały w sadzawkę i bagno, niby deszcz melonów. Tysiące i setki tysięcy kaczek i gęsi wzbily się w powietrze, niechętnie, opieszale, bowiem Zatoka Wesołego Spotkania jest ich ulubionym postojem w wędrówkach na południe. Napelniając powietrze okrzykami skargi i protestu, ruszyły w dalszą drogę. Sześć kanadyjek odbiło od brzegu, aby pozbierać martwe i ranne ptaki. Przywieziono przeszło czterdzieści gęsi i siedemdziesiąt kaczek.

Kobiety odeszły, aby rozpać ogniska dla wędzenia i suszenia smakowitej zdobyczy, gdyż muchy, podobnie jak moskity, upodobały sobie brzegi Kennebecu i jeżeli upolowana zwierzyna

76

lub dziczyzna nie jest przeznaczona do natychmiastowego spożycia, należy ją jak najprędzej uwęzić, w przeciwnym wypadku podzielą się nią muchy i robaki. Ze wszystkich mięsiw, jakie Abenakowie wędzą na zimę, pierś kaczki wydaje mi się najporęczniejsza w podróży, jest bowiem lekka jak wiór drewna, we wrzątku pęcznieje i mięknie, a smak ma znakomity.

Gdyby nie dręcząca myśl o Mary, tygodnie przeżyte na Wyspie Łabędziej mógłbym zaliczyć do najszczęśliwszych chwil mojego życia. Co rano wyprawiali się myśliwi na łosie, niedźwiedzie, bobry i wydry, których na wyspie i brzegach rzeki było zatrzęsienie. Chłopcy poniżej lat szesnastu, nie mający jeszcze prawa władać muszkietem, z łukami w rękach uganiali się za niedźwiedziem, dzikim indykiem, szopem, zabijali lisy dla ich futer i bobaki dla skór, w których można nosić wszystko: zupę, psie mięso i nawet ogień.

Ojciec pozwolił mi polować z Hobomokiem, synem m'teulina, miłym, tłustawym chłopcem, starszym ode mnie o trzy lata. Był tłusty, ponieważ obżerał się klonowym cukrem i słodzonym smalcem niedźwiedzim, darami, znoszonymi m'teulinowi przez wdzięcznych lub proszących o pomoc pacjentów. Również z tego powodu, że nie lubił szukać zwierzyny, lecz siadał i czekał, aż sama się nawinie. A jednak polowanie udawało mu się na ogół lepiej niż innym, ruchliwszym od niego młodzieńcom. Czasami nawet zapędzał w kozi róg dorosłych wojowników, uzbrojonych w muszkiety.

Braliśmy ciężkie, krótkie, cedrowe łuki, oklejone hikorą, tępe strzały na drobnego zwierza i parę ostrych na wszelki wypadek. Polowaliśmy na siedząco lub na leżąco. Hobomok wybierał pierwszą lepszą kępę brzoź nad rzeką. Siadaliśmy w ich cieniu i po dziesięciu minutach zlatywało się stado kuropatw, zapuszczało się między gałęzie drzew, aby dosięgnąć świeżych pączków brzozowych, hałaśliwie łopotało skrzydłami. Gdy Hobomok gwizdał, kuropatwy nieruchomiały w oczekiwaniu strzału.

Któregoś dnia zapuściliśmy się w trawiastą kotlinę, pośrodku której biło źródło zimnej wody. Hobomok oznajmił, że tu jest zborny punkt indyków i że musimy poczekać cierpliwie, a na pewno zjawią się u wodopaju. Rozciągnęliśmy się za przewróconym pniem i na cięciwach położyliśmy ostre strzały. Muchy łąziły mi po rękach, wiewiórki szastały po nogach, gałęzie uwierały łokcie i brzuch. Cienie wydłużyły się — i oto koło zachodu słońca z brzoź, zarastających przeciwległą ścianę kotliny, wyszły trzy majestatyczne indyki z wielkimi koralowymi wolami. Łakomie wybierały

## 77

spomiędzy traw świerszcze polne, po każdym dziobnięciu rozglądając się podejrzliwie. Powoli się zbliżyły, wielkie jak krowy. Stanęły przy źródle w oddaleniu dwunastu łokci od nas. Wyraźnie widzieliśmy ich koralowe dzwonki, grzebienie na głowach i brązowe upierzenie grzbietów.

Hobomok dotknął mojej nogi; wstaliśmy i dwie sztuki przeszyliśmy strzałami. Trzeci wyciągnął się, wydłużył jak futrzana etola i umknął z kotliny. Mój pies Łowca nie mógłby prędeż.

Kiedy powiał ostry wiatr północno-wschodni, przez trzy dni siedzieliśmy przy ogniskach, zjadając kaczki, kuropatwy, zwierzynę i

mamałygę, racząc się takimi smakołykami, jak łosie chrapy i ogon bobra. Rabomis nauczyła mnie robić bukłaki z szyi jeleniej. Naciętą przy grzbiecie skórę szyi ściąga się przez głowę jak pończochę, zeszkrobuje się sierść, jeden wylot się zaszywa i zakleja, w drugi wszywa się wydrążony kijek, potem dmie się przez kijek, póki skóra nie napręży się i nie rozciągnie, niby błona pęcherza. Po wysuszeniu taki bukłak doskonale utrzyma pięć galonów szopowego lub niedźwiedziego smalcu.

Hobomok nauczył mnie robić kapciuchy na ogień. Skórę bobaka nacina się poprzecznie przy grzbiecie i przez ten otwór wyciąga się ciało, tak żeby nie naruszyć skóry. Potem ściąga się skórę z czaszki. Dokładnie oczyszczoną i wyskrobaną czaszką zapycha się otwór, jak korkiem. Ten gruby gałkowaty korek nie pozwala spaść zatkniętemu za pas kapciuchowi. Zarzewie leży pomiędzy dwiema muszlami małża, których krawędzie zalepia się gliną, pozostawiając otworek dla dymu. Wnętrze muszli napycha się zbutwiałą korą brzożową, która trzyma ogień przez cały dzień. Kilka takich muszli związuje się razem i wkłada do kapciucha. W ten sposób można przenosić ogień przez najulewniejsze deszcze.

Ale myśl o Mary nie opuszczała mnie ani na chwilę. Kiedy więc północno-wschodni wiatr stracił ostrość, zacząłem nalegać na ojca, abyśmy czym prędzej wyruszyli śladem Guerlaca i jego Indian. Jediną pozostałością odniesionej przeze mnie rany była zygzakowata szrama, pulsująca boleśnie, ilekroć zanosilo się na słońce. Ten wskaźnik pogody do dziś dnia noszę na czole.

Wieczorem ojciec spakował toboły i przykazał Rabomis, aby do jego powrotu przygotowała, ile zdąży, futer wydrzych i bobrowych. Przyrzekł dać lepsze ceny niż Clark i Lakę, handlarze z wyspy Arrowsic, którzy



przez długie lata oszukiwali mieszkańców Wyspy Łabędziej.

78

M'teulin przyniósł swoje barwione pióra, łopatkę żbika i fajkę z łosiego kła, aby wywróżyć nam przebieg podróży. Ale gdy przetaił łopatkę żbika, gdy owiał ją dymem, gdy nagrzał przy ogniu i okurzył piórami, twarz mu się skrzywiła, mruknął pod nosem i oznajmił na głos, że kość jest pokryta nie naszymi wizerunkami, ale wizerunkami żołnierzy. Ojciec zapytał niedbale, jak ci żołnierze są odziani. M'teulin, z namaszczeniem muskając kość piórami, powiedział, że niektórzy odziani są na czerwono, inni na biał.

Ojciec zapytał, jakie wydarzenia dzieją się na łopatce. M'teulin odparł, że wojsko ucieka przed wojskiem, chociaż nie potrafi rozróżnić, czy uciekają czerwone mundury, czy białe.

Na to ojciec, że przecież wszyscy wiedzą o natarciu Jamesa Wolfe'a i Jeffreya Amhersta na Quebec i jeżeli m'teulin zamierza nas olśnić prorocstwem, które wcale nie jest prorocstwem, to źle się wybrał. Wobec tego poradził mu ojciec pójść do lasu i upolować innego żbika, o większych i bardziej wieszczych łopatkach.

M'teulin zaśmiał się, lubił bowiem swojego ojca i wiedział, że ojciec odpłaca mu się tym samym. Spojrzawszy ponownie na łopatkę, oświadczył, że czeka nas długa podróż i że ci, którzy w nią wyruszą, powrócą zdrowi i cali.

Na to mój ojciec, że jeżeli tak pomyślnie brzmi przepowiednia, to może pojechałby z nami syn irfteulina Hobomok? Byłoby przynajmniej odpowiednie towarzystwo dla mnie. M'teulin przyjrzał się powątpiewająco łopatce żbika, ale słysząc drwiący śmiech swojego ojca, rzekł prędko: —

Hobomok wyruszy w podróż i niejednego od was się nauczy.

— Wspaniale! — zawołał ojciec. Przeciągnął się, ziewnął i rozesłał niedźwiedzie skóry w poprzek chaty, obok komory, w której sypiałem ja i Jacataqua.

W wilgotnym, szczypiącym chłodzie poranka zepchnęliśmy kanadyjkę na wodę. Woromquid i Natawammet usadowili się na dziobie i na rufie, jak poprzednim razem. Hobomok usiadł tuż za Woromquidem bez bluzy i nogawic, tylko w zapasce i z derką na ramionach, aby w razie potrzeby od razu dać nura w wodę. Ja siedziałem za Hobomokiem, za mną mój ojciec, plecami wsparty o worek suszonej zwierzyny i wędzonych piersi kaczych. Plemię żegnało nas przeraźliwym wyciem, hałaśliwszym niż wrzawa dzikich ptaków, które zrywały się z bagna na widok naszej długiej kanadyjki. Posuwaliśmy się strumieniem ku rzece. Smutek

79

Rabomis i Jacataqui był tak wzruszający, że i ja czułem pod powieką łzy. Ale widząc kamienny spokój ojca, przypomniałem sobie zasadę, którą usiłował mi wpoić: że im mniej człowiek uzewnętrznia swoją boleść, tym łatwiej się z niej otrząśnie.

VII

Gdybym miał tyle skórek bobrowych, na ile sposobów usiłowano mi wytłumaczyć nazwę rzeki Kennebec, płaszcz z nich uszyty opasałby wielokrotnie tę, którą kocham i która prosta jest, równa i śmigła, jak lufa muszkietu, choć nie tak twarda i zimna.

Niektórzy wyprowadzają tę nazwę od wodza Cannibisa, który niegdyś mieszkał nad brzegami rzeki, ale nie przypuszczam, aby całą rzekę nazwano imieniem jednego człowieka.

Inni przytaczają abenackie wyrażenie *guenne-bec* które znaczy „długa szabla”. Ale jeżeli można porównać Kennebec do czegoś szablatego, to chyba tylko do długiego węża szablatego grochu, jest to bowiem rzeka nadzwyczaj kręta. A takie porównanie mogłoby się nasunąć tylko żukowi grochowemu.

Sprawa jest o wiele prostsza. Na zachód od Montrealu żyją ludy indiańskie, które oddają cześć grzechotnikowi, jako świętemu zwierzęciu. Kiedy w puszczy trafią na tego węża, obsiadają go wokoło i owiewają fajczanym dymem. Tytułują go pokornie Manitou Kinnibec, prosząc, aby im zesłał dobre polowanie i obfite zbiory. Taki obrzęd czasem podoba się grzechotnikowi. Jeżeli wąż łaskawie przyjmuje hołdy, Indianie widzą w tym znak, że ich modlitwom stanie się zadość.

Otóż twierdzę, że nazwa naszej rzeki wywodzi się od Manitou Kinnibec. Kennebec bowiem wiję się i skręca jak wąż rozciągnięty w słońcu na skalistym występie. Jego ujście jest rozwidlonym językiem, w północnych lasach jego źródła: łańcuch wysokodennych stawów, powiązanych z sobą, jak grzechotki na ogonie Manitou Kinnibec. Toteż nasi ludzie w Maine piszą wprawdzie „Kennebec”, ale wymawiają „Kinnibec”. I zawsze będą mówić „Kinnibec”, bo taki już ich prowincjonalny zwyczaj. Kto zna tę rzekę, ten wie, że czasami jest ona jak prawdziwy Manitou Kinnibec, że jest wężem pomiędzy rzekami — zimna, złowroga i niebezpieczna, tająca w sobie mękę i zagładę.

Poza ostatnimi nędznymi zabudowaniami białych, w jednym z

największych węzowych zakrętów — trzecim na drodze do Rzeki

80

Świętego Wawrzyńca — przylądek wrzyna się w fale, a nad nim widnieją malownicze wzgórza, porośnięte lasem sosnowym. Trochę wyżej, tak blisko, że aż powietrze drga od monotonnego łoskotu, huczy wodospad Norridgewock.

Tu, na tym przylądku, stało abenackie miasto Norridgewock. Gdy rzeka strząsała z siebie welon porannych mgieł, miasto kąpało się w słońcu. Okolice roiła się od pstrągów, łososi, niedźwiedzi, łosi, indyków i szopów. Gdzieś rosnęły kępy drzew liściastych. Norridgewock było najpiękniejszą osadą abenacką. Miało domy z obciosanych kłód i między domami ulice, jak u białych. Naokoło biegła wysoka palisada. Na północnej krawędzi miasta, w bezpośrednim sąsiedztwie wodospadu, stał drewniany kościółek z dzwonnica i krzyżem, gdyż za czasów Ojca Rale Abenakowie z Norridgewock cieszyli się sławą najpobożniejszego plemienia wśród Indian kennebeckich. Chociaż w moim mniemaniu odróżniali się od Abenaków z Wyspy Łabędziej i znad Androscoggin tylko tym, że w pewnym — na szczęście już minionym — okresie polowali zajadlej, niż tamci, na skalpy białych osadników.

Jeżeli wierzyć mojemu ojcu, nienawiść, jaką pałali Abenakowie do białych i do tej bandy chłodnych spekulantów bostońskich, zwanej oficjalnie „Plymuth Company”, była usprawiedliwiona.

Zatarg wynikł stąd, mówił ojciec, że obie strony wzajemnie się nie rozumiały. Przyrodzona dobrotliwość Abenaków starła się z przyrodzoną chciwością białych. Bóg świadkiem, że wszystko się we mnie przewraca, kiedy słyszę tę opowieść z ust Abenaków. Wchodząc do abenackiej chaty

z góry wiem, że zaraz zaczną się żale na białych, którzy Abenakom zrabowali ziemię. Niestety, ich opowieść zgadza się co do joty z relacją, którą mam od ojca. Przeto pozwolę sobie ją tu przytoczyć.

Cały kraj był wspólną własnością wszystkich Abenaków i każdy Abenak miał prawo użytkować każdy skrawek społecznego gruntu. Nigdy tego gruntu nie dzielono, wszyscy posiadali po równej części, a była to część urojona i nie dająca się określić. Żaden więc Abenak nie mógł sprzedać ziemi, która w równym stopniu należała do każdego innego Abenaka. Nie mógł nawet zrozumieć takiego układu rzeczy, że jeden człowiek skupia w swoim ręku wszystkie prawa do danego kawałka ziemi i jeżeli chce, wypędza z niej innych. Abenak tego nie pojmuje, podobnie jak nie pojąłby mój pies Łowca, gdybym mu pozwolił uganiać się za królikami tylko w obrębie określonych granic. Łowcy się wydaje, że świat należy do wszystkich.

81

Kiedy więc biały handlarz zwracał się do abenackiego sachema z prośbą o sprzedanie mu określonego terytorium, sachem rozumiał, że chodzi tu o prawo użytkowania tego terytorium, sam bowiem nic innego nie posiadał — o prawo polowania i łowienia ryb, o prawo zamieszkiwania tam wespół z innymi mieszkańcami. Dlatego Abenakowie w najlepszej wierze, chcąc dogodzić białym braciom, sprzedawali jeden i ten sam kawałek gruntu dwukrotnie i trzykrotnie. Te transakcje były nacechowane najlepszą wolą, nie ma bowiem ludzi uczciwszych i bardziej liczących się z uprawnieniami innych niż Indianie. Póki nie pojawili się w puszczy biali handlarze i koloniści, Abenak wieszał skórki bobrowe i wydrze gdzieś na bezludziu i odchodził, pewny, że nikt mu nic nie

ukradnie.

W ten sposób stało się, że Abenakowie sprzedali najlepsze swoje szlaki i tereny za bezcen — za baryłkę prochu, za butelkę rumu, za parę granatowych sukiennych spodni.

Stary Mattahannada, sachem, który rządził kennebeckimi Abe-nakami 'ha sto lat przed moim przyjściem na świat, sprzedał milion akrów nad dolnym Kennebekiem Williamowi Bradfordowi, udziałowcowi Plymouth Company, za dwie baryłki rumu i beczkę sucharów. Tylko półgłówek mógłby uwierzyć, że sachem — człowiek skądinąd mądry — za tak mizerną sumę wyrzeka się wszystkich swoich i plemienia swego praw do milionowego obszaru. Najniższa cena skór bobrowych, jaką utargowali u Abenaków najwięksi zdziercy, wynosiła derkę za dwadzieścia funtów skór, pąsowe sukienne ineksprymable za piętnaście funtów i bluzę albo koszulę za dziesięć funtów.

Powtarzam: Indianie sprzedawali osadnikom prawo polowania i łowienia ryb, a nie ziemię. Każdy biały, kupujący grunty u Indian, doskonale o tym wiedział, ale dawał im do podpisania umowę, którą każdy sąd uznałby za pełny akt sprzedaży.

Gdyby Plymouth Company było dziś w pełni sił, jak za owych dni, kiedy jego udziałowcy namówili gubernatora Shirleya z Massachusetts, aby pobudował forty na Kennebecu, nie ośmieliłbym się napisać tego wszystkiego. Ha, prezydium Plymouth Company urządziło w swoim czasie pościg za Rogerem Williamsem i zapędziło go w serce puszczy kanadyjskiej, ponieważ ośmielił się publicznie oskarżać przezacne Towarzystwo o rabowanie ziemi Indianom. Niebezpieczni byli ci Bostończycy, umieli wykorzystać cudzą słabość, umieli naiwnym

zaimponować udaną pobożno-

82

ścią, toteż człowiek musiał z nimi, jak z jajkiem, jeżeli nie chciał stracić swoich skromnych posiadłości i dobrego imienia.

Natomiast nigdy w życiu nie groziło mi niebezpieczeństwo ze strony Norridgewoków, pomimo że Norridgewokowie uważani są za dzikusów, a panowie z Plymouth Company mają monopol na ogładę i chrześcijańską cnotę.

Kiedyśmy skręcili w pętlę rzeki i podjechali do malowniczego przylądka Norridgewock, między chatami zaroilo się od plam czerwonych i niebieskich. Wojownicy Norridgewoków, kiedy nie wybierają się na polowanie, chodzą w czerwonych i niebieskich tunikach, tak jak ich nauczył Ojciec Rale. Kobiety ubierają się w czerwone i niebieskie płaszcze sukienne, sięgające poniżej kolan, a na nogach mają oprócz mokasynów pończochy z białej skóry jeleniej. Głowy okręcają sobie cienkim sukniem, z tyłu ściągniętym w węzeł, z boków opadającym do pasa. Dzięki temu wyglądają o wiele ładniej niż inni Indianie.

Sachem Norridgewoków, Manatqua, był to starzec kompletnie łysy — zjawisko wśród Abenaków niezmiernie rzadkie. Chcąc zaradzić złemu, wyciął upolowanemu żbikowi kawałek skóry z pyska wraz z kępką wąsów i przylepił sobie żywicą do ciemienia. Rozdzielił kępkę na trzy kosmyki, tak jak dzieli się pukiel skalpowy, i każdy kosmyk ozdobił pasmem paciorków i orlim piórem. Wyglądało to sztucznie, a i sam Manatqua musiał czuć nie-naturalność swego uwłosienia, bo od czasu do czasu wspierał czoło dłonią, jak gdyby głęboko rozmyślając, i palcami muskał

krawędź przyklepionego skrawka żbiczey skóry. Nie wierzył, że się trzyma.

Jakaś dwudziestka Norridgewoków zeszła na brzeg, w ich liczbie Manatqua. Widząc ich, pomyślałem sobie, że pewno chcą nam uniemożliwić lądowanie. Ustawili się półkolem na nadbrzeżnym żwirze, ponuro patrząc przed siebie, bez oznak radości w twarzach. Ojciec wyciągnął otrzymany niegdyś od nich paciorkowy pas, wyskoczył na brzeg i pokazując pas Manatqui, wyrzekł abenacką formułę powitania: — Jesteś moim przyjacielem.

Odpowiedź powinna była brzmieć: „Zaprawdę, jestem twoim przyjacielem”. Ale Manatqua nie wyrzekł tych słów, tylko z wyrazem głębokiej zadumy dotknął swego sztucznego pukla i powiedział: — Wypatrywaliśmy ciebie przez czas dziesięciu słońc. — Takim kwiecistym stylem zwykli przemawiać Norridgewokowie.

83

—Kuzynie — rzekł mój ojciec potrząsając pasem przed nosem Manatqui — przynoszę ci pas, który niegdyś otrzymałem od twego ludu za to, że przysłał wam ziarno, kiedy nie mieliście ziarna i kiedy nie mieliście skór, aby kupić ziarno. Dziś przychodzę z tym pasem w ręku i oto spotykają mnie nachmurzone twarze. Czyżbym wam nasypał piasku do niedźwiedziego smalcu?

Kuzynie — dalej mówił ojciec — nie muszę być mędrcom, aby poznać, że rozmawialiście z Francuzem Guerlakiem. Nakłamał wam o mnie. Przyjęliście słowo obcego człowieka przeciwko przyjacielowi, któremu daliście pas. Uczyniliście to, nie czekając na wyjaśnienia przyjaciela. Mały to przyniesie zaszczyt Manatqui i plemieniu Norridgewoków, jeżeli będą poddawać się każdemu powiewowi wiatru, jak dym nad wigwamem.



Rozejrzał się po półkolu twarzy i wsunął sobie wampum za gors bluzy.

- Jesteś moim przyjacielem — rzekł ponownie do Manatqui.
- Zaprawdę — niechętnie odpowiedział Manatqua — jestem twoim przyjacielem, ale Francuzi są braćmi Manatqui i jego ludu. Mój przyjaciel znieważył naszego brata, francuskiego kapitana, i podniósł nóż przeciwko innemu naszemu bratu, który z siedzib naszych przewędrował do St. Francis. Mój przyjaciel zranił go tak dotkliwie, że nasz brat leżeć musi na twarzy.

Ojciec zachnął się. — Kuzynie, wasz brat nie mógł usiedzieć w siedzibach waszych i powędrował do St. Francis. Czyż więc powinniście lamentować, gdy, doznawszy ode mnie rany, nie może usiedzieć w czólnie?

Ucieczki czerwonoskórych wojowników z Norridgewock do St. Francis zdarzały się bardzo często. Wierni ojczystym siedliskom Abenaków czuli się dotknięci tym brakiem patriotyzmu, pomimo że uciekali przeważnie wojownicy kłótlivi i krnąbrni, przeto niepotrzebni plemieniu. Kiedy więc ojciec mój wypowiedział ostatnie słowa, zapanowała cisza. Nagle jakaś squaw zachichotała głośno, daremnie usiłując ten chichot pokryć kaszlnięciem.

Manatqua rzucił jej mordercze spojrzenie, ale przemówił do nas: — Kuzynowie, przejdźmy do Długiego Domu. Tam przynajmniej nie będzie nam przeszkadzało w rozmowie terkotanie krasek.

Ruszył w kierunku chat, ojciec i ja obok niego. Tymczasem Natawammet, Woromquid i Hobomok przenieśli czólno do pustej chaty i nakryli nim nasze toboły.

Ojciec nie zasypiał gruszek w popiele. Słyszałem, jak przemawiał do Manatqui: — Kuzynie, przed kilku księżycami przybył do wigwamu naszego człowiek z Bostonu. Na głowie miał piękne włosy. Te włosy nie należały do niego, a przecież wyglądały jak prawdziwe. Codziennie rano przyklejał je sobie do głowy woskowym opłatkim. Codziennie wieczorem odklejał i kładł na krześle. I żaden wiatr nie zwiewał mu ich z głowy.

- M'teulin! — zawołał sachem, dotykając palcami swego pukla.
- Nie — odparł ojciec. — Bostończycy wyrabiają takie włosy, podobnie jak wyrabiają koszule. Jeżeli pošlesz mi przez wojowników skóry bobrowe, a sam udasz się ze mną do Arundel po pieniądze, farby i koszule, napiszę do Bostonu, aby sporządzono dla ciebie takie sztuczne włosy.
- Bracie — zapytał sachem — jakiego koloru są te włosy?
  - Jakiego chcesz — odparł ojciec. — Mogą być czarne albo białe. Nawet czerwone. Chyba że wolałbyś zielone albo niebieskie.

Sachem nic nie odpowiedział, ale wydało mi się, że w oczach jego zamigotał ogień pożądliwości. Któregoś ze spotkanych chłopców posłał stary na dzwonnice i kazał dzwoniem zwołać wojowników. Weszliśmy do domu narad, który nie był ani trochę większy od innych chat, a różnił się od nich tylko tym, że na podłodze leżało więcej skór do siedzenia i panował silniejszy odór. Ojciec dał Manatqui pasmo tytoniu, które ten rozgniół i wkruszył do urny, zawierającej sproszkowane liście sumaku i czerwoną korę wierzbową. Tak przyprawiony tytoń lepiej smakuje Abenakom, chociaż w paleniu cuchnie jak końskie kopyto przypieczone rozżarzoną podkową.

Gdy wypalono fajkę, Manatqua przemówił do ojca życzliwszym tonem.

—Jesteś naszym przyjacielem — rzekł. — Wiemy o tym od wielu lat, od owej zimy, kiedy dałeś nam ziarno widząc, że nasze jest już zjedzone. Wiemy o tym również od naszych braci z Wyspy Łabędziej, wśród których żyłeś i którym nieraz udzielałeś pomocy. Ale przed dwunastoma słońcami przybył tu Francuz, o którym wspomniałeś, a także ośmiu naszych braci z St. Francis i mała dziewczynka. Pokazał nam rany swoich wojowników i szramę na własnym policzku, i rozdartą muszlę uszną, wszystko twoje dzieło. Jako braciom swoim w wojnie, przykazał nam, abyśmy skłonili cię do powrotu, jeśli aż tu przywiedzie cię pogoń; abyśmy podnieśli przeciwko tobie toporek, jeśli będziesz się upierał płynąć

85

dalej. Powiedział nam, że otrzymamy za to nagrodę od białego wodza, który jest w Quebecu.

Kuzynie — dalej mówił Manatqua — byłeś w ubiegłych latach naszym bratem, nie możemy więc podnieść toporka przeciwko tobie. Ale jeśli nie potrafimy skłonić cię do powrotu, ucierpimy podwójnie. Dzisiaj cierpimy od Bostończyków, którzy zapuszczają się coraz dalej w głąb naszego kraju, budując forty i niszcząc zwierzostan, tak że coraz nam trudniej się wyżywić. Jeżeli nie potrafimy skłonić cię do powrotu, biały wódz, który jest w Quebecu, wyśle przeciwko nam oddziały karne albo zamknie przed nami granice swoich ziem, kiedy z tych już zostaniemy wyparci.

Dotknął palcami ciemienia.

—Kuzynie. Spójrz naokoło. Widzisz, ile pustych chat. Gdyś nawiedził nas poprzednim razem, mieszkali w nich wojownicy.

Przenieśli się oto do St. Francis, aby żyć pod rozkazami białego wodza, który jest w Quebecu. Tu bowiem twoi bracia z południa utrudniali im polowanie. Kuzynie, wysłuchałeś myśli naszych. Teraz chcielibyśmy wysłuchać twoich.

Gdybym umiał czytać w twarzach, wiedziałbym, jeszcze zanim ojciec mój wyrzekł pierwsze słowo, że Abenakowie nie czują do niego złości, gdyż ich głowy były nieco wysunięte naprzód, usta rozchylone, a w oczach widniało przyjazne zaciekawienie. Wtedy jednak byłem za młody, aby to ocenić, i aż drżałem z obawy, że nie puszczą nas w dalszą pogoń za Mary.

Ojciec przewiązał sobie ramię pasem, otrzymanym od Norridge-woków. Kiedy więc potrząsał pięścią, aby podkreślić wagę swoich słów, biało i niebiesko migotały Abenakom przed oczami ich własne dziękczynne hieroglify.

- Bracia! — rzekł. — Nie raz i nie dwa słyszałem z ust abe-nackiego narodu gorzkie słowa o białych, ponieważ biali są kłamcami. Słusznie. Ale znacie mnie i znają mnie wasi bracia z Wyspy Łabędziej. Nie tylko kupowałem od was skóry, ale i nie szczędziłem wam dobrych rad. Sami wiecie najlepiej, czy jestem kłamcą, czy nie. Co zaś do francuskiego kapitana, który zatrzymał się u was przed dwunastoma słońcami, to jest on kłamcą. Nie oskarżam go o to, że wszystko mówi kłamliwie. Nie twierdzę, że kłamliwie podał wam swoje imię lub cel podróży, chociaż i to mogło się zdarzyć. Powiedz mi, bracie, jakie on wam podał imię, abym wiedział, czy nie zostaliście okłamani również w tym względzie.
- Na pewno nie — odrzekł Manatqua z chytrym uśmiechem —

ponieważ wypytałiśmy po kolei wszystkich braci z St. Francis, którzy mu towarzyszyli. Potwierdzili jego słowa. Nazywa się Henri Guerlac de Sabrevois, jest kapitanem w pułku pułkownika Bearn, posiada wielkie bogactwa za oceanem, a niedawno zakupił ziemię na Wyspie Orleańskiej.

Ojciec podniósł brwi. — W tym was nie okłamał. Ale przypuszczam, że kłamliwie podał cel swojej podróży.

— Nie, nie! — zaprzeczył Manatqua. — Tropił oficera z Leśnego Batalionu — oby wszystkich Leśnych pożarł Wiwilmekq! Widzieliśmy tego oficera. Przepłynął koło naszego przylądka w ostatnich dniach Wikkaikisoosu, księżyca, który wyrzuca na piasek węgorze. Zatrzymał się, aby zalać smołą szwy swego czółna, i znikł niby cień obłoku. Płynął w małym, lekkim czółnie. Miał jednego wiosłarza — Mohegana ze Stockbridge.

Ojciec zaśmiał się. — Tropił oficera z Leśnego Batalionu! Nie wierzę! Cóż ten oficer robił w tych stronach? Uganiał się za czarodziejskim mieszkem Glooskapa? Zawracanie głowy!

Słyszając te słowa, słuchacze również się roześmieli. Bo według abenackiej legendy czarodziejski mieszek Glooskapa więzi w sobie tysiąc pięknych dziewcząt, gotowych zasypać pieśczołami tego wojownika, który je niebacznie wypuści na świat.

Manatqua potrząsnął głową. — Oficer dążył do Quebecu z listem do białego wodza Wolfe'a od białego wodza Amhersta, który jest w Crown Point. Zamierzał płynąć rzeką Richelieu i Rzeką Świętego Wawrzyńca, ale tam zagraadzały drogę francuskie pułki generała Bourslamaque, zakwaterowane na Isle Aux Noix. Dlatego obrał inną drogę — Z Crown

Point do Massachusetts, z Massachusetts do Kennebecu, potem przez Wysoki Łąd i z prądem rzeki Chaudiere.

Mój ojciec nie spuszczał oczu z Manatqui. — I Guerlac wiedział o podróży tego oficera? — zapytał niedowierzająco.

Manatqua miał niewyraźną minę. — Wiedział. Wiedział nawet o liście, z którym oficer podróżował. Mówił, że nic się nie zatai przed nim i przed białym wodzem, który jest w Quebecu.

Ojciec uśmiechnął się z politowaniem. Obróciwszy się do czerwonoskórych wojowników, zasiadających wkoło, rzekł: — Bracia, wysłuchajcie mnie. Słowa francuskiego kapitana były niemądre. On sam jest człowiekiem niemądrym. Do was mówił niemądrze i niemądrze zachował się w swoim domu. Sami osądźcie. Przed niewieloma dniami przybył do mojej gospody. Głupota jego sięgała tak daleko, że otwarcie okazywał nam swoją pogardę.

87

Mełł językiem jak Kwe-moo, nurek. W końcu nie mogliśmy już słuchać jego głupich słów. Był wśród nas gwałtowny człowiek, taki, jakich i u was się spotyka. Kiedy Francuz nie przestawał nam ubliżać, gwałtowny człowiek wstał i rzucił go w szlam łachy.

Abenakowie bili się ze śmiechu po udach, gdyż widok człowieka rzuconego w szlam jest bardzo przyjemny dla Indianina, którego nikt nie rzuca w szlam.

—Słuchajcie dalej, bracia! — mówił ojciec. Mając przy sobie ośmiu wojowników, Francuz napadł na bezbronno człowieka i porwał jego córkę, przyjaciółkę mojego syna. Ruszyliśmy w pościg za tym Francuzem, aby odebrać mu dziewczynkę. Starliśmy się

z nim i niewiele brakowało, abyśmy go zabili. Teraz Francuz przychodzi do was i skarży się, że został podstępnie napadnięty. Czy ja i mój syn walczymy nieuczciwie, kiedy porywamy się na dzie wzięciu wojowników? Jeżeli to się nazywa nieuczciwa walka, to wybaczcie, bracia, ale muszę być chyba olbrzymem, takim jak wielki duch Glooskap!

Bracia! — dalej mówił ojciec. — Francuz was okłamał. Okłamał was, kiedy groził w imieniu białego wodza, który jest w Quebe-cu. Dzisiaj w Quebecu jest francuski wódz Vaudreuil. On również jest niemądry, bo postępuje nieuczciwie i odejmuje chleb od ust swoim dzieciom. Jego białe dzieci nie rosną w liczbę, jak dzieci białego ojca, który jest w Anglii. Nie musimy badać łopatki żbika, aby przewidzieć, co się stanie w Quebecu. Za niewiele księżyców, chociaż dokładnie nie wiem ile, dzieci białego ojca, który jest w Anglii, zepchną francuskiego wodza w morze i nie będzie już francuskiego wodza w Quebecu. Jako wasz przyjaciel, radzę wam, abyście nic takiego nie czynili, co mogłoby gniewem zapalić dzieci białego ojca, który jest w Anglii. Albowiem liczbą dorównują one łososiom napływającym z morza w księżycu rybołówstwa, Amuswikisoosie.

Ojciec podniósł rękę do góry.

—Wysłuchajcie, bracia, jeszcze jednego mojego słowa. Udaję się na północ, aby spełnić, co mam do spełnienia. Ale niebawem powrócę. Jeżeli nagromadzicie dostateczną ilość skór bobrowych, wydrzych, a zwłaszcza skór wydr morskich, kupię je od was i za biorę Manatkę do Arundel, aby mu wręczyć pieniądze i towary. Zapłacę wam dwa razy więcej, niż płacą handlarze z Massachu setts Company. Za funt bobra dostaniecie osiem szylingów albo

dwa noże. Tomahawk za dwa funty, koszulę za cztery funty, parę szarawarów za pięć funtów, derkę za dziesięć funtów, muszkiet za dwadzieścia funtów i dalej w tym samym stosunku. To są dobre

88

ceny. Tyle płacę braciom moim, Abenakom z Ossipee. Zimy jeszcze nie ma, zdążycie więc zgromadzić dużo skór oprócz tych, które mi sprzedacie. Te inne skóry sprzedacie handlarzom z Massachusetts albo Clarckowi i Lake'owi, aby nie budzić w nich gniewu. Bracia, skończyłem.

Ojciec usiadł. W ciszy, jaka zaległa dom narad, wojownicy obliczali na palcach. Manatqua dotknął pukla skalpowego i wygłosił gwałtowne przemówienie, w którym raz po raz wspominał, jak to Anglicy okradli Abenaków z ziemi, wychwalał pod niebiosa dzielność Francuzów i dzielność Abenaków. Powiedziawszy parę słów o własnej dzielności wojennej i zręczności łowieckiej, potępił tych białych, którzy okłamują swych braci Abenaków, sprzeniewierzając się w ten sposób braterstwu.

Na zakończenie oświadczył, że słowa białego brata z południa wydają mu się szlachetne i mądre. Nie ma żadnych co Ho tego wątpliwości, że jego wojownicy zgodzą się posłać skóry bobrowe do Arundel. On sam chętnie uda się do Arundel ze swoim białym bratem, aby przywieźć farby, muszkiety i koszule, które tak się przydadzą jego rodakom w okresie śniegów.

Przemówienie przyjęto okrzykami radości. Natychmiast poczyniono przygotowania do uczyty i tańca.

Mgła, która jesienią unosi się z fal Kennebecu, jest zimna i przejmuje do szpiku kości. Squaw porozniecały ogniska na niebrukowanej ulicy



pomiędzy domami, abyśmy mogli wygodnie rozsiąść się po obu stronach. Z chat przyniesiono rogoże do siedzenia. Nad ogniskami zawieszono trzy kotły: w jednym warzyła się ma-małyga, w drugim pstrągi, w trzecim zwierzyna. W żelaznych talerzach kobiety wyrabiały placki z kukurydzy. Indiańskie squaw umieją pieczywu z kukurydzy nadawać przedziwną kruchość i delikatność. Ziarna kładzie się na dużym kamieniu i rozciera małym.

Cidy 7 uczyły zostały zaledwie okruchy, wojownicy odtańczyli Taniec Bobra, taniec, wykonywany tylko jesienią, bezpośrednio przed wielką obławą na bobry.

Kiedy tańczyli, powiewały im zatknięte za pasem skórki bobrowe. Na głowach mieli zasuszone lotki ptasie, a w rękach kijki białej brzozy, którymi grzechotali rytmicznie. Kobiety, siedzące rzędem pomiędzy ogniskami a tancerzami, trzymały tykwy napełnione suszonym grochem i potrząsając nimi, naśladowały szum wody przelewającej się nad tamą bobrów. Chcąc oddać chlupnięcie wody, trzepniętej płaskim ogonem bobra, uderzały się po nagich udach.

89

Między tancerzami uwijali się dwaj m'teulinowie okryci zwisającymi z głów skórami rosomaków. Hobomok mi wytłumaczył, że symbolizują oni Loksa, chochlika indiańskiego, złośliwe zwierzątko. Płatali tancerzom i kobietom tak zabawne psikusy, że aż serce mnie bolało ze śmiechu. Hobomok powiedział, że to jeszcze nic, że m'teulinowie Norridgewokow zagubili dawny kunszt czarodziejski, ponieważ dali się nawrócić na wiarę Boga, którego im zachwalał Ojciec Rale. Jego ojciec, m'teulin Wyspy Łabędziej, zna lepsze kawały. Gdybym go zobaczył w roli Loksa w Tańcu

Bobrów, pękłbym ze śmiechu.

Nieraz później zauważyłem, że Hobomok krytykuje wszystkich m'teulinów, a uznanie ma tylko dla siebie i swojego ojca. Myślę, że gdyby nie poczucie synowskiej lojalności, nawet ojcu swemu zacząłby przyganiać.

Po tańcu Manatqua odprowadził nas do chat, które nam wyznaczono, i muskając pukiel skalpowy, zapytał z zażenowaniem, czy można by z Bostonu sprowadzić dwie fryzury: jedną czarną, drugą w kolorze cynobru? Ojciec oznajmił, że oczywiście, załatwi to, i jeżeli Manatqua sobie życzy, może również dostać perukę cętkowaną, jak skóra młodego jelenia, lub malowaną w różnobarwne kółka. Później, kiedy byliśmy sami, powiedział mi ze śmiechem, że nie daje wiewiórczej skórki za życie tego wojownika, który by chciał odwieść Manatque od podróży do Arundel.

Nazajutrz o świcie squaw dały nam mamałygę i placki kukury-dzane. Gdy słońce wzeszło, okrążyliśmy pieszo wodospad Norrid-gewock. Zimne, szare chmury wisiały nisko nad rzeką. Fale niespokojnie uderzały o burty czółna, coraz częściej, coraz dłuższymi szlakami lądowymi trzeba było okrążyć bystrzyny.

Pierwszego dnia zrobiliśmy dziesięć mil niemieckich. Wybiegając naprzód podczas naszych lądowych przepraw, Hobomok zdołał ustrzelić na wieczerzę tuzin kuropatw i szopa. Tej nocy zaobozowaliśmy nad strumykiem u stóp Góry Cukrowej, gdzie Kennebec skręca na wschód. Na zachód biegnie szlak lądowy, długi na dwanaście mil angielskich, do Martwej Rzeki. Ułożyliśmy się na posłaniu z gałęzi jodłowych, jeden obok drugiego, a u stóp naszych płonął ogień.

W powietrzu pachniało już śniegiem. Lodowaty ziąb przenikał nas na

wskroś. Kiedy nazajutrz wyplątaliśmy się z legowiska, olśniła nas niespodziewana białość: pierwszy tegoroczny śnieg leżał już na sosnach, a z nieba wciąż jeszcze opadały wirujące płatki.

90

Na śniadanie mieliśmy pstrągi. Na każdą złowioną przez nas sztukę rzucał się Hobomok, oprawiał ją kilkoma ruchami zręcznych palców, wbijał na szpikulec klonowy i zawieszał nad ogniem.

Szybko przebyliśmy szlak lądowy. W mokasynach mieliśmy sucho, bo śnieg jeszcze nie przeniknął pod olbrzymie sosny.

Przed południem spuściliśmy kanadyjkę na Strumień Bagienny i spłynęliśmy w czarny, powolny nurt Martwej Rzeki. Sunąc od zakrętu do zakrętu, osiągnęliśmy ten odległy punkt, na myśl o którym drży każdy wędrowiec zmierzający do Quebecu — ów sławny Wysoki Łąd.

Gdy słońce stało w zenicie, dotarliśmy do przylądka, który rzeka okrążyła półkolem, płynąc na południe. Śnieg przestał padać, wobec tego wylądowaliśmy, aby rozpaścić ogień i zagrzać sobie coś do jedzenia. Ojciec zwyczajem swoim przywarł do skarpy brzegu i zaczął powoli wychylać głowę, spodziewając się zaskoczyć jelenia albo łosia. Nagle, ku wielkiemu mojemu zdumieniu, krzyknął przeraźliwie, jednym susem znalazł się na wyżynie i pobiegł co sił na przełaj przez polanę.

Biegąc za nim, ujrzałem na przeciwnym krańcu polany, na tle sosnowego zagaju — jelenia, młodego, silnego rogacza, a u jego szyi młodego Indianina, długiego i chudego jak szczapa, odzianego tylko w zapaskę i mokasyny. Indianin trzymał się kurczowo płowych kudłów, usiłując przeciąć nożem gardziel zwierzęcia. Jeleń skoczył i stanął dęba. Kiedy pochyliłem muszkiet, aby podsypać prochu na panewkę, ramię

Indianina ześlizgnęło się z jeleniej szyi. Upadł. Kopyto zwierzęcia ugodziło go w bok i natychmiast, jakby za sprawą czarów, dookolny śnieg zabarwił się czerwienią. Rogacz stanął dęba po raz drugi. Ojciec biegł przed siebie krzycząc i wymachując ramionami. Przebył zaledwie połowę polany.

Wiedząc, że kopyta jelenia są ostre jak nóż skalpowy, zanim zwierzę zdążyło ugodzić powtórnie, wycelowałem mu w grzbiet i wypaliłem. Szczęśliwie kula trafiła w sam środek łopatki. Zwaliło się w poprzek chłopca całym ciężarem tułowia. Ojciec podbiegł, przeciął bestii gardło i odciągnął ją na stronę. Indianin nie był starszy od Hobomoka. Wzięliśmy go pod pachy i przenieśliśmy na suche miejsce, ułożyliśmy pod kępą jodeł.

## VIII

Natawammet obłupił rogacza ze skóry, Hobomok rozniecił ogień, a Woromquid i ja nacięliśmy gałęzi jodłowych na lego-

91

wisko. Ojciec przyniósł derki i wydobył z tobołu kilka igieł, aby zeszyć ranę. Po operacji okręciliśmy Indianinowi rozplątany bok pasmami zielonego mchu, który porasta zmartwiałe pnie. Chłopak był chudy, tylko skóra i kości, a postrzępione mokasyny świadczyły, że odbył daleką drogę. Brzuch miał wzdęty, zapewne od dawna już nie dojadał.

Ojciec wyjął z jelenia wątrobę, owinął ją płatkami tłuszczu, wsadził na szpikulec i potrzymał nad ogniem. Kiedy się przypiekła, dał kawałek Indianinowi. Przygotowaliśmy wieczerzę dla siebie, ale zanim zasiedliśmy do niej, ojciec dał Indianinowi jeszcze kawałek wątroby, małe kawałtko, w sam raz tyle, żeby go nie przyprawić o mdłości. Przełknąwszy tę

odrobinę, chłopiec zasnął. Kiedy się obudził, ojciec dał mu jeszcze parę kęsów i dopiero potem zapytał, co zacz, skąd i po co.

Powiedział, że na imię mu Natanis. Zrazu nie bardzo chwytałyśmy jego słowa, ale wsłuchawszy się, zaczęliśmy rozumieć. Przybywał z osady St. Francis, znad Rzeki Świętego Franciszka, która przepływa na zachód od Quebecu. Wprawdzie jego dziadek należał do abenackiego szczepu Pennakuków, osiadłego nad rzeką Merrimac, ale w mowie chłopca wyczuwało się nalot francuszczyzny. Jego szczep miał do czynienia z francuskimi kapłanami i handlarzami.

W ubiegłym miesiącu — mówił — angielski generał, który dowodzi wojskami na jeziorze Champlain, posłał do St. Francis dwóch oficerów z podarunkami prosząc, aby pozwolono im udać się do Quebecu. Ale wojownicy z St. Francis, zamiast zadość uczynić tej prośbie, pochwycili wysłanników, zawieźli ich do Montrealu i wydali Francuzom. Wówczas angielski generał, srodze rozgniewany, wysłał Leśny Batalion Majora Rogersa w sile dwustu ludzi dla zniszczenia osady.

Po nieprawdopodobnie długim i nieprawdopodobnie szybkim marszu Leśni przed samym świtem napadli na osadę, wybili ludność i spalili domy. Między innymi poległ ojciec Natanisa, matka i siostra. Brat i druga siostra dostali się do niewoli i musieli pomaszerować z Leśnym Batalionem. Kto uniósł głowę na plecach, ten uciekał w lasy albo płynął Rzeką Świętego Franciszka ku Rzece Świętego Wawrzyńca. Kiedy Natanis dotarł do Rzeki Świętego Wawrzyńca, miał na sobie tylko zapaskę i mokasyny i był bezbronny. Ruszył dalej z prądem rzeki, zamierzając dopłynąć do Quebecu, gdzie wśród załogi spodziewał się znaleźć kilku znajomych Abenaków. Ale ujrawszy, że Kanadyjczycy

uciekają w popłochu, kryją się po lasach i prą w górę rzeki całą flotyllą łodzi i czółen, nie śmiał się przeprowić.

- Uciekają? W popłochu? — zapytał ojciec. — Dlaczegoż oni uciekali?
- Montcalm poległ. Francuskie wojsko zostało wyparte za Rzekę Świętego Karola i Wolfe wziął Quebec.

Ojciec wstał. Twarz miał ponurą. Skierował się ku naszej kanadyjce, leżącej na piasku. Nie wiedząc, co mu się stało, poszedłem za nim. Pogmerawszy w tobołku, wyciągnął flaszkę rumu.

—Stefku — rzekł. — Rum to zaraza. Wiesz, jak serdecznie go nie znoszę. Unikaj rumu, bo w jednym galonie tego trunku jest więcej trucizny, niż w kadzi napełnionej piekielnym ogniem. Ale widzisz, Stefku, są w życiu chwile, kiedy albo człowiek zrobi ja kieś głupstwo, albo pęknie. Myślę, że taka chwila właśnie na deszła.

Podniósł flaszkę do góry. Była pełna. — Zdrowie Wolfe'a! — rzekł. — To morowy chłop. Była jedna szansa na milion, że Quebec padnie. I on właśnie tę szansę wykorzystał. Zdrowie Wolfe'a! Zdrowie człowieka, który wziął Quebec!

Przechylił flaszkę. Zabułgotało jak w rynnie podczas ulewy.

Oderwał flaszkę od ust i krzyknął. Z kolei podał ją mnie.

—Wiesz, co o tym myślę, Stefku. Nigdy nie pij więcej, niż musisz. Miarkuj się, bo wystawisz się na śmiech. I nie mów, że ja patrzałem na to przez palce. Ale musi nadejść taki dzień, kiedy pociągniesz sobie z butelki, jak każdy przyzwoity człowiek. No

to masz, skosztuj. Będziesz przynajmniej pamiętał, że pierwsza kropla rumu, jaka przeszła przez twoje usta, była toastem na cześć rudego Wolfe'a, który wziął Quebec. Lepszej okazji nie znajdziesz.

Nachyliłem flaszkę. Zatkanęło mnie. Odtąd nigdy już nie dałem się przekonać do rumu, chociaż, nie przeczę, piło się czasami dla rozgrzewki.

Ojciec schował flaszkę do tobołka i ogarnął mnie zamyślonym spojrzeniem. — Właściwie powinienem jeszcze się napić. Powinienem wypić do dna, a potem połknąć butelkę. Pomyśl, co to znaczy, Stefku! Już nie będzie więcej doskwierał nam Francuz. Skończy się wojna. Skończą się rzezie kobiet i dzieci, skończą się zasadzki na Bogu ducha winnych wędrowców. Już nie będą Indianie równali naszych domów z ziemią. Kiedy twoja matka zechce wyjść spoza palisady i złożyć wizytę sąsiadom, nie będzie musiała się bać, że lada chwila wyskoczy z krzaków czerwony małpolud i łupnie ją w głowę toporkiem. Jestem wrogiem mocnych

93

napojów, wiesz o tym, Stefku, ale łyknę, łyknę za zdrowie twojej matki. Niech żyje sto lat!

Ponownie sięgnął po flaszkę i pociągnął z niej parę tęgich haustów. Tym razem obeszło się bez krzyku. Wróciliśmy do ognia, przy którym leżał Natanis. Indianie tak się zachowywali, jakby nie słyszeli krzyku ojca przy pierwszym toaście.

Ojciec dał Natanisowi plasterek wątroby i poklepał go po ramieniu. — Dobrze mówisz. Powiedz nam teraz, czy nie widziałeś francuskiego kapitana Guerlaca, który podróżuje z małą dziewczynką i oddziałem braci twoich z St. Francis?

Natanis odrzekł: — De Sabrevois. On się nazywa de Sabrevois, nie

Guerlac. Wielki pan i wielki kapitan. Podróżuje w towarzystwie swojej małej siostrzyczki. Został ranny w policzek i ucho podczas starcia z Bostończykami. Bostończyków był cały oddział, a on ich odparł sam jeden, bez niczyjej pomocy.

Najbliższa wzmianka o Mary wystarczała, aby wycisnąć mi całą krew z serca.

Ojciec trącił mnie łokciem, abym milczał. — To ten — rzekł. — Gdzieżeś go spotkał, bracie?

Natanis, jak to Indianie, nie umiał skracać się, lecz opowiadał wszystko od początku. Podobnie moja matka, zanim oznajmi, że widziała na podłodze mysz, przedtem opisze porę dnia, swoje zajęcia, wrażenia i myśli, a nawet wyliczy, kto właśnie był w domu, a kogo nie było.

Natanis nie miał ognia. Wreszcie znalazł w strumieniu pręgo-watego węża. Z jego skóry ukręcił cięciwę, naciągnął ją na giętką gałąź i obracając tym zaimprovizowanym łukiem, skrzesał iskrę. Brnąc przez strumienie, palcami łowił pstrągi, ale niewiele tego było i prawie wszystko drobiazg, bo grubsze sztuki wspięły się już do Rzeki Świętego Wawrzyńca. Noce były zimne. Natknąwszy się na czarnego niedźwiedzia, usiłował go zabić maczugą z brzozowego korzenia i ściągnąć z niego skórę. Ale maczuga pękła i niedźwiedź uszedł z życiem. Obłąpić zamierzał niedźwiedzia oszlifowanym krzemieniem, który się do tego celu nadaje lepiej niż nóż, bo kraje skórę jak masło.

Nad brzegiem rzeki stała chata. Natanis zapukał do chaty i poprosił mieszkającego w niej Kanadyjczyka o nóż, ale ten, wyprowadzony z równowagi upadkiem Quebecu, odpędził go, pożegnał wystrzałem z muszkietu i poszczuł psem. Bojąc się, że pies zerwie mu zapaskę, Natanis



uciekł.

Odtąd unikał chat. Trzymał się rękawa, który prowadzi do zle-

94

wu rzek Chaudiere i Świętego Wawrzyńca. Zamierzał pójść w górę Chaudiere, z tym że albo dotrze do południowych osad Abenaków, albo natknie się na zimowe oddziały myśliwskie znad Kennebecu. Przy ujściu Chaudiere obozowali Indianie. Okazało się, że jest to sześciu wojowników Guerlaca.

- Sześciu? — zdziwił się ojciec. — Zdawało mi się, że kapitan miał przy sobie ośmiu ludzi?
- Przedtem było ośmiu — rzekł Natanis — ale jeden, Eneasz, dostał strzałę w siedzenie, drugiemu, Sabatisowi, przebito łopatkę. Ci dwaj zostali z jednym członem przy Łańcuchu Stawów.

Sześciu natomiast, mówił Natanis, podjęło się dalej wieźć Mary i Guerlaca. Mieli we dnie spać w zaroślach, a nocami płynąć co sił z prądem rzeki, aż spotkają jakiś francuski statek albo też Guerlac znajdzie sposobność powrotu do Francji.

- Francuski kapitan — opowiadał Natanis — pragnął zarządzić majątkiem, który zostawił za wielką wodą, i umieścić swoją siostrę w klasztorze. Bardzo mu więc zależało, aby nie wpaść w ręce Anglików, którzy zabijają jeńców i zjadają dzieci.
- Kto ci to powiedział? — szorstko zapytał ojciec.
- De Sabrevois — odparł Natanis. — Ale tak mówią wszyscy Francuzi. Zwłaszcza od czasu, gdy pod Fortem William Henry sprawiono krwawą łaźnię angielskim jeńcom.
- Bajeczki, którymi można straszyć dzieci — rzekł ojciec. — Kiedy

przyjdzie pora obrachunku, zażądamy od Guerlaca zapłaty i za to. Mów dalej, synu. I pamiętaj, że my, którzy wyrwaliśmy cię spod kopyt jelenia i karmimy cię, abyś nabrał sił, jesteśmy również Anglikami i na pewno nie spodobalibyśmy się twojemu francuskiemu przyjacielowi.

Natanisowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Uśmiechnął się, kiwnął głową, przyjął od ojca kawałeczek wątroby i opowiadał dalej.

Poprosił wojowników o nóż i derkę. Dali mu nóż, ale nie chcieli dać derki, bo swoje derki pookrawali na ciepłe okrycie dla dziewczynki. Położył się przy ognisku. O zmroku widział, jak ruszyli w dalszą drogę. Nazajutrz spieszenie podążył przed siebie w obawie, że gonią go Leśni lub któryś z oddziałów Wolfe'a. Brzegiem Chaudiere dotarł do jeziora Megantic i w ciągu trzech dni przebył Wysoki Łąd. Szedł prędko, aby nie skostnieć z zimna. Zjadał, co miał pod ręką — to parę pstrągów, to jeżozwierza, to garść dereni, to szczyptę dzikich porzeczek.

Przy Łańcuchu Stawów nie znalazł ani Sabatisa ani Eneasza,

95

a czując, że opada z sił, nie odważył się na postój. U brzegów Martwej Rzeki trzykrotnie nacierał na tego samego jelenia. Czując w powietrzu zapach śniegu, postanowił zmęczyć bestię. Wiedział, że człowiek może wyczerpać siły jelenia, ścigając go po śniegu. Ale sam musi przy tym być w pełni sił.

Biegł przez cały dzień. W nocy spadł lekki śnieżek. Nazajutrz chłopiec znowu pobiegł za jeleniem. Był blisko, zaledwie o parę kroków. W pewnej chwili jeleni pozwolił sobie na zbyt długi przystanek i wówczas Natanis chwycił go za szyję. Był zbyt wycieńczony, aby się utrzymać.

Ostre kopyta rozniosłyby go na strzepy, gdyby nie nasza niespodziewana pomoc.

Natawammet, Woromquid i Hobomok, zajęci wykrobywaniem skóry i wcieraniem w nią popiołu, oświadczyli Natanisowi, że dokonał rzeczy zadziwiających. Bo doścignąć jelenia bez pomocy karpli i na tak płytkim śniegu to wielki wyczyn, godny wielkiego myśliwego. Rzeczywiście Natanis zasługiwał na podziw. Nie spotkałem Abenaka ani innoplemiennego Indianina, który by posiadał równie głęboką znajomość i wyczucie lasu.

Dowiedziawszy się, że Mary jest tam, dokąd ja nie sięgnę i gdzie wrogowie mogą z nią robić, co im się spodoba, doznałem takiego uczucia, jakby mi wyjęto żołądek i na jego miejsce wstawiono worek muszkietowych kul.

Ojciec zgadywał, co się ze mną dzieje. — Stefku — rzekł. — Pamiętaj, że świat się nie kończy z dniem dzisiejszym. Tego właśnie nie rozumieją Abenakowie i dlatego są tym, czym są: Indianami. Dlatego przegrają walkę z białymi. Po dniu dzisiejszym nastąpi jutrzejszy, a potem wiele, wiele jeszcze dni. Któregoś dnia znajdziemy Mary i Guerlaca, jeżeli naprawdę chcemy ich znaleźć. Stefku, to zupełnie pewne. Jeżeli się czegoś bardzo chce, jeżeli się do czegoś uparcie dąży, zawsze się osiąga cel.

Nie odezwałem się, tylko pociągnąłem nosem.

—A teraz, Stefku — rzekł ojciec — przypomnij sobie, że czeka nas matka, a Cytia i reszta sióstr z dnia na dzień spodziewają się naszego powrotu. Przy drzwiach kuchennych, jak zwykle, leży Łowca i Eunice. Natychmiast zbierzemy się w drogę

powrotną. Chciałbym jeszcze tylko zdobyć parę skórek bobrowych. Z uzyskanych za nie pieniędzy kupimy matce sztukę bostońskiego jedwabiu albo jakieś fatałaszki.

Poważnie spojrział mi w oczy, jakby rozmawiał z równym sobie.

—Jest jeszcze jedna kwestia, Stefku: ten Natanis. Nie wydaje mi się, aby opływał w rajskie rozkosze. Zapewne przyszłość

96

rysuje mu się przed oczami jeszcze mniej wesoło niż tobie, a ty mi nie wyglądasz na triumfatora. Pomyśl jednak: masz matkę, psa, siostry i wygodny, zaciszny dom. On nie ma nikogo i nic. Przed kilkoma dniami zabito jego rodziców i brata, spalono dom. Omal nie umarł z głodu, a i skóry nie wyniósł całej z tych opałów. Ręczę ci, że to są większe nieszczęścia niż strata dziewczyny. Nie wiem dokładnie, co sobie o takich rzeczach myśli młody Indianin. Ale znam duszę indiańskiej kobiety, Stefku, i chyba różnica nie jest wielka. Przypuszczam, że Natanis nie sypia po nocach i bardzo, bardzo cierpi.

Podeszliśmy do kanadyjki. — Ten Natanis wyświadczył nam wielką przysługę, większą, niż sądzisz. Oszczędził nam niesłychanie uciążliwej podróży — podróży, na którą nigdy bym się nie odważył, gdyby nie dane ci słowo; a pamiętaj, Stefku, że słowa trzeba dotrzymywać zawsze. Otóż myślę, że obaj winniśmy coś niecoś temu Natanisowi i że należałoby mu się odwdzięczyć. To dobry chłopak. Równie miłego Indianina nie spotkałem, a mam do Indian szczęście.

Po trzydniowym wytężonym marszu na czczo puścił się w pościg za jeleniem i dopadł go w końcu. Czy zauważyłeś, że wcale się tym nie chełpił? Gdyby Manatqua dokonał czegoś podobnego, na zawsze

zarzuciłby polowanie i tylko by siedział przed chatą, rozpowiadając o swojej dzielności. Inni chętnie by mu dawali jeść, powodowani błogą nadzieją, że mając zatkane usta będzie przynajmniej milczał.

Otóż — ciągnął dalej — radzę ci, abyś się zaprzyjaźnił z Na-tanisé, Stefku. Jeżeli chcesz, zostaniemy tu jeszcze przez parę dni, zbudujemy mu chatę, zaopatrzymy go w rzeczy najważniejsze. Przy sposobności zdobędziemy parę skórek bobrowych dla matki, a myślę, że i zabawimy się setnie.

Zatrzymał się u krawędzi nadbrzeżnego wzniesienia, spojrzął na rozśląneczony zakręt Martwej Rzeki, a potem na potężne barki Martwej, Góry — tej, która dzisiaj nazywa się Bigelow. Zdawała się zagradzać nam powrotną drogę do domu. Porastające ją sosny mieniły się bielą szronu i zielenią igieł w popołudniowym słońcu, a klony u jej stóp barwą przypominały cynober na twarzy indiańskiego wojownika. Gdzieniegdzie przez tę czerwień przedzierały się żółte płomienie brzoź. Z wysokości przyłądka widzieliśmy, jak na dłoni, górny i dolny bieg rzeki, gdyż zakręt był tu ostry. Po czarnej wodzie rozchodziły się kręgi, wskazujące na obecność ryb. Dalej nieco migotały na powierzchni

97

fale podobne do szerokich żelaznych grotów: to pływały pod wodą wydry i norki. Z zarośli wyszła łosica z łosiątkiem. Rozgrzebała kopytem cienką warstewkę śniegu, szukając paszy.

—Pierwszorzędna okolica — zauważył ojciec. — Król Anglii nie ma dogodniejszych terenów łowieckich. Mógłbyś się niejedynej rzeczy nauczyć od Natanisa. No, ale jeżeli ci ten plan nie odpowiada, wymyślimy coś innego.

Wróciliśmy do Natanisa. Ojciec dał mu jeszcze trochę wątroby i poradził zasnąć. Powiedział, że wieczorem dostanie większą porcję, a jutro może nawet zjeść całego łosia, razem z kopytami i rogami.

Natanis uśmiechnął się i zamknął oczy. Wówczas ojciec polecił mi znaleźć i ogrodzić odpowiednie miejsce pod budowę chaty — gdzieś na drugim końcu polany, na wzgórku lub w pobliżu źródła. Chata powinna być położona w ten sposób, żeby istniało tylko jedno do niej dojście: przez polanę. Wówczas przyjaciel zostanie w czas spostrzeżony, a wróg narazi się na celną kulę.

Natawammet i Woromquid wywrócili czółno do góry dnem i oparli je na palach. Nacięli gałęzi jodłowych i splekli je, umocowując iglaste końce na dziobie i rufie — tak powstał szałas, z trzech stron zamknięty, a z przodu dostępny ciepłu ogniska. O zachodzie wznosił się już przed nami stos świeżych polan. Powiesiliśmy nad ogniem zatknięte na drewnianych roznach kawałki zwierzyny. Hobomok wyciął z brzozonej kory talerze i wazę na niedźwiedzi smalec z cukrem.

Natanis z zazdrością patrzył na naszą ucztę. Ale ojciec dał mu tylko porcję wątroby.

—Słuchaj, synu — rzekł — udzieliłeś nam pożytecznych wiadomości. Odwdzięczę się, jak tylko będę mógł, a i dobrej rady nie poskąpię. Okolice, do których przybyłeś, obfitują w zwierzęta: w bobry, wydry, łosie, jelenie i ryby. Nie brak tu drzewa na opał i budulec, słońce przygrzewa równomiernie, a ludziom, skorym do kradzieży cudzych gruntów, za daleka droga. Jeżeli ciągnie cię na południe, możesz udać się ze mną do Norridgewock albo na Wyspę Łabędzią, gdzie mieszka dużo Abenaków. Radzę

ci jednak zostać tu. Na południu biali z każdym rokiem głębiej się wrzynają w ziemię zamieszkiwane przez czerwonych i wypłaszają zwierzynę. Bobry i jelenie z dnia na dzień robią się trwożliwsze i uciekają w mateczniki, gdzie trudniej je wytropić. Tu bobry i jelenie nie obawiają się zagłady. Radzę ci zostać i zamieszkać w chacie, którą zbudujemy. Poproszę również Natawammeta

98

i Woromquida, aby przezimowali tu i pomogli ci chwycić bobry i wydry. Nigdzie w pobliżu Androscoggin nie znajdę takiej obfitości futer. Nie będziesz więc samotny. Gdy śniegi roztają, ujrzycie przed sobą wielki stos nagromadzonych skór. Skóry te kupię od was i zapłacę tyle, że chyba nigdy w życiu nie zbraknie wam koszul, szarawarów, muszkietów, sideł, noży, kotłów i tomahawków. Chata pozostanie jako widomy znak, że w nieobecności waszej nikomu nie wolno przywłaszczać sobie ziemi. Kiedy skóry pójdą w świat, Natanis będzie mógł dalej sobie tu mieszkać. Zbudujemy czółno, zostawimy w chacie zapas prochu, śrutu, noży, toporków, grotów i cięciw. Zostawimy wszystko, co nie jest nam nieodzowne w drodze. Na wiosnę zapłacicie mi w skórach. Pomyślcie nad tym, co proponuję, i rzeknijcie słowo.

—Ojcze — rzekł Natanis. — Zostaję. Z radością i wdzięcznością.

Ojciec machnął ręką na znak, że nie życzy sobie żadnych podziękowań, i spojrzał pytająco na Natawammeta i Woromauida. Zanim ci zdołali odpowiedzieć, Hobomok złożył ręce na brzuchu i rzekł: — Ja także zostaję. Przyglądałem się rybom zamieszkującym tę rzekę. To są łososie.

—Dobra wiadomość — rzekł ojciec. — Ale ty wrócisz do swe

go ojca i będziesz się kształcić na m'teulina. Nauczysz się krzyku, od którego wszystko, co żyje, zdębieje z trwogi. Będziesz wielkim m'teulinem. Wolałbym cię tu zostawić, chociażby po to, aby zrobić na złość twemu ojcu, który przepowiedział, że wszyscy wrócimy razem, i abyś stracił trochę tłuszczu. Posłuchaj, Hobomoku, dobrej rady: postaraj się schudnąć. Patrząc na grubasa, trudno uwierzyć w jego czarodziejską moc.

Hobomok uśmiechnął się życzliwie. — Ojciec nie przepowiedział, że wrócimy wszyscy razem.

- Jak to! — zawołał mój ojciec. — Pamiętam jak dziś.
- Nie — rzekł Hobomok. — Ojciec przepowiedział, że wszyscy, którzy wyruszyli w tę podróż, powrócą zdrowi i cali, ale nie określił kiedy.
- Hobomoku — rzekł ojciec. — Masz zadatki na wielkiego m'teulina. Szkoda, abyś plamił sobie dłonie zwyczajną pracą. Wrócisz razem ze mną. I proszę, w czólnie bądź łaskaw nie robić mi czarów.

Natawammet oświadczył z żalem, że mógłby zostać tylko w tym wypadku, gdyby ojciec zatrzymał się na Wyspie Łabędziej i skłonił jego żonę do przybycia nad Martwą Rzekę. Woromquid zgo-

99

dził się od razu, ponieważ żona opuściła niedawno jego wigwam i wróciła do swoich rodziców, on zaś nigdy już nie chce oglądać na oczy innej kobiety, chyba że dopiero na wiosnę. Ojciec przyrzekł zobaczyć się z żoną Natawammeta i przysłać ją tu wraz z oddziałem myśliwych, którzy przywiozą również muszkiet dla Natanisa i na zimę derki, szarawary i mokasyny.

Nazajutrz rano Hobomok nałowił nam łososi: pięknych, dużych ryb, tak



ciężkich, że niebacznym łowcą, któremu palec zapłacie się w sznur, może zostać bez sznura i palca. Natanisowi pozwolono jeść mięso łososi, z tym zastrzeżeniem, że będzie jadł często, ale za każdym razem odrobinę. Patrząc *na* jego szaleńczy apetyt, miałem powody obawiać się, że w tydzień po naszym odjeździe w rzece nie zostanie ani jednego łososia.

Po południu Natanis, kuśtykając boleśnie, udał się ze mną do lasu. Jako dobry myśliwy, przede wszystkim obejrzał plac swojej walki z jeleniem, aby zbadać, czy nie popełnił jakiegoś błędu, i na przyszłość spisać się lepiej. Wziął z sobą łuk mojego ojca. Usiadłszy na pieńku, przyłożył wierzch dłoni do ust i dobył z krtani charakterystyczny głos, przypominający zdławiony krzyk. Spoza innego pieńka wyszedł szop i wpatrzył się w krzyczącego. Natanis chciał posłać mu strzałę, ale zaledwie szarpnął cięciwę łuku, odezwał się zboląły bok.

Z każdym dniem Natanisowi przybywało sił. Jadł a jadł, myślałem, że pęknie. Nawet kładąc się spać zawieszał sobie nad głową kawałek mięsa, później w nocy budził się i jadł. Zdarzyło się raz, że zwabiony zapachem mięsa jeżozwierz zajrzał do naszego szałas, kiedy leżeliśmy pogrążeni we śnie, potknął się o ojca i naszpikował mu nogę kolcami. Odtąd ojciec zabronił Natanisowi jeść w nocy.

Ojciec, Woromquid i Natawammet zajęci byli budową czółna z brzoźowej kory. Natanis, Hobomok i ja włóczyliśmy się po lasach, strzelaliśmy do bobrów i wydr, szukaliśmy lipowych korzeni na sidła i leki.

Żaden ze znanych mi myśliwych nie dorównywał Natanisowi w umiejętnościach podpatrywania przyrody. Dla niego las był pełen czytelnych znaków, jak dla nas ulice w Falmouth. Wierzchołki drzew,

mówił Natanis, zwracają się ku wschodowi. Konary najgęściej wyrastają po stronie południowej. Mech skupia się na północno-zachodniej powierzchni pnia i schodzi aż do korzeni. Czerwony księżyc wróży wiatry, a białe śnieg lub deszcze. Pamiętał wszystko, co raz zobaczył: miejsce, gdzie czerwone wie-

100

wiórki gromadzą się na ucztę z szyszek sosnowych; gałęzie, na których przesiadują czaple nocne; drzewa najchętniej nawiedzane przez kuropatwy; rysy i znaki na kamieniach; osobliwego kształtu gałęzie i konary. Raz zauważone szczegóły nieomylnie rozpoznawał, nawet podchodząc do nich z przeciwnej strony. Dlatego nigdy nie błądził w lesie, ale zawsze powracał tą samą drogą.

Twierdził, że zwierzęta i ptaki mają swoją mowę i że potrafi z nimi rozmawiać. Nie było w tym żadnej przesady. W lesie posuwał się cicho jak cień, uważnie stawiał stopę, przed każdym ruchem rozglądał się wkoło. Zdarzało się jednak, że sytuacja wymagała szybkich poruszeń lub porozumiewania się z towarzyszami łowów, a zarazem trzeba było wystrzegać się najłżejszego szelestu. W takich wypadkach Natanis wszczynał rozmowę z wronami. Zaczynał od monotonnego krakania. Krakanie grubiało, chrypło i milkło. Nie wiadomo skąd, zjawiała się wrona, kracząc zawzięcie. Wówczas Natanis powtarzał wezwanie. Odpowiadały mu inne wrony, coraz głośniej, coraz bliżej. Krążyły nad drzewami, rozwrzeszczane, roztrzepotane, podniecone. Podczas takiego nalotu, mówił Natanis, można chodzić szybko, nawet po zeschniętych liściach lub gałęziach, gdyż, zasłyszawszy trzask i szelest, zwierzęta lasu pomyślą, że to dwie wrony-samce biją się o samiczkę. Krążące nad

drzewami hałaśliwe towarzystwo nawołuje piękną pannę, aby puściła w trąbę gburowatych zalotników i wraz z krewnymi swymi powędrowała przez powietrzne szlaki.

Mówił, że kraska jest najgorszą plotkarką i wszystko wszystkim opowiada. Ma rozmaite wołania. Jedno znaczy: „Uciekajcie, idzie myśliwy”, inne: „Zbliża się rosomak”, inne znów: „Uwaga, jastrząb!” Natanis umiał naśladować te wołania.

Twierdził, że ranny królik wzywa inne zwierzęta na pomoc. Chcąc nam zademonstrować to wołanie, stulał palce w trąbkę, przykładał je do wysuniętych warg i hałaśliwie wsysał powietrze. Istotnie, ilekroć dobywał takiego głosu, natychmiast zjawiało się to lub inne zwierzę: zaniepokojony królik; wiewiórka, zła, mamrocząca niezrozumiałe przekleństwa, wywijająca ogonem; żbik, norka, rosomak wychylały głowy, oblizując się na myśl o krwawej pieczeni z królika.

Za najgadatliwsze stworzenia uważał Natanis wiewiórki i kuropatwy. Uważnie przysłuchując się wiewiórce, umiał określić, z kogo ona się natrząsa: ze żbika, lisa, jastrzębia czy człowieka. Przy niejkiej wprawie, twierdził, człowiek może się porozumiewać nawet z kuropatwami, dając im sygnały: grozi niebezpieczeństwo,

101

przerwijcie żer, albo: pochowajcie się, gdzie kto może, albo: niebezpieczeństwo minęło, wolno żerować dalej.

Bobry, mówił, porozumiewają się z sobą za pomocą zapachów. W tym celu samiczka bobra wyposażona jest w dwa zespoły gruczołów wydzielających dwa rodzaje zapachów. Natanis nazywał te gruczoły „korowymi” i „oleistymi”. Mieszanina wydzielin miała zwabić bobry do

wnyków, które sporządzał z pieńków, delikatnie powiązanych lipowym włóknem, tak że zapadały się za najlżejszym dotknięciem.

Na polowaniach nieustannie łązał Hobomoka za niedbałość i brak czujności. Mnie, twierdził, nie warto nawet upominać. Biali są mniej cierpliwi od czerwonych, nie potrafią trwać godzinami na czatach, nie chcą polować nago, a jak tu w ubraniu uniknąć hałaśliwego zahaczania o gałęzie? W dniu, poprzedzającym polowanie, jedzą ryby, a jak tu nie wystraszyć zwierzyny, kiedy od myśliwego z daleka jedzie rybim odorem? Właściwie w przeddzień polowania należy pościć, aby zmysły się wyostrzyły, a pożądanie zdobyczy wzrosło. Las, kędy się obrócić, pełen jest zwierzyny, ale zwierzyna ta ucieka przed człowiekiem. Na jedno zwierzę, spostrzeżone przez myśliwego, przypada dziesięć takich, które jego spostrzegły.

Często rozmawiał ze mną o Mary. Jego bystre oczy umiały czytać nie tylko w tajemniczej księdze lasu, ale i w moim sercu. *Co* dzień wspominał, jak to owinięto ją skrawkami derek, zszytymi na podobieństwo sukni; jak włosy jej, podczas przepraw lądowych nieustannie czepiające się gałęzi, obcięto przy skórze nożem myśliwskim; jak zdjęto jej zdarte trzewiki i nałożono mokasyny i indiańskie nogawice. Na szyi, twarzy i rękach — mówił — podrapana była od gałęzi, podczas posiłków nie chciała siedzieć przy De Sabrevois, ale wałęsała się po obozie z kawałkiem zwierzyny w ręku, przyglądając się Natanisowi i pokazując kapitanowi De Sabrevois język, ilekroć wołał ją do siebie. Te opowieści napawały mnie jednocześnie smutkiem i radością. Słuchałem ich wciąż z tym samym zaciekawieniem.

— Francuski kapitan zna puszcę kanadyjską, nie pozwolą mu więc

długo zostać za wielką wodą. Powróci, musi powrócić. Gdy przyjdzie czas, wspólnie złożymy mu wizytę, jeśli mój brat sobie tego życzy. — Często powtarzał to, widząc, jak odżywam na myśl o zemście.

Z końcem tygodnia Natanis był kompletnie urządzony. Rana jego zasklepiła się na tyle, że mógł chodzić bez bandaża. Chata

102

już stała. Była to obszerna chata z ociosanych pni drzewnych, między którymi szczeliny zatkaliśmy mchem. Pośrodku stał piec z kamieni, od którego piął się wzwyż komin z pozlepianych szlamem kijów. Wiatr szedł od zachodu, szorstki, lecz przyjemny. Był w nim jakiś wiew, jakiś chłodek, bez którego trudno sobie wyobrazić jesień w naszych północnych lasach, mrozek, który sprawia, że człowiekowi chciałoby się zarzeć po źrebięcemu, pognać bez celu przed siebie, tańczyć, śmiać się, skakać. Powietrze stało przejrzystym dzwonem, a każdy listek, każda sosnowa igielka na wzgórzu rysowały się ostro i wyraźnie. Szło ku zimie. Nie mieliśmy tu nic więcej do roboty, przeto ojciec nalegał na natychmiastowy powrót. Zanim upłynęło dziesięć minut, nasz skromny sprzęt był już spakowany, a my sami siedzieliśmy w czółnie: ojciec na rufie, ja pośrodku, Hobomok na dziobie. Czekaliśmy na Nata-nisa, który związał jeszcze dla nas sześć skór bobrowych i dwie wydrze.

Zrobiłem Natanisowi podarunek z muszkietu, a ojciec zostawił mu kocioł, nóż, formę do odlewania kul, kilka wełnianych koszul i pończoch oraz cały nasz proch i wszystkie kule poza drobnym zapasem, bez którego nie moglibyśmy dotrzeć do Arundcl. Również haczyki i sznury do łowienia ryb, groty strzał i cięciwy, wędzoną zwierzynę, piersi kacze i słodzony smalec niedźwiedzi.

Natanis opuścił toból na dno czółna. Wyciągniętymi rękoma dotknął mojego ramienia i ramienia ojca. — Daję wam tych parę nędznych skór — rzekł. — Wyście mi dali życie i wiele bogactw. Dobrze skorzystałem na tej wymianie. Przeto nie zapomnę. — Odepchnął naszą kanadyjkę od brzegu. — Na wiosnę — dodał — dokończymy tej rozmowy w waszym domu.

— Przybądź w Muskoskikizoosie, księżycu, o którym łowimy młode foki — rzekł ojciec. — Unikniesz wtedy znajomości . mo-skitami i jadowitymi muchami. Weź z sobą Natawammeta i Wo-romquida. Dostaną przyobiecane muszkiety.

Zegnani okrzykami i gestami, pomknęliśmy w dół rzeki. Słońce świeciło jaskrawo. Nasi czerwonoskórzy przyjaciele wyglądali bezradnie i niepozornie na tle czerwieniejącego w dali wysokopiennego boru, na tle bezkresnego łańcucha gór, wzgórz, pagórków i skłonów. A kiedy odgrodził nas od nich pierwszy zakręt rzeki, bolesna pustka, jaką poczułem w sercu, podpowiedziała mi, że i my zapewne zostawiamy za sobą wspomnienia tkliwe i nieprzemijające.

103

W jasności poranka snuliśmy się po rzece, za plecami mając Martwą Górę. Góra znikła nam z oczu, kiedy skręciliśmy w Strumień Bagienny. W południe jedliśmy pstrągi na wschodnim krańcu trzech stawów, od których prowadzi dwunastomilowy szlak pieszy.

Wieczorem zaobozowaliśmy przy ujściu Carrabassetu. Wczesnym rankiem, kiedy rzeka otulona była jeszcze mgłą, przybyliśmy do Norridgewock. Manatqua nakarmił nas gorącymi plackami z kukurydzy.

Nie chcąc tracić czasu, ojciec raz dwa załadował na czółno skóry

wydrze i bobrowe. Manatkę wsadzono na czółno, zanim zdołał się obejrzeć. Nie zdążył nawet zabrać z sobą zapasu żywicy do przyklejenia pukla skalpowego, który zsunął mu się z ciemienia prawie na czoło.

I oto znowu znaleźliśmy się wśród osad. Płynęliśmy wzdłuż gałęzi czerwono i żółto rozplomienionych klonów, opłynęliśmy przystań przy ujściu rzeki Cobosseecontee, gdzie osadnicy doktora Gardinera łowią na wiosnę olbrzymie jesiotry i posyłają je w beczkach do Anglii. Ojciec obiecał, że któreś wiosny przyjedziemy tu po ikrę jesiotrów, którą Abenakowie uważają za szczególny przysmak.

Na wprost Pownalborough, gdzie doktor Gardiner wydzierżawił niegdyś grunty niemieckim osadnikom, rolnikom, jak się patrzy, ale ludziom krnąbrnym i upartym nad wszelkie pojęcie, zakręciła nam w nozdrzach woń morskiej wody, wiejąca z Zatoki Wesołego Spotkania. Przeciw prądowi żeglował czarny szkuner o podwójnym żaglu.

Na nasz widok szkuner zakręcił pod wiatr, opuścił kliwer i rzucił kotwicę. Ojciec skierował czółno pod burtę statku. Na rufie widniał napis: „Czarna Kaczka, przystań New Haven”.

Przy fałszburcie stało czterech mężczyzn. Jeden z nich, śniady, błękitnooki młody człowiek o wspaniale rozrośniętych barach, wyróżniał się barwnością ubioru. Miał na sobie jasny szynel z francuskiego sukna, przepasany jedwabnym pasem, taki szynel, w jaki na zimę przyodziewają się kanadyjscy chłopcy. Na głowie nosił dzianą czapkę z kolorową frędzlą.

- Dzień dobry, kapitanie — rzekł do ojca. Jego wesołe oczy zatrzymały się na Manatqui, który usiłował nadać swemu puklowi skalpowemu pozycję naturalną. — Widzę, że dzisiejszego ranka skalpy źle trzymają się głów.

- Tak — grzecznie odpowiedział ojciec. — I wszystko zda-

104

je się wskazywać, że spadną, zanim dzisiejszy dzień dobiegnie końca.

Śniady młodzieniec z uznaniem przyglądał się ojcu. — Kapitanie — rzekł. — Czy nie moglibyście udzielić nam najświeższych wiadomości?

Ojciec zamyślonym spojrzeniem ogarnął szkuner i jego dowódcę. — Owszem. Chętnie. Sprzedam wam parę cennych wiadomości za przejazd na pokładzie waszego szkunera, o ile, rzecz jasna, ruszacie na morze.

- Aha! — zawołał młodzieniec. — Handlarz! Pięknie, to po-handlujemy. Tylko żebym dostał towar pełnowartościowy! Dokąd chcielibyście pojechać, kapitanie?
- Na przykład do Arundel — wesoło odparł ojciec. — Siedem mil niemieckich na południe od Falmouth.
- Hm! I chcielibyście, abym wziął na pokład również waszą załogę i ładunek?
- Oczywiście.
- Jeżeli tak — odparł młodzieniec — to musicie mi dać próbkę tych wiadomości, którymi tak się chwalicie. Żądacie wiele. Niech i ja coś mam z tego.
- Dam wam próbkę — rzekł ojciec. — Wolfe wziął Quebec!  
Jeżeli spodziewał się, że jego słuchacze otworzą usta ze zdumienia, doznał zawodu, gdyż śniady młodzieniec i jego towarzysze kiwnęli tylko głowami.
- Wiedzieliście o tym! — zawołał ojciec. — A więc chodzi o inny towar!



- Skąd macie tę wiadomość? — zapytał młodzieniec.
- Otrzymałem ją przy Martwej Rzece od pewnego Indianina z St. Francis, którego ojczystą osadę zburzył Leśny Batalion Rogersa.
- Widzę, że jednak można od was dowiedzieć się czegoś ciekawego. Gdzież jest ta Martwa Rzeka?
- Czy odpowiedź zaliczycie na rachunek przejazdu? — upewnił się ojciec.

Śniady młodzieniec roześmiał się jasnym śmiechem, który dziwnie wydłużył mu twarz, nadając całej jego sylwetce jakąś wąskość, strzelistość, złotawość, a pozbawiając ją krępości i smagłości. — Powiedzcie mi, gdzie mieszka doktor Sylwester Gardiner, a zawiozę was do Arundel za cztery skóry wydrze.

—Ognie piekielne! — zawołał mój ojciec. — Wolałbym do trzeciej tam wpływ, niż dać cztery skóry wydrze za taką przejażdżkę.

## 105

Wiadomość, o którą pytacie, sama przez się jest wystarczającą zapłatą. Udzielę wam jej za darmo. Dom Gardinera stoi na zachodnim brzegu rzeki przy ujściu Cobosseecontee, tam gdzie widać filary przystani. Ze szczytu tego masztu powinniście widzieć osadę Gardinerstown.

Młodzieniec chwycił za przyżaglową powierzchnię wantów i wspiał się na rękach, stopy mając w powietrzu: szybko i zwinnie jak małpa. Doszedłszy do szczytu, przedostał się na drugą stronę żagla, przylgnął do masztu i spojrzał na nas z uśmiechem. — Czy tam? — zapytał i skierował wzrok w górę rzeki. Osunął się, niby nieumyślnie, chwycił za wanty, okręcił się i opadł na pokład leciutko, jak wiewiórka, rozglądając się po twarzach z takim wyrazem, jakby chciał powiedzieć: „Nie potraficie tego,

co ja!" — i rzeczywiście nie potrafilibyśmy.

—Strzelało się do szczygłów, strzelmy raz do niedźwiedzia — rzekł. — Słuchajcie. Zawiozę was do Arundel i przyjmę taką za płatę, jaką uznacie za stosowną.

Jeden z jego towarzyszy, starszy mężczyzna z obficie obrośniętym podbródkiem, zwrócił się do niego, widocznie niezadowolony z takiego rozstrzygnięcia.

Z tego, co powiedział, dosłyszałem tylko słowo: „brudni”.

—Spędziliśmy cały miesiąc w lasach — szybko wtrącił mój ojciec. — Jutro będziemy czystszy od was.

Młodzieniec jakby nie słyszał słów ojca. Spojrzał na starego, a twarz mu się nagle zmieniła, spurpurowiała, nabrzmiała, stała się szeroka i krótka. — Ten szkuner wydzierzawiony jest przez moich przedsiębiorców! — zawołał z gniewem. — Wezmę na pokład, kogo mi się spodoba, i przewiozę, dokąd mi się spodoba. Proszę podnieść kliwer i kotwicę!

Obrócił się do ojca. Twarz mu znowu pojaśniała i wydłużyła się. — Jak się nazywacie i gdzie was jutro znajdę w czasie porannego przypływu?

—Jestem Stefan Nason, oberżysta i handlarz z Arundel. Będziemy was oczekiwali na południowym krańcu Wyspy Łabędziej.

Kliwer poszedł do góry i dziób statku się odwrócił.

—Z kim mam zaszczyt? — zawołał mój ojciec.

Młody człowiek machnął nam ręką na pożegnanie. — Jestem Benedykt Arnold z Connecticut, z miasta Norwich. Płynę z Que-becu. — Szkuner sunął pod prąd równo i gładko, jak prawdziwa czarna kaczka.

Ojciec pochylił się nad wiosłem chichocząc. — Ten młodzik

jest handlarzem, Stefku. Byłeś świadkiem dobrze przeprowadzonego targu. Twój ojciec, widzisz, nie dał się wykiwać.

## IX

Gdybyśmy pożegnali Natanisa o dzień wcześniej albo o dzień później, miałbym w życiu o jeden smutny wypadek mniej. Chociaż, kto wie, może wówczas przysłoby do nas nieszczęście w postaci tragiczniejszej niż Przewielebny Ezechiel Hook.

Kiedy dopłynęliśmy do Wyspy Łabędziej i skierowali się w śród-bagienny strumień, widok naszego na poły pustego czółna zaniepokoił czekających mieszkańców. Przyglądali nam się w trwożnym milczeniu. Widząc ich niepokój, Hobomok zawołał z daleka, że Natawammeta i Woromquida zostawiliśmy w siedzibie wielu bobrów, a towarzyszy nam w drodze powrotnej sachem Norridge-woków. Wówczas zawyli radośnie, dali salwę z muszkietów i cała osada, ilu ich tam było, zbiegła z przylądka, aby czym prędzej nas przywitać. Rabomis chciała dotknąć ramienia ojca, ale on ją powstrzyma!, mówiąc, że z nikim nie będziemy rozmawiać, póki w chacie łązycznej nie oczyścimy się z potu, tłuszczu i żywicy.

M'teulin polecił kobietom nagrzać kamienie, a sam zaprowadził nas do swojej chaty. Po drodze spotkaliśmy białego człowieka w czarnej, zrudziałej odzieży. Stał na upłazie skalnym, sam jeden, i patrzył na nas z wyrazem bezgranicznej pogardy, jak gdyby nasza wesołość była sama przez się grzechem. Rabomis wyjaśniła nam, że człowiek ten jest kaznodzieją i nazywa się Hook. Przysłano go z Bostonu, aby przemawiał do tych białych, którzy nie mają zborów, i aby ich, Abenaków, nawracał na

wiarę Wielkiego Ducha, w którego wierzą biali. Dziś po południu przybył tu członkiem z Pownalborough i wygłosił kazanie. Abenakowie odbyli naradę i oto m'teulin, dobry mówca, miał udzielić odpowiedzi. Rabomis nie była dobrą tłumaczką, poprosiła więc mojego ojca, aby tłumaczył za nią.

Ojciec powiedział, że nie chce z tym mieć nic wspólnego. Wziął z rąk m'teulina kocioł wody, w której mokły wonne zioła. Z tym kotłem udaliśmy się do chaty łąziebnej małego wigwamu, mieszczącego się nad samym skrajem rzeki. Dwie kobiety ułożyły pośrodku chaty rozżarzone kamienie, dały nam świeże mokasyny i derki, po czym odeszły, zabierając naszą odzież: sukienne spodnie i derki do wyprania, skórzane bluzy do wyszorowania piaskiem.

107

Ojciec polał kamienie wodą. Chatę napełniła pachnąca para, tak gęsta i gorąca, że staliśmy, złani setnym potem. Po piętnastu minutach tej parówki skoczyliśmy w lodowate fale rzeki.

—Mógłbym teraz dogonić rysia — rzekł ojciec otrząsając się na brzegu. Właśnie wygalał podbródek, gdy nadszedł irfteulin i oznajmił, że kaznodzieja Hook prosi, aby ojciec przetłumaczył mu odpowiedź Abenaków.

Ojciec zawahał się, ale wrodzona dobroć nie pozwalała mu odmówić. Zarzuciliśmy więc na siebie derki i udaliśmy się do domu narad.

Hook odznaczał się wysokim wzrostem i mizerną tuszą, mały, ledwo dostrzegalny garb nadawał mu postawę czapli czekającej na pojawienie się ryby. Skórę na czole miał gładką i lśniącą: rzekłbyś, pęknie za chwilę, rozsadzona potęgą myśli. Głosem, przypominającym zgrzyt żelaza po

szkle, powtórzył mojemu ojcu to, co przed paru godzinami oświadczył czerwonoskóрым: że przysłała go wielkie towarzystwo misjonarskie z Bostonu, nie aby zagarnąć im ziemie lub dobra, lecz aby nauczyć ich czci dla Wielkiego Ducha. Przytoczył słowa, jakich użył w przemówieniu do dzikich: że istnieje tylko jedna religia i że albo ją przyjmą, albo nigdy nie zazną prawdziwego szczęścia. Dotychczas żyli w błędzie i mroku. On, Hook, przybywa, aby zbawić ich dusze. Inni Abenakowie czekają na odpowiedź starszych swoich braci z Wyspy Łabędziej, jeżeli więc wyłoniły się tu jakieś zastrzeżenia co do jedynej prawdziwej religii, chciałby ich wysłuchać.

Ojciec, wysoki i silny w fałdach czerwonej derki, skinął głową i dał znak m'teulinowi.

—Bracie — zaczął m'teulin — biali ludzie przybyli tu, aby w osobliwy sposób spełniać przykazania swojej religii. Daliśmy im zboże i mięso, oni nam dali jad. Obłudnie nazywali nas braćmi. Chcieli ziemi i ziemi, ziemi i wciąż ziemi. Chcieli połknąć nasz kraj. Zaniepokoił się. Najmowano Indian, aby wojowali z Indianami. Wasi biali wodzowie szczerze nagradzali za skalpy kobiet i dzieci, za skalpy braci naszych ze Wschodu. Wasi ludzie dali nam mocne napoje. Potężne były to napoje i niejednego już zabiły.

Bracie, ongiś nasz kraj był wielki, a wasz mały. Teraz staliście się wielkim narodem, a my ledwo mamy gdzie rozpostrzeć derki. Zagarnęliście nasz kraj, ale i tego wam mało. Chcecie nam narzucić swoją religię.

Bracie, słuchaj cierpliwie. Powiadasz, iż przysłano cię tu.

abyś nas nauczył czcić Wielkiego Ducha zgodnie z jego wolą, i że jeśli nie przyjmujemy religii, wyznawanej przez białego człowieka, będziemy po wszystkie czasy nieszczęśliwi. Powiadasz, że tobie znana jest prawda, a my tkwimy w błędzie. Ale skąd pewność, że ta twoja prawda jest istotnie prawdą? Religia twoja, mówisz, spisana jest w księdze. Jeżeli jest przeznaczona również dla nas, czemu Wielki Duch nie dał nam tej księgi? I nie tylko nam. Dlaczego nie dał tej księgi przodkom naszym, a wraz z księgą umiejętności jej rozumienia? Dlaczego Wielki Duch pozwolił starym przodkom naszym kroczyć w błędzie i ciemności? Wiemy tylko tyle, ile ty nam mówisz. Jakże ci mamy uwierzyć, my, tylekroć oszukiwani przez białych?

Bracie, powiadasz, że Wielkiego Ducha można czcić i służyć mu tylko na jeden sposób. Ale jeżeli istnieje jedna jedyna religia, czemuż wy, biali, tak spieracie się o nią między sobą? Czemu nie możecie się zgodzić, skoro wszyscyście czytali księgę?

Bracie, tego wszystkiego nie rozumiemy. Powiadasz nam, że twoja religia objawiona została twoim przodkom i że przechodziła z ojca na syna. My również mamy religię, objawioną naszym przodkom i przekazaną nam, ich dzieciom. Religia ta uczy nas, abyśmy byli wdzięczni za doznane dobro, abyśmy wzajem się miłowali i żyli w jedności. Nigdy się nie spieramy o religię.

Bracie, wszystkich nas stworzył Wielki Duch. Ale inaczej stworzył swoje białe, inaczej swoje czerwone dzieci. Dał nam różne usposobienia i różne obyczaje. Jeżeli tak wielkie we wszystkim ustanowił między nami różnice, czemu nie przyjąć, że dał nam również, rozmaite religie? Wielki

Duch czyni dobrze: wie, co najlepsze dla jego dzieci. Jesteśmy zadowoleni.

Bracie, jeżeli wy, biali, zamordowaliście syna Wielkiego Ducha, my, Indianie, nie możemy ponosić za to odpowiedzialności. To nie nasza rzecz. Gdyby zstąpił między nas, na pewno byśmy go nie zabili. Uczcilibyśmy go, jak się godzi. Sami pokutujcie za waszą zbrodnię.

Bracie, nie pragniemy niszczyć waszej religii ani wam jej zabierać. Chcemy tylko w spokoju wyznawać, co objawione zostało nam.

Bracie, powiadasz, żeś przybył tu nie po to, aby zabierać nam ziemie i dobra, lecz aby nas oświecić. Słyszeliśmy, żeś odwiedził białych, zamieszkujących brzegi tej rzeki, i że przemawiałeś do nich. To są nasi sąsiedzi. Znamy ich. Poczekamy, zobaczymy, ile skorzystają z twojej przemowy. Jeżeli okaże się, że polepszy-

109

łeś ich dusze, że stali się dobrzy i nie oszukują już Indian, wówczas powtórnie rozważymy sprawę.

Kiedy ojciec mój przetłumaczył ostatnie zdanie, ujrzałem, że Hook szaleje z gniewu. Jego wściekłość dziwnym zbiegiem okoliczności skierowana była bardziej przeciwko mojemu ojcu i mnie, niż przeciwko m'teulinowi i Abenakom. Zapewne podejrzewał, że to ojciec mój nauczył m'teulina tak mówić. Wyprostował się, zadarł głowę do góry i wrzasnął ochryple: — Błuznierstwo! — Zupełnie przypominał w tej chwili czapłę, gotową dziobem ugodzić okonia. Gdy ojciec obrócił się ku drzwiom domu narad, Hook podszedł do niego, dygocząc z wściekłości, i rzekł: — Ci synowie Beliala bluźnią przeciwko naszej

religii i naszemu Bogu. Powiedzcie im to!

Ojciec potrząsnął głową. — Wielebny pastorze! Nie jestem kapłanem, abym karmił ludzi za to, że chcą wyznawać swoją wiarę. Jestem handlarzem, oberżystą i czasami, wbrew własnej woli, tłumaczem.

- Albo — podsunął Hook, a głos mu się łamał — albo może wy sami wyznajecie pogaństwo, a miejsce wasze w piekle, obok tego diablego pomiotu?
- No, no! Tylko nie tak głośno! — uspokajał go ojciec. — Zwykłem z nabożeństwem czytać Ewangelię. Uważam siebie za człowieka pobożnego i uczciwego. Jestem na pewno równie pobożny, jak wasi bostońscy święci i podbiskupkowie, którzy spekulują ziemią, handlują ciałem ludzkim i uprawiają przekupstwo pod łaskawym okiem swego specjalnego Boga.
- Specjalnego Boga! — zawołał Hook, jakby sam nie wierząc własnym uszom.
- Tak, specjalnego Boga. Boga rodem z Bostonu. Mamy waszego bostońskiego Boga po uszy. Mamy po uszy waszych bostońskich kupców, nie podoba nam się, że zażywacie osobliwych przywilejów, a nas, zwykłych śmiertelników, wyrzucacie poza nawias prawa. Nie podobają nam się wasze worki z pieniędzmi, zarobionymi na wojnach; tak, na wojnach, w których my, mali ludzie, narażamy życie i mienie. Nie podobają nam się wasze psie głosy, okrzykujące nas, którzy żądamy równego głosu w krajowych sprawach, bandą złodziei, gburów i bydła.
- Specjalny Bóg! — szeptem powtórzył kaznodzieja. Miał taki



wyraz twarzy, jakby się spodziewał, że ojciec mój lada chwila padnie rażony gromem.

## 110

—Tak jest — rzekł ojciec. — Bóg na wzór tego Boga, o którym pisze Jonathan Edwards,\* Bóg niemiłosierny i niesprawiedliwy, Bóg radujący się ludzkim cierpieniem, Bóg okrutny dla słabych i maluczkich, a większą część rodzaju ludzkiego skazujący na wieczyste męczarnie. Ja nie widzę miejsca dla takiego Boga. Gdyż Bóg Jonathana Edwardsa powiada, że mój syn — tu położył mi rękę na ramieniu — że mój syn jest zły, urodził się zły i tak czy inaczej, czeka go piekielny ogień. Gdybym uwierzył w Boga, którego głosi Jonathan Edwards, znaczyłoby to, że mój syn na próżno stara się żyć uczciwie, przyzwoicie i po Bożemu, ponieważ i tak jest skazany, potępiony, stracony. Gdybym oznajmił tym oto czerwonoskórym o istnieniu takiego Boga, powiedzieliby mi, że ten Bóg jest gorszy niż Malsum, zły duch w wilczej postaci. Baliby się wypowiedzieć jego imię, aby nie ściągnąć go z powrotem na ziemię, aby nie unieszczęśliwić niewinnych ludzi.

Hook z ojca na mnie i ze mnie na ojca przenosił niedowierzające spojrzenie. Nigdy, nawet w twarzach ludzi, z którymi walczyłem na śmierć i życie, nie widziałem równej nienawiści. Postąpił ku drzwiom, ale zatrzymał się i jeszcze raz spojrzął na nas oczami złej, drapieżnej czapli. — Cierpcie za grzechy ojców! — wrzasnął. — Wy i wasz syn, i synowie waszego syna, wszyscy będziecie się smażyć w piekle!

—Z pewnością nie ominie nas ten los — spokojnie rzekł ojciec — skoro wyście tak postanowili! — Parsknął wzgardliwie,

okazując tym, jak bardzo bierze sobie do serca wpływy Hooka w piekle.

Tamten wciąż stał u progu. Podszedł nrftulin i na pożegnanie wyciągnął do niego rękę. Hook rzekł jadownicie: — Nie ma braterstwa pomiędzy religią Boga a dziełami szatana! — Wypadł z chaty jak oparzony, wsiadł na czółno i w mrokach nocnych popłynął z powrotem do Pownalborough. Wówczas zauważył mój ojciec, że ten misjonarz naszpikowany jest grzechami jak zając słoniną, ale do grzechów jego nie należy tchórzostwo. Miałem później okazję stwierdzić słuszność tej uwagi.

Zastawiono ucztę. W świeżo upranych szarawarach, w wyczyszczonych bluzach siedzieliśmy wygodnie przy ogniu, zjadając soczyste kawały zwierzyny, racząc się bobrowymi ogonami. Po uczcie squaw przyniosły pięć skórzanych bębnów. Miano odtańczyć Ta-

\* E d w a r d s Jonathan (1703—1758) — amerykański teolog, filozof i pisarz (przyp. red.).

111

nieć Samochwalny, którym Abenakowie zwykli czcić obecność obcego sachema.

Kiedy Manatqua wstał, aby odśpiewać swoją samochwalną pieśń, głos mu się łamał, a pomarszczone kolana, zdawało się, drżały. Wytrwałość jego doprawdy zasługiwała na podziw, bo prostował się z sekundy na sekundę, mówił coraz dźwięczniej, chełpił się, wspominał dawne sławne lata, opowiadał o przygodach, które, jak słusznie zauważył mój ojciec, mogły się wydarzyć Manatqui, ale większe już prawdopodobieństwo, że

wydarzyły się Noemu, kiedy żeglował w arce.

W tanecznym zapale tak mocno potrząsał głową, że pukiel skalpowy odkleił mu się i spadł. Na próżno usiłował Manatqua przywrócić wąsom żbika dawną pozycję: wciąż spadały mu z ciemienia na ziemię. A przecież nigdy jeszcze nie odniósł tak pełnego triumfu, bo chcąc ukryć śmiech, zagrzewaliśmy go wyciem i okrzykami, karmiliśmy go pochlebstwami, oklaskiwaliśmy ponad wszelką miarę.

Z rana przy pierwszych falach przyływu zeszliśmy do strumienia i wsiedliśmy na długą kanadyjkę. Towarzyszyli nam Manatqua i trTteulin, obaj z ładunkami skór, oraz dwaj czerwonoskórzy wioślarze.

Gdy czarny szkuner wysunął się spoza zakrętu, Rabomis mnie pocałowała. — Wracaj do nas, Stefku — rzekła — i przyprowadź swego ojca. — Oboje spojrzeliśmy na niego. Ale ojciec patrzył przed siebie, podniesieniem ręki dając znak odjazdu. Twarz miał kamienną. Zasycało sitowie, ocierając się o burty naszej kanadyjki. Chmury kaczek i kurek wodnych poderwały się, żałośnie bijąc skrzydłami. Małe krótkoogoniaste ptaki brodziły sennie pośród trzcin.

Oglądając się na milczący tłum, zebrany na wybrzeżu, pomyślałem sobie, że na tej Wyspie Łabędziej mógłbym zażywać niezmaconego szczęścia, gdybym nie miał innego domu, gdyby tęsknota za matką, siostrami, Łowcą i Eunice nie ciągnęła mnie z powrotem do Arundel. Gdyby myśli moje z każdego miejsca ziemi nie biegły ku Mary Mallinson.

Gdy zrównaliśmy się z „Czarną Kaczką”, Arnold podał rękę mojemu ojcu, a Manatqua i m'teulin sami jakoś wgramolili się na pokład i wepchnęli toboły skór pod plandekę z żaglowego płótna, napuszczonego smołą. Zanim dobrze stanęliśmy na pokładzie, szkuner wyminął

krawędź bagniska. Po chwili przyjaciele

112

nasi byli już tylko rojowiskiem ciemnych plamek na tle szerokiego nurtu obrzeżonej czerwono rzeki.

Ojciec i Arnold rychło się zgadali. Ojciec zapytał, co słyhać w Quebecu. Arnold odpowiedział pytaniem na pytanie: co ojciec wie o sprawach wojskowych. Wówczas ojciec oznajmił, że w roku czterdziestym piątym walczył pod Louisburgiem. To dało im sposobność do wyrzekania na głupotę polityków, którzy zwracają Francuzowi terytoria, okupione naszą krwią.

Arnold zwierzył się ojcu, że przed czterema laty zaciągnął się, jako szesnastoletni młodzieniec, do oddziałów stacjonujących nad jeziorem George. Znudzony bezczynnością, na jaką narażał swoich podwładnych ambitny i zawistny generał Shirley\*, opuścił szeregi i wrócił do domu.

Szkuner wypłynął z Zatoki Wesołego Spotkania, minął wąski obszar wirów, które nazywamy Siekańcami, i wszedł w szerokie przymorskie rozlewisko rzeki. Arnold i ojciec rozmawiali już jak starzy przyjaciele. Arnold opowiedział, jak to zdarzyło mu się przed samym upadkiem Quebecu przyjechać tam z ładunkiem medykamentów. Jego armatorzy, Lathropowie z Norwich, zajmowali się sprowadzaniem medykamentów z Europy. *Sporo* tego sprzedawali angielskim lazaretom.

- Medykamenty? Hm. A więc dlatego szukaliście Sylwestra Gardinera!
- Tak — potwierdził Arnold. — Może wyjść z tego niezły interesik! — Uśmiechnął się wesoło. — Jeżeli uda mi się skłonić Gardinera do otwarcia laboratorium w Bostonie, gotów jestem wykupywać dużą część jego wyrobów po cenie rynkowej i w ten sposób bez niczyjej

krzywdy dobrze sobie zarobić. — Mrugnął na ojca, ręce wsparł na biodrach, na białym francuskim suknie szynelu, wyprostował prawą nogę do przodu i ugiął lewe kolano, aż obcas zetknął się z siedzeniem spodni. I nagle, z taką łatwością, z jaką ja wstaję z ławki, wyprostował się, nie zginając prawej nogi, i spojrzał na mnie pytająco:

- Potrafisz tak?

Spróbowałem, ale straciłem równowagę i upadłem. Nigdy w życiu nie udało mi się tego ćwiczenia wykonać poprawnie, chociaż

Shirley William (1694—1771) — prawnik, generał wojsk angielskich na terenie amerykańskiego kontynentu. Brał udział w zwycięskiej dla Anglii bitwie z Francją o Louisburg (1745) i w wojnie Irancusko-indiańskiej. Był gubernatorem Massachusetts i wysp Bahama (przyp. *red.*).

113

staralem się bardzo. Arnold nieustannie popisывał się akrobatyką. Rozmawiając, chwytal nagle za szczebel drabiny albo rame drzwi i podciagal się na jednej ręce. Przytrzymywał lewą stopę prawą ręką i przez utworzony tym sposobem krąg skakał na prawej nodze. Czynił to z wdziękiem i lekkością. Mój podziw dla niego nie miał granic.

- Jak się przedstawia handel w Quebecu? — zapytał ojciec.
  - Aż za dobrze — odparł Arnold. — Miasto podziurawiły armaty Wolfe'a, a ludność od wielu lat była systematycznie okradana i obdzierana przez dwóch najzdolniejszych poławiaczy ryb w mętnej wodzie: Vaudreuila i Bigota. Mieszkańcy nie mają nic, a trzeba im

wszystkiego. Każda rozsądna cena wydaje się im niską w porównaniu z drożyzną, która panowała dotychczas. — Wspiął się na drabinę po wantach, tak jak poprzedniego dnia, i lekko zeskoczył. — Ludzie w Quebecu dzielą się na szlachtę, złodziei i kpów. Jeżeli gdzieś na świecie można zarobić, to chyba tam. Gdybym miał kapitał, tam pojechałbym handlować. Zanimbyście zdążyli splunąć, miałbym w ręku majątek.

Ojciec kiwnął głową. — Czy zdarzyło się wam słyszeć w Quebecu nazwisko Guerlac albo de Sabrevois? Henri Guerlac de Sabrevois, kapitan w pułku Bearna.

Z sercem walącym w piersi czekałem na odpowiedź.

- Znam to nazwisko — rzekł Arnold. — Ten Guerlac jest właścicielem sporej nieruchomości na Wyspie Orleańskiej. W górnej dzielnicy miasta kupił sobie dom warowny, tak trwale zbudowany, że nie zwałą go armatnie pociski. Blady, wyniosły młody człowiek. Uwodziciel, jakich mało.
- Nie taki znów blady — zauważył ojciec, — Ma na policzku i na uchu blizny od myśliwskiej strzały, którą go zraniłem.

Usiłowałem nad sobą zapanować, ale łzy same przez się wymknęły mi się spod powiek. Widząc to, Arnold usiadł przy mnie na dachu kajuty, otoczył mnie ramieniem i pytająco spojrział na ojca.

— Ten Guerlac przed jakimś miesiącem zjawił się w Arundel — rzekł ojciec. — Chcąc nam dokuczyć, porwał dziewczynkę z sąsiedztwa, a ojca jej rzucił na oskalpowanie swoim czerwonoskó-rym małpom. Goniliśmy go, ale nam umknął. O ile wiem, teraz jest w drodze do Francji.

Arnold poklepał mnie po ramieniu i znowu spojrzął na ojca. Trudno opisać to jego badawcze, przenikliwe spojrzenie, które trwa sekundę, a tyle potrafi wyrazić. Porównałbym je ze wzrokiem

114

polującego rosomaka albo z blaskiem oczu naszego kota, kiedy o nocnej porze myszkuje po kątach kuchni i widzi rzeczy dla nas niewidzialne.

- Jak się nazywała ta dziewczynka?
- Mary Mallinson.

Arnold powtórzył, chwycił mnie za ramiona wyżej łokci, podniósł do góry i postawił na pokładzie, że aż mi zęby zagrzechotały. — Nie trap się, bracie! — rzekł wesoło. — Tylko odrobina cierpliwości! Będę mieć twojego Francuza na oku, postaram się, aby nikt mu nie zrobił krzywdy. Kiedy dorośniesz, przestrzelisz mu drugie ucho. Przyjdzie jeszcze taki dzień, że wejdziemy spacerkiem do jego domu i ciśniemy złodzieja o warowny pułap, aż przeleci na drugą stronę. Słuchaj! — Palnął mnie pięścią w pierś. — Twoja dziewczyna nie da się otumanić Francuzom! Wiesz, co oni jedzą? — Zrobił intrygującą pauzę. — Żabie łapy!

Wielce uradowany tą wieścią, przysiadłem się do Manatqui i m'teulina, i tylko połową ucha słyszałem, jak Arnold opowiadał mojemu ojcu o zajęciu Quebecu. Wolfe, okazało się, znalazł szlak wiodący po stromej ścianie skalnej przy Anse du Foulon, dotychczas uważanej za niedostępną. Po szlaku tym wprowadził nocą całe swoje wojsko. Montcalm, obawiając się, że zostanie odcięty od źródeł zaopatrzenia, wyszedł spoza nieprzebytych murów, otaczających górną dzielnicę miasta, i stawiał czoła Wolfe'owi w polu. Vaudreuil, tchórzliwy gubernator, nie przyszedł Montcalmowi na odsiecz. Francuzi zmuszeni zostali do ucieczki. W sza-

leńczym popłochu opuszczali miasto. Zatrzymali się dopiero w odległości trzydziestu mil. Montcalm i Wolfe polegli.

Potem przeszli na kwestię prowadzenia wojen w ogólności. Ojciec opowiadał o Abenakach: że już dwunastoletnich chłopców zaprawiają w rzemiośle wojennym, ucząc ich, jak się urządza zasadzki i zniecka napada na wroga.

- Uważacie więc — wtrącił Arnold, że gdyby byli tylko lepiej zdyscyplinowani, przewyższaliby Anglików?
- Już są zdyscyplinowani — odparł ojciec. — Mają dobrych dowódców i dokładnie wypełniają rozkazy. Potrafią rozwinąć się we front długi na milę, rozstawić się tak, że między chłopem a chłopem jest dwanaście stóp przestrzeni; potrafią w ten sposób maszerować, równo, bez zamieszania, nie gubiąc łączności. W ich rozumieniu dyscyplina polega przede wszystkim na tym, żeby jak najdotkliwiej dać się we znaki nieprzyjacielowi, a samemu stracić jak najmniej ludzi z ekwipunku. Jest to przeciwstawne pojęciem

115

białych, którzy w wojnie widzą okazję do popełniania tragicznych błędów i trwonienia społecznych pieniędzy. Jest to przeciwstawne pojęciem Europejczyków, którzy bojąc o dyscyplinie posyłają swoich żołnierzy na pewną a bezcelową śmierć w gąszczach leśnych.

Przypomnijcie sobie — dalej ciągnął ojciec — klęskę generała Braddocka,\* który przed czterema laty usiłował odebrać Fort Duquesne Francuzom i Indianom. Stracił dziewięciuset żołnierzy! Indian było wszystkiego sześciuset, ale zadali mu klęskę i mieli tylko siedmiu zabitych. Bitwę uplanowali i przeprowadzili Abenakowie z St. Francis.



Słyszałem od Wirgińczyków, którzy w niej brali udział, że kiedy wyszli z szeregów, aby indiańskim sposobem ukryć się za drzewami, Braddock obnażoną szpadą zaganiał ich z powrotem do szeregu. To nie jest dyscyplina! W takim kraju, jak nasz, równa się to samobójstwu.

- Chcielibyście więc szkolić naszych żołnierzy na modłę indiańską? — zapytał Arnold. — Uczyć ich, aby uciekali jak psy, gdy stracą paru ludzi?
- Ależ nie! — zawołał ojciec. — Moim zdaniem należy ich szkolić zarówno na modłę indiańską, jak na angielską, aby w lasach umieli się kryć za drzewami, a w polu za krawędzią byle jamy, ale jednocześnie dążyli do wskazanego celu, nie bacząc na straty. To jest jedyny rozumny sposób wojowania, o ile, rzecz jasna, przyjmujemy, że wojna może być rozumna. Gdybyśmy naszych milicjantów nauczyli takiej, a nie innej dyscypliny, mielibyśmy wojsko, zdolne zaćmić najlepsze armie Europy. A jeżeli wytworni oficerowie, którzy nieraz obrywali kije, wyśmieją nas i nazwą tchórzliwym motłochem, tym gorzej dla nich.

W późniejszych dniach, kiedy pod dowództwem tego samego Arnolda cudem jakimś odparliśmy Burgoyne'3 pod Saratogą, często myślałem o tych słowach ojca i o badawczym, przenikliwym spojrzeniu jego śniadego rozmówcy. Ale tego jesiennego poranka mało mnie obchodziły losy armii. Minęliśmy niskie wybrzeża Arrowsic, Wyspy Georgetown i Phippsburgu, i za Pophamem skręciliśmy na pełne morze. Kołysały nami długie fale oceaniczne. Po prawej stronie zamajaczyły łamane wzgórza, okalające zatokę Casco, na drobnych zmarszczkach zatoki połyski-

\* Braddock Edward (1695—1751 — angielski generał, dowodzący armią brytyjską w siedmioletniej wojnie francusko-indiańskiej. Został śmiertelnie ranny w bitwie przy Fortcie Duquesne (przyp. red.).

116

wało słońce. Dom był prosto przed nami. Na tę myśl, choć dobrze otulony derką, zacząłem cały drzeć, nie z zimna, lecz z podniecenia. Czas przelatywał na ołowianych skrzydłach, jak zawsze, kiedy wracam do domu z dalekiej podróży.

Przemknęliśmy obok piaszczystego cypla Przystani Zimowej, minęliśmy upłazy skalne i porośnięte sosnami wysepki u Przylądka Porpus. Kiedyśmy opłynęli przylądek, otworzyła się przed nami zatoka Wells. Na rafach pienily się i rozbijały fale. Łagodny, błękitny masyw góry Agamentyk górował nad oddalonym wybrzeżem. Przystanąwszy u skał Przylądka Arundel, ujrzeliśmy wydmy, wśród których bawiłem się niegdyś z Mary (kiedy to było?), a za wydmami nasz dom warowny. Przy lądowisku promu leżała łódka, a przy łódce stał ktoś, trudno było zgadnąć kto, i patrzył na nas. Wołaliśmy do niego, ale on tylko patrzył na nas idiotycznie.

Zza rogu palisady wybiegł Łowca, głowę zadarł, utkwiał w nas zdziwione oczy. Zakrzyknęliśmy po raz wtóry. Łowca podbiegł bliżej. Kotwica plusnęła w wodę. Zakrzyknęliśmy po raz trzeci. Łowca uwijał się w podskokach tam i z powrotem po brzegu rzeki. Nie mogłem dosłyszeć, ale wiedziałem, że skamle, że chciałby mi czym prędzej rzucić się na szyję.

Idiotyczna postać nagle się ożywiła i pobiegła w kierunku domu.

Łowca skoczył w wodę i popłynął ku nam.

Matka, siostry, Malary i pozostali domownicy — wszyscy wylegli na brzeg. Jethro Fish wypłynął po nas w łódce. Wyciągnęliśmy psa na pokład. Przewrócił mnie, położył mi się na piersi, cały mokry, a językiem mało mi nie zlizął skóry z twarzy. Manatqua i rrfteulin załadowali toboły futer do łódki. Wreszcie i my prze-siedliśmy się po krótkim pożegnaniu z kapitanem szkunera.

Arnold stał przy poręczy burty. Słońce grzało mu piersi, bo szynel miał rozpięty. Ojciec ogarnął go zamyślonym spojrzeniem. Pochylił się, wyciągnął z tobołów dwie skóry wydrze i dwie bobrowe. Wręczył je smagłemu młodzieńcowi.

—Widzę — rzekł — że gorszy ze mnie handlarz, niż myślałem.

Arnold przyjął skóry i odparł, poważnie kiwając głową: — Nam, Nowoangielczykom, czasami bardzo daje się we znaki tak zwane sumienie.

Załoga szkunera podniosła kotwicę. Statek popłynął w kierunku Yorku.

—Przyjedźcie kiedy do nas! — zawołał ojciec.

Arnold kiwnął głową i machnął nam ręką na pożegnanie.

117

Kiedy zeskoczyłem z dziobu łódki, matka krzyknęła, dłonią lekko dotknęła szramy na moim czole i pocałowała mnie. Ojciec porwał ją w ramiona, a siostry zaczęły się ze mną boksować, rzucając przy tym nieufne spojrzenia na Manatquę i m'teulina. Raz po raz okrążani przez rozszalałego Łowcę, ruszyliśmy ku domowi. Za nami szła Malary, obok niej Ivo Fish, Jethro Fish, porucznik Wattleby i kilku innych. Wśród nich nagle ze zdumieniem i zgrozą spostrzegłem tego ciemnolicego diabła,

Febe Marvin, oczywiście w historycznej sukience, uszytej z francuskiego pledu. Przyjrzałem się jej: była spokojna. A więc nie zanosilo się na nic złego. Gdy zszedłem ze ścieżki, aby obejrzeć jamę, ku której błagalnie ciągnął mnie Łowca, dziewczucha poszła za mną i zapytała piskliwym, drwiącym tonem, choć niezbyt głośno: — Co Indianie zrobili z Mary?

Rzuciłem się na nią, drżąc z wściekłości. Okrążyła palisadę i pobiegła na wydmy, ja za nią. Po krótkiej gonitwie, w momencie gdy chciała mi się przemknąć pod pachą, złapałem ją.

Złapałem ją za oba ramiona. Trząsałem jej napiętym, zmęczonym ciałem, powtarzając tylko: „Gdybyś nie była dziewczyną, wybiłbym ci zęby!”. Poczulem, że wiotczeje. Wpatrzyła się w szramę na moim czole.

— Co to? — zapytała.

Uwolniłem jedną jej rękę i dotknąłem szramy. — To? — zacząłem. — Ach, nic ważnego...

Wówczas wyrwała mi się, trzasnęła mnie w szczękę tak boleśnie, że zapomniałem o toporku Guerlaca, i uciekła, zalewając się kaskadą dzikiego śmiechu.

Niebawem przestałem o niej myśleć, gdyż oto do drzwi kuchennych dowlokła się zakaszlana Eunice i zaplątała mi się pod nogami. Na wieczerzę był prażony bób i sałatka z ogórków. Dano mi do picia uwarzone przez matkę cienkie piwo w uznaniu za trudy, które przebyłem. Wszystko to powinno było napełnić mnie poczuciem niezmaconego szczęścia. A przecież kiedy późnym wieczorem kładłem się na materacu, ogarnięty ciepłem kuchni, upojony słodkimi, ledwo uchwytnymi zapachami korzeni, kawy i drzewnego dymu, wiedziałem, do głębi wiedziałem, że Mary na zawsze utkwiała w moim sercu, że ani już jej nie

zapomnę, ani się nie wyrzeknę, i że tylko odzyskanie jej może rozluźnić ten nabrzmiały we mnie bolesny węzeł.

118

## **księga druga**

### **burze wiosenne**

#### **X**

Zima w Arundel i całej naszej wschodniej okolicy mocno daje się we znaki nierobom. Niebo jest ciężkie i osowiałe, w listopadzie parę razy zawieje śniegiem, w grudniu zdarzą się dwa-trzy obfitsze opady, a przez styczeń, luty i marzec tyle śnieżyc, kry, lodowisk, taka ślizgawica, taki wiatr, że chyba sam diabeł w piekle bliżej przysuwa się do ognia i jeszcze mu zimno w plecy. Ciężar śniegu ugina i zniekształca brzozy. Prastare sosny, osłabione ubóstwem skalistej gleby, zbyt gęsto stłoczone, okradające się wzajem ze światła, padają na kolana pod brzemieniem tobołów śnieżnych, wieńczących iglaste głowy. Tak powstają martwice leśne. Nieraz je przeklinałem, spiesząc lądowym szlakiem z kanadyjką na ramieniu.

Nasze zimy nie są, jak można by wnioskować z niewiarogodnych opowiadań, okresami bezruchu i ciszy. Za ścianami warowni rozlegają się trzaski i huki, rzekłbyś, olbrzym jakiś zakradł się, wrywa deski i łamie je na kolanie. Z dachu kapią łzy, jakby użalając się nad grzechami mieszkańców. W nocy płaczliwie nawołują puszczyki. Hu, hu, hu — brzmi nieustannie z gęstwy sosen porastających przeciwległy brzeg łąchy. Od czasu do czasu w to monotonne pukanie wdziera się skowyt głodnych

wilków lub paraliżujący wrzask żbika. Kiedy rzekę skuwa lód, co za lamente wyśpiewuje lodowa skorupa, jakie zdarzają się w niej pęknięcia, jakie wytryski wodne! Wszystko to dzieło przyływów i odpływów. Główkami na dół wiszą na krzakach i drzewach sikory czarnogłówki, zawodząc jednostajną, smutną piosenkę. Czasami w ufnej swojej ślepotcie siadają myśliwemu na lufie muszkietu. I zawsze jazgoczą kaczkami, gęsi i czaple nocne, jęczą mewy, dzięcioły pukają w korę i milkną, myszy piszczą i szurgoczą pod podłogą, wiatr palcami czepia się okiennic.

Kto umie sobie zapęścić czas, ten przyzna, że nasza wschodnia zima jest porą przyjemnego odprężenia po tysiącnych bla-

120

nych zabiegach i upalnym znoju lata, jest świętem, a nie okresem gnuśnej bezczynności, uczy myśleć, a nie przeklinać sąsiadów, rodzinę i samego siebie.

Prawda to, a przecież oddycham radośnie, kiedy z końcem marca lub w początkach kwietnia pierwsze burze wiosenne przetaczają się błękitną granicą wybrzeża Wells, kiedy łoskot odległego grzmotu dociera od spiętrzonych, obrzeżonych srebrzyście chmur. Wówczas wiem na pewno, że przed upływem tygodnia roztopią się zasy śnieżne i reszta lodowej skorupy zejdzie z upłazów skalnych, rzeki zaroją się od łososi, na skrajach polan, wśród chropowatych liści pojawią się pierwsze kwiaty głogu i zanim zdążę się opatrzyć, młode żabki zaczną rechotać w kałużach przydrożnych. Te pierwsze burze są niewątpliwym znakiem, że olśniewający świat bujnych plonów, soczystych łąk i falujących gajów zmartwychwstanie i rozeprze się tam, gdzie dotąd białe jałowe pola śnieżne, zamarzone kontury kłuły oko, a od mrozu sztywniały uszy i

drętwiały palce.

W ciągu owej zimy, której bliskość zwabiła nas do domu po daremnej pogoni za Gucriakiem i Mary, każdą wolną od zajęć chwilę wykorzystywałem dla ćwiczeń akrobatycznych. Wciąż stał mi przed oczami obraz Arnolda na pokładzie szkunera. Ale pod koniec zimy wydarzyło się nieszczęście, po którym niewiele już miałem swobodnych minut na akrobatykę, ba, nie miałem nawet czasu uświadomić sobie, jak wolno wloką się ociężałe, zimowe dni.

Było mroźne lutowe popołudnie. Wiatr pędził z północy, sunąc po niebie brudną szumowinę popielatych chmur. Nagle ojciec usłyszał zadęcie w róg, który uwiązany był do słupa na przeciwległym lądowisku łachy. Miał robotę w kuźni, zakrzyknął więc na Jethro Fisha. Nie uzyskawszy odpowiedzi, zszedł na brzeg i zepchnął łódkę. Fale odpływu szybko przemykały się dnem wąskiego koryta. Zatoczywszy łódkę ku miejscu, gdzie stał pasażer, długi, chwiejny jak wahadło, ojciec wychylił się i zatknął wiosło w piasek, aby nie dać się znieść prądowi. Ze wstrząsu łódkę wnioskując, że pasażer już wsiadł, wyciągnął wiosło z piasku i osadził je w dulce, zarazem podnosząc oczy na nieznanego. Nie był on znowu tak bardzo nieznanomy. Ojciec poznał wielebnego Ezechiela Hooka.

Hook również poznał, kto go wiezie. Cofając się na dziób, zaskrzeczał: — Nie chcę mieć nic wspólnego z bluźniercami!

Może zapomniał, że łódka odbiła już od brzegu i chciał wy-

siąć, a może po prostu stracił równowagę. Tak czy owak, **potknął** się o poprzeczkę i wpadł do wody. Zanurzył się pod powierzchnię i znowu

wyplął, machając bezradnie ramionami, zachłystując się i bulgocząc. Ojciec *od* razu się zorientował, że Hook nie umie pływać; podjechał więc, nachylił się i złapał misjonarza za frak. Hook szarpnął się, targnął, kurczowo uchwycił się ręki ojca i wciągnął go do wody.

Widząc, że nie poradzi tym młynkującym ramionom, ojciec zdzielił go w podbródek i pozbawił przytomności, przy okazji wyważając mu szczękę (jedyne przyjemny szczegół całego epizodu), a powinien był złamać mu kark. Wyciągnął go na płyciznę, po czym rzucił się w pogoń za łódką, która leciała z prądem, wirując jak szalona. Dopadł jej, wsiadł, zawrócił, załadował nieprzytomnego Hooka i powiosłował do brzegu. Zaniósł Hooka do domu. Matka owiązała niedoszłemu topielcowi złamaną szczękę i położyła go do łóżka.

W nocy ojciec miał przemienne napady dreszczów i żaru. Hook opuścił nas nazajutrz rano, nie mówiąc nic, bo przeszkadzała mu owiązana szczęka, ale oczy jego ciskały matce i mnie błyskawice. Ojciec go nie widział, bo leżał w łóżku dysząc boleśnie. Jethro Fish wyruszył konno do Portsmouth, aby natychmiast sprowadzić stamtąd lekarza. Dla zachęty posłaliśmy skórę wydrzę.

Późnym popołudniem matka wezwała mnie do sypialnej izby, gdzie ojciec leżał na piernacie, przykryty pierzyną. Ledwo dobywając głosu ze zbolącej piersi, przykazał mi, abym w zarządzaniu oberżą i promem słuchał rad matki, abym zarobki nasze wkładał w skóry wydrze i bobrowe, a jeśli się da, to i w sobole, abym przy tym pamiętał, ilekroć będę miał zapas soboli, zawiadomić o tym gubernatorski dom w Bostonie: wtedy bostońskie firecyki zjadą się do naszej oberży i przy sposobności grubo zapłacą za rum; abyśmy nadal utrzymywali bliskie stosunki z kapitanem



Callendarem, Bostończykiem, który na pokładzie swego brygu wysyłał futra do Anglii, za uzyskane pieniądze kupował herbatę w Holandii, wino w Portugalii i melasę na Francuskich Wyspach Cukrowych, po czym przemycał to wszystko do Bostonu, podobnie jak czyniły setki kupców z Massachusetts i Connecticut; abyśmy stopniowo pomnażali ilość złota w baryłce, ukrytej pod kuchenną podłogą, aż uzbieramy na budowę własnego brygu.

Poklepał mnie słabą ręką po ramieniu i dał matce znak, aby mnie wyprowadziła z izby.

Wszedłem do kuchni i usiadłem przy Malary, głęboko nie-

## 122

szczęśliwy. Późnym wieczorem przybył lekarz z Portsmouth. Obłożył ojcu pierś wezykatorią, ale pokręcił głową, bo ojciec już nie poznawał ani jego, ani matki. Nazajutrz, skoro słońce wzeszło, a wiatr przesunął się na południe, ojciec zmarł.

Jakoś radziliśmy sobie. Widocznie toporek Guerlaca wyzwolił we mnie ukrytą sprężynę, bo wybijałem ponad wiek. Chcąc nie chcąc, pucowałem w kuźni, kiedy trzeba było poprawić zamek muszkietu lub podkuć konia. Z kuźni biegłem do tartaku, z tartaku do promu. Ludzi, którzy pracowali u nas, nigdy do niczego nie zmuszałem. Chcąc coś od nich uzyskać, prosiłem, aby mi pokazali, jak należy robić to lub owo. I pokazywali. Ojciec nieboszczyk często mi to powtarzał, że nasi ludzie mają manię niezależności i nie lubią przyjmować niczyich wskazówek.

W miarę mijania czasu nieraz mi się wydawało, że niezależność, którą tak chlubią się nasi sąsiedzi, nie jest właściwie niezależnością, tylko

zwyczajnym oślim uporem.

Zakończenie wojen francuskich nie przyniosło spodziewanej ulgi. Nastąpiły dwa lata suszy. Rolnicy zadłużyli się u kupców, biorąc na kredyt nie tylko żywność i narzędzia, ale zalegając niekiedy ze spłatami za ziemię. Tylko na kieliszek rumu zawsze jakoś coś wyskrobywali. Bogacze z Portsmouth, Bostonu i Connecticut inwestowali pieniądze w spekulacjach gruntowych na dalekim Zachodzie, nad Susquehannah i dalej. Zachodnie tereny sprzedawano kolonistom po pięćdziesiąt centów akr. Speculanci sami płacili centa za akr, wykorzystując łatwowierność Indian. Przeto w sąsiedztwie dawnych osad nie było popytu na ziemię. Wartość naszych farm spadła tak nisko, że nie opłacało się nawet ich pozbywać.

Gdy zimowym wieczorem zjawili się w naszej oberży rolnicy, gdy rozgrzali się butelczyną francuskiego rumu, to takie odchodziły przekleństwa, tyle było kręcenia się na stołkach i walenia w stół, że, wydawało się, jutro z samego rana pomaszerują do Portsmouth lub Bostonu i cyfry swoje wytną na wątrobach spekulantom gruntowym, gnębicielom prostego ludu, pożeraczom pieniędzy, złodziejom wolności.

Pracownicy stoczni, a także niektórzy spośród rybaków, wpadli na koncept: zaczęli drukować pieniądze. Dawali je każdemu, kto miał ziemię i ziemią tą gotów był ręczyć za wartość banknotów. Taki, zdaje się, był sens tej kombinacji, nigdy jej nie rozumiałem i nigdy nie zrozumiałem. Ludzie ci nieustannie czymś się podnie-

123

cali, nieustannie rozprawiali, wrzeszczeli, piorunowali. Piorunowali, rzecz prosta, na rozsądnych kupców, którzy posiadali prawo wyborcze i za nic

nie chcieli pozwolić tym szaleńcom na drukowanie pieniędzy. Wściekało ich, że sami nie mają prawa głosu, że nie mogą przeprowadzać kandydatów, którzy ujeliby się za nimi, pognębili kupców i wywalczyli uznanie dla papierowego pieniądza. Słyszając ich, jak wieczorami siedzą w oberży i dysputują o wolności — można by pomyśleć, że ta wolność to jakaś krewna i że przed paroma minutami napadnięto ją gdzieś za rogiem i oskalpowano.

Chociaż, prawdę powiedziawszy, nie mówili znowu tak od rzeczy. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego w granicach naszych nowo-angielskich miast rej wodzi banda złoconych rabusiów, którzy spokojnie zaokrąglają sobie majątki, podczas gdy my, mniej nabożni i bardziej nierozważni, nadstawiamy karku wrogowi. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego wielotysięczna ludność miast, włączając w to byłych kombatantów, nie ma prawa wysyłać przedstawicieli do gmin.

Następnie ustawa cukrowa. Zastanawiałem się niekiedy, czy ze schowka nad frontowymi drzwiami nie wyjąć toporka, przygotowanego na wypadek, gdyby Guerlac wrócił do Ameryki, i czy brzeszczotem nie roztrzaskać łba każdemu, kto z kolei ryknie „ustawa cukrowa!” i pięścią uderzy w stół.

Od lat mieszkańcy Arundel i innych nowoangielskich nadmorskich osad handlowali, gdzie i z kim chcieli, nie bawiąc się w zbędne rozważania. Nasz staroangielski rum pędzono z melasy, przemycanej do Portsmouth i Bostonu z Francuskich Wysp Cukrowych, gdyż Angielskie Cukrowe Wyspy nie mogły dostarczyć melasy w ilościach odpowiadających zapotrzebowaniom naszych gorzelni. Poza tym francuska melasa była tańsza. Podobnie cukier, którym słodziliśmy gorący poncz rumowy, nie

mówiąc już o innych zastosowaniach, pochodził z Francuskich Wysp. Krótko mówiąc, przemycaliśmy, co się dało, bo wariat by płacił cło, kiedy za parę sprzączek do trzewików i nowy kapelusz każdy urzędnik celny gotów był patrzeć przez palce. Na południe od Halifaxu, kto miał statek większy od maszynki do kręcenia mięsa, ten zajmował się w swoim czasie przemytem, że wspomnę tu Piotra Faneuile lub Johna Hancocka z Bostonu, lub wielu innych kupców, dobrze utuczonych na wojnie.

W ten sposób łamano ustawę cukrową, zakazującą przemytu, na przestrzeni paru pokoleń. I nagle ministrowie królewscy posta-

124

nowili otrzepać z kurzu stare, zaśniedziałe prawo. Kupcy bostońscy, nie chcąc tracić korzyści płynących z przemytu, znaleźli człowieka, który za odpowiednią zapłatą podjął się obchodzić osiedla i tłumaczyć ludziom złe skutki ustawy. Pewnego wieczora zatrzymał się również w naszej oberży i ryczał głośnie i przeraźliwie walił w stół niż bywalcy. Postawił im wszystkim rum i długo a dobitnie tłumaczył, że cło na melasę i cukier zrujnuje gorzelnie i do bankructwa doprowadzi przedsiębiorstwa rybackie — dwie najważniejsze gałęzie naszego przemysłu.

Dowodził wobec zgromadzonych w świetlicy pijaków, którzy słuchali go z otwartymi ustami, że jeżeli ustawa cukrowa zostanie wprowadzona w życie, pięć tysięcy nowoangielskich marynarzy straci zajęcie i umrze z głodu. Robotnicy innych gałęzi, zależnych od morskiego przewozu, również na tym ucierpią — bednarze, garbarze, szewcy, wytwórcy żagli, oberżyści, rolnicy — wszyscy. Odtąd rozpijaczona gromada mniej już mówiła o papierowych pieniądzach i łatwo składała z serca złość przeciwko bostońskim kupcom, jednocząc się z nimi w wielkim,

hałaśliwym lamencie: ginie wolność! Co wieczór w oberży naszej wrzało jak w piekle.

Po śmierci ojca nie ustawałem w zbieraniu wieści o Mary i Guer-lacu. Zamierzałem udać się do Quebecu, gdy tylko poczuję w sobie dosyć sił, odnaleźć Guerlaca, zdzielić go toporkiem po łbie i zabrać Mary. W marzeniach widziałem ją — władczynię we wzorzystych brokatach, panującą królestwu memu przy ujściu rzeki Arundel.

Rozmawiałem z każdym wędrownym traperem, który w drodze zawadził o Quebec, ale nikt nic nie wfedział ani o Mary, ani o Guerlacu. Odwiedził mnie Natanis z ładunkiem sobolowych skór. Skóry sprzedałem gubernatorowi Massachusetts, Bernardowi, który przysłał po nie swego upachnionego sekretarza. Natanis opowiedział mi o Manatqui. Podobno dwie peruki, otrzymane od mojego ojca, tak mu uderzyły do głowy, że nigdy ich nie zostawiał w chacie z obawy przed kradzieżą. Jedną miał na głowie, drugą stale trzymał w ręku. Niemal zupełnie zaniechał polowania. Wobec tego Abenakowie odebrali mu godność sachema, wypadek rzadki i godny pożałowania. Natanis mi opowiedział, że Hobomok nauczył się krzyczeć tak przeraźliwie, jak żaden m'teulin w dolinie Kennebecu, a Jacataqua wyrosła na śliczną, smukłą dziewczynę, tak smukłą, jak jej matka. Widząc, że nie mam wiadomości o Mary, podjął się odbyć podróż do Que-

125

becu. Wybrał się tam latem, ale nic się nie dowiedział poza tym, że Guerlac jest we Francji.

Nawet gdybym miał już upragnioną wiadomość, niewiele by mi z tego

przyszło. Matka i siostry nie mogły sobie poradzić z hałaśliwą hałastrą, co wieczór zapełniającą naszą oberżę. Do mnie należało utrzymywanie porządku, bo kobiecego głosu nie byłoby tu nawet słychać, a najemni pracownicy, jak Jethro Fish, zamiast uspokajać, sami się roznamiętniali i dolewali jeszcze oliwy do ognia.

Wątpię zresztą, czy ci rozzłoszczeni i na dobitkę podgrzani rumem ludzie usłuchaliby kogokolwiek poza mną. Mnie uważali za dziecko, któremu wszystko wolno. A że od pracy przy kowadle i akrobatycznych ćwiczeń wyrobiły mi się niezłe mięśnie, mogłem więc wywlec za próg niejednego, któremu nogi odmówiły posłuszeństwa, a nieprzytomnego zbudzić tęgim ciosem w twarz i dla otrzeźwienia zanurzyć go w falach łąchy. Uśmiechałem się przy tym przepraszająco i jakoś nikt nie był na mnie obrażony.

Matka była wciąż jeszcze ładną kobietą, bo ojciec nie pozwolił jej przemienić się w juczne zwierzę i maszynę do rodzenia dzieci, jak to przeważnie dzieje się z kobietami w naszych okolicach. Miała wcale pokaźną fortunę, nic więc dziwnego, że naprzykrzali jej się rozmaici wdowcy i kawalerowie w nadziei, że zdobędą sobie bezpłatny wikt i opierunek na całe życie. Wiedziona delikatnością, a i nie chcąc wypłaszać gości z oberży, nie umiała zalotników posłać do wszystkich diabłów, jak należało. Tym mniej zostawało jej czasu na utrzymywanie porządku w świetlicy.

Skarżyła się na tych natrętów. Ojciec mój, twierdziła, był jedynym w całej prowincji człowiekiem, niezdolnym do nowego ożenku w pięć minut po śmierci poprzedniej żony. Mężczyźni, mówiła, nie rozróżniają pomiędzy koszulą a żoną. Ta czy inna, wszystko jedno f żona, tak jak

koszula, poty im dobra, póki się nie zedrze. A kiedy już pójdzie na strzępy, czemu natychmiast nie wystarać się o nową? Na domiar złego, niemyta żona nie razi ich, podobnie jak nieprana koszula, póki jeszcze trzyma się jakoś ciała.

Kiedy więc pewnego poranka w oberży zjawiała się Febe Marvin z propozycją, że będzie u nas pracować za dolara tygodniowo i za parę godzin nauki czytania i pisania, nie mogłem zgłosić sprzeciwu, chociaż bardzo mnie korciło.

To nieznośne dziewczusko z biegiem czasu nieco wydorosłało, ale nie na tyle, abym zmienił swój o niej sąd. Była szczupła,

126

jak zawsze, ale straciła dawną ostrość, sprężniała, rzekłbym, zjędrniała, zapewne od długotrwałych kąpiei w nasłonecznionej wodzie. Te kąpiele także nie obeszły się bez bałamutnej gadaniny, bo kostiumem kąpielowym Febe była stara bawełniana pasiasta sukienka, ucięta nad kolanami i zszyta w ten sposób, że powstały majtki. Plotkarzom i wszetecznikom nie bardzo udawało się ją podpatrzeć, bo na widok zbliżających się ludzi dawała nura w fale lub kładła się na wznak, cała przykryta wodą, tylko jej widać było nos i usta. Pływając w ten sposób, raz po raz przez zaciśnięte wargi wydmuchiwiała parszające fontanny, jakby kpiąc z podpatrywaczy. Niektórzy jednak widzieli, że wychodząc na słońce, miała kostium rozpięty u góry.

Całymi dniami przebywała w wodzie lub na wodzie. Na połów ryb wypływała w dziurawej wywrotnej łódeczce, którą wygrzebała gdzieś ze szlamu i połatała smołą i zbutwiałym płótnem. Uwijała się w niej po rzece, po zatoce, naokoło raf. Znali ją wszyscy sąsiedzi-marynarze,

podnosili ręce do nieba i przysięgali się, że jeżeli jeszcze nie utonęła, to utonie jutro. Właśnie dlatego odsłonięte okolice jej ciała miały barwę złotawą, a zgadywałem, że nie inaczej ma się rzecz z okolicami niewidocznymi. Szorstka ogorzałość, nieprzystojna dziewczynie i jakże odmienna od delikatnej białości Mary!

Oduczyła się niesamowitych wrzasków i chichotów, nie śmiała się już. z własnych głupowatych żartów, w obecności starszych umiała trzymać język za zębami. Ale w jej oczach, szarych i twardych jak szare głazy, co wyzierają spod igliwia naszych lasów, często migotał złośliwy blask, czaiły się wszystkie niewypowiedziane obelgi i szyderstwa.

Pewnego wieczora zaszedłem ją, jak patrzała przez okno na czerwone obłoki i szlochała cicho. Jako człowiek niezdolny do chowania uraz, położyłem jej rękę na ramieniu i zapytałem, czemu płacze. Nie podniosła nawet głowy. Zmierzch budził we mnie zawsze i budzi do dziś dnia niepojętą jakąś tkliwość. Obróciłem dziewczynę ku sobie i powtórzyłem pytanie. Znieruchomiła mi w rękach: napięta jak cięciwa, nieczuła jak kołczan. Oczy jej wpatrywały się we mnie, jak gdyby z wielkiej odległości, i naraz pojawił się w nich ten szydarczy błysk. Odjąłem ręce od jej ramion. — Nie mów tego! — krzyknąłem.

Gdyby wyrzuciła z siebie stek obelg i potępieńczych wrzasków, nie mogłaby obrazić Mary dotkliwiej niż tym spojrzeniem.

Pracy w oberży podjęła się, jeśli jej wierzyć, dlatego, że brak

127

jej było elementarnego wykształcenia, chciała więc u nas się pouczyć. Myślę jednak, że kierowały nią inne pobudki. Mój nieboszczyk ojciec miał sentyment dla jej ojca. Spodziewała się zapewne, że będę posyłał



staremu rum — ten rum, który pozwalał mu zapomnieć o przeszyciej strzałą łopate, ale był niedostępny dla jego kieszeni. W przeciwnym wypadku nie sądzę, aby zdecydowała się pracować na cudzym. Nasze nowoangielskie dziewczęta mają w sobie tyle niezależności, że padną z głodu, a nie będą wypełniać niczyich zleceń. Mogłem poniekąd gratulować sobie, że mam taką pomocnicę. Ale kiedy spoglądała na mnie po swojemu, szyderczo, chętnie bym jej rozbił głowę drewnianym tłuczkiem matki.

Wieczorami pracowała w świetlicy. Przydawała jej się ta wiewiórcza zwinność, kiedy przyszło się wyslizgiwać niezdarnym pijackim rękoma. Umiała się wymknąć chłopu jak żadna inna dziewczyna. Gdyby nie to, matka nie pozwoliłaby jej na te wieczorne dyżury, podobnie jak nie pozwalała wchodzić do świetlicy moim siostrą, gdy mężczyźni zaczęli pić rum.

Kiedy już wydawało się, że zapalczywość i roznamiętnienie naszych rolników i rybaków osiągnęły ostateczną granicę, zaczęły się nowe i jeszcze gorętsze dysputy na temat szatańskiego wynalazku, zwanego podatkiem stemplowym,\* a do wtóru rozlegało się wyrzekanie na brytyjskie oddziały werbunkowe, które lądowały w pierwszym lepszym porcie, porywały naszych marynarzy i zmuszały ich do służby na okrętach Jego Królewskiej Mości. Omawiając te sprawy, pijane towarzystwo przypominało sobie wszystkie inne utrapienia ostatnich czasów — kwestię papierowych pieniędzy, ustawę cukrową, spekulantów gruntowych z Wirginii i Rhode Island, ich twory: Ohio Company i Susquehannah Company, ich obietnice, którym ufając, koloniści zapuszczali się w okolice tak dzikie, że można by tam wyżyć chyba tylko pod ochroną uzbrojonej armii.

Oburzano się na przywileje przysługujące bogatym kupcom, mówiono o sosnach królewskich przeznaczonych na maszty okrętów Jego Królewskiej Mości i nietykalnych dla osadnika, na którego gruncie rosły (choć, prawdę

Po zakończeniu wojny z Francją w r. 1763 parlament brytyjski, chcąc zmusić kolonie do zwiększenia opłat na rzecz skarbu brytyjskiego, wprowadził ustawę stemplową, nakładającą opłaty na wszelkie druki, dokumenty prawne i handlowe. Ustawa natrafiła na opór kolonii; powstała organizacja Synów Wolności oraz komitety łączności dla porozumiewania się poszczególnych ośrodków opozycji (przyp. red.).

128

powiedziawszy, osadnicy cięli te drzewa ze szczególnym upodobaniem, były to bowiem drzewa najlepsze), wspomniano prawo zakazujące koloniom wyrobu kapeluszy i przedmiotów żelaznych. Zdawało się, że każdy z tych rozgorączkowanych ludzi ma jakąś osobistą urazę, za którą pragnie winowajcy swemu rozbić łeb. A o czymkolwiek była mowa, zawsze powracał jeden i ten sam przyśpiew: że odbierają nam wolność i że żaden naród nie ma prawa rabować wolności innemu narodowi.

Miałem dobre oczy i wiedziałem, że najgłośniej mówią o utracie wolności ci, którzy stracili najmniej lub najmniej mają do stracenia, ludzie najbiedniejsi, najnędzniejsi, najnieszczęśliwsi, ludzie, którzy mało mają ziemi, jeszcze mniej pieniędzy, a żadnych praw politycznych. Ale słyszałem od podróżnych, którzy stawali u mnie gospodą, że jak Nowa Anglia długa i szeroka, wszędzie sprawy wyglądają tak samo.

Kiedy przeżywałem osiemnastą wiosnę życia, ta wolnościowa wrzawa

nasiliła się, jak fala przyływu w przymorskiej łąsce. Nastął piękny, ciepły dzień, przewiany spokojnym południowo--zachodnim wiatrem, jaśniejący stadami sierpodziobych kulików, okazałych ptaków, powolnych w locie, a masywnością ciała dorównujących kuropatwie. Upojony łagodnymi zapachami bagna, miodunki i malwy, pełen niechęci do oberży i jej spraw, wziąłem muszkiet, starego Łowcę, jego młodą żonę, Czujną, i wyszedłem na brzeg morza, aby ustrzelić parę kulików na wieczerzę i porozmawiać z Eunice, która tak się roztyła na łososiach, głowaczach i błękitnych okoniach, że nie była już w stanie dowlec się do domu, ale po całych dniach leżała wśród fal i przywoływała mnie ochrypłym szczekaniem.

Gdy tak stałem na brzegu, poszturchując butem Eunice, która aż jęczała z rozkoszy, spoza odległego garbu wyłonił się jeździec i podążył srebrzystym wrębem, piaszczystym brzegiem zatoki. Jego potężne wymiary, masywność górującego nad koniem tułowia, grubość ściskających grzbiet koński nóg — w tym wszystkim było coś z Capa Huffa, choć nie mógłbym przysiąc, bo nie widziałem go od wielu lat. Kiedy podjechał bliżej, ujrzałem, że to jest rzeczywiście Cap, olbrzymi, jowialny i spocony jak zawsze.

Jego jelonkowa bluza, pomarszczona i brudna, była chyba tą samą bluzą, o którą wytarł sobie ogromne łapska, cisnąwszy Guerlaca w łacę. Na głowie miał nie, jak ongiś, czapę z szopowego futra, lecz lśniący trójgraniasty kapelusz, a na nogach piękne

9 — Kronika prowincji Mainc l. 1 12V

buty oficerskie zamiast dawnych nogawic indiańskich, przewiązanych skórami wężorza.

Powitał mnie rykiem radości i stekiem wyzwisk, po czym przystąpił do

opowiadania, a nie było to opowiadanie zwyczajne. Oznajmił mi, że w Massachusetts, Rhode Island i Connecticut zawiązały się kółka tajnej organizacji pod nazwą „Synowie Wolności”. Niedawno kółko „Synów Wolności” powstało również w Portsmouth, a do kierownictwa wybrano między innymi również jego. Dlatego „Synowie” z Portsmouth wysłali go do Arundel, aby założył tu nowe kółko i wtajemniczył je w święte cele i obowiązki organizacji.

—Na Belzebuba, Stefku! — ryknął waląc mnie w plecy. — Teraz już żaden kupczyk nie ośmieli się wsadzić mnie do więzienia! Zaraz by moi Synowie Wolności rozbili to więzienie na drobny miał, a kupczyka obsmarowaliby smołą i oblepili piórami, ludziom na pośmiewisko.

Kiedy zapytałem, czy święte obowiązki Synów Wolności polegają na tym, żeby Cap Hulf nie dostał się do więzienia, zrobił tajemniczą minę: — Stefku — rzekł, a po jego oczach poznałem, że szuka słów, których nauczył się od innych: — Chodzi o ten przeklęty podatek stemplowy. Jeżeli ministrowie Jego królewskiej Mości mogą wbrew mojej woli od każdego posiadanego przeze mnie funta odliczyć sobie szyling, to dlaczego nie mieli odliczyć i dwudziestu szylingów? Dlaczego nie mieliby mnie obrabować z wolności i życia? Jeżeli płacimy podatek od stempli, to gdzie pewność, że nie będziemy płacić podatku od gruntów naszych i od plonów?

- Odkąd ty masz grunty? — zapytałem, ale Cap zbył moje pytanie niecierpliwym machnięciem ręki.
- Jeżeli można opodatkować naszą ziemię i nasze plony — ciągnął dalej w porywie cnotliwego oburzenia — to skąd pewność, że nie

opodatkuje się i reszty naszych posiadłości? Kotłów z twojej kuchni, odzieży, którą masz na grzbiecie, lub... lub... — nerwowo się rozglądał za innymi przedmiotami, nadającymi się do opodatkowania, wreszcie znalazł i rzekł niepewnym głosem: — ...lub twojego pieska, bawiącego się na piaszczystym wybrzeżu?

- Rzeczywiście, skąd pewność? — przytwierdziłem spoglądając na Łowcę, który drapał się w kark jak szalony i przygasłymi oczami patrzył na Eunice. — Ale nie płaciłbym tego podatku, tak jak nie płacę cła od przemycanego rumu.

130

—Aha! — zahuczał Cap. — Wówczas królewscy ministrowie przyślą okręty zza morza, zakorkują tę twoją rzeczulkę, wysiądą na brzeg i zrobią z ciebie niewolnika, brachu, a jak się nie dasz, to jeszcze dołożą kulkę w łeb. Tak, Stefku. Wciąż powtarza to Sam Adams:\* czeka nas niewola! Musimy temu zapobiec, nie możemy do tego dopuścić. Masz więc, jak na dłoni, cele i obowiązki Synów Wolności!

Ja jednak wciąż nie rozumiałem. Przyznałem się do tego.

—Uważaj, Stefku! — rzekł ocierając usta wierzchem dłoni i gwałtownie chrząkając (musiało mu już zaschnąć w gardle od gadania). — Do mielenia jęzorem wszyscy skorzy, ale nikt nic nie robi. Kupcy mocni w gębie, ale palcem nie ruszą, żeby coś zmienić, piszą tylko listy do „Bostońskiej Gazety” i jeden do drugiego. Do diabła z nimi, Stefku! Nam trzeba ludzi zdolnych do czynu, a nie do pisania listów. Na Boga, Stefku, gdyby to ode mnie zależało, przyjmowałbym do Synów tylko ludzi niepiśmien

nych!

Wysunął prawą nogę i donośnie klepnął się po cholewie. — Widzisz te buty, Stefku?

Prędzej bym przeoczył brygantynę na rzece niż takie buty.

- W zeszłym tygodniu — ryknął — pewien kupiec w Ports-mouth powiedział, że podatek stemplowy jest zarządzeniem słusznym i trzeba płacić. — Cap znowu klepnął się po cholewie, zatknął ręce za pasek i ogarnął mnie spojrzeniem wtajemniczonego.
- I cóż się stało?
- Synowie, uważasz, zrobili napadzik na jego sklep, powybijali szyby i zniszczyli towar. Na drzwiach zostawili napis: „Nieprzyjaciele Wolności, strzeżcie się!” — Zdjął z głowy swój piękny trójgraniasty kapelusz i przyjrzał mu się posepnie. — Był to skład obuwia z działem kapeluszy, ale bluz. ani koszul tam nie sprzedawano.
- Co na to kupiec?

Cap włożył kapelusz na głowę. — Nie wiem. Nie słyszałem. Chyba jeszcze nie przyszedł do siebie.

- Wpakuje cię do więzienia!
- Do stu par Lucyperów! — zaperzył się Cap. — Jeszcze ci nie wyklarowałem? Stanowimy organizację tajną! Kto spośród

A d a m s Samuel (1722—1803) — polityk amerykański, najbardziej radykalny przywódca w walce o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Organizował opór przeciw nałożonym przez Anglię podatkom, był twórcą organizacji Synowie Wolności (przyp. red.).

członków wyda tajemnicę, urządzimy go jak tego kupca. Biada temu, kto Synów Wolności pragnie przemienić w niewolników! Sam Adams powiada, że grunt to trzymać się w kupie. Zjednoczeni organizacją, powiada, pozbędziemy się raz dwa Anglii i sami sobie zaczniemy panować. Wtedy nikt z nas nie uczyni niewolników.

—Pozbędziemy się Anglii? — zapytałem nie dowierzając własnym uszom. — Po kiego diabła mielibyśmy pozbyć się Anglii?

Trącił mnie w pierś palcem wskazującym, który dla oka i dla piersi był jak szpikulec powroźniczy. — Ty ośle dardanelski! Ślepy jesteś albo co? Nie widzisz, że tylko kupcom jakoś się wiedzie, tylko oni, wielcy kupcy, popierani są przez Anglię, mają pieniądze i władzę? Sam Adams powiada, że weźmy tylko rządy we własne ręce i niech każdy ma prawo głosu, to nastąpimy kupcom na gardziele i coś tam wyrzygają z tego, co połknęli. Sam Adams powiada, że w tym celu musimy rozprawić się z Anglią. Powiada, że to jest nieuniknione!

- Sam Adams powiada! — zawołałem, oszołomiony tym potokiem słów. — Sam Adams! Sam Adams! Sam Adams! Cóż to za jeden, ten Sam Adams? I czemu mielibyśmy walczyć z Anglią? Anglicy nam nie dokuczają. To ich ministrowie stają na głowach, żeby nas pognębić, a nie jest winą angielskiego narodu, że ma ministrów idiotów! O czym ty mówisz, chłopie? Gdybyś mówił o walce z Francuzami, to rozumiem. Francuzi przez sto lat zalewali nam sadła za skórę. Pamiętam słowa mojego ojca: jak świat światem, nie było i nie ma bandy podstępniejszych, sprzedajniejszych łotrów niż Francuzi! Wolałbym bić się z Wirginijcami, bo mi się nie podoba ich wielkopańskie pociąganie nosem, bo nie lubię, kiedy byle brudny

pijak przechwala się, że jest szlachcicem! Wolałbym prać się z Rhode-Islandczykami! Nie znam gorszych skąpców i śmierdzieli niż Rhode-Islandczycy. Nie bajdurz mi więc, proszę!

- Słuchaj, chłopcze — rzekł Cap. — Mówisz, jakbyś żył w czasach przedpotopowych! Sam Adams to największy człowiek Ameryki. Przyjaciel ludu. Wszystko wie. Powiada, że przyjechali tu Francuzi dla zwąchania, czy mamy ochotę zadrzeć z Anglią. W takim wypadku, powiada, Francja nam pomoże.
- Do diabła z Francją — powiedziałem. — Ojciec mówił mi po tysiąc razy, że Francja lubi tylko, żeby inni wyciągali dla niej kasztany z ognia. Jeżeli tu do mnie przyjdą węszyć jacyś Francuzi, oporządzą ich tak, jak tyś oporządził tego, co ukradł Mary.

132

Cap spojrział na mnie tępo. — Nie wiem, o czym mówisz, ale słuchaj i uważaj: kiedy zorganizuję tu kółko Synów Wolności, radzę ci, wyrażaj się oględnie! Nie zaczepiaj mi tu żadnych Francuzów! Gdybyś nie był moim przyjacielem, sprowadziłbym tu bandę Synów i wióry by zostały z twojej karczmy. Dlatego, żeś tak powiedział.

- Boże mój — zaprotestowałem. — Przecież nic powiedziałem nic.
- Owszem, powiedziałaś — upierał się Cap. — Powiedziałaś za wiele. Kiedy zorganizuję koło Synów Wolności, będziesz łaskaw nic nie mówić. Ani du-du! Będziesz łaskaw zamknąć jadaczkę na fest, tak żeby nie sposób było otworzyć bez młotka i noża. — Obejrzał mnie od stóp do głów. — Oczywiście, mógłbym cię uczynić głową arundelskich Synów. Tylko że, jako oberżysta, musiałbyś bezpłatnie ich poić, a to by ci nie wyszło na zdrowie.



Podeszliśmy do oberży. Cap z. punktu natknął się na robotnika ze stoczni położonej w górze, za promem — Jamesa Dunna, który przybył do nas przed trzema laty. Żywił się przeważnie sucharami i zielenizną, którą zbierał na wiosnę, solił i ładował do beczki, po czym przyciskał deską i kamieniem, tak że była jadalna o każdej porze roku. Musiał chłop mieć żelazny żołądek. Ja, z dwojga złego, wolałbym się żywić wilczymi jagodami.

James Dunn był typowym mieszkańcem nowoangielskiej osady: poważny, wysoki i szczupły, łagodny, na oko stanowczy i nieposkromiony, pozornie łączący w sobie spokój z namiętnością. Niekiedy uśmiechał się blado. Rzekłbyś, trzeźwa myśl i głęboka mądrość nie pozwalają mu przejmować się sprawami tego świata. Ale pod tą imponującą powierzchownością krył się dureń, jakich mało, taki dureń, co to siedzi ze ściągniętymi brwiami i daremnie stara się odróżnić prawą rękę od lewej.

Nie wiem, skąd u Jamesa Dunna ta szlachetność oblicza. Wyglądał, jak gdyby mógł być doradcą króla Francji, a przecież zanim zdecydował się przy obiedzie, czy najpierw wziąć do ust listek, a potem kęs suchara, czy też najpierw ugryźć suchar, a potem dopiero listek, przez ten czas mój pies Łowca rozwiązywał dziesięć prostych zagadnień życiowych.

Gdyby Jamesa Dunna zobaczyli ci, którzy charakter i zdolności odczytują z rysów twarzy, orzekliby, że jest generałem albo gubernatorem, a co najmniej najmądrszym z teologów. On zaś był zwykłym cieślą w stoczni okrętowej i to takim cieślą, że Tomasz Scammen, majster ciesielski, nieraz chętnie by go trzasnął przy-

wykrzywi się i poszczerbi.

Cap zamianował Jamesa Dunna sekretarzem arundelskiego koła Synów Wolności. Gdy kwestionowałem jego wybór, zatykał uszy, przypuszczam więc, że wiedział, co robi, a zamierzał użyć Jamesa do własnych celów. Wciągnął do organizacji tych, co najgłośniej gardłowali, najzawzięciej walili w stół i posiadali najmniej. Z satysfakcją gromadził dokoła siebie awanturników, pozbawionych prawa głosu i łakomych papierowego pieniądza.

Gdy już wszystko było przygotowane, zwołał swoich pupilów do naszej oberży, do izby mieszczącej się na piętrze, i kazał przynieść baryłkę francuskiego rumu. Kursując między kuchnią a świetlicą, pochwyciłem parę słów: „ustawa stemplowa”, „niewola”, „niewolnikami”, „podatek, podatku, o podatkach, przeciw podatkom”, „wolność”, „prawa człowieka i obywatela”. Mówcę poznałem po dudniącym głosie: był to Cap. Zerwała się taka burza wiwatów, jakiej oberża nasza nie słyszała nawet w ów wieczór, gdy ojciec nieboszczyk opowiedział o zajęciu Quebecu przez Wolfe'a.

Gdy Synowie Wolności wyszli z tajnego zebrania, rozgorączkowani rumem, rozgadani, hałaśliwi, Cap Huff w ich obecności trzasnął mnie przez plecy i oznajmił, że pełnię w jego imieniu ważne sekretne funkcje, przeto należy mnie otaczać troskliwą opieką. Zapewne powiedział tak, aby mnie uchronić przed szkodą, gdyby mój niepowściągliwy język dał się Synom Wolności we znaki.

Tego właśnie wieczora, upojony powodzeniem swej misji organizacyjnej i przyjaźnie nastrojony dla całego świata, Cap zamierzył się na Febe, aby ją swoim żartobliwym zwyczajem klepnąć gdzieś w

okolicach krzyża. Ta jakoś tak się wywinęła, że Cap stracił równowagę i gorący poncz pociekł mu za kołnierz, jak gdyby wylany umyślnie. Gdybym go nie pottrzymał za szarawary i nie dał jej czasu do ucieczki, Cap złapałby złośliwą dziewczuchę przed kuchennymi drzwiami i w przyływie serdeczności wytrząsnąłby z niej życie.

Tak wyglądało moje pierwsze zetknięcie z Synami Wolności. Z początku do organizacji należały największe łobuzy i zawadiaki, jakimi mogła się pochlubić nasza osada, tak że porządni ludzie nazywali ich nie Synami Wolności, lecz zupełnie innymi synami. A przecież tak samo, słyszałem od przejezdnych, wyglądali Synowie Wolności w Massachusetts, Connecticut i innych naszych

134

provincjach. Przypuszczam, że nie mogli być inni, skoro mieli dokonać zamierzonego dzieła.

Późnym wieczorem Cap Huff wszedł do kuchni i przysiadł się do mnie na materac, wiejąc odorem potu, rumu i nowych lśniących butów. Zapytał, co to ja mówiłem dzisiaj o Francuzie, który ukradł Mary? Co to za Francuz i co za Mary? Opowiedziałem mu wszystko po kolei. Słuchając, tał nabrzmiąle kostki palców. Kiedy skończyłem, wstał ociężale i runął na piec, przewracając przy sposobności parę garnków. Podniósł się i z namysłem podrapał w szyję.

— To ten, co mówił o afektach. Dziś, kiedy gadałem o Francuzach, występowałem jako mąż stanu. Prywatnie pogadamy sobie inaczej. Niech ja tylko załatwię sprawę tej wolności, a razem złożymy towarzyską wizytę panu Guerlacowi i wyrzucimy go przez jego własny komin.

Guerlac we wszystkich budził nienawiść. Chwilami wydawało mi się,

że mógłbym zwerbować całą armię dla ukarania go za jego grzechy.

## XI

Najniespodziewaniej w świecie następny dzień przyniósł mi wieści o Mary i Guerlacu. Siedziałem z Capem Huffem w rogu świetlicy. Febe wysypywała podłogę piaskiem, ścierała stoły i ławy, a Cap orzeźwiał swój język — obrzmiały rzekomo od wygłaszania przemówień — kwartą piwa wzmocnionego odrobiną holenderskiego dzinu. Opowiadał mi swoim charakterystycznym, najeżonym wyzwiskami stylem o czasach, gdy w Portsmouth wsadzono go za niewinność do więzienia, ohydneho, wszawego mamra. Nagle od strony wybrzeża nadjechało dwóch miglanców, a ich konie lśniły w porannym słońcu.

Weszli do świetlicy, młodzi, wysocy, wytworni w swoich śliwkowych surdutach, sarnich szarawarach i kawaleryjskich butach z hiszpańskiej skóry. Elegancko skłonili się Capowi i mnie. To wystarczyło, aby nas natychmiast skwasić, bo nasz Nowoangiel-czyk ma to do siebie, że w obliczu manier nazbyt upachnionych lubi udawać chama. Jeden z przybyszów poprosił, abyśmy go poinformowali, gdzie może znaleźć *Monsieur le proprietaire* oberży. A więc był to Francuz.

Cap, nie unosząc głowy sponad piwa, gestem olbrzymiej ręki

135

wskazał mnie. Francuz wyjął z kieszeni list i wręczył mi. List podpisany był nazwiskiem i imieniem „Samuel Adams” i zawierał prośbę, aby odbiorca zechciał dokładnie odpowiedzieć na wszelkie pytania, jakie mu zada okaziciel, Raoul de Berniers, gdyż wymaga tego interes kolonii.

Pokazałem list Capowi. Ten nieufnie spojrział na linie pisma i na

podpis.

- Panie — rzekłem do Francuza — będę odpowiadał z podwójną ochotą: raz, że jest to list od Sama Adamsa, największego człowieka w Ameryce, a dwa, ponieważ miałem przyjaciela Francuza, który mi zostawił cenną pamiątkę.
- Doprawdy! — ucieszył się Berniers i skłonił się ponownie, nie wiedząc, że mówię o szramie biegnącej w poprzek mojego czoła.
- Może słyszeliście o tym człowieku? Nazywa się Henri Guerlac de Sabrevois, był kapitanem w pułku bearneńskim.
- Nie może być! — zawołał de Berniers. — Myśmy również, służyli w pułku bearneńskim: Kapitana de Sabrevois znamy doskonale! Zapewne bliski jest czas, że de Sabrevois powróci do waszej wielkiej ojczyzny, a wówczas będziecie mogli odnowić przyjaźń. — Zarazem rzucił ironiczne spojrzenie swemu towarzyszowi, którego nazywał Charlesem. „Ładna przyjaźń”, zdawało się mówić to spojrzenie, „pomiędzy de Sabrevois a tym wsiowym poczciwiną”.
- Więc mój przyjaciel spędził sześć lat we Francji? — zapytałem myśląc tylko o tym, żeby się czegoś dowiedzieć o Mary.

—<sup>^</sup> Niestety nie — odparł de Berniers. — Został schwytany przez podstępnych Anglików. On i jego siostra. Zesłano ich na wyspę Jersey jako jeńców i osadzono w Zamku Elżbietańskim wraz z innymi jeńcami. W ich liczbie był również dobry Abbe Le Loutre, którego potraktowano po bestialsku, nie zważając na duchowną szatę.

Otóż ten Le Loutre był istną furią piekieł. Gwałciciel i morderca — on to z pasją godną lepszej sprawy podżegał Indian przeciwko Anglikom, on patronował owym straszliwym rzeziom w Acadii. Gdy Cap usłyszał, że Le

Loutre'a nazywa się tu „dobrym Abbe", zerwał się z ławy i ryknął na cały głos: — Dobry! — Na szczęście zdążyłem go kopnąć w udo, więc ugryzł się w język, poprawił: — Dobry Boże! — i usiadł, boleśnie kiwając głową nad bezmiarem ludzkiego okrucieństwa.

—Nie wiedziałem, że Guerlac ma siostrę — rzekłem.

136

—Ach, i jaką! — westchnął de Berniers. — Złotowłosa Marie piękna jest jak bóstwo, zupełnie odmienna od brata: nie ma w sobie ani krzty chłodu. Czarowne zjawisko: cała z bieli i złota. Kwiat kołyszący się w słońcu. Hej, Charles?

Charles potwierdził energicznym skinieniem: — Prawdziwa lilia Francji!

Cap, niewątpliwie zmieszany tym niezwykłym spotkaniem ze szlachcicami, zakrztusił się piwem i kaszląc, jak bateria armat, wytoczył się ciężko z izby. Chętnie bym dłużej pieścił w myślach obraz Mary, białej i złocistej niby lilia, ale coś skłoniło mnie do rzucenia okiem za siebie. Ujrzałem Febe Marvin. Kpiący błysk jej oczu doprowadził mnie do takiej wściekłości, że z rozkoszą bym rzucił tę dziewczynę twarzą na posypaną podłogę i tak włączył.

—Przynieś rumu! — zawołałem uderzając w stół spłaszczoną dłonią. — Francuskiego rumu!

Kiedy przyniosła rum, Charles obdarzył ją gorącym spojrzeniem i uśmiechem. Zdziwiło mnie to, bo nie przypuszczałem, aby jej smagła twarz i wąskie, proste ciało mogło się podobać mężczyźnie. Owszem, zaczepiali ją niewybredni bywalcy naszej oberży, ale i ci niezbyt natarczywie.

Przy kieliszku opowiedział mi Berniers, że de Sabrevois ostatnie trzy lata spędził we Francji i że na dworze uważa się go za autorytet w sprawach kolonii i kolonialnych zatargów z Anglią. Jeżeli więc, mówią, nastroje przeciwoangielskie przybiorą na sile, nie jest wykluczone, że de Sabrevois wróci tu jako obserwator i pomocnik. — Henri — mówił de Berniers — nienawidzi Anglików. Wzmianka o tym narodzie doprowadza go do wściekłości.

Zapytał mnie, co myślą o Anglii mieszkańcy naszych okolic. Powiedziałem mu, ile mogłem: że ludzie nasi niezadowoleni są ze wszystkiego — z pogody, urodzajów, własnej nędzy, z sąsiadów i podatków. Rzecz jasna, nie są zadowoleni z angielskich ministrów, którzy im te podatki nakładają. Jednakże o wojnie z Anglią, zapewniłem go, dotąd nie było mowy. Nikt rozsądny nie przypuszcza, aby kolonie zdolne były na serio przeciwstawić się potężnej angielskiej armii lądowej i flocie, ale niestety więcej jest w mieście naszym ludzi nierozsądnych niż rozsądnych. Ci nierozsądni odznaczają się usposobieniem krnąbrnym i awanturniczym. Jeżeli więc kupcy wypowiedzą się przeciwko wojnie z Anglią, możliwe, że krnąbrny i awanturniczny motłoch wypowie się za wojnę, choćby po to, aby zrobić na złość kupcom.

137

Przez cały ten czas Charles dawał znaki i rzucał uśmiechy niewidocznej dla mnie Febe. Kiedy towarzysz jego wstał, dając znak do odejścia, on spojrzął znacząco na Febe i rzekł do mnie: — Panie, bardzo nam się spodobał pewien nowoangielski zwyczaj, który pozwala gościom wypoczywać na łożu obok pięknej gospodyni. Żałuję, że nie mogę zostać, aby skorzystać z dobrodziejstw tego zwyczaju.

Być może w niektórych częściach Nowej Anglii taki odpoczynek we dwoje jest czymś przyjętym. W każdym razie u nas, w Arundel, patrzy się na te rzeczy niechętnie. Chcąc więc odplacić Febe za jej kpiące spojrzenie, a może i wypłatać ją z kłopotliwej sytuacji, rzekłem skwapliwie: — Panie, w tych okolicach wszystkimi pięknymi gospodyniami ja się zajmuję osobiście.

Roześmieliśmy się hałaśliwie. Odprowadziłem Francuzów do miejsca, gdzie stały ich konie. Zza rogu domu ukazał się Cap Huff i pożegnał ich głosem tak miodowo-słodkim, że sprawa od razu wydała mi się podejrzana. Zaprosił ich do swego domu w Newburyport, co wydało mi się dziwne, gdyż mieszkał w Kittery.

Gdy Francuzi oddalili się w kierunku Falmouth, Cap podążył za mną do świetlicy i oświadczył, że wraca do Portsmouth, do swojej macierzystej organizacji. Z kieszeni szarawarów wydobył czystą batystową chusteczkę, rozsupłał ją i wysypał na stół garść złotych monet. Podsunął mi je.

—Masz — powiedział. — To za mój pobyt tutaj i z góry za parę baryłek rumu dla Synów.

Przyjrzałem się monetom. Były to nowiuteńkie francuskie ludwiki, prosto z mennicy. Po chwili rzuciłem je na stół.

- Posłuchaj mnie, Stefku — namawiał Cap. — Ci Francuzi przybyli tu, aby nam dopomóc. Tak pisze w liście Sam Adams. Jeżeli ich pieniądze idą do kieszeni Synów Wolności, to, to jest właśnie pomoc.
- Gdzieś je znalazł?
- W olstrach siodła. Z każdego olstra wziąłem po kapeńce. Zostało jeszcze do cholery i trochę. Dadzą sobie bez tego radę. I bez tego również! — Sięgnął do tyłu i spod pasa wyciągnął piękną koszulę z



marszczonymi koronkowymi mankietami. —To ściągnąłem Szarlowi. I jeszcze parę chusteczek. Kto zabiera z sobą w świat tyle chusteczek co Charles, ten, Bogiem a prawdą, zasługuje, aby mu parę sztuk świsnąć.

- Nie — odparłem. — Niepotrzebne mi ich brudne pienią-

138

dze. Kiedy spotkam Guerlaca, obrabuję go do gołej skóry, ale od nich nie chcę nic.

Cap popatrzył na mnie z niesmakiem, po czym zakrzyknął na Febe. Natychmiast weszła. — Uważaj, Febe — rzekł zgarniając złoto i wkładając jej do rąk. — Stefek i ja nie możemy się porozumieć względem tej mamony. Masz, trzyma u siebie, póki nie przyjdzie mu do głowy zbudować jaką łajbę. Wtedy dołóż się. Będiesz współwłaścicielką.

Sprawdził paluchem pas, wielkimi łapami rażno przeciągnął po twarzy i wypadł z domu, pyszny, olbrzymi, rycząc na cały głos swoją wszeteczną piosenkę o Benningu Wentworthie. Słyszeliśmy go, gdy zjeżdżał konno na wybrzeże. Dopiero przy diunach południowo-zachodni wiatr pochwycił jego piosenkę i poszarpał ją na strzępy.

Gdy Cap odjechał, przez pierwszych parę minut unikałem wzroku Febe. Wreszcie, odchrząknąwszy parę razy, wytłumaczyłem jej, że to, co mówiłem o gospodyniach, nic nie znaczyło, byłem tylko wściekły na nią i na Charlesa, powiedziałem więc, co mi ślina na język przyniosła.

—Dobrze wiesz — rzekłem — co mnie łączy z Mary. Znajdę ją któregoś dnia, to pewne. Kiedy więc na mnie patrzysz tak po swojemu, mam czasem chęć dobrze ci przyłożyć.

Febe kiwnęła głową pobrzękując złotymi ludwikami. — Stefku, mam dosyć już tej oberży.

- Na Boga, Febe! Nie chciałem cię obrazić.
- Wiem, Stefku, ale widzisz, jest wiosna i ja tak nie mogę bez słońca i wody. Twoja matka nauczyła mnie czytać i rachować. Przeczytałam dokładnie cały „Przewodnik Brytyjskiego Marynarza”.

Nie wiedząc, do czego zmierza, oświadczyłem jej, że matka nie mogłaby się bez niej obejść, co było prawdą.

Febe znowu potrząsnęła złotymi monetami. — Twoja matka mówiła, że musicie się dorobić własnego brygu. — Zawahała się. Po chwili zalała mnie taką kaskadą słów, że omal nie zachwiałem się pod ich naporem.

— Żegluję lepiej niż te wszystkie półgłówki z okolicy. Żaden tutejszy rybak nie potrafi tak zręcznie wyminąć ławicy skalnej, jak ja. Znam każdą mieliznę i rafę na przestrzeni od Porpus do Nubble! W ciągu tygodnia podejmuję się dokładnie poznać szlak od Zatoki Francuskiej do Piaszczystego Haku! Stefanie!

139

Mogłabym tych naszych marynarzy dziesięć razy okręcić dokoła małego palca! Mogłabym opływać w kółko każdy prowadzony przez nich statek! Nie czekaj na bryg, Stefanie! Zbuduj szalupę, a ja ją będę prowadziła! Opłaci się! Zobaczysz, jak się opłaci! Zarobisz tyle, że ani się obejrzysz, a starczy i na bryg! Nie chcę zapłaty, Stefanie, daj mi tylko mały udział. Zobaczysz, że oboje zarobimy! Umiem czytać, rachować i żeglować, a to jest więcej, niż umie ktokolwiek w tych okolicach, oprócz może starego Coita, który dowodzi prywatnym okrętem wojennym z ramienia jorskich kupców. Jeżeli sto razy nie opłynę w kółko starego Coita, każ mi

pocałować świnie! Weź, proszę, również złoto, które mam od Capa. Scammen zbuduje łódź, a ja będę pilnować budowy. Nie znajdziesz równej szalupy na wszystkich wodach prowincji Maine! Cóż, ta dziewczucha to był diabeł jakich mało. Ale jej słowa wydały mi się nie pozbawione sensu. Na głowie bym stanął, a nie znalazłbym zdolnego kapitana dla tak małego statku jak szalupa, kapitana, który zarazem byłby współnikiem w interesie i dbał o jak największy obrót. Febe rzeczywiście znała prawidła żeglugi lepiej niż zawodowy marynarz, a nie bała się nikogo i niczego. Pływała tak swobodnie, jak mój Łowca, ale znacznie prędzej. Poza tym — jak miałem sposobność przekonać się na własnej skórze — nigdy nie zapominała języka w gębie, a to na morzu jest wielka zaleta.

- Jakiego procentu — zapytałem — żądałabyś od zysków, gdybyśmy przyjęli twoją propozycję?
- Stefanie — odparła, a jej pięści tak mocno były zaciśnięte, że chyba oszalałaby z rozpaczy, gdybym nie spełnił jej życzeń. — Wszystko mi jedno! — Daj mi tyle, ile uważasz za słuszne. Podejmę się za każdy procent!
- Co byś powiedziała na dziesięć od sta? — zapytałem, chcąc wypróbować powagę jej postanowienia.
- Stefku! — zawołała, niemal się zachłystując. — Więc zgadzasz się? Ach! — Przez chwilę obawiałem się, że padnie mi na szyję i zacznie płakać z radości, poszedłem więc czym prędzej porozmawiać z matką. W wyniku tej rozmowy przyznaliśmy Febe dwadzieścia od sta. W ten sposób nikt nie był pokrzywdzony. Wieczorem matka i ja zagadnęliśmy Tomasza Scammena i omówiliśmy z nim budowę

szalupy. Matka uważała, że Febe ma również prawo wtrącić parę uwag. Ale to, co usłyszeliśmy od Febe, to nie było parę uwag, ale całe kazanie.

Rozsadzały ją pomysły. Chciała mieć szalupę ostrą jak nóż,

140

a nie okrągłą jak balia, głęboką, aby maszt dawał się mocno osadzić i żagiel dobrze brał wiatr. Wysuwała specjalne żądania co do kajuty. Njgdy w życiu nie zaznała wygód, chce mieć je teraz, a wewnątrz kajuty powinno, jej zdaniem, wyglądać wspanialej niż najwspanialsza izba na lądzie.

Scammen kręcił nosem na te pomysły. Wówczas Febe wpadła w złość i wymachując mu palcem przed oczami, oświadczyła, że jest dureń, bo przez całe życie budował statki na modłę przyjętą przez innych durniów i ani razu nie pomyślał, jak, co i dlaczego, za to pierwszorzędnie umie psykać i robić zgorszoną minę, kiedy ktoś proponuje mu coś nowego, pięknego i rozsądnego.

Zgodnie z życzeniami Febe umówiliśmy się, że Scammen zbuduje nam szalupę o wyporności mniej więcej stu dwudziestu ton, długą w tramie na jakieś pięćdziesiąt osiem stóp, szeroką na dwadzieścia dwie i wysoką na jedenaście. Przy tym góra ma być z białego dębu, dół z dobrego dębu, boki z desek nie cieńszych niż półtrzecia cala, a maszt i bukszpryt z dobrej białej sosny i takich wymiarów, jakie wskaże Febe Marvin. W zamian ugodziliśmy się zapłacić Tomaszowi Scammenowi dwa funty, trzynaście szylingów i cztery pensy za każdą tonę, jaką wypierać będzie gotowa szalupa, jedną piątą w bitym pieniądzu, jedną piątą w towarach antylskich, resztę w towarach angielskich lub prowiantach, do wyboru. Przy tym cenę nowoangielskiego rumu ustaliliśmy na dwa szylingi za

galon, melasy na dwa szylingi i osiem pensów za galon, bawełny na szyling i osiem pensów za funt, kawy na szyling i cztery pensy za funt, czekolady na szyling i sześć pensów za funt, wieprzowiny na cztery funty, dziesięć szylingów i osiem pensów za beczkę, sztokfisz na siedemnaście szylingów za kwintal.

Nie pomogło biednemu Scammenowi kręcenie głową i wyrzekanie, że takiego dzikiego pokolenia, jak to dorastające, nie było jak świat światem. Nazajutrz o świcie Febe zjawiała się w jego stoczni i trwała na tym posterunku, póki budowa szalupy nie została ukończona. Sprawdzała każde żebro, każdą deskę, każdy nit kadłuba, uwijała się między kłocami jak wiewiórka, przyglądała się każdemu uderzeniu siekiery i przysieku, a gdy coś szło nie po jej myśli, wrzeszczała na Scammena jak furia piekielna.

I dobrze zrobiła unikając oberży. Albowiem od owego dnia, gdy w Arundel narodziło się koło Synów Wolności, świetlica nasza rozgrzmiewała w wieczorną porę jak klatka pełna wilków, którym za chwilę dozorca rzuci mięso, a kobiecie, która odwa-

141

żyłaby się tam wejść, groziło rozwalenie na kawałki; nie od lubieżnych poklepywań, ale od pasji, z jaką Synowie Wolności wywijali pięściami, chcąc podkreślić swoją gotowość bojową i nienawiść do niewolniczego jarzma.

Podatek stemplowy doprowadzał naszych ludzi do szału. Jakikolwiek nieszczęście wydarzyło się w owych czasach — czy ktoś miał zły urodzaj, czy komuś podarła się kurtka albo wyrzucona na brzeg muszla skaleczyła

stopę — wszystko kładli Synowie Wolności na karb podatku stemplowego i na odpowiedzialność ministrów królewskich. A mówili mi podróżni, że takim samym szalem płoną mieszkańcy prowincji południowych, aż po Boston, Rhode Island, Connecticut i dalej.

Tak się zaciekli, że już nie wystarczało im gardłowanie przy szklankach rumu. Całymi gromadami nacierali na urzędników koronnych i wszystkich tych, którzy śmieli wyznawać poglądy odmienne. Otrzymaliśmy więc wiadomość z Portsmouth, że Synowie Wolności schwytali bogatego przedsiębiorcę okrętowego, który doradzał umiarkowanie, i wsadzili go do beczki z solonymi śledziami. Od przyjezdnych z Bostonu słyszeliśmy, że zdziczały tłum rozniósł na drzazgi wspaniałą rezydencję sędziego głównego, Hutchinsona. Po miesiącu nadeszła wieść z Connecticut, że kukłę, przedstawiającą egzekutora stemplowego, Synowie Wolności publicznie wysmagali i powiesili na szubienicy wysokości pięćdziesięciu stóp. Później nieco zawiadomiono nas z New Haven, że przyjaciel nasz, Benedykt Arnold, odkrywszy człowieka, który donosił władzom o przemycanych towarach, własnoręcznie zdarł z niego ubranie, nagiego przywiązał do pręgierza i wrzepił mu czterdzieści tęgich bizunów przy radosnym wyciu Synów Wolności.

Nie bacząc na te zamieszki, nadal wypytywałem traperów i handlarzy o Guerlaca. Sądziłem, że wkrótce sprawy się wyjaśnią, ludzie się uspokoją i będę mógł prowadzenie oberży pozostawić w rękach matki i sióstr, a sam wyruszyć na poszukiwania. Ale wciąż nie traślałem na trop Guerlaca, a chaos w kraju bynajmniej się nie umniejszał, pomimo że cofnięto ustawę stemplową, zanim skończyłem dziewiętnasty rok życia.

Wrzenie nawet wzrosło. Bo ci Synowie Wolności — przeważnie ludzie

bez pracy, bez pieniędzy, żyjący z byle czego i zawsze skorzy do guza — napadali na domy ludzi bogatych, aby przywłaszczyć sobie ich dobra. Przeto bogacze, drżąc o swoje cenne osoby i nie mniej cenne ruchomości, usiłowali rozpętać nagonkę

142

przeciw Synom Wolności. To dołało tylko oliwy do ognia i przyspieszyło ferment.

Na domiar wszystkiego, gdy miałem już lat dwadzieścia, królewska komora celna w Bostonie postanowiła ściągać cła, których dotychczas nikt nie płacił. Wówczas tłumy wylały się na ulicę. Bito urzędników celnych, właścicielom okrętów pomagano wyładowywać nieocłone towary, przeciwnikom politycznym grożono pręgierzem i chłostą, znieważano sądy i gubernatora stanu Massachusetts.

Synowie Wolności w każdym mieście, w każdej osadzie mieli koło korespondentów. Korespondenci pisali Samowi Adamsowi do Bostonu o wszystkich ważniejszych wydarzeniach, a Sam Adams im odpisywał, udzielał pouczeń, pochwał i nagan.

Był chłodny wieczór wrześniowy. Siedzieliśmy w świetlicy. Nagle James Dunn wstał i oświadczył, że ma obecnym coś ważnego do przedłożenia. Przedwczesny ziąb ściągnął tego dnia do naszej oberży więcej niż zwykle amatorów kieliszka. Niektórzy z nich bynajmniej nie pałali szczególną sympatią do Synów Wolności, chociaż, podobnie jak ja, woleli trzymać język za zębami, niż po powrocie do domu zastać stodołę w zgliszczach, a bydło rozproszone po lesie. Wśród powszechnego milczenia uroczysty James, człowiek o twarzy mędrca, a mózgu kpa, odczytał list od Sama Adamsa. W liście tym było powiedziane, że

królewski gabinet, pragnąc ukrócić rządy motłochu w prowincji Massachusetts, zamierza w najbliższym czasie wysłać do Bostonu jeden pułk z Halifaxu i dwa pułki z Irlandii celem przywrócenia porządku. W przeświadczeniu, że koloniści wolą umrzeć niż wieść żywot niewolników, Sam Adams wzywał wszystkich ludzi dobrej woli do zaopatrzenia się w broń palną.

James Dunn odczytał ten list i usiadł, powstrzymując się od komentarzy, bo i cóż innego mógł uczynić biedaczysko? Rzecz osobliwa, tej przymusowej wstrzeźliwości zawdzięczał opinię mędrca. Gdy nie miał nic do powiedzenia, ludzie sądzili, że właśnie jego myśl szybuje w niedościgłych rejonach. Synowie Wolności również, milczeli, wpatrzeni w opróżnione do połowy szkła, ale czuło się, że uszy ich nabrzmiwiają krwią — i niech tylko ktoś zaprotestuje, a stołki pójdą w ruch.

Ja — cóż? — byłem spokojnym sobie obywatelem i w duchu potępiałem zuchwalstwo i zawadiactwo Synów Wolności. Ale gdy usłyszałem te słowa, wypowiedziane spokojnym, równym głosem Jamesa Dunna, wszystko stało się dla mnie jasne. Dobrze

143

wiedziałem, że nie pozwolę, aby uzbrojone oddziały kolbami muszkietów karbowwały mi na łbie czyjeś rozkazy, że nie usłucham, póki tacy świetni ludzie, jak Sam Adams, John Hancock i Benedykt Arnold, powiadają, że słuchać nie trzeba. Podniosłem się więc i oznajmiłem, że mam u siebie broni palnej w sam raz, ile trzeba, dla odparcia tych ministerialnych oddziałów, które nam przypadną, i że gotów jestem odstąpić mieszkańcom Arundel muszkiety, proch i formy do odlewania kul po cenie kosztu, przy czym proszę ich o przejrzanie moich ksiąg handlowych, aby potem nie



mówili, jak to u nas jest w zwyczaju, że ich okpiłem. Zerwała się taka burza wiwatów, że powiedziałem sobie: „Niech mnie to kosztuje” — i kazałem wytoczyć baryłkę francuskiego rumu. Następnego dnia wysłałem Febe z szalupą do Portsmouth po nowy zapas muszkietów, prochu i ołowiu.

Uważam to za szczególnie szczęśliwe dla matki mojej i dla mnie zrządzenie losu, że Febe została kapitanem naszej szalupy „Eunice” — taką bowiem nazwę zastrzegła sobie w dniu, gdy ułożono tram. Z jej spojrzenia zgadywałem — choć nie mógłbym na to przysiąc — że upiera się przy tej nazwie, abym przypadkiem nie zechciał ochrzcić szalupy imieniem „Mary M.”, czego nie uczyniłbym, rzecz prosta, nigdy. Owszem, zastanawiałem się przez chwilę, czyby jej nie nazwać „Białą Lilią”, ale odrzuciłem ten pomysł z obawy przed śmiechem Capa Huffa.

Wiedząc, że nie należy jej się sprzeciwiać, przystałem na imię „Eunice”. Wówczas ona kazała Tomaszowi Scammenowi ozdobić dziób wyrzezaną z drzewa głową fok. Głowie tej przydała wąsy. Musiałem w kuźni zrobić dwa tuziny gwoździ. Wzięła je i dwoma pękami wbiła drewnianemu potworowi powyżej nozdrzy. Rezultat był wspaniały: głowa dąsała się i stroszyła wąsy jak Eunice, gdy prosi o porcję ryb.

Wynajęła dwóch pomocników, najgłupszych ludzi, jakich mogła znaleźć. Musi mieć — dowodziła — załogę, która będzie bez szemrania spełniała rozkazy, nie zastanawiając się nad tym, że pochodzą one od kobiety, i która będzie ufała jej dowództwu. Zgodzili się tanio. Ale gdy w ożywczych powiewach południowo--zachodniego wiatru szalupa po raz pierwszy wypłynęła na morze i Febe zaczęła lawirować wśród cyplów skalnych, tak że ja, stojąc przy burcie, nie mogłem wysunąć ręki za

poręcz, bo otarłbym sobie paznokcie — zrozumiałem, że trzeba być zupełnym półgłówkiem, aby zgodzić się na żeglugę pod rozkazami Febe choćby za nie wiem jakie wynagrodzenie.

144

Przewoziła drzewo i rybę do Bostonu z taką chyżością, że ludzie się zdumiewali. Tam wymieniała je na towary potrzebne w oberży. Handlowała zręcznie i jakoś umiała sobie zaskarbić szacunek kupców, pomimo że nie mogłem jej odwieść od chodzenia w butach marynarskich i noszenia się po męsku. Rzeczywiście, można by ją wziąć za chłopca, gdyby nie hinduskie naszyjniki i bransolety, którymi lubiła się ozdabiać. Najchętniej nosiła sznur „kocich oczu”, wyhandlowany od marynarza, który zwiedził Ocean Indyjski. Zapłaciła mu dwoma toporkami kamiennymi i szkłem powiększającym, cudami, które otrzymała od innego marynarza w zamian za szarą papugę.

Sprawy, dotyczące szalupy, obchodziły Febe i matkę. Ja miałem dosyć roboty w oberży — dosyć, a nawet za dużo. Bo kiedy po raz wtóry przecięła się moja ścieżka ze ścieżką Benedykta Arnolda, miałem powody złorzeczyć wszelkim obowiązkom i od-powiedzialnościom, jakie spadły na mnie po ojcu.

Pewnego wiosennego dnia, a była to dwudziesta druga wiosna mojego życia, w płaskodennej łódeczce wybrałem się za Przylądek Arundel, aby naciąć żerdzi jesionowych. Kiedy na falach przyływu wjechałem z powrotem w rzekę i na ukos łachą po-wiosłowałem ku domowi, uderzył mnie widok gromady ludzkiej, stłoczonej przed naszymi frontowymi drzwiami. Z daleka rozróżniłem postacie matki, sióstr i Jamesa Dunna. Od

tłumowi oddzielił się jakiś mężczyzna, wziął rozpęd, wbiegł na pionową ścianę, a znalazłszy się ponad głowami widzów, zręcznie odskoczył do tyłu, wywinął koziółka w powietrzu i stanął na równych nogach.

Natychmiast przypomniał mi się pewien młodzieniec w szynelu z białego francuskiego sukna, wspinający się po sznurze bez pomocy nóg, a tak lekko i niewymuszenie, jak ja po stopniach wchodzę na piętro. Tak, to był Arnold. Co za radość!

Okrzyknąłem go z daleka i wybiegłem spieszenie na ląd. Ludzie byli olśnieni akrobatycznymi sztukami, zaprezentowanymi przez gościa. Nie dano mi się spokojnie przywitać, bo siostry otoczyły Arnolda wołając, aby w mojej obecności powtórzył woltę, która tak im się spodobała.

Bynajmniej nie zrażony ich natręctwem, podszedł do platformy, na której zwykliśmy podczas odpływu przewozić naszą łódź wielorybniczą z łachy na brzeg morza, wyciągniętą ręką zmierzył wysokość koła, cofnął się i z rozbiegu leciutko przeskoczył przez wóz, nie tykając kół stopami. Nikt ze znanych mi ludzi nie umiał tak skakać, chociaż w późniejszych

145

latach wielu próbowało, zwłaszcza po paru kieliszkach rumu, i omal nie poskręcało sobie karków.

Widać było, że przyjemność mu sprawia obiegający gromadę szmer podziwu. Arcyludzkie to. Przerwał jednak, skinął na Jamesa Dunna, odebrał z jego rąk sukienny szynel i trójgraniasty kapelusz; ubrał się, trzepnął mnie po ramieniu i powiedział, że przybywa tu z Przylądka Porpus, specjalnie do mnie. Kiedy znaleźliśmy się sam na sam w oberży, przytknął mnie palcami w pierś, a twarz jego wydłużyła się w uśmiechu, który już znałem. Nagie wypalił: — Widziałem waszą dziewczynę!

Ha, dosyć było najbliższej wzmianki o Mary, aby serce we mnie zaczęło broczyć, ściśnięte niewidzialną ręką. Wytrzeszczając oczy na Arnolda, zdołałem tylko wykrztusić: — Mary Mallinson?

Potrząsnął głową. — Marie de Sabrevois. Jest smukła, włosy ma złociste, a pod oczami delikatne piegi, rzekłbyś: żółty pyłek na płatkach lilii.

- Mary Mallinson — powiedziałem. Zamknawszy oczy, ujrzałem ją obok przełazu w płocie. Przez chwilę zdawało mi się, że obiema rękami ujmuje, jak wtedy, moją twarz.
- Marie de Sabrevois — powtórzył uderzając palcem wskazującym w stół — siostra Henri Guerlaca de Sabrevois! Jedyna blondynka w rodzie de Sabrevois! Jasnowłosa piękność! No i, proszę was — katoliczka!

Drzwi od kuchni rozwarły się z trzaskiem. Febe Marvin, szczupła, smagła, zwinna jak kot, wślizgnęła się do świetlicy. Oparta plecami o drzwi, jęła ścierać białą, słoną pianę z wysokich butów marynarskich i nabijanego mosiądzem korsarskiego pasa. Poruszany zadyszana piersią, sznur kocich oczu to rozjaśniał się, to ciemniał.

— W Bostonie \* piekło na ulicach! — zawołała. — Na Królewskiej angielskie wojsko dało salwę do Synów Wolności. Jest wielu zabitych.

Arnold zerwał się na nogi, przewracając przy okazji wszystko, co stało na stole. — Czy ukarano żołnierzy? — zapytał gwałtownie, a twarz mu pociemniała, że nie rozeznałbyś jej od twarzy Malary.

W r. 1766 parlament brytyjski zniósł ustawę stemplową, lecz w rok później nałożył nowe cła importowe; koloniści wszczęli bojkot towarów

angielskich. Doprowadziło to do walk w r. 1770 pomiędzy mieszkańcami Bostonu a żołnierzami brytyjskimi. Wydarzenie to określane jest często jako „masakra w Bostonie” (przyp. red.).

146

Febe zmierzyła go chłodnym spojrzeniem. — Nie! Pierwsze strzały padły spośród motłochu!

Arnold jęknął. — Spośród motłochu! Motłoch! Tacy sami obywatele, jak wy i ja. Jedyłą ich winą jest, że chcą żyć i nienawidzą niewoli.

- Możliwe — spokojnie rzekła Febe. — Każdy patrzy po swoim. Mnie się widziało, że to był motłoch. Na czele ich stał mieszaniec, pół-Murzyn. Ale przeciwko motłochowi też się nie wysyła wojska. To było okropne!
- Okropne! — krzyknął Arnold, podszedł do ściany i zaciśniętą pięścią trzasnął w sosnową deskę, że aż pękła. — Morderstwo w biały dzień! Mocny Boże! Czy Amerykanie śpią, czy spo-tulnieli, że tak łatwo zrabować im wolność? A może stali się filozofami i pogardzają zemstą?
- Głupstwa! — zawołałem. — Co z Mary?

Arnold obrócił się i spojrzał mi w twarz. — Mary! Mary! Takie czasy, a wam w głowie tylko dzierlatka, mała obłudnica z klasztornej szkoły. Mary! Mocny Boże!

Sięgnąłem ręką za siebie i uchwyciłem się stołka, gotów rozłupać głowę bluźniercy, który śmiał w ten sposób wyrażać się o Mary. Jasnoniebieskie oczy Arnolda rozszerzyły się drapieźnie jak oczy kota. Czekał. Odzyskałem panowanie nad sobą i odstawiłem stołek.

—Panie — rzekłem. — Jeżeli trzeba będzie się bić, pójdę się

bić. Ale na wiadomość o Mary czekam od niepamiętnych lat.

Dłużej czekać nie mogę!

Arnold wciąż jeszcze nie odrywał ode mnie oczu, wreszcie rozprostował szerokie barki pod niebieskim suknem szynelu i uśmiechnął się. Uśmiech ten, zdawało się, spędził mrok z jego twarzy, przywracając jej jasność i wesołość.

—Cóż — powiedział — nie mam do was żalu! Kiedy przyjdzie czas walki, wrogowie połamią sobie zęby na nas. Tylko nie skaczymy sobie wzajem do gardeł, umiejmy współdziałać, unikajmy rozbieżności! — Twarz znowu mu pociemniała. — To jest właśnie najgorsze — rozbieżności! Wiecie, co się stało w New Haven? Podły donosiciel napuścił na mnie celników, że niby łaamię te przekłete ustawy. Wychłostałem go! I co myślicie? Czy może rodacy podziękowali Bogu, że nareszcie ktoś przeciwstawił się ciemnościom i gnębicielom? Powinni byli dziękować Bogu. Prawda?

Przybliżył twarz do mojej twarzy, a oczy mu płonęły gniewem.

147

Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: — Rozbieżności! Rozbieżności! Rzecz jasna jak szkło, a ci ludzie nic nie widzą! Tak nawykli do ucisku, że nie mogą bez niego żyć! Nałożyli mi pięćdziesiąt szylingów grzywny i udzielili publicznej nagany. Mnie udzielili nagany, tchórzliwe szczury! Nagany — mnie! Już ja się postaram, żeby mieli mnie za co zganić! — Oburącz uchwycił się stołu, potrząsnął nim, że aż drewniane nogi zatańczyły po podłodze, wciągnął głęboki haust powietrza, przetrzymał w płucach, wyrzucił hałaśliwie i znowu się

uśmiechnął.

—A więc — rzekł — chcecie wiedzieć, w jakich okolicznościach ujrzałem waszą dziewczynę. Uważajcie. Zabrawszy was z Kennebecu — pamiętacie? — wróciłem do New Haven i sam zacząłem handlować medykamentami. Później wywoziłem konie na Wyspy Cukrowe, a przywoziłem melasę, cukier i rum. Znałem Quebec, wiedziałem, że tam dostanę najlepsze medykamenty. Sprzedawałem je za ładną cenę, uzyskane pieniądze obracałem na zakup koni, a konie wywoziłem na Wyspy Cukrowe. Mówiłem waszemu ojcu — pierwsza klasa był chłop — mówiłem mu, pamiętacie? — że zbić majątek w Quebecu to fraszka.

Przytwierdziłem skinieniem głowy, nie wiedząc wszakże, co to wszystko ma wspólnego z Mary.

—Dobrze mówiłem — ciągnął dalej. — Dzisiaj mam w New Haven piękny domek, najśłodsza żonę i dwoje prześlicznych dzieci. Jestem właścicielem trzech brygów — jeden stoi przy Porpus, sam nim dowodzę, drugi jest na morzu, w drodze z New Haven do Wysp Cukrowych, trzeci wraca z Anglii. Na domiar tego krewkie młodziki z New Haven okrzyknęły mnie kapitanem gubernatorskiej gwardii, świetnego wojska, które dotrzyma pola choćby samemu piekłu z Lucyperem na czele!

Przechylił się wstecz, i spojrzął na mnie rozradowanymi oczami. Ten człowiek, którego przed kilkoma minutami omal nie zdzieiłem stołkiem, miał powody do zadowolenia z siebie, przewyższał bowiem majątnością i stanowiskiem większość tych, co się mienili szczęśliwymi.

Jak gdyby nasyciwszy się już moim podziwem, kapitan Arnold

przeszedł do sedna opowieści. — Nigdy nie wiadomo, czy nie przyjdzie człowiekowi niespodziewana korzyść z przypadkowej znajomości. Ile więc razy byłem w Quebecu, zawsze wypytywałem o waszego przyjaciela de Sabrevois. Ale powtarzano mi tylko rzeczy już znane. De Sabrevois został ujęty przez angielską kor-

148

wetę i przewieziony do Jersey. Gdy podpisano układy pokojowe, wrócił do Francji.

Zrazu Anglicy zamierzali skonfiskować jego dobra — majątek ziemski na Wyspie Orleańskiej i dom w górnej dzielnicy Quebecu. Ale wychodząc z założenia, że zwycięzcom przystoi wspaniałomyślność, postanowili przy opanowywaniu Kanady unikać prześladowań religijnych i wywłaszczeń. Niewiele więc myśląc, wybiera się nasz de Sabrevois do Quebecu razem ze swoją śliczną siostrzyczką Marie i osiada w apartamentach swoich pośród żelaznych piecyków i futrzanych kobierców. Przymiła się Anglikom, wino żłopie jak wodę, udaje, że do rozrzutności nastroił go zapach miłych sercu kanadyjskich borów. Odwiedzają go wytworni angielscy oficerowie, każdy by rad choć okiem rzucić na tę lilię, obsypaną złotem, na Marie, jego siostrzyczkę. A rzucają na nią okiem tak zawzięcie, że samotny braciszek, pięknie ozdobiony szramą na policzku i szczerbą w uchu, jakby wygryzioną przez łasicę, nie widuje dziewczeczki od wczesnego ranka do późnej nocy.

Spojrzał na mnie badawczo. Spojrzenie to nie trwało dłużej niż sekundę.

- Nie wiem, proszę was, czy kawalerowi de Sabrevois nie w smak



poszła ta adoracja, czy jakieś inne przyczyny miał. Ja byłbym szczęśliwy, gdyby piękni, młodzi oficerowie smalili cholewki do siostry mojej, którą kocham. Dość na tym, że odesłał boską Marie do klasztoru w Montrealu, oświadczając wszem wobec, że panna pragnie się wyedukować w astronomii.

- W astronomii! — zawołałem usiłując sobie przypomnieć, czy to jest nauka o kwiatkach, czy też coś związanego ze sztuką kucharską.
- Właśnie! — rzekł Arnold. — Ale widziałem dziewczynę i upewniam was: gwiazdy mogą się jej nie obawiać.
- Widzieliście ją, zanim pojechała do Montrealu? — zapytałem niecierpliwie.
- Nie, skądże — odparł Arnold z niedbałością, która, jak się później miałem sposobność przekonać, cechowała go, ilekroć opowiadał o dokonanych przez siebie śmiałych czynach. — To wszystko wiem od znajomych. Skoro jednak ten szlachcic francuski tak się upierał, że dziewczyna jest jego siostrą, pomyślałem sobie: strzelało się do głuszców, strzelmy i do przepiórki, warto zobaczyć, jak rzeczy się przedstawiają naprawdę. Odpływając

149

do Montrealu, zaopatrzyłem się w cztery angielskie mundury. Pewnego pięknego wieczora, na czele czterech marynarzy w szkarłatnych surdutach wojskowych zjawiłem się u wrót klasztoru i w imieniu Jego Królewskiej Mości nakazałem przeoryszy, aby otworzyła i sprowadziła mi na przesłuchanie pannę Marie de Sabrevois.

Zaśmiał się cichutko.

—Przyprowadzono ją. Pochwały, które słyszałem w Quebecu, były nikłym odblaskiem prawdy. Ujrzałem stworzenie czarowne, jak kwiat leśnej różyczki, przedziwnie delikatne, urzekające różaną świeżością. Włosy miała zaplecione dokoła głowy niby złoty sznur. W szarej sukience klasztornej wyglądała tak wiotko, tak miękko, że gdybym ją ujął w pól, musiałaby chyba zwisnąć mi bezwładnie przez ramię, jak szal mojej siostry.

Usłyszałem odgłos marynarskich butów Febe. Szła ku drzwiom. Nie spojrzałem nawet na nią, było mi obojętne, czy patrzy na mnie kpiąco, czy nie patrzy wcale, czy jest pod wrażeniem opowieści Arnolda, czy może nawet nie słucha.

—Przemówiłem do niej po angielsku — dalej ciągnął Arnold, dla podkreślenia słów uderzając palcami o blat stołu. — Powiedziałem, że przynoszę jej pozdrowienia od przyjaciół z Arundel. Odpowiedziała po francusku, przysięgała, że nie zna angielskiego. Na to ja, wciąż po angielsku, że jeżeli podoba jej się grać w ciu ciubabkę, to zawołam ludzi i każę ją zabrać tam, gdzie będziemy mogli prowadzić badanie bez przeszkód. Wówczas spojrzała na mnie szeroko otwartymi, błagalnymi oczami i powiedziała po angielsku, że nie zna nikogo w Arundel. Że jeżeli ktoś uważa się tam za jej przyjaciela, niech lepiej zajmie się swoimi sprawami, a jej da święty spokój.

Arnold odchylił się, rozcierając kolano i mierząc mnie wyzywającym spojrzeniem. — Wiedziałem już, że w razie potrzeby mam kawalera de Sabrevois w łapie. Wobec tego ruszyłem w dalszą drogę.

- Na miłość boską! Jakże to? Staliście przy niej, głupcze, i nie

zabraliście jej stamtąd?

- Trochę ciszej, jeśli łaska — rzekł Arnold. — Mam ważne sprawy w Montrealu i Quebecu. Dlaczegoż miałbym porywać młodą damę, zapewne wbrew jej chęciom, i narzucać ją wam, zapewne wbrew waszym interesom? Niewiele wody upłynie, a Montreal i Quebec mogą się stać widownią wypadków o wielkiej dla nas wszystkich wadze, i wówczas kto wie, czy de Sabrevois nie

150

będzie nam potrzebny! Chcecie, abym wyrzekł się jego pomocy w imię waszych prywatnych sentymentów? Przesadzacie ich znaczenie!

Cierpliwie wam tłumaczę, chociażście mnie nazwali głupcem — dodał patrząc spode łba. — Wiem, że miłość zamąca równowagę. Jest to choroba stokroć gorsza od anginy, albowiem uszkadza mózg.

—Panie — rzekłem — po raz drugi proszę was o przebaczenie. Wiem teraz, co uczynię. To, o czym z dawna marzyłem. Pojadę do Quebecu po Mary.

Febe niecierpliwie bić poczęła końcem buta o podłogę. Ze zdumieniem uświadomiłem sobie, że ona jeszcze jest w izbie.

- Twoja matka nie poradzi sobie sama z oberżą — rzekła.
- Pomoże jej James Dunn — odparłem. Jamesowi płaciłem miesięczne wynagrodzenie, aby wieczorami pilnował porządku w świetlicy. Jego dostojna prezencja i stanowisko sekretarza Synów Wolności były w owych burzliwych dniach kozalami nie lada.

Febe potrząsnęła głową. — Znasz Jamesa Dunna, więc po co gadasz?

Arnold ściągnął mnie z powrotem na ławę. — Przybyłem tu właściwie w jednym tylko celu: abyście o wszystkim tym dowiedzieli się ode mnie i

tylko ode mnie. I szczęście, że nikt mnie nie wyprzedził: bo wtedy urwalibyście się, zmącilibyście wodę i po-wystraszałibyście ryby. A tego wam robić nie wolno!

- Muszę odzyskać Mary — oświadczyłem gniewnie. — Czekałem przez całe życie na tę chwilę.
- Pomyślałby kto, że zbieracie się już do grobu! — zawołał Arnold. — Słuchajcie, człowieku! Czeka nas walka o wyzwolenie spod obcego jarzma! Wy, ludzie z leśnego zaścianka, może o tym wiecie. Wielkomięjscy lichwiarze może w to nie wierzą. Ale walka jest nieunikniona!
- A skąd wy o tym wiecie?
  - Walka wisi w powietrzu! Czuję ją w masach, słyszę w rozmowach ludzi. Dostyc już mamy obcej opieki. Chcemy sami za siebie być odpowiedzialni. Nowoangielczyk nie pozwoli, aby jakiś ni-brat-ni-swat wtrącał się do jego spraw, a i swojemu czasem przytrze nosa. Lud kipi od gniewu. Zbiera się w sobie jak grzechotnik i jeszcze trochę, a zacznie kęsać.

Potrząsnął mną. — Obudźcie się! Nie czas teraz na majówki do Kanady, na włamywanie się do klasztorów i robienie burd na ulicach Quebecu! Wy? Wy znacie Indian, znacie ich kraj.

151

Tacy, jak wy, są nam potrzebni. Jaka szkoda, że ojciec wasz nie żyje! On by na pewno nie pozwolił sobie w taki czas na kanadyjskie awantury!

Kiwnąłem głową, przejęty jego słowami.

- Uważajcie, co mówię — rzekł. — Jesteście tu potrzebni. Kiedy nastanie właściwa pora, pozwolę wam odejść. Na razie nie.

Czekajcie, póki nie dam hasła. Do tego czasu ani na krok stąd! Już ja będę myślał za was! Pewnego dnia razem ruszymy do Quebecu, ale jeszcze nie dziś. Musicie czekać.

- Dobrze. Zaczekam.

- To się nazywa układ! — zawołał Arnold. Pochwycił moją dłoń i uścisnął ją z całych sił, po czym zaczął się przygotowywać do drogi.

Febe zaofiarowała się, że zawiezie go szalupą do Przylądka Porpus. Ale on, okazało się, przybył tu konno i konia zostawił na tamtym brzegu rzeki. Wówczas ta bezczelna dziewczucha oznajmiła, że przewiezie go łódką przez łąkę. Wyszła pierwsza. W bryłowych butach marynarskich, w szerokim nabijanym pasie, w rozpiętej nad piersią koszuli wyglądała zupełnie jak chłopiec. Wychodząc przez furtkę, Febe i Arnold żartowali i śmiali się. Chciałem za nimi iść, ale nagle mi przyszło do głowy, że może Febe właśnie natrząsa się z Mary. Zostałem w obojętym, aby nie stracić panowania nad sobą i nie cisnąć smarkatej w rzekę.

## XII

Bywały chwile, że brała mnie szewska pasja na tę dziewczynę. Gdybym był jej ojcem, odpiąłbym pasa, przełożyłbym bachora przez kolano i wrąbał, jak się patrzy. Tylko że to nie bardzo bezpieczna operacja, bo zanimby doszło do czego, szczeniak złamałby mi pięścią nos.

Gdy wyrażałem zgorszenie z powodu jej szarawarów, odpowiadała, że w następnym sezonie będzie jeździć do Bostonu w brokatowej sukni z tiurniurą, co nie jest żadną odpowiedzią. Albo też pytała mnie złośliwie, co bym ja na to, gdyby mi kazano skrócić żagiel podczas zachodniego szkwału, a między nogami majtałaby mi się sukienka. To też nie jest

odpowieź.

Czasami znów prosiła mnie ironicznie, abym jej naszkicował projekt sukni, jaką powinna nosić w szalupie zamiast szarawarów. Oświadczyła, że zamówi sobie taką suknię w Bostonie i na-

152

zwie ją swoim kostiumem kapitańskim. Ot, bezwstydna, bezmyślna gadanina.

Prawdę powiedziawszy, to wściekała mnie każda z nią rozmowa. Ale nie byłem przygotowany na koncept, jakim zaskoczyła mnie wkrótce po odjeździe Arnolda na Wyspy Cukrowe.

Byłem zajęty uszczelnianiem łodzi wielorybniczej, gdy Febe nadeszła, zbliżyła się do wywróconej łodzi, pewna siebie, bezczelna, jedną rękę trzymając w kieszeni swoich irytujących szarawarów, po męsku, drugą przebierając naszyjnik z olśniewających kocich oczu. Widząc to, poprosiłem, aby się zachowywała albo jak mężczyzna, albo jak kobieta, a nie jedno i drugie równocześnie. Odparła spokojnym głosem, że zamierza wyjść za mąż i że zachowuje się jak kobieta, a lepiej nie potrafi.

- Ognie piekielne! — zawołałem, mając wielką chęć rzucić w nią nożem ciesielskim. — A to po co? Masz szalupę, jak chciałaś, żyjesz wygodniej, niż mogłabyś żyć przy najlepszym mężu, odkładasz tyle pieniędzy, że wkrótce wystarczy ci na własną szalupę, a może nawet na bryg. I nagle strzeliło ci coś do łba i już gotowa jesteś złamać naszą umowę, pomimo że oboje dobrze na niej wychodzimy, pomimo że tylko na twoją prośbę kazaliśmy Tomaszowi Scammenowi zbudować ten przeklęty statek. Jak ty sobie wyobrażasz, gdzie my znajdziemy innego kapitana? Jak świat światem, nie widziano jeszcze

równie krnąbrnej i przekornej dziewczuchy!

- Przecież nie wiesz, za kogo chcę wyjść!
  - To mi jest obojętne! Zamordujesz się, będziesz rodzić bachory, bachora za bachorem. Będziesz, ciągnąc wodę ze studni, gotować dla męża, praść i szyć. Z tą połówką wzrostu i ćwiartką rozumu prędzej się zestarzejesz niż inne. Teraz jesteś chuda jak wrona, za dziesięć lat zobaczysz w lustrze pomarszczoną brudną staruszkę, podobną do kartofla, który James Dunn nosi w kieszeni przeciw reumatyzmowi! U męża nie będziesz chodzić w szarawarach, butach z cholewami i rozpiętej koszuli. Chyba dostałaś porażenia słonecznego! Któż jest tym szczęśliwym głupcem?
  - James Dunn — odrzekła Febe okręcając sobie naszyjnik dokoła palca tej ręki, która nie tkwiła w kieszeni.
  - James Dunn! — zawołałem ochryple. Nie wierząc własnym uszom, powtórzyłem: — James Dunn!
  - Tak. Wymawiaj jego imię, jak chcesz. James Dunn! — Naśladowanie cudzej wymowy należało do jej najwstrętniejszych przyzwyczajzeń, zwłaszcza że czyniła to doskonale.

153

- Ależ nie możesz wyjść za Jamesa Dunna! Nie możesz wyjść za człowieka, który żywi się liśćmi dmuchawca!
- Mniej będzie kłopotu z gotowaniem — odparła spokojnie.
- On ledwo potrafi zliczyć do pięciu — dowodziłem. — Co mówię, do czterech! Przed kilkoma dniami stanął tu przed Tomaszem Scammenem, w jednej ręce trzymając tacę, w drugiej dzbanek.

Scammen chciał mu dać szylinga, ale biedaczysko James nie wiedział, jak tu wziąć szylinga, a nie upuścić albo dzbanka, albo tacy! Upuścił dzbanek, bo dzbanek miał w prawej ręce, a prawą ręką wszystko łatwiej zrobić!

- Na to są sposoby.
- Co, teraz chcesz go wychowywać? Chłop już nie jest młody!
- To nic. Po prostu nigdy mu nie dam szylinga!
- Ba!
- A co więcej, zamierzam nadal jeździć szalupą. Jeżeli potrzebny mi będzie marynarz, wezmę Jamesa i w ten sposób zaoszczędzę wydatków. Jeżeli obejdę się bez marynarza, James tu zostanie i po dawnemu pomagać będzie w oberży. Mówiłam już z nim o tym wszystkim. James zgadza się, abym nadal prowadziła szalupę, a także — przeszła mnie złośliwym spojrzeniem — abym chodziła w butach i szarawarach. Nic złego nie widzi w takim ubiorze.
- Co on w ogóle może widzieć?
- We mnie jednak coś dostrzegł.
- Phi! — rzekłam. — Jaki ślub weźmiecie?

— Ślub, który w Bostonie nazywają ślubem legalnym.

Odeszła, pogwizdując, z rękami w kieszeniach. Jak świat światem, Arundel nie znało podobnej wietrznicy.

Dziwna to była para — Febe i James. Ona wyruszała z szalupą to na trzy, to na cztery dni, a nawet na cały tydzień, on zaś błąkał się koło domu i pomagał w oberży. Kiedy wracała, nie chodzili na pobraże morskie, nie całowali się pośród drzew, jak godzi się narzeczonemu, lecz przesiadywali w świetlicy i Febe zmuszała Jamesa do rozwiązywania najprostszych



zadań, aby rozwinąć — jak mówiła — jego umysł, chociaż nie wiem, jak można rozwinąć coś, czego nie ma. James, z wyglądu profesor matematyki, długo się zastanawiał, ile to będzie dwa razy dwa, wreszcie kręcił bezradnie głową, a Febe jeszcze raz wykladała mu wszystko od początku. Kiedy indziej znów wcale nie zwracała na niego uwagi, ale wchodziła do kuchni, gdzie siedziałem pochylony nad księgami handlowymi, i godzinami całymi opowiadała moim siostram,

154

że w Newburyport, w Salem czy w Bostonie widziała kobietę ubraną tak a tak, noszącą to a to — ot, rozgadane, rozchichotane dzierlatki!

Nie pojmowałem, dlaczego ona i James tak zwlekają z tym ślubem. W kraju jak gdyby się uspokoiło, nic nie słyszeliśmy o nowych zaburzeniach. Awanturnicze żywioły cieszyły się jak naj- -> gorszą sławą, a kupcy gdzieś zaczęli przebąkiwać, że wojna byłaby zgubna. Mając to wszystko na uwadze, myślałem już, czyby nie złamać danego Arnoldowi przyrzeczenia i nie wybrać się do Quebecu. Ale ilekroć poruszałem ten temat w obecności Febe, oświadczała mi, że w najbliższych tygodniach zamierza poślubić Jamesa, a potem zabierze go z oberży w podróż poślubną. Słyszając to, matka smutnie kręciła głową. Zagryzałem więc wargi i czekałem.

Te pomysły na dobre wybiłem sobie z głowy, kiedy w trzecim roku swego narzeczeństwa Febe przyniosła z Bostonu wiadomość, że Kompania Wschodnioindyjska, nie mogąc sprzedać w Anglii wszystkich swoich zbiorów, otrzymała pozwolenie na przywóz herbaty prosto z Indii do Ameryki. Dzięki temu, mówiła Febe, Kompania będzie mogła sprzedawać taniej niż nasi kupcy, którzy muszą się zaopatrywać w

Anglii. Taniej nawet niż ci, którzy przemycają herbatę z Holandii.

Ten fakt podobno wywołał w Bostonie niebywałe wzburzenie. Kupcy, widząc się u wrót bankructwa, rzucili w kąć obawy przed wojną i jęli gardłować nie gorzej od Synów Wolności.

Na domiar, mówiła Febe, Synowie Wolności, nabrawszy odwagi, ożywili swoją działalność. Po ulicach znowu szaleją tłumy, celników smaruje się smołą i oblepia pierzem, wylewa się kubły nieczystości do pomieszczeń ludzi, którzy mają śmiałość trzymać z królem i jego ministrami.

Znowu świetlica nasza trzęsa się wieczorami od gniewnych ryków i pięści bijących w stoły. Podniecenie jeszcze wzrosło na wieść, że tłum opanował pierwszy okręt Kompanii Wschodnio-indyjskiej i ładunek herbaty wartości dziesięciu tysięcy funtów wrzucił do Przystani Bostońskiej.

Często słyszy się zdanie, że pretekstem, który rozpętał wojnę Ameryki z Anglią, był podatek herbaciany. Są to wierutne brednie, gdyż kupcy nasi płacili podatek od przywozu herbaty przez dwa długie lata, zanim ładunek statku „Dartmouth” zatopiony został w Przystani Bostońskiej. Co do mnie, to mogę powiedzieć, że cała ta herbaciana awantura nie wywarła na mnie wielkiego

wrażenia. Ale sprawy przybrały zgoła inny wygląd, kiedy królewscy zausznicy postanowili zamknąć Port Bostoński dla okrętów, póki mieszkańcy nie zwrócą Kompanii Wschodnioindyjskiej kosztów zniszczonej herbaty. I nie tylko zamknęli port, wskutek czego Febe musiała przeznaczone dla Bostonu ładunki zrzucić w Salem, ale

oświadczyli, że porwą Sama Adamsa i wywiozą go do Anglii na rozprawę sądową.

Dochodziły nas pogłoski, przeważnie bezpośrednie, że wyjechała na ocean cała flota okrętów z wojskiem; że wszystkich nas władze wysiedlą do Kanady lub na Wyspy Cukrowe, z dzieci naszych uczynią zakładników i że wszelkie dostawy broni i amunicji zostaną nam wstrzymane, a my sarni sprzedani w niewolę; że miasta nasze pójdą z dymem, a Indianie z Zachodu otrzymają rozkaz wyciąć nas w pień. Pogłoski te podsycaly w nas gniew i coraz głośniejsze dzwoniły w stół kieliszki z rumem, i coraz gwałtowniejsza wrzawa napełniała świetlicę oberży.

Zniecierpliwieni beczynnością, zapragnęliśmy krwi. Kiedy pewnego pięknego grudniowego dnia przyszła z Portsmouth wiadomość, że Cap Huff na czele Synów Wolności wdarł się do fortu i wyniósł sto baryłek prochu, mieliśmy mu za złe, że nie wyrzwał załogi. W późniejszych czasach miałem sposobność się przekonać, że owi krzykacze, którzy najgłośniejsze domagają się rozlewu krwi, jak przyjdzie co do czego, zostają w domu i wojują pod pierzyną. Wtedy jednak okrzyknęliśmy zgodnie, że Cap Huff zniewieściał od zbyt długiego przebywania na swobodzie.

Na wiosnę, gdy łód jeszcze trzymał się w skalnym zakolu, zawiadomiono nas listownie, że ministerialne oddziały, maszerujące z Bostonu do Lexington i Concord, aby ustrzec prochownie tamtejszych fortów przed podobnym losem, starły się w Concord z oddziałami nas ego pogotowia i zostały wyparte z powrotem do Bostonu. Nasi zaobozowali przy barykadach na bostońskim międzymorzu, uniemożliwiając nieprzyjacielowi ponowny wypad. To już wyglądało poważnie. Tego wieczora w świetlicy naszej zgromadził się milczący tłum. Mało kto

uderzał pięścią w stół, a nikt nie ryczał. Niektóre głosy brzmiały smętnie i nieraz się załamywały. Jeżeli gdzieś odezwał się śmiech, nie był to śmiech radosny.

W kilka dni później z wybrzeża przygalopował konny wysłaniec, cisnął mi drukowaną odezwę z okrzykiem: — Przybijcie do ściany! — i odjechał w kierunku Falmouth.

156

Stałem jak rażony piorunem, z odezwą w ręku. Domownicy wychodzili z zaciekawieni, jeden po drugim — matka, Febe, siostry, Jethro Fish, James Dunn i Malary.

Odezwa była podpisana przez Józefa Warrena, przewodniczącego naszego niedawno uformowanego Kongresu, i w mocnych słowach wskazywała na konieczność natychmiastowego stworzenia armii. Jako miejsce rejestracji ochotników podawano kwaterę główną w Cambridge.

Zostawiłem im odezwę, a sam poszedłem do kuchni, zdjąłem ze ściany muszkiet i zabrałem się do czyszczenia. Matka weszła, spojrzała na mnie, zasiadła przy kołowrotku i zaczęła prząść. Kołowrotek warczał, a to jego warczenie i cykanie wniknęło mi jakoś w uszy, utrwaliło się w pamięć, i odtąd, ilekroć maszerowałem w pole lub ruszałem do ataku, gdzieś pod czaszką zaczynało mi warczeć i cykać do taktu krokom.

Weszła Malary, pociągając nosem i pochlipując. Matka usiłowała ją zagłuszyć śpiewaniem. Wówczas przeniosłem się do świetlicy, spodziewając się, że tam znajdę spokój. Ale nie. James Dunn siedział w rogu przy kontuarze i uśmiechał się dobrotliwie, rzekłbyś, przed chwilą dokonał jakiegoś wielkiego aktu miłosierdzia. Przed nim stała Febe, prosta i płaska jak kawał dykty.

—Jethro Fish też idzie — mówiła mu. — Skoczył tylko do domu, żeby wziąć muszkiet i zawiadomić Lorda, Towne'a, Cluffa i Merrila. Kiedy wróci, zawiozę go szalupą do Newburyport.

James Dunn siedział w milczeniu, patrząc na nią życzliwie, jak kapłan, który ocalił grzeszną duszę od ognia piekielnego.

- Czemu nic nie mówisz? — nalegała Febe. Ale James Dunn tylko uśmiechał się pobłaźliwie. Widząc, że nie zwracają na mnie uwagi, dalej czyściłem muszkiet.
- Umiesz strzelać? — zapytała Jamesa.

Po chwili namysłu dostojnie kiwnął głową i powiedział, że umie.

—Jesteś Synem Wolności — wypaliła zaciskając palce na krawędzi kontuaru. — Takeście gardłowali, że trzeba wojny, no to ją macie! Musisz iść! Po to przystąpiłeś do Synów Wolności! Przystępując do nich, tym samym zobowiązałeś się iść!

James Dunn zdawał się przemyśliwać nad tą sprawą, bo oczy obrócił ku górze i jął poruszać szczękami, jak okoń połykający piskorza.

—Pojedzie razem ze mną — rzekłem.

Febe obróciła się. Myślałem, że mi wyrwie muszkiet z rąk

157

i kolbą rozłupie głowę. — Co takiego? Nie pojedziesz! Przyrzekłeś czekać! Przyrzekłeś Arnoldowi czekać na jego znak! Możesz mu być potrzebny! — Podniosła pięści do nieba. — Boże! Mężczyźni są okropni!

- Przyrzekłem, to prawda, Febe, ale w Cambridge prędzej go odszukam. Źle bym się czuł pozostając tutaj, kiedy inni idą walczyć.
- Ach, źle byś się czuł! — zadrwiła, ale tym razem były to drwiny pozbawione złośliwości. — Doskonała zaprawa! Nim przepędzicie

brytyjskie wojska z Nowej Anglii, poznasz do gruntu, co to znaczy źle się czuć!

James Dunn pochylił się z takim wyrazem twarzy, jak gdyby był sędzią, którego wyrok zaciąży nad losami narodów. — Pójdę — rzekł — jeżeli weźmiesz ze mną ślub.

Febe zawahała się. Odniosłem wrażenie, że czeka na coś, na czyjeś słowa. Nie wiem, na co czekała, w każdym razie nie usłyszała nic. — Dobrze! — rzuciła w końcu. — Wezmę z tobą ślub. Zaraz. A po ślubie zawiozę ciebie i Jethra do Newburyport. Sprowadź pastora! — Wyszła do kuchni i zatrzasnęła za sobą drzwi z takim tupotem, z takim hukiem, jak gdyby wzrostem i tuszą przewyższała Capa Huffa. A przecież była taka drobna, że mogłaby razem ze swoimi marynarskimi butami przejść mi pod pachą.

Ślub odbył się w naszej świetlicy. Cóż to była za irytująca scena! Febe, mała, przy wielkim Jamesie Dunnie, rzekłbyś, mały buńczuczny mysikrólik przy wielkim wypukłookim puchaczu, jej niecierpliwe odpowiedzi: — Tak, przyrzekam — a gdy ceremonia dobiegała końca, rozkaz: — Prędko pakuj manatki. Woda opada. — Biedny James!

Gdyby mnie się zdarzyło wziąć za żonę takiego skrzata i gdyby ten skrzat zaraz po ślubie odważył mi się wydawać takie komendy, duszę bym wytrząsnął! Przypuszczam, że w mojej twarzy uwidoczniał się gniew, bo Febe nie odrywała ode mnie oczu, a później, biegnąc do kuchni po sprzęt podróżny, w przelocie pokazała mi język. Nie mogłem się spodziewać lepszych manier po tej złośliwej dziewczusze, nadającej się na chłopca okrętowego, ale nie na żonę — zwłaszcza żonę Jamesa Dunna.

Wrócił Jethro Fish ze swoim bratem Ivem i czterema przyjaciółmi.

Nieśli toboły, muszkiety i proch w różach. Deptali sobie

158

po nogach, śmiali się, dokazywali, jakby jechali strzelać króliki, a nie na wojnę.

Łódką podwiozłem ich do szalupy. Nieustannie dowcipkowali, pokrzykiwali, poszturchiwali się, aby nie zziębnąć w ostrym wiatyku wschodnim. James Dunn stał wśród tej wrzawy, dostojny, wyniosły, uśmiechnęty niedbale — z wyglądu co najmniej generał sztabu. Zazdrościłem im, żalowałem danego Arnoldowi słowa, przeklinałem w duchu, że ja tu sterczę beczynnje, a on może już poległ gdzieś na polu walki. Tak czy owak, postanowiłem, że poczekam jeszcze parę dni, a potem wezmę muszkiet na plecy i w drogę!

Był wśród nich Asa Hutchins, członek miejscowej organizacji Synów Wolności, patentowany leń i awanturnik, jeden z tych, co to nie skalają rąk wędką ani siecią, póki w oberzach nie stracą kredytu. Kiedy, biegnąc spojrzeniem po twarzach, z całych sił napierałem na wiosła, Asa zakrzyknął do mnie: — Ożeń się, Stefanie, to może i ciebie żona wyśle z nami do Cambridge!

Febe precisnęła się na rutę i obróciła krzykacza twarzą do siebie. Powiedziała mu coś, czego nie dosłyszałem, a potem zwinęła rękę w pięść i zdzieliła go w dołek. Runął przez burtę i z potężnym pluskiem dał nura w fale.

Wyratowałem go i cisnąłem na pokład.

— Nie pozwalam — rzekłem grożąc palcem dziewczynie — tracić czasu na niepotrzebne bójki! Jeżeli nie potrafisz, utrzymać porządku na

szalupie, sam obejmę dowództwo, a ciebie wyładuję na brzeg i każę ubrać w spódnicę, jak już dawno należało zrobić! Pamiętaj wrócić jutro po nowy ładunek. Ochotników będzie zatrząsienie, trzeba ich wszystkich przewieźć.

Nie dosłuchawszy moich słów do końca, Febe odwróciła się plecami i jęła podnosić kotwicę. Gdy szalupa była już w ruchu, dziewczyna wychyliła głowę spod kliweru i zapytała kpiąco: — Coś ty do mnie mówił, bo nie słyszałam?

Byłem w podłym nastroju. Leniwie robiąc wiosłami, zbliżałem się do brzegu, wracałem do codziennych jednostajnych zajęć, podczas gdy tamci płynęli w kierunku Bostonu, triumfalni, rozradowani, odświętni. Niedaleko od nas, w skromnej chacie z obciosanych pni, mieszkał Józef Denico, ubogi Francuz, człowiek bez przyszłości, jeden z tych, co przed wieloma laty wysiedleni zostali z Acadii. Miał dwóch synów, Jana i Józefa. Obaj byli dobrymi myśliwymi i w poszukiwaniu łupu nieraz zapuszczali się na tery-

159

torium indiańskie. Z Janem ułożyłem się, że odbędzie podróż do góry Ossipee i sprowadzi mi Mogga Chabonoke, Józefowi wręczyłem odbitkę odezwy Warrena, aby ją zawiózł do Łachy Turbata i Przylądku Porpus, a po drodze mówił ludziom, że kto pragnie udać się do Cambridge i walczyć przeciw Anglikom, ten może bezpłatnie pojechać naszą szalupą aż do Newburyport.

Przez całą noc napływali do oberży nasi krajanie, wszyscy z muszkietami i tobołami, podochoceni, a i nieraz usposobieni zawadiacko,



bowiem z punktu ustalił się zwyczaj *po* oberżach i ordynariach, że śpieszącym do wojska podawano podwójne porcje rumu. Niektóre tawerny odmawiały nawet przyjmowania zapłaty.

Ochotnicy siedzieli w naszej świetlicy aż do świtu, wałąc kuflami w stoły i śpiewając pieśni: „Lillibullero”, „O Benningu Went-worthie”, „Damy im bobu” i „Yankee Doodle”. Fałszowali jak wszyscy diabli, bo co drugi rwał się śpiewać tenorem, a miał bas. Niektórzy czuli w sobie iskrę Bożą: pisali dalsze strofy do i tak już długich pieśni, a co to była za poezja, nietrudno sobie wyobrazić.

Nad ranem raz po raz przybywali nowi. Któryś z dobrze już wstawionych kompanów, obdarzony zapewne wybitnym geniuszem wojskowym, wpadł na kapitalny pomysł: nowo przybyłych prowadzono na morski brzeg i kazano im uroczyście odwoływać przysięgę daną królowi, utrzymywano przy tym, że król słyszy to wyzwanie i w trwodze chroni się pod baldachimem swego zamorskiego królewskiego łoża. Między świtem a wschodem słońca odbyliśmy drogę na brzeg oceanu i z powrotem chyba dwadzieścia razy. Pamiętam, że napastliwe przemówienia, wygłaszane pod adresem Jego Królewskiej Mości, napawały nas nieposkromioną wesołością. Czy drżał ze strachu, nie potrafię powiedzieć, ale wiem, że gdybyśmy wszyscy, ilu nas tam było, tchnęli tak na niego z bliska, udusiłby się od oparów nienawiści i alkoholu.

Jak bardzo rozrosła się osada w ciągu ostatnich paru lat, mogłem ocenić dopiero, kiedym ujrzał tych wszystkich, co parli do naszej oberży, niby rój szerszeni, ożywieni ochotą bojową. Byli tam trzej Wilde'owie, jeden z nich kapitan okrętu; bliźniacy Hutchina; Cleaves, kowalczyk; Jesse Dorman z bratem i dwaj synowie Murphy'ego, który walczył pod Louisburgiem w

randze podporucznika; moi kuzynowie, Jozue Nason i Edward Nason, zamieszkali przy gościńcu Saco; Carr, którego brat był marynarzem i później walczył na okręcie „Chesapeake”; Miles z Łachy Turbata, Abbott, który niedawno przybył ze Scarborough, jeden

160

z Adamsów, ten bezżenny i syn Deshona, lingwisty, emigranta z Francji; Nataniel Davis z synem swoim Natanielem, trzynastoletnim zaledwie młodzieniaszkiem, ale świetnym strzelcem, jak się okazało po sześciu tygodniach, gdy leżał za żelaznymi sztachetami na wzgórzu Bunker. Był tam również James Burnham, ojciec dwanaściorga dzieci, Noe Cluff i biedny Nataniel Lord; Emmons, Tarbox, dwaj Towne'owie, Lewis, dwóch Dearingów, Perkins, Burbank i Averill. Wymieniłem tylko tych, którzy zgłosili się pierwszego dnia. Nie zliczyć późniejszych ochotników i wcielonych przymusowo oraz ciurów, którzy najmowali się za pieniądze, gdy ktoś, związany okolicznościami lub drżący o własną skórę, pragnął się wykupić i wykpić od służby.

Febe przywiozła mi interesujące wiadomości. Dowiedziała się, że Arnold wraz ze swoją kompanią newhaveńskich ochotników, usłyszawszy o bitwie pod Concord, natychmiast udał się do Cambridge i zaproponował Komitetowi Publicznego Ocalenia prowincji Massachusetts, że wyruszy na północ i odbierze nieprzyjacielowi torty Crown Point i Ticonderoga. Komitet zgodził się i mianował go pułkownikiem. W Newburyport Febe rozmawiała z oficerem, który przybył z Cambridge, aby zawijające do portu szalupy i szkunery rozesłać wzdłuż nowoangielskich wybrzeży na werbunek ochotników. Od niego właśnie dowiedziała się, że Arnold już wyruszył na północ.

- Będziesz wielką szyszką — rzekła podpierając się w biodrach i patrząc na mnie z udanym podziwem. — Hoho! Doradca pana pułkownika!
- Czy sądzisz, że taki człowiek może pamiętać, co przed laty obiecał jakiemuś prowincjonalnemu oberżyscie? — zapytałem. — Głupio robię, że czekam, kiedy powinienem być w Cambridge i . muszkietem na ramieniu ruszać w pole przeciwko królewskim chorągwiom!
- Głupio byś zrobił, gdybyś pojechał do Cambridge — rzekła. — Zasadzono by cię do obierania kartofli, jako że z zawodu jesteś oberżystą. Albo kazano by ci słać łóżko pułkownika i prac jego koszule. Masz obowiązek czekać, więc czekaj. Musisz czekać, jeżeli ci zależy na tym, aby walczyć, a nie czyścić zgrzebłem konie! O ile Arnold o łobie zapomni, co jest niemożliwe, znajdę go, powiem: „A zyg zyg” i zapytam, czemu nie postawił ciebie na czele wyprawy, czemu nie kazał ci iść poprzez bory i lasy ku... — Urwała i pięścią trzepnęła mnie w pierś, niby ironicznie, niby dobrodusznie. A ja *od* razu pomyślałem o Mary.

161

- A jeżeli Arnold wezwie cię wkrótce? Czy potrafisz go pouczyć, jak trzeba, o Indianach i szlakach indiańskich? Wiesz nie tak znowu wiele. Jeżeli poszedł na Fort Ticonderoga, musi znać wszystkie ścieżki prowadzące do Kanady.
- Wiesz co? — odparłem. — Tak przewidująca jak ty dziewczyna nie powinna wychodzić bezmyślnie za mąż. Dlaczego poślubiłaś Jamesa Dunna?

- Odpowiedz na moje pytanie! — zawołała tupiąc gniewnie. Jej ciężki but marynarski omal mi nie zmiażdżył stopy.

- Posłałem po Mogga Chabonoke. Chcę, aby zawiadomił w moim imieniu Natanisa i Pawła Higginsa. A teraz ty mi odpowiedz!

Igrając naszymi kociami z kocich oczu, obrzuciła mnie drwiącym spojrzeniem. — James to piękny mężczyzna i do tego dobry chłop. Przy odrobinie wykształcenia dorównałby niejednemu bostońskiemu politykowi.

- Ba! — parsknąłem.

- I jeżeli dobrze zrozumiałam twoje własne słowa, wypowiedziane tu. w tej świetlicy, inteligencja jego nie jest ani trochę niższa od inteligencji wielu generałów, którzy niegdyś dowodzili całymi armiami, a zwłaszcza generałów Braddocka i Abercrombie.

Była to prawda, nie mogłem więc znaleźć natychmiastowej odpowiedzi. Korzystając z mojego zmieszania, Febe dodała: — I powiedziałaś, pamiętam, że o wysłaniu takiego generała do Ameryki zawsze decydowała kobieta.

—Do czego właściwie zmierzasz? — zapytałem czując, że na leżałoby ją teraz albo wytrząsnąć zdrowo, albo obdarzyć tęgim klapssem.

Zalotnie oparła dłoń na nabijanym pasie korsarskim, a drugie ramię wyciągnęła przed siebie teatralnym gestem. Stała naprzeciw mnie i z uśmiechem, który mógłby ujść modnej wykwintnisi, rzekła: — Czemuż historia nie miałaby się powtórzyć? Uczynię go generałem i wyślę na podbój Hiszpanii!

Chciałem ją pochwycić, ale pisnęła i odskoczyła w tył. — Stefanie —

powiedziała cofając się — miałam dwie drogi do wyboru: albo posłać mężczyznę, albo iść sama.

—Czemuż więc nie posłałaś mężczyzny? — zawołałem, ochrypły z wściekłości.

- James nie jest tchórzem — broniła się. — Zobaczysz, jak dobrze się spisze. Będziemy go pilnowali, dobrze?
- Będziemy? Dlaczego w liczbie mnogiej? Nie wiem, dlacze-

162

góż to ja miałbym go pilnować? Ani mi się śni! Jeżeli sądzisz, że dowództwo pozwoli ci włączyć się za armią i wyczyniać dziwy, to się grubo mylisz. Wybij sobie z głowy te pomysły, bo przełożę cię przez kolano i pogłaszczę łopatką do masła!

Odwróciła się i odeszła bez słowa. Po chwili już mogłem słyszeć, jak zwołuje na pokład ludzi, odpoczywających wśród diun po przepitej nocy lub zażywających drzemki na słonecznym wybrzeżu.

Przez następne dwa tygodnie nasza oberża była punktem węzłowym nieustannych wędrówek ze wschodnich okolic do Cambridge. Niektórzy umyślnie podróżowali lądem, aby po drodze najeść się do syta, za darmo pić rum i zbierać łaskawe spojrzenia dziewczyn, a czasem i coś więcej. Inni wsiadali na przygodne szalupy lub szkunery, aby czym prędzej znaleźć się w Cambridge. Widziało się stare granatowe mundury milicji obok samodziółów, mieszkańcy najbardziej zapadłych osad przybywali boso i w łachmanach, ale wszyscy mieli muszkiety i derki, wszystkim paliło się do chwili, gdy będą mogli mierzyć w złocisty guzik szkarłatnego brytyjskiego uniformu.

Ale wieści o zbrojnych starciach nadchodziły coraz rzadziej. Ruch osłabł. Pod koniec maja dowiedzieliśmy się, że nie mając dostatecznej ilości ludzi, Arnold ruszył na Ticonderogę razem z Ethanem Allenem. Później, otrzymawszy posiłki z Massachusetts, na własną rękę zdobył Fort Św. Jana. W czerwcu przyszło sprawozdanie o bitwie na wzgórzu Bunker. Nasi ludzie, na których tchórzostwo liczył nieprzyjaciel, starli się oko w oko z królewską piechotą i dwukrotnie spędzili ją ze wzgórza. Później, niestety, zabrakło nam prochu.

Wówczas wędrówki znowu przybrały na sile i coraz częściej zdarzało się, że budziły nas w nocy okrzyki i wiwatowe strzały ochotników śpieszących do Cambridge. We mnie z dnia na dzień rosła wściekłość: musiałem pilnować ksiąg i baryłek, a tymczasem kto żyw szedł na wojaczkę.

Z okolicy góry Ossipee przybył Mogg Chabonoke, przynosząc mi skórzaną bluzę myśliwską od swojej żony, Fali Ramanascho. Na moją prośbę wybrał się do Pawła Higginsa, białego Indianina, który był sachemem Assaguntikuków nad rzeką Androscoggin, i do Natanisa, którego powinien był zastać w chacie nad Martwą Rzeką. Jednemu i drugiemu posłałem dary: lusterka kieszonkowe, nożyczki, szydła, igły — i kazałem Moggowi zapytać ich, czy wciąż

163

jeszcze są moimi przyjaciółmi, potrzebna mi bowiem pomoc przeciwko nieprzyjaciołom. Mogg powrócił, przynosząc od Pawła Higginsa pas przyjaźni i obietnicę, że w każdej chwili gotów jest przybyć do mnie na czele trzydziestu wojowników. Na Wyspie Łabędziej zastał Mogg wszystko po dawnemu, z tą tylko różnicą, że Jacataqua była sachemem, a

m'teulinem Hobomok. Nauczył się podobno krzyczeć tak przeraźliwie, że słuchacze nieruchomieli jak sparaliżowani. W mieście Norridgewoków, opowiadał Mogg, ani żywej duszy. Nad Martwą Rzeką nie znalazł Natanisa, ale chata w ostatnich miesiącach na pewno była zamieszkiwana, a na żerdzi wisały jeszcze półcie suszonej zwierzyny. Wobec tego napisał treść mojego zlecenia na brzozonej korze i zostawił w chacie.

Sierpień lepiał się od upałów i moskitów. Niepokojem przejęła nas wieść, że na stanowisko głównodowodzącego armii wyznaczony został generał Waszyngton.\* Nieliczne grupki ludzi uciekały z Cambridge, przenosząc hańbę dezercji nad bezsensowną, jak powiadali, i nieznośną podczas takiej spieki musztrę pod rozkazami wirgińskiego feldfebla.

Mając już beczynności po dziurki w nosie, przygotowałem bluzę myśliwską, brzytwę i parę zapasowych pończoch, zawiązałem to wszystko w derkę i postanowiłem nic nikomu nie mówiąc wyruszyć do Quebecu. Febe widziała, co się święci, obawiałem się, że nie da mi odejść. Kiedy rozmyślałem, jakby tu oszukać jej czujność, z wybrzeża nadjechał na spienionym koniu człowiek w niebieskiej kurtce i sarnich szarawarach. Wołał, że szuka Stefana Nasona. Zapytałem go, czego chce.

— Chcę piwa! — rzekł. — Wiozę pilny list dla Stefana Nasona od pułkownika Arnolda.

Dostał tyle piwa, że nogi się pod nim uginały, gdy odchodził. List, który wydarłem mu z ręki, do dziś dnia leży w moim zielonym kufierku marynarskim. Oto jego tekst:

*Łaskawy Panie!*

*Mając niezłomną pewność, że w każdej chwili gotowi jesteście służyć wolności i ojczyźnie Waszej, oraz pamiętając o*

*zobowiązaniach, których niegdyś wzajemnieśmy sobie udzielili, będą to sobie poczytywał za szczególny zaszczyt, jeżeli zechcecie bez zwłoki przybyć do Cambridge. Znajdziecie mnie w głównej kwaterze gen. Waszyngtona, a są-*

\* Waszyngton Jerzy (1732—1799) — naczelny wód w amerykańskiej wojnie o niepodległość i pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych (1789—1799) (przyp. red.).

164

*dzę, że przyjazd Wasz nastąpi nie później niż jutro o godzinie trzeciej po południu. Proszę Was, abyście nie tracili drogocennych minut i abyście nikomu poza rodziną Waszą słowem nie wspominali o celu Waszej podróży lub o znaczeniu tego listu. Pozostaję, zawsze przyjazny i skory do usług, Wasz B. Arnold.*

—Mary! — zawołałem i poszedłem po muszkiet.

XIII

Tego samego wieczora Febe odwiozła mnie do Newburyport. Naprzykrzała mi się przez całą drogę, żebym ją zabrał do Cambridge, do męża, choć na pół godziny.

- W głowie mi się to nie mieści — rzekłem. — Najpierw latami całymi odgrażasz się, że wyjdiesz za niego, wreszcie decydujesz się, ale nie dajesz nawet chłopu odsapnąć po ślubie, tylko raz dwa wyprawiasz go w świat. I nagle pilno ci do niego, do Cambridge, zapewne dlatego, że masz pod opieką szalupę. W Cambridge byłabyś prawdziwym utrapieniem dla mnie i dla całej armii. Powiedziałaś



kiedyś, że mężczyźni są okropni. A ja ci powiadam, że kobiety są stokroć okropniejsze, bo co dwie minuty zmieniają zdanie i za każdym razem muszą dopiąć swego, choćby im na drodze stanęły wszystkie piekielne moce z. Belzebubem na czele!

- Więc nie zabierzesz mnie do Cambridge?
- To właśnie tłumaczę ci od kwadransa. Jeżeli nie rozumiesz, będę musiał odkręcić rękojeść steru i wbić ci moje intencje w ten głupi czerep.

Gdy szalupa zawinęła do przystani Tracy'ego w Newburyport, pożegnałem się krótko i oziębło, wiedząc, że Febe gotowa mi jeszcze długo suszyć głowę. Gdy stanąłem na lądowisku, okrzyknęła mnie: — Będę czekała, póki nie otrzymam od ciebie wiadomości.

Obróciłem się i przykazałem jej wracać do Arundel. Ona bawiła się naszymi kocich oczu i jakby nie słysząc, wpatrywała się w wiązanie głównego żagla. Ruszyłem ku miastu. Schodząc z lądowiska, usłyszałem jej głos: — Będę czekała, póki nie otrzymam wiadomości od ciebie! — Miałem chętkę zwymyślać ją od ostatnich, ale kiedy się obróciłem, Febe już zniknęła w kajucie, niech sobie czeka, aż dno „Eunice” obrośnie ukwiałami, jak brzuch Łowcy błotem na wiosnę.

165

W Newburyport wrzało. W oknach paliły się świece. Po ulicach turkotały wozy, naładowane prowiantami dla wojska. Po chodnikach uwijali się ludzie. Niektórzy na widok mojego muszkietu wiwatowali i życzyli mi pomyślności.

Przy oberży Davenportu z bocznej uliczki wynurzył się człowiek z trzema muszkietami na ramieniu. Przystanął, pociągnął z flaszki i spojrzał

na mnie, gdy skręcałem w stronę rogatki. Okrzyknął mnie słowem „Bracie!”, zapytał, czy idę do Cambridge i przyłączył się. Do spółki opróżniliśmy tlaszkę. Powiedział, że powinniśmy się wprosić na jakiś wóz z prowiantami lub rumem, bo trzy muszkiety to trochę za dużo na jednego piechura.

Miał zajęłą wargę, biedaczysko, więc ledwo mogłem go zrozumieć. Kiedy chciał powiedzieć „Bracie”, wychodziło „Mracie”. Wziąłem na ramię jeden z jego tandetnych muszkietów i wyraziłem zdumienie, że nosi przy sobie tyle broni. Wówczas on: — Mracie, ty nigdy nie myłeś w Kemrycz?

Potwierdziłem jego przypuszczenie. Wówczas wyjaśnił, że w armii daje się odczuwać brak muszkietów, bo sporo farmerów poprzybywało z zardzewiałymi szpadami po pradziadku, z bagnetami osadzonymi na rękojeściach grabek, z muszkietami nie czyszczonymi od czasów pierwszej kolonii kwakerskiej. Taki był popyt w Cambridge na muszkiety, że mój znajomek czym prędzej wrócił do domu i kupił dwie sztuki, płacąc za nie dwadzieścia dwa szylingi w bitej monecie. Z dumą oświadczył, że sprzeda je na miejscu po pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt szylingów, również w bitej monecie.

Gdy rozważałem to sobie w duchu, zrównał się z nami roztrzęsiony wóz. Wątpię, czy woźnica, spode łba patrzący chłop o zmierzwionych włosach i obwisłych wąsach, zatrzymałby się na wołanie, gdyby nie przytłaczający wygląd naszych muszkietów. Jego spojrzenia stały się jeszcze bardziej złowrogie, gdy mój towarzysz, wgramoliwszy się na wóz i rozgrzebawszy siano, odkrył w nim cztery baryłki. Woźnica wyjaśnił, że to jest rum, i ociągając się dał nam skosztować. Rzeczywiście, ciecz miała

lekki posmak rumu. Mój towarzysz oświadczył, że baryłki zawierają odrobinę rumu i wielką ilość wody, zaprawionej polanym cukrem, tytoniem i pewnymi specyfikami. Kto gólnie sobie tego trunku więcej, niż przystoi, nazajutrz obudzi się z takim uczuciem, jakby mu w ustach spalono funt kłaków wymiecionych z balwierni.

Wypił dobrą kwaterkę palącej mieszanki i z ponurą miną

166

stwierdził, że świat ma się ku końcowi: jeszcze trochę, a już nie będzie ani jednego uczciwego człowieka.

Jego rozważania o ludzkiej nieuczciwości przerwałem pytaniem, które dręczyło mnie od paru minut: jakim cudem opuścił wojsko i udał się do domu? Odpowiedział, że nic prostszego: meldujesz się, człowieku, u kapitana i powiadasz, że musisz wrócić do zagrody na sianokos, chociaż możliwe, że kapitan poprosi, żebyś i jemu zwiózł siano do stodoły.

Zapytałem, czy miał obfity zbiór w tym roku. Odparł: — Ognie niekiełne! Mracie, ja nie mam siana! Ja romie muty!

- Nuty?

- Muty! — niecierpliwił się. — Mu! Mu! Mu! Muty! To, co masz na nogach!

W Ipswich rozstaliśmy się ze świeżą, czystą wonią solankowych błot. Wóz wjechał między obszerne pola i bogate folwarki Wen-hamu. Pod klonami i wiązami słał się ciężki, słodki aromat siano-żęci. Drzemiac minęliśmy wydłużone pagórki [Danver.su](#), a zbudził nas dopiero hałas panujący w Salem. Dzień ledwo się zaczął, ale w porcie wyładowywano już prowianty z szalup i szkunerów, prywatne statki wojenne brały

ładunek, a z brygów, co pod osłoną nocy przybyły z Wysp Cukrowych, wytaczano na ląd baryłki przemyconego towaru. Mój przyjaciel o zajęczej wardze wysunął myśl, żeby kupić dwa galony rumu, dolać trzy galony wody, zaprawionej melasą i proszkiem, który dostaje się u aptekarza: żeby potem sprzedać tę mieszaninę w Cambridge i zarobić przy transakcji na czysto.

Nie mając czasu na takie zabawy, pożegnałem go i wszedłem do tawerny „Pod Konwią i Kotwicą”, aby przegryźć plasterek boczku, przysmażonego z jajami. W tawernie zwrócił na siebie moją uwagę niewysoki, zgrabny młodzieniec w nieskazitelnym mundurze. Nie dlatego mnie zaciekawił, że był z lekka wstawiony, i nie dlatego, że wymyślając oberżystie, czarownic się uśmiechał: rzekłbyś, zasypuje go komplementami. Nie widziałem chyba w życiu równie pięknego mężczyzny: uszy miał drobne jak dziewczyna, wargi duże, czerwone, jedwabiste. W obcisłych sarnich szarawarach i wytwornym surducie z niebieskiego angielskiego sukna wyglądał jak dobrze rozwinięta kobieta. Poczułem do niego sympatię w momencie, gdy z wdziękiem rzekł do oberżysty, że albo w ciągu pięciu minut kurczęta będą zapakowane, albo zamówi je gdzie indziej, musi bowiem zdążyć do Cambridge na porę śnia-

167

dania. Wówczas poprosiłem go grzecznie, aby zechciał mnie poinformować, w jaki sposób najprędzej dotrę do Cambridge.

- Z przyjemnością! — odparł wesoło, jako że był wstawiony. —  
Biegiem!

- Źle, kiedy żołnierz pokłada większą ufność w nogach niż w rękach — rzekłem.

Młodzieniec kiwnął głową. — To prawda, ale wy, panowie z Massachusetts, powinniście umieć dobrze biegać. Komu jak komu, ale wam to przyda się na pewno.

—Panie — rzekłem. — Jestem z Maine, nie z Massachusetts.

Młodzieniec się zachnął. — Nie do wiary! Jak to? Nie jesteście pułkownikiem? Pułkownikiem z Massachusetts?

Nie pojmowałem, do czego zmierza. Ale że podobał mi się chłop, a tajemnica dotyczyła tylko celu wyprawy, nie zaś stosunków łączących mnie z Arnoldem, wyciągnąłem przeto kopertę z kieszeni. Młodzieniec wyjął list z koperty i oświadczył jeszcze przed przeczytaniem: — Znam chyba trzystu ludzi z Massachusetts i wyobraźcie sobie, wszyscy są pułkownikami. Kiedy w samym sercu Massachusetts spotykam człowieka, który nie jest ani Massachusetczykiem, ani pułkownikiem, nie dziwcie się, że tak trudno mi ochłonąć z wrażenia.

Rzucił okiem na pismo. — Ho, ho! — zawołał. — Do pana Stefana Nasona od pułkownika, od prawdziwego pułkownika, nie takiego z Massachusetts! Hoho! Hoho! I ta tajemniczość! Ba! Wiecie co? Zawiozę was do Cambridge bryczką, zaprzęzoną w takiego karego wałacha, jakiego nie dogoniłby nawet uciekający pułkownik z Massachusetts. Nazywam się Burr, pochodzę z New Jerssy. Napijemy się, łaskawy panie, napijemy się hiszpańskiego wina, które nie leży w żołądku przez tydzień, jak ten przeklęty nowoangielski rum, napój dobry dla korsarzy i kopaczy rowów!

- Kapitanie Burr! — rzekłem. — Widzę, że nigdy nic piliście rumu z

masłem.

- Przede wszystkim nie kapitanie! Jestem zwyczajny sobie Aaron Burr z Princeton, prowincji New Jersey. Odkąd po raz pierwszy ujrzałem tutejszych pułkowników, napuszonych jak indory, paradujących z taką miną, jakby Bóg najpierw z dużym nakładem pracy stworzył Massachusetts, a potem niedbale dorzucił wszystkie inne części świata; odkąd, powiadam, zetknąłem się z tymi Massachusetczykami, nie chcę już być oficerem, chyba że w randze wyższej od pułkownika. A po wtóre, pijałem i ja rum z masłem, i twierdzą, że pić rum, na gorąco czy na zimno, z masłem

168

czy bez, to tyle, co połknąć garść mielonych krzemieni. Do diabła z rumem i do diabła z pułkownikami!

- Owszem, mogą iść do diabła — zgodziłem się. — Wszyscy, z wyjątkiem pułkownika Arnolda.
- Zgoda! Zgoda! — zawołał Burr. — Wciąż o nim zapominam w natłoku tych pułkowników z Massachusetts! Z przyjemnością wyłączę pułkownika Arnolda, ale jeżeli tak upieracie się przy szczegółach, wstawmy na jego miejsce kogoś innego — generała!
- Generała? Któregoś z naszych generałów?
- Tak jest — odparł Burr opierając się o krawędź stołu. — Generała! Takiego, co to jak chodzi, to pomyślałbyś, że król, jak spojrzy, to w życiu nie widziałeś równie szlachetnego oblicza, ale w gruncie rzeczy jest oślim mieszkem, zwyczajnym, nadętym mieszkem z oślej skóry! Wypchana kamizelka, a pod kamizelką powietrze. Tylko tyle: wypchana kamizelka!

Zastanawiałem się nad treścią tych nierozważnych słów. Tymczasem on zakrzyknął na gospodarza. Gospodarz przybiegł, niosąc dwa kosze: w jednym były pieczone kurczęta, szynka, świeżo ubite jagnię i gęś, w drugim butelki hiszpańskiego wina. — Czeka mnie dziś w Cambridge kolacyjka — rzekł Burr mrugając porozumiewawczo — w towarzystwie przyjaciela. Mateusza Ogdena, i kilku młodych miejscowych panien, kryjących się przed mamusią ze swymi skłonnościami do trunku. Jedną flaszczynę wypijemy tutaj i jazda w drogę.

Zwierzył mi się, że z jego zdrowiem nietęgo, że cierpi na niestrawność i jeść może tylko rzeczy bardzo delikatne. Był po prostu dumny z wrażliwości swego żołądka i z pasją o niej rozprawiał. Rzeczywiście, wnioskując z jego bladej cery i wiotkiej budowy, można by pomyśleć, że żywi się wyłącznie kurzymi skrzydełkami. A przecież w ciągu niecałej połowy godziny uporaliśmy się z jagnięcym udkiem i dwiema butelkami hiszpańskiego wina, po czym wdrapaliśmy się na lekką bryczkę opatrzoną koszykami. Burr wesoło strzelił z bicza i w różanym świetle poranka bryczka potoczyła się przez błota Lynnu. Wymijaliśmy powolne wozy z prowiantami; rzucaliśmy w przelocie pozdrowienia podróżnym, śpieszącym zaciągnąć się do wojska lub odwiedzić znajomych rekrutów, wreszcie potargować się z wojskowymi intendentami, którzy też języki w gębach mieli nie od parady.

Podochocony wypitym w tawernie strzemiennym, Burr przestał mówić o swoim żołądku, a zajął się tak ogólnymi zagadnieniami, jak charakter narodowy Pensylwańczyków, których uważał za

Islandczyków, którzy byli według niego najędzniejszymi kreaturami zrodzonymi przez, kobietę; Connecticutczyków, ludzi omal nie pękających z nadmiaru żółci i zepsutej flegmy. Rozgadał się na temat oficerów i żołnierzy z Massachusetts, twierdził, że są pyszałkami i świętoszkami, ludźmi najzupełniej nieodpowiedzialnymi, demokratami aż do obrzydliwości. Wirgińczyków nazywał papierową szlachtą, przy czym wąpił nawet w dobroć papieru, z którego ich powycinano.

Nie podobali mu się młodzi wychowankowie Harvard College, określał ich jako opojów, rozpustników, marnotrawców, zadzierających nosa młodzieniaszków, krótko mówiąc śmierzeli. Natomiast młodzi ludzie z kolegium, do którego on sam uczęszczał, z kolegium w Princeton, prowincji New Jersey, należeli, jego zdaniem, do wyższej klasy towarzyskiej, umieli być jednocześnie arystokratami i demokratami, dobrymi żołnierzami i mężami nauki, przy czym ich pociąg do wina i kobiet nie przekraczał norm przyzwoitości.

W dalszym ciągu rozmowy ujawniło się, że mój towarzysz nie lubi generała Waszyngtona. Wprawdzie, oświadczył, niewielu ludzi myśli w ten sposób, on jednak upiera się, że generał Waszyngton jest po prostu wypchaną kamizelką.

Niezadługo odkryje, pomyślałem sobie, że i ludzie z. Maine, ze mną włącznie, są nie do zniesienia, a wówczas zachwycać się będzie wyłącznie sobą samym i przyjaciółmi swymi z Princeton College. Nie powiedziałem tego na głos, bo wrażliwy młodzieniec jeszcze by mi się popłakał z żałości.

Kary wałach poniósł nas przez jedyną ulicę Maldenu i woniejący rumem Medlord. Kiedyśmy przecięli błota Mystic i minęli roгатkę



Cambridge, ognie, przy których żołnierze warzyli poranny posiłek, napełniały powietrze tumanem dymu. Na miły zapach płonących szczap sosnowych, parzonej kawy i dopiekającej się szynki ślina napłynęła nam do ust. Wsiadłem przy pierwszych namiotach, aby rozejrzeć się za moimi Arundelczykami. Burr pochylił się z bryczki i uścisnął mi rękę. — Mamy wszyscy po uszy tego jednostajnego żywota, Sam, Mateusz, ja i wielu innych. Jeżeli wiecie, co zamierza ten Arnold, bąknijcie słówko.

— Nic nie wiem — rzekłem. — Ale jeżeli wybierzecie się z nami, na pewno życie przestanie wam wydawać się jednostajnym.

Burr zasalutował biczem, chlasnął nad uchem wałachowi, jak z pistoletu, i popędził z turkotem i grzechotem przez szpaler na-

170

miotów, jakby mu było spieszno do kwatery pułkownika Arnolda. I możliwe, że pojechał prosto do Arnolda.

Nasz obóz wyglądał jak prowincjonalny jarmark albo jak kolonia miasteczek indiańskich skupionych po obu stronach gościńca. Gdzieniegdzie widziało się prawdziwe namioty, ale po większej części żołnierze gnieździli się w szałasach zmajstrowanych z desek lub żaglowego płótna, z desek połatanych żaglowym płótnem, wreszcie z wszystkiego, co popadło. Były szałasy z bryłek ziemnych, z kamieni, z cegieł, z chrustu podpartego tarcicami. Trzy namioty zbudowano z koszyków oplatających niegdyś butelki rumu. Inne spleciono z łożinowych prętów na kształt kosza, nawet drzwi i okiennice były z łoży. Niektóre miały podstawę ze słomy lub siana. Jeden sklecono z przepołowionych beczek: z daleka bił od niego odór starej melasy.

Nie mniej cudaczeni byli żołnierze: wyglądali jak maski na balu. Niewielu mogło się poszczycić starymi niebieskimi mundurami milicji, większość paradowała w płóciennych koszulach, skórzanych kurtkach myśliwskich lub bezrękawkach z hikorowego łyka.

Natknąłem się na chudego dryblasza. Pochylony nad ogniem, jedną ręką przewracał na patelni plasterki boczku, drugą oganiał się od much. Zapytałem go, czy nie wie, gdzie mogę znaleźć ludzi z Maine, z okolic Yorku.

- Bracie — rzekł nieprzyjemnym tonem. — Ci, których szukasz, to banda łobuzów i złodziei. Włóczą się tu po nocach i kradną. Jeżeli zamierzasz do nich przystać, radzę ci, trzymaj się od nas z. daleka. W przeciwnym wypadku żywcem cię zakopiemy w latrynie.
- Więc wy jesteście z Maine?
- Bracie — rzekł zdejmując boczki z ognia. — Gdybym był z Maine, wstydziłbym się ludzkich oczu. Pochodzę z. Connecticut, bracie, ze stron, w których się żyje kulturalnie, mówi kulturalnie i jada kulturalnie. — Z tymi słowy uniósł plasterki boczku ponad zadartą głowę i wrzucił do ust.
- Jestem tu po raz pierwszy — powiedziałem. — Zdumiewają mnie wasze słowa. Dotychczas słyszałem, że wy, Connecticutczy-cy, umiecie tylko obrażać sąsiadów i sprzedawać łatwowiernym nabywcom ziarenka kawy ulepione z gliny. Z radością się dowiaduję, że i do was przeniknęła odrobina kultury.

Kiedy odszedłem, zawołał za mną, a usta miał zapchane boczkiem:—  
Ile chcesz za muszkiet, Maine?

Odkrzyknąłem, że nie mogę sprzedać, bo jeszcze mi zapłaci

gałką muszkatułową struganą z drzewa. Na to on zaryczał, że przyjaciół swoich znajdę w chorągwi pułkownika Scammena, o trzy ulice na wprost i dwie ulice na prawo, i żebym zaszył sobie kieszenie, kiedy będę tam wchodził.

Wreszcie ich znalazłem. Mieszkali w wygodnych namiotach, zbudowanych z desek i płótna żaglowego. Gdy Jethro Fish oderwał oczy od trzewika, którego łątaniem był zajęty, i huczącym basem obwieścił moje przybycie, Arundelczycy powyłazili z namiotów, poodchodzili od porannych zajęć, jakby widok krajana był równie rzadki, jak spotkanie z chanem tatarskim.

Przede wszystkim wypyтали się, jak wyrosło żyto, czy główacze już się skończyły, czy dużo w tym roku morskiej trawy dla nawiezienia pól, jak się miewają żony i dzieci, kto jeszcze zaciągnie się do wojska i kiedy wreszcie gmina uzbiera pieniądze na zakup mundurów. Następnie poczęli mi się zwierzać ze swoich trosk, bo nasz Arundelczyk niezadowolony jest zawsze i ze wszystkiego. Jeżeli dostanie się po śmierci do nieba i „anielską weźmie na się postać” (w co wątpię), na pewno Pana Zastępów zadreczać będzie narzekaniami, że obłoki źle są zheblowane i trudno na nich usiedzieć, że trąby są za małe, a harfy rozstrojone.

Najbardziej ich bolało, że muszą służyć pod rozkazami oficerów, których sami nie wybierali, których nie mogą pouczać, którzy się z nimi nie naradzają. My, Nowoangielczycy, lubimy wybierać sobie wodzów. Wiem, że w minionej wojnie żołnierze z Maine nie chcieli walczyć pod rozkazami mianowańców.

- Słuchaj, Stefanie — żalił się młody Pierce Murphy z Zatoki

Cleavesa. — Ten pułkownik Scammen to nawet niezły żołnierz, ale ja go nie znam, nie mogę pójść do niego i powiedzieć: „Te, Karol, dajesz mi dwa tygodnie urlopu?”. Co innego, gdybyś ty był pułkownikiem, albo Jesse Dorman, albo kto tam wreszcie! Grunt, żebyśmy się znali!

- Tak — mruknął Noe Cluff. — A jak nie znasz faceta, to musisz mu salutować. Ognie piekielne, odkąd Jerzy Pierwszy objął dowództwo, tyle się nasalutowałem tym pułkownikom, co psu wyskoczyli spod ogona, że mi aż środkowy palec zdrętwiał.
- Jerzy Pierwszy?
- Waszyngton — wyjaśnił Nataniel Lord.
- Co macie mu do zarzucenia?
  - Ognie piekielne! — zawołał Sili Abbott. — Nic. Jak na Wirgińczyka, wcale porządny chłop.
- Byłby niezły nawet jako Connecticutczyk — rzekł Murphy. —

172

Poprzednikiem Waszyngtona był generał Ward. Czy widział kto kiedy starego Artemasa Warda na froncie, jak co dzień widuje się Waszyngtona? Ward siedział w fotelu, siedział i siedział. Gdyby nie Waszyngton, zapuściłby korzenie. Dla Waszyngtona kule armatnie to tyle co muchy. Ma tylko jedną wadę: oszalał na punkcie salutowania. Bo proszę: jeżeli znasz oficera, to nie masz mu po co salutować; jeżeli go nie znasz, to cóż salutowanie pomoże?

- Tak czy owak, Brytyjczyków zakorkował jak jasny gwint — z dumą rzekł Dorman. — To są jego sposoby: o zmierniku prowadzi na

wzgórze dwa tysiące ludzi, z rana patrzysz, a tu już wykopany nowy fort.

- Brytyjczycy chyba nigdy nie parali się kilofami i łopatami — wtrącił Noe Cluff. — Co my wykopiemy w ciągu jednej nocy, u nich trwa miesiąc.
- Tak — potwierdził Abbott. — I dlatego siedzimy z założonymi rękami. Całe nasze zajęcie to pilnować, żeby te pieskie sny z Connecticut nie pokradły nam muszkietowych zamków. Mam po dziurki w nosie tego kopania fortów i salutowania! Chcę do domu! —Wszyscy chcemy do domu — mruknął jeden z Burbanków.

Spośród żołnierskiej gromady wyłoniło się szlachetne oblicze Jamesa Dunna. — Jeżeli nie idziemy się bić, to wolę pracować w stoczni. Cieśle są lepsi od żołnierzy.

- Na Lucypera! — zawołał Murphy. — Chłop ma rację! Nie rozumiem, jakim cudem udało się w jednym miejscu zgromadzić aż tylu łajdaków! Rhode Islandczycy nie lepsi od Connecticutczyków, a jak mi własne portki miłe, nie znam nic podlejszego niż Nowojorczyk!
- Z wyjątkiem Pensylwańczyka — sucho zauważył Cluff. — Jeżeli Brytyjczycy nie wysuną nosa z nory, chętnie się pobiję z Pensylwańczykami.
- Żołnierz, który mi pokazał drogę — rzekłem — skarżył się, że żołnierze z Maine kradną, co wpadnie pod rękę.

Moi krajanie spojrzeli po sobie, zbici z tropu.

—Kilka dni temu pożyczylimy baryłkę jabłecznika od rekruta z Rhode Island — przyznał Abbott.

—To nie był Rhode Islandczyk. Connecticutczyk!

Oświadczenie to powitał nieprzyjazny pomruk. — W zeszłym tygodniu przyłapaliśmy trzech Connecticutczyków na kradzieży zapasowych pończoch — skarżył się Jesse Dorman. — Te psy odgryzłyby ci guziki od kalesonów, gdybyś się nie miał na baczości!

173

Rozmowę naszą przerwał głos ostry, jak zgrzyt pilnika po szkłe: — Czy nigdy się nie nauczycie salutować oficerom? — Głos ten pochodził od czerwonogębego mężczyzny w niebieskiej kurtce\* milicjanta, ozdobionej złotym lampasem na rękawie. W oczach tego człowieka płonęła nienawiść.

—Jest to świadoma zniewaga — powiedział głośno. — W sprawie salutowania wyszło już chyba dwadzieścia rozporządzeń, a wy najbezczelniej w świecie odwracacie się do mnie plecami. Nie zniosę tego!

Odpowiedziały mu niechętnie spojrzenia i grobowa cisza.

- Odpowiadać! — ryknął siniejąc z wściekłości.
- Panie pułkowniku — zaskamlał Jesse Dorman — myśmy was nie widzieli!
- To nie jest tłumaczenie! Żołnierz winien widzieć, co się dzieje dookoła niego. A gdyby tak nocą przekradł się do was nieprzyjaciel, co by to było?
- Panie pułkowniku — rzekł Noe Cluff. — Staliśmy obróceni plecami, kiedyście się raczyli zjawić.
- Ale teraz mnie widzicie! — wrzasnął tamten. — Widzicie mnie, prawda? — Spojrzał na mnie, wytknął gruby palec wskazujący, jakby chcąc mnie dziabnąć w pierś, i zapytał: — Ty! Czego nie

salutujesz?

- Przede wszystkim nie „ty” — odrzekłem. — Po wtóre nie jestem w armii i nie umiem salutować.

Gdzieś od tyłu doszedł mnie wyrazisty szept. Poznałem głos Asy Hutchinsa. — To go pocałuj! — szeptał łajdak.

Pułkownik, szkarłatny jak borówka, rozejrzał się gniewnie po zwartym szeregu obojętnych twarzy, ale widocznie nie znalazł w nich nic przyjemnego. Mamrocząc pod nosem coś na temat „rozwydrzonego żołdactwa” i „łachmaniarskiej szlachty”, ruszył dalej chodnikiem ulicy, a ja, dziwnym przejęty wstrętem do widoku jego pleców, podążyłem w przeciwną stronę.

Chcąc uniknąć na przyszłość takich zajść, uchylałem kapelusza przed każdym spotkanym i w ten sposób bezpiecznie doszedłem do rynku. Tam mi pokazano piękny dom, kwaterę generała Waszyngtona.

Po całonocnej podróży kleiły mi się oczy. Wstąpiłem do tawerny „Pod Śmiejącym Się Psem”, pochłonałem przy stoliku porcję wieprzowego pasztetu i zakropiłem dwiema kwartami piwa, uchylając kapelusza przed każdym noszącym się z żołnierską przybyszem i przed kilkoma niewątpliwymi cywilami. Po czym po-

174

szedłem w pole, objąłem ramionami muszkiet i toból, aby nie okradł mnie żaden Rhode Islandczyk ani Connecticutczyk, i zasnąłem błogo wśród zapachów sianożęci.

Zbudził mnie huk, podobny do trzaśnięcia drzwiami. Ale gdy huk się ponowił, bliżej tym razem i donośniej, zrozumiałem że 10 jest wystrzał armatni. Nareszcie wojna, pomyślałem sobie. Pośpieszyłem więc do

kwatery głównej generała Waszyngtona, rozumując, że jeżeli już kanonada, to niech ja przynajmniej będę pod dachem, tam gdzie inni.

Przed kwaterą główną stali wartownicy, umundurowani, jak mój znajomy Aaron Burr, wytworni, sztywni, marsowi. Ilekroć przeszedł oficer, ze szczękiem i brzękiem przystawiali muszkiety do nogi. Jednemu z nich pokazałem list. Skierowano mnie do gabinetu generała Gatesa, adiutanta sztabu. Był to starszy człowiek o przebiegłych oczach, sznurkowatych siwych włosach i wiecznie zaaferowanej minie.

Pomyślałem sobie, że taki to może przyszywać generałowi guziki do koszul, ale chyba nie nadaje się do dowodzenia w bitwach. Przyjął mnie grzecznie, wysłuchał, po czym wprowadził do narożnej izby-poczekalni.

Przeczekałem jakąś godzinę, drzemiąc sobie w ciepłe sierpniowego popołudnia. Nagle w przedsionku rozległ się straszliwy łoskot, połączony z metalicznym brzękiem. Sądząc, że to pocisk nieprzyjacielski przebił ścianę i wpadł do wnętrza domu, chwyciłem muszkiet i toból i wybiegłem na próg przedsionka. Z posadzki wstawał człowiek o potężnym, ociążalym kadłubie, o rękach i nogach olbrzyma, krótko mówiąc, Cap Huff, ale jakże wspaniale odmieniony! Miał na sobie niebieski surdut ze złotą koronką, sarnie szarawary i lśniące czarne buty, u pasa szpadę i u pięt ostrogi, niby blaszane foremki, którymi moja matka wykrawa krążki i gwiazdki z rozwałkowanego słodkiego ciasta. Rzucił się ku mnie z brzękiem ostróg i metalowych części pasa, klnąc na czym świat stoi raz po raz potykając się o własną szpadę.

- Na Belzebuba! Stefek! — zawołał, potężnymi łapami trzepiąc mnie po ramionach i obejmując tak serdecznie, że ledwo uszedłem z całym karkiem. — Widzę ja, że dostaniemy w ręce tego Francuzika i



przetracimy mu jego lisi pyszczek!

- Ty! — rzekłem odpychając go kolbą muszkietu. — Zostałeś generałem, czy jak? Dlaczegoś upadł?

Zanim zdążył odpowiedzieć, otworzono drzwi i z frontowej izby wyjrzała twarz pułkownika Arnolda. Powiódł po nas zdziwionymi oczami i cofnął się w głąb.

175

Równocześnie zjawił się generał Gates, stanął przy Capie i powiedział chłodno: — Pułkowniku, czy mogę zapytać o wasze nazwisko i przydział.

- Naturalnie — odparł Cap niedbałym tonem. — Huff.
- Pułkownik Huff? — z naciskiem zapytał Gates.
- Tak. Huff! — odpowiedział Cap.

Widząc, że coś tu nie jest w porządku, i obawiając się, że moja rozmowa z pułkownikiem Arnoldem może ulec nieprzewidzianej zwłóce, jeżeli Cap się zmiesza pod badawczym spojrzeniem starego, niepostrzeżenie podniosłem muszkiet i zdzieliłem olbrzyma koltyą w kark. Cap jęknął i osunął się na jedno kolano. Rzuciłem muszkiet i tobół, pochwyciłem go za ramiona i podparłem.

- Panie generale — rzekłem. — Ten człowiek musiał się rozchorować od upału.
- Albo po prostu zwariował! — rzekł Gates.
- To wielce prawdopodobne — powiedziałem. — Za pozwoleniem waszym wyprowadzę go na powietrze. — Plan miałem następujący: zaprowadzić Capa na łąkę, gdzie przedrzemałem południe, związać go i związanego zostawić, póki nie wrócę. Plan spełził na niczym, bo

nagle pchnięto od środka drzwi i w progu stanął pułkownik Arnold.

- Generale — rzekł do Gatesa. — Generał Waszyngton prosi, aby ci dwaj panowie, których mam zresztą zaszczyt znać, wprowadzeni zostali do jego gabinetu.
- Dobrze, pułkowniku! — odparł Gates. — Ale obawiam się, że ten młodzieniec w mundurze pułkownika jest chory.

Kopnąłem Capa ze wszystkich sił i dźwignąłem go z ziemi. Mrugając oczami, sięgnął ręką do karku. — Pułkowniku — rzekłem do Arnolda, który przyglądał się mundurowi Capa z nie mniejszym niż Gates zainteresowaniem. — Już przychodzi do siebie. Za chwilę będzie zdrów jak ryba.

Pułkownik Arnold kiwnął głową, cofnął się i gestem ręki zaprosił nas do frontowej izby. Cap wciąż opierał się na mnie, postękiwał i ręką rozcierał kark. Generał Waszyngton siedział przy podłużnym stole i patrzył na nas. Był to imponujący mężczyzna. W plecach kanciasty i szeroki — włosy miał przypudrowane, twarz rumianą i z lekka poznaczoną śladami ospy. Wzrostem dorównywał Capowi Huffowi, ale wyglądał nie tak masywnie, bo i rysy miał delikatniejsze, i smuklejsze ręce i nogi, i cieńszy był w pasie. Jego wąskie, szczelne wargi, jego stalowe oczy, utkwione w Capa,

176

tak mnie przejęły, że wolałbym umrzeć niż zasłużyć na gniewne spojrzenie tych oczu, na ostre słowo z tych ust.

—Generale — rzekł pułkownik Arnold zamykając za sobą drzwi. — Oto Stefan Nason z Arundel, którego poznałem, gdy

wracał z podróży po Martwej Rzece, i który dla pewnych osobistych względów zdecydowany jest dotrzeć do Quebecu za wszelką cenę. Drugi — tu spojrział badawczo na Capa, niezgrabną łapą przecierającego sobie twarz — drugi jest to Imć Huff z Portsmouth, ten, za którego sprawą dostaliśmy, jak wiecie, cały proch z Fortu [William](#) and Mary.

Generał Waszyngton kiwnął głową. — Nie słyzałem — powiedział do Capa przyjemnym, niskim głosem, w którym wyczuwało się jakieś ochryple drżenie, zapewne ślad wielu komend wydawanych w słotne dni — nie słyzałem o waszym awansie na pułkownika.

Cap potrząsnął głową jak pies, któremu na uchu siadła mucha. — Kto mnie uderzył? — zapytał podejrzliwie.

Arnold pociągnął go za rękaw. — Generał pytał was o coś.

Cap po omacku sięgnął do szpady i oparł się na niej. — Ja również nie słyzałem — rzekł. — Bo i skąd miałbym słyzeć? Francowaty pieski syn z Portsmouth dał łapówkę strażnikowi, a strażnik zamknął mnie w mamrze, cicho sza, że i rodzone druhy zachodziły w głowę. Nie słyzałem nic, odkąd Jonasz wylazł z wielorybiego brzucha!

- Więc nie jesteście pułkownikiem? — spokojnie zapytał Waszyngton.
- Generale! — warknął Cap. — Przecież byłem w więzieniu! Ognie piekielne! Na szczęście pułkownik Arnold wezwał mnie listownie, inaczej nie miałbym ani tej szpady, ani tego munduru, i siedziałbym w ciupie jak borsuk w dziupli", pieska ich niebieska!
- W czasie wojny — rzekł generał Waszyngton — jeżeli ktoś paraduje po terenach frontowych w mundurze, nie przynależnym mu z racji wojskowego stanowiska, rozstrzeliwa się go zazwyczaj jako szpiega.
- Szpiega? Mnie? — ryknął Cap. — Pójdę, wytrząsnę duszę z tego

piekielnego koziego syna! — Cisnął szpadę na ziemię, że aż dźwiękło, i jął ściągać surdut z potężnych barów.

Generał Waszyngton wstał i położył mu rękę na ramieniu. — Wpierw opowiedzcie mi całą rzecz od początku aż do końca — rzekł. Spojrzał na pułkownika Arnolda oczami, w których malowała się surowość. Ale nagle sobie uświadomiłem, że to nie surowość

177

widnieje w oczach generała Waszyngtona, ale spokojne oczekiwanie czegoś bardzo wesołego.

- Cała historia w dwóch słowach — powiedział Cap. — Jest w Portsmouth krawiec, który szył mundury brytyjskim oficerom. Podejrzałem, że to głównie on mnie wpakował do mamra. Kiedy więc mnie wypuszczono, poszedłem do niego, wziąłem drania za kołnierz i tak długo trzymałem nad piecem, aż mi obiecał uszyć mundur. Uszył, generale, uszył, pieska jego niebieska, i do tego jeszcze dał mi szpadę i kapelusz. I w dowód wielkiej miłości podarował mi na dodatek srebrny serwis do herbaty i mieszek bitycrimonet, których Wasza Wysokość zechce użyć na cele wojenne. Pomrukując dziko, zdarł z siebie surdut, rzucił go na krzesło, a na wierzchu położył szpadę. Pod surdudem nosił wykwintną koszulę z indyjskiego jedwabiu. Nie pojmowałem, skąd to wszystko u niego. — Ten surdut jest do wzięcia! — ryknął z nienawiścią.
- Potrzebujących nie brak — rzekł generał. — Na pewno znajdziemy amatora.
- Czy macie jakieś zarzuty, generale? — zapytał Cap, trochę poniewczasie.

- Nic podobnego — odparł generał. — Surdut przyda się w sam raz. Jest to przypadkowo mundur połowy pułkownika królewskiej marynarki. Najrzadziej spotykana ranga. W całej brytyjskiej flocie jest tylko czterech pułkowników. Przypuszczam, że skórzana bluza myśliwska lepiej odpowie waszym potrzebom.

Po czym obrócił się do mnie. Powtarzam to, co mówiłem zawsze: że człowiek, który nie był ostatnim nicponiem i bęcwałem, musiał pod spojrzeniem tych zimnoniebieskich oczu podnieść głowę i sprężyć w sobie moc do najwyższego wysiłku.

- Panie — rzekł. — Wiem od pułkownika Arnolda, że jeszcze będąc chłopcem wyruszyliście do Quebecu drogą przez Kennebec.
- Tak jest.
- Nie baliście się niebezpieczeństw?
- Nie. Podróżowałem z ojcem.
- Czy dziś, bez ojca, zdobylibyście się na równą śmiałość?
- Oczywiście, gdybym sobie mógł dobrać towarzyszy.
- Więc z byle kim nie ruszylibyście tą drogą na Quebec? Zastanawiałem się przez chwilę. — Panie generale, wolałbym mieć przy sobie ludzi, obytych z lasem i zapalonych do tej wyprawy. Wtedy miałbym pewność, że dopłynę.
- Czy zgodzilibyście się wyruszyć z pułkownikiem Arnoldem?
- Poczytywałbym to sobie za niezwykle szczęście.

178

- Az tym oio waszym przyjacielem? — Spojrzał na Capa Huffa.

- Nie mogę sobie życzyć lepszego towarzysza.

Generał Waszyngton obrócił się do biurka i rzucił okiem na niewielką mapkę. — No, a wtedy — rzekł — kiedy, chłopcem będąc, płynęliście do Quebecu, czy trudność drogi bardzo się wam Idawała we znaki?

- Nie. Ale mieliśmy doskonałych wioślarzy.
- Dlaczego więc nie dotarliście do celu?
  - Dowiedzieliśmy się, że ścigany przez nas człowiek zdążył Umknąć.
- Ale mogliście dopłynąć?
  - Tak jak nam wówczas przedstawiały się sprawy, to mogliśmy dopłynąć z łatwością.
- W jakim czasie?
  - Od Wyspy Łabędziej, położonej przy ujściu Kennebecu, w ciągu ośmiu do dziewięciu dni, gdyby wszystko ułożyło się pomyślnie.
- *Co to znaczy: „gdyby wszystko ułożyło się pomyślnie”?*
  - O ile byśmy nie trafili na posuchę ani na powódź. O ile byśmy zawsze mieli żywności pod dostatkiem. O ile byśmy nie zawadzili o skały ani nie wywrócili się na bystrzynach. O ile by nikt nie zgubił muszkietu i nikt nie złamał nogi.
  - A gdyby coś takiego się zdarzyło? — zapytał generał. — Jak długo wówczas musiałaby trwać droga?
- Bóg jeden wie, panie generale.
- Czy znacie innych ludzi, którzy odbyli tę podróż?
  - Owszem. Abenak Natanis, mój przyjaciel, płynął tamtędy kilkakrotnie.
  - Kilkakrotnie? — szybko wtrącił generał. — Więc ten Natanis nieraz

bywał w Quebecu, odkąd rozparli się tam Brytyjczycy?

- Tak — odpowiedziałem. Generał zamienił znaczące spojrzenie z pułkownikiem Arnoldem.
- A jeszcze kto?
  - Wielu. Porucznik Hutchins z Leśnego Batalionu popłynął w górę Kennebecu, wioząc list od Amhersta do Wolfe'a. Było to na trzy tygodnie przed naszą wyprawą. Czytałem zwoje Abe-naków, zwane wampum. Natknąłem się na wzmiankę o ojcu Drouillettes, który dwukrotnie wędrował z Cushnoc do Quebecu, i o ojcu Rale, który płynął do Quebecu z Norridgewock. W rok po naszym nieudanym pościgu ruszył tamtędy angielski oficer

179

imieniem Montresor. Natanis mówi o Montresorze z wielkim szacunkiem i twierdzi, że on pierwszy sporządził mapę dla tych okolic. Nigdy tej mapy nie widziałem, a szkoda. Wielu Indian ze szczepu Norridgewoków wędrowało rokrocznie do Quebecu po zakupy lub w odwiedziny do krewnych. Ostatnio wszyscy przenieśli się nad Rzekę Świętego Franciszka, co znaczy, że z całym obozem, z kobietami, z dziećmi, popłynęli w górę Kennebecu. Często zapuszczają się na rzekę Assaguntikukowie znad Andro-? scogin. Dla człowieka, obytego z lasem, to rzecz zupełnie możliwa. Ale wierzajcie mi, generale, po takiej podróży człowiek nie czuje kości.

- A powiedzcie mi — rzekł Waszyngton — czy w waszych okolicach znaleźliby się ludzie zdatni do tego przedsięwzięcia?
- Wielu mamy takich. Wszystko dobrzy myśliwi, pierwszorzędni tropiciele, zaprawieni do trudów.

- Gdybyśmy więc, dajmy na to, z rodaków waszych utworzyli armię, czy można by liczyć na powodzenie wyprawy?
- Armie! — wykrzyknąłem wpatrując się w niego.
- Tak, armię — odrzekł. — Armię, która zajmie Quebec. Armię w sile, powiedzmy, brygady.
- Jak taką armię wyżywić? — zapytałem myśląc o zamęcie, jakim przechodzące wojsko musi napełnić bory, o zwałach skalnych na każdym lądowym szlaku, o bagnach, progach rzecznych i nieprzeniknionych zaroślach.
- Żołnierze otrzymają zapasy na drogę — rzekł generał. — Ale nie tu sedno rzeczy. Sedno w tym, czy armia, złożona z takich ludzi, jak pułkownik Arnold, wy i Huff, potrafi dotrzeć do Quebecu drogą przez Kennebec?
- Jak Bóg na niebie, Stefku! — wybuchnął Cap. — Tak! Tak! Potrafimy i dotrzeć, i zetrzeć Quebec na miał, i przywieźć ten miał do Nowej Anglii w kieszeniach kalesonów!
- Generale — rzekłem. — Przy sprzyjających warunkach armia tego dokona.

Pułkownik Arnold przez cały czas rozmowy siedział w milczeniu ogryzając paznokcie. Nagle przemówił. — Generale, sami sobie stworzymy sprzyjające warunki!

—Pułkowniku — odparł generał. — Wiem, że zrobicie wszystko, co w waszej mocy. Życzę wam, abyście wyszli na tym lepiej niż ja, gdy usiłowałem sam sobie stworzyć sprzyjające warunki.



## XIV

Generał Waszyngton mówił przez zaciśnięte wargi, jak człowiek rozgniewany. Później dowiedziałem się, że ma nieregularnie osadzone zęby i chcąc uniknąć kłapania i obślizgiwania się szczęki, musi mówić w ten sposób. — Panowie — rzekł. — Znane są wam północne okolice naszego kraju. Chciałbym zapytać was o parę rzeczy.

—Generale! — ryknął Cap, a widać było, że Waszyngton go oczarował. — Pytajcie, ile wlezie!

Generał pochylił się nad dokumentem rozpostartym na stole i uśmiechnął się do Capa. Nie był to uśmiech swobodny ani radosny. — Mówił mi pułkownik Montgomery, którego obdarzam pełnym zaufaniem, że wszyscy Nowoangielczycy są generałami, a żołnierza wśród nich na lekarstwo. Tym milej mi spotkać Nowo-angielczyka, który gotów jest odpowiadać na pytania, a nie narzuca nam swoich poglądów.

Cap Hufł zamrugał oczami. Waszyngton obrócił się do mnie.

- Jakich, waszym zdaniem, środków należy użyć do transportu takiego wojska wraz ze sprzętem i zapasami: drewnianych płaskodennych łodzi czy czółen kanadyjskich?
- I tych, i tych — odparłem uświadamiając sobie, jak trudno byłoby przenieść ciężkie drewniane płaskodenki przez Wielkie Międzyrzecze.
- Mówiono mi — rzekł generał — że siła prądu i ostrość podwodnych skał stanowią wielkie niebezpieczeństwo dla zapasów wiezionych kanadyjkami.
- To możliwe — odparłem. — Ale to samo niebezpieczeństwo grozi łodziom. Dotychczas podróżowano po Kennebecu tylko w

kanadyjkach. Nie wiecie, jakie czekają nas szlaki lądowe. Całe mile! Rozumiecie, generale? Całe mile! I przenieść takim szlakiem drewnianą łódź — to równa się...

- Ale przyznacie — przerwał generał — że którądy czółno, tędy przejdzie również łódź.

Milczałem, nie chcąc ani potwierdzać, ani zaprzeczać.

- Łódź, generale, nie wymaga takiej zręczności jak kanadyjka — zauważył Arnold. — Kanadyjka jest bardzo krucha.
- Pułkownik — rzekłem — dostarczę Indian, którzy zawiozą was kanadyjką, dokąd tylko zechcecie.

Generał Waszyngton podniósł się i stanął przy oknie, ponuro patrząc na wielki, okryty pyłem wiąz, w którego cieniu przemie-

181

rzały rynek grupki milicjantów i oficerów. Po chwili obrócił się ku nam, ale mówił z oczami utkwionymi w pułap, tak że nie wiedziałem, czy mówi do mnie, czy do Arnolda. — Panie, ja znam Indian. To tchórze, złodzieje, mordercy, gwałciciele traktatów pokojowych, bestie wyzute z człowieczeństwa. W najciemniejszym dniu mojego życia, dwadzieścia lat temu, kiedy wycofywaliśmy się z Fortu Konieczność, kiedy niepowściągliwe języki Francuzów skalały mój honor żołnierski, kto mnie opuścił, jeśli nie Indianie? Kto mi groził? Kto natarł na mnie? Kto zniszczył moją skrzynię z medykamentami? Kto dwóch rannych żołnierzy dobił i oskalpował? Indianie!

- Brudne, z brudnej maci zrodzone, francowate, pluskwożerne kozie syny! — wymamrotał Cap Huff.
- Latami całymi — dalej ciągnął generał — Francuzi spuszczały na nas

tę sforę czerwonomordych piekielników, wbrew wszelkim zasadom współczesnej wojny. Nie chcę, aby na mnie w przyszłości spadła odpowiedzialność za udział Indian w naszej wojnie wyzwoleniczej.

- Generale — zaprotestowałem — macie na myśli inny szczep indiański. Abenakowie z Kennebecu i Androscogginu są uczciwi i odważni. Mieszkałem między nimi, odbywałem z nimi podróże. Będą naszymi najwierniejszymi przyjaciółmi. Nikt tak nie pomoże wam w podróży, jak Abenak Natanis, Abenak Hobomok i Paweł Higgins, biały sachem Assaguntikuków!
- Widzicie! — zwrócił się generał do Arnolda. Potem do mnie: — Mimo woli sami wydaliście na siebie wyrok potępienia. Mamy raport z doliny Kennebecu. Ten Natanis jest szpiegiem w służbie Caritona, komendanta Quebecu. Wiecie, na czym polegałaby jego pomoc? Natychmiast zawiadomiłby Caritona i nasza armia zostałaby odparta przy Rzece Świętego Wawrzyńca.
- Generale — rzekłem. — Nie wierzę! Skąd macie tę wiadomość?
- Kiedyście z nim ostatni raz rozmawiali? — gniewnie zapytał generał.
- Przed dwoma, trzema laty. Ale uratowałem mu życie, a przed jakimś miesiącem posłałem do niego gońca z prośbą o pomoc przeciwko nieprzyjaciołom.
- Aha — podchwycił generał. — I jaką otrzymaliście odpowiedź?
- Nie odpowiedział. Ale odpowiedź jest zbędna. Przecież uratowałem go od śmierci.

bierze na serio moich słów. Byłbym dalej spierał się i wywodził swoje, ale Waszyngton przerwał mi stanowczym gestem ręki.

—Jeszcze jedno. Pułkownik Arnold, jak wnioskuję, pragnie w was mieć doradcę i przewodnika. Obecny tu wasz przyjaciel, mniej obznajomiony z górnym biegiem Kennebecu, powinien, sądzę, znaleźć się pod waszą komendą. Jaka, zdaniem waszym, ranga uczyni was najbardziej przydatnym dla armii, o której mówiliśmy?

Przypominając sobie pułkownika o nalanej krwią twarzy, który żądał, aby mu salutowano, oraz to wszystko, co Burr mówił o oficerach, odpowiedziałem, że wolę być po prostu przewodnikiem i nie mieć żadnej rangi. W ten sposób uniknę zazdrosnych spojrzeń i złośliwej kontroli ze strony ludzi małych i nierozumnych.

- Wobec tego — rzekł Waszyngton — obu was mianuję przewodnikami, przy czym Nason ma zastrzeżone starszeństwo. Będziecie obaj pobierali płacę kapitanów, a po zwycięskim zakończeniu kampanii możecie liczyć na stopień oficerski. Zgoda?
- Jednego tylko pragnę — rzekłem — popłynąć do Quebecu.
- Co do mnie — zagrzemiał Cap — to wolę być pułkownikiem podczas wyprawy, a później niczym, albo później pułkownikiem, a niczym podczas wyprawy.
- Spodziewam się — uprzejmie rzekł generał Waszyngton — że nie doznacie zawodu. — Po czym obrócił się raźnie do Arnolda. — Weźcie ich z sobą, pułkowniku, wydajcie rozkazy. Przedsięwzięcie, które zamierzamy, przedstawia się ryzykownie, ale w razie powodzenia zaciążyć może nad całym przebiegiem wojny. Wynik tej wyprawy rozstrzygnie o losach Ameryki. Od waszej odwagi i

roztropności zależy nie tylko osobista wasza kariera, ale wolność, bezpieczeństwo i dobrobyt całego kraju.

Dodał z naciskiem: — Jest rzeczą szczególnej wagi, aby wieść o werbowanej przez nas armii nie doszła uszu nieprzyjaciela.

Uścisnął nam ręce. Kiedyśmy wychodzili, Cap machinalnie wziął z krzesła szpadę i surdut. Zapewne znowu by się wystrychnął na pułkownika, gdyby generał nie krzyknął mu w ślad, że może to wszystko wraz z ostrogami zostawić w gabinecie generała Gatesa.

Arnold poprowadził nas spiesznie do swojej kwatery, położonej w sąsiedztwie zabudowań kolegialnych. Po drodze salutowano mu z uszanowaniem. Widząc te objawy hołdu, zauważyłem, że słyszeliśmy w Arundel o jego wspaniałym natarciu na Fort Sw. Jana i Ticonderogę i że wieść o zwycięstwie wprowadziła nas w prawdziwy szal radości.

183

Nie odpowiadał, póki nie znaleźliśmy się w jego kancelarii. Ociężale usiadł przy biurku i obrzucił nas spojrzeniem spode łba. Twarz miał ciemną jak świeżo zorana gleba.

—Zwycięstwo! — wykrzyknął. — Nie słyszeliście nic o badaniach, jakim mnie poddano?

Potrząsnęliśmy głowami

Uderzył pięścią w stół. — Na Boga! — rzekł. — Przecież to był mój pomysł, ten marsz na Ticonderogę, Ale głupiec, czekałem na pełnomocnictwa Massachusettskiego Kongresu, aby zadość się stało wymogom dyscypliny i prawa, przeto ubiegła mnie gawiedź z Bennington, uzbrojona za pieniądze prowincji Connecticut. Gawiedź! Inaczej ich nazwać niepodobna! Bez oficerów, bez pełnomocnictw. A na

cele tego tłumu stało trzech największych gburów Ameryki — Ethan Allen, James Easton i John Brown. Partia Zielonych — taką sobie nadali nazwę. Ci bandyci — na Boga! — dwa razy strzelali do mnie, ponieważ nie chciałem spełniać ich bandyckich rozkazów. Rum i grabież, oto ich cele. Nie zdołałem nawet ufortyfikować zajętych przez nas terenów, bo tu przywracaj porządek, kiedy ludzie Allena robią bałagan, tu ochraniaj spokojnych obywateli przed rabunkiem, tam wreszcie zapewnij bezpieczeństwo przechodniom narażonym na nieustanne zniewagi i nawet na śmierć z ręki tych Zielonych Awanturników!

Pochwycił za krawędź blatu, uniósł stół o sześć cali nad podłogę i postawił go z trzaskiem. — A cóż ich obchodziło fortyfikowanie Ticonderogi i Crown Point? Cóż ich obchodziło kopanie umocnień i warowanie fortów przed ponownym atakiem nieprzyjaciela? Tyle, co nic! Easton i Brown chcieli stanowiska i tytułów, ładnych tytułów, które pozwolą im paradować w ładnych mundurach! Tym dwu prostakom z Berkshire spodobają się tytuły pułkowni-kowskie — pułkownik Easton i pułkownik. Brown, to brzmi, prawda? — a w gruncie rzeczy mniej są zdadni na pułkowników niż indyk Hioba! Chcieli zostać pułkownikami, chcieli mnie usunąć z drogi i uzyskać wolną rękę. Cóż więc zrobili? Zabrali się do polityki!

—Do polityki? — zapytał Cap Huff. — Przecież toczy się wojna! Przez politykę wpadłem ongi do mamra! Nie chcę brać udziału w wojnie, która jest zabagniona polityką!

Arnold uśmiechnął się. — Politykier nie potrafi zjeść śniadania bez polityki. Powinniście o tym wiedzieć. Easton i Brown przekabacili na swoją stronę pewnego pułkownika z Connecticut —• biednego, słabego,

nieporadnego Hinmana! Następnie obwieścił

184

wszem wobec, że connecticuckie oddziały, wysłane na pomoc załogom w Crown Point i Ticonderodze, nie zgadzają się służyć pode mną! Niby że mam pełnomocnictwa z Massachusetts, a Connecticutczycy czuliby się głęboko urażeni, gdyby przyszło im służyć pod oficerem mianowanym przez Massachusetts! Wobec tego wezwałem ich na wiec i przemówiłem. Poprosiłem, aby mi wskazali lepszego dowódcę, a chętnie ustąpię i pozostawię komendę w jego rękach. I jak mi Bóg miły — Easton, ten tchórz Easton, który podczas przeprawy przez jezioro pod samą Ticonderogą zamoczył sobie muszkiet, a potem ukrył się w krzakach, niby dla wysuszenia, kiedy myśmy szli do ataku — ten Easton. z bezczelną miną powiada, że Connecticutczycy będą się czuli bezpieczniej pod jego komendą! Bezpieczniej!

Arnold zaniósł się śmiechem. — Straciłem cierpliwość i trzasnąłem go zdrowo przez łeb. A gdy nie chwycił za broń, jak godzi się oficerowi, pomimo że u pasa dyndał mu mieczyk, a z kieszeni sterczało pudło z nabitymi pistoletami, skopałem go jak psa i wykurzyłem z Crown Point!

- Ależ — wtrąciłem — czyżby taki człowiek mógł...

- Słuchajcie — rzekł Arnold. — Brudny politykier może wszystko!

Wszystko! Strzeż mnie, Boże, od prowincjonalnych politykierów!

Taki gość, nawet w dwóch trzecich tknięty paraliżem, potrafi

naświnić cztery razy więcej niż przeciętny politykier stołeczny!

Easton i Brown to prowincjały, brudne, ohydne prowincjały! Wiecie,

po tym zdarzeniu pobiegli w dyrdy do Massachusetts i Connecticut,

powtykali nosy do wszystkich nor, zasmrodzili powietrze polityką i

właśnie kiedy zbierałem się ufortyfikować nareszcie Crown Point, przychodzą ci do mnie trzej faceci z Massachusettskiego Kongresu i powiadają: musimy zbadać twoją lojalność i moralność, twoją dzielność i zdolność! Moją lojalność, moją moralność i dzielność — Boże! — kiedy o charakter i odwagę tak trudno w tych naszych koloniach, jak o błękitne konie. Co więcej, ci wysłannicy wyposażeni byli w najwyższą moc stanowienia. Kazali mi oddać komendę w ręce Hinmana — Hinmana, Eastona i Browna!

- Oby im ogień piekielny wyżarł wnętrzości! —zahuczał Cap.

Arnold zaśmiał się ponuro. — Tak właśnie klęli moi żołnierze. Nie przyjęli rozkazu, zbuntowali się i musiałem ich rozpędzić na cztery wiatry. Boże, nie opuszczaj ludzi, których gnębi brudny politykier! Taki sprzeda ci najczarniejsze łgarstwo! Obsmaruje cię błotem, zanim zdążysz się obejrzeć! No i macie: Easton i Brown

185

dopięli swego. A Ticonderoga i Crown Point wyglądają tak sa-miuteńko, jak przy moim odjeździe. Hinman, Easton i Brown nie wznieśli jednego nasypu, nie wykopali jednego rowu!

—Nie lubię takich ludzi, jak ten Easton — gniewnie zaryczał Cap. — Nie lubię ludzi, co węższą, badają, śledzą i wiecznie tylko patrzą spokojnemu obywatelowi na ręce! Mnie pokażcie, pułkownika, tego Eastona! Jak go szarpnę za głowę, to kapelusz mu utkwi gdzieś poniżej nosa!

Arnold uśmiechnął się blado. — O, dzisiaj to już są dawne dzieje! Mamy przed sobą inne zadania i właśnie najwyższy czas, abyście ruszyli w drogę. Dziękuję wam we własnym i generała imieniu, żeście



potwierdzili nasze mniemanie o realności zamierzonej wyprawy.

- Jego pogląd na sprawę łodzi jest błędny — rzekłem. — Również to, co mówił o Natanisie.
- Jego poglądy są moimi poglądami — upomniał mnie Arnold. — Drwale z Kennebecu używają łodzi płaskodennych, a my pójdziemy za ich przykładem. Rzeczą postanowioną i łodzie już zamówione.
- Pułkownikowi — rzekłem. — Czekałem lata na sposobność podróży do Quebecu. Wszystko mi jedno, czy popłynę w kanadyjce, łodzi czy w niecce od ciasta. Tak czy owak, muszę tam dotrzeć. Gdybym wiedział, że pytacie mnie o zdanie o to na wiatr, a nie z istotnej potrzeby, trzymałbym język za zębami.
- Co powiedziane, to powiedziane — wesoło stwierdził Arnold. — No a teraz wyjaśnię, na czym polega nasz plan. — Z tymi słowami rozłożył na stole nieudolną mapę Nowej Anglii i Doliny Świętego Wawrzyńca.
- Pomysł strategiczny jest ten sam, co wtedy: równoczesny atak z dwóch stron. Dochodzi tylko jeden nowy czynnik: czynnik zaskoczenia. Generał Sehuylei, żołnierz odważny i zdolny, z hukiem i wrzaskiem popłynie w dół Rzeki Świętego Wawrzyńca i natrze na Montreal, ściągając w ten sposób ku obronie miasta wszystkie siły zbrojne Kanady. Tymczasem my udamy się w górę Kennebecu, czyli drogą, która zdaniem brytyjskiego sztabu jest niedostępna. Spłyniemy rzeką Chaudiere i wylądujemy na brzegu Rzeki Świętego Wawrzyńca, na wprost Quebecu. Fortyfikacje Quebecu kruszeją, dział jest mało, francuscy mieszkańcy kręcą nosami, a załogi w mieście tyle, co pies napłakał. Przy pośpiechu i odrobinie szczęścia

wejdziemy do Quebecu, jak w zimowy wieczór człowiek wchodzi do oberży!

186

Pod czaszką kłębiły mi się olśniewające obrazy: oto Mary, śliczna, smukła, złocistowłosa, leży miękko w moich ramionach; oto mój ojciec rozmawia z Arnoldem na pokładzie „Czarnej Kaczki”, zachwala mu abenacką sztukę wojenną, sztukę zasadzki i niespodziewanego ataku; oto stoi bladolicy Guerlac ze szramą przez ucho, sparaliżowany strachem, a ja mu do piersi przystawiam migocący bagnet; oto nasi żołnierze w niebieskich mundurach defilują ulicami Quebecu, a witają nas okrzykami uśmiechnięci mężczyźni i piękne kobiety; i nagle przesunęła mi się, nieproszona, przed oczami straszliwa rozpadlina, przecinająca skalisty szlak powyżej wodospadu Skowhegan, ten szlak, po którym trzeba się wlec z czółnem na barkach — i tuż obok wyłoniła się Febe Dunn w marynarskich butach i szerokim pasie, nabijanym mosiężnymi blaszkami, a jej oczy kpiły ze mnie, drażniły, raniły do żywego.

Z powrotem na ziemię sprowadziło mnie hałaśliwe westchnienie, dobywające się z piersi Capa Huffa. — Quebec — rzekł filozoficznie drapiąc się w nos — jest chyba bogatszy niż Portsmouth. — Mój przyjaciel myślał zapewne o pojemności swoich kieszeni.

— Otóż słuchajcie — powiedział Arnold, chłodnym spojrzeniem zbywając słowa Capa. — Na czoło wysuniemy trzy kompanie karabinierów, wśród nich będą Wirgińczycy Morgana. Świetni żołnierze. Radzę waszym Nowoangielczykom dobrze się zwijać, bo Wirgińczycy utną wam nosa i będziecie przy nich wyglądali jak stare kobiety. Poza tym trzeba nam myśliwych i tropicieli, obytych z płaską łodzią i siekierą,

nawykłych do mozołu. Trzeba nam ludzi z Maine — twardych i wytrwałych. Wiem, że w Maine wszyscy są wytrwali, ale nam trzeba ludzi o wytrzymałości nadludzkiej. To będzie pierwsze wasze zadanie. Idźcie do przyjaciół swoich, stojących tu obozem, i spośród nich wybierzcie paru. Powiedzcie im, co się święci. Przykażcie ostrożność, ale niech wtajemniczą najbliższych kolegów. Kiedy przyjdzie czas, niech się zgłaszają na ochotnika. Muszę mieć najlepszych ludzi, jacy są w armii, i postaram się, aby im dano najlepszych dowódców. Ręczę za to. Pojedzie z nami kwiat amerykańskiego oficerstwa: Krzysztof Greene z Rhode Island, Tymoteusz Bigelow z Massachusetts, Henryk Dearborn z New Hampshire. Każdy z nich godzien być generałem! Daniel Morgan, wódz, z którego Wirgińczycy mogą być dumni. Thayer z Leśnego Batalionu. Roger Enos, który dobrze się zapisał w brytyjskiej armii — oficer, jakiemu równego nie znaleźć na całym świecie! Zrozumiano?

Kiwnęliśmy głowami.

187

- No to świetnie! — Arnold wstał i począł snuć się po izbie, smagły, barczysty, mocarny. Stąpał przy tym tak lekko, jak dziewczyna czująca na sobie oczy dwudziestu mężczyzn. Jego spojrzenie pobiegło ku ramie drzwi. Wiedziałem, o czym myśli: chętnie by podskoczył, uchwycił się górnej belki, podciągnął się na przedramieniu, ale powstrzymało go poczucie oficerskiej godności.
- Jeszcze dziś to załatwicie — rzekł siadając przy biurku. — A wieczorem odjazd, kierunek: Kennebec. Łodzie zbuduje Colburn na Przylądku Agry'ego, poniżej Zachodniego Fortu. Tam się udacie. Przyjrzyjcie się łodziom. Zbierzecie wiadomości. Porozmawiacie z

Indianami. Wystaracie się dla mnie o dobry ubiór podróży.  
Znajdziecie mi środki szybkiego transportu. Za tydzień albo najwyżej  
dziesięć dni podążymy za wami. Do Newburyport udamy się pieszo,  
potem w szalupach i szkunerach do Fortu Zachodniego i stamtąd  
rzeką do Quebecu.

Strzepnął palcami, jak gdyby tu chodziło o przeprawę promem na drugi  
brzeg rzeki Arundel. — Na wszelki wypadek powtórzcie rozkazy.

Powtórzyłem wszystkie jego zlecenia. On tymczasem napisał dwa listy.  
Mój list do dziś dnia leży na dnie zielonego marynarskiego kuferka.  
Szacuję go, jako pamiątkę po najdzielniejszym człowieku, jakiego  
spotkałem na drodze życia.

*Do uczestników wyprawy na Quebec.*

*Panowie! Okazicielem niniejszego jest Stefan Nason z Arundel,  
obierający dane dla dowództwa i działający z naszego ramienia. Na  
jego dyskrecji możecie polegać, upraszam Was przeto najusilniej,  
abyście nie odmawiali mu pomocy, informacji i w razie potrzeby  
kredytu. Zobowiązacie tym wielce Waszego przyjaciela i uniżonego  
sługę, B. Arnolda.*

Z szuflady biurka wyjął blaszane pudełko, otworzył je z klucza,  
podrzucił palcami niewielki zwitek i złapał go zręcznie w powietrzu. —  
Macie tu pięćdziesiąt talarów w bitej monecie. Gdy inaczej nie można,  
płaćcie, poza tym żądajcie kredytu imieniem Zjednoczonej Kolonii. No to  
jazda i za dziesięć dni czekajcie mnie przy Forcie Zachodnim.

—Pułkowniku — rzekłem zbierając się do odejścia. — Mówi  
liśmy kiedyś o pewnym szlachcicu z Quebecu, nazwiskiem Guer-

lac. Czy macie o nim jakieś wiadomości?

188

Oczy Arnolda rozszerzyły się i nabrały takiego wyrazu, że odeszła mnie ochota do zadawania dalszych pytań. — Ach, tak. Guerlac, o ile mi wiadomo, żyje sobie w Quebecu, nie wadząc nikomu. Spodziewam się, że pewnego niezbyt odległego dnia złożymy mu miłą towarzyską wizytę, jemu i jego uroczej siostrzyczce. Ale do tego czasu proszę zapomnieć o jego nazwisku, a nawet istnieniu.

Kiedyśmy znaleźli się na ulicy, Cap wciąż jeszcze przeżuwał ostatnie słowa Arnolda. Pułkownicy — jęknął — to największa plaga ludzkości. Może komuś tam są potrzebni, ale mnie nie. Będziemy musieli wykiwać tego twojego pułkownika i pokazać Guerlacowi nową próbkę afektu, lepszą jeszcze od tamtej. Miłą towarzyską wizytę, powiada. Ognie piekielne! Kiedy ja złożę Guerlacowi wizytę, zrobi mu się miło, jak łajnu w słotny dzień!

Mimo nas przejeżdżał markietan na wozie. Cap podbiegł do niego. Widziałem, jak pokazuje swoje nowe buty oficerskie i sarnie szarawary, domyśliłem się więc, że handel idzie na całego. Wcale nie byłem zdziwiony, kiedy Cap krzyknął, żebym szedł dalej, a on już nadaży za mną. Podałem mu adres: namiot Ivo Fisha w chorągwi pułkownika Scammena, tuż przy obozie Connecticutczyków. Poszedłem sam.

Roztoczyłem przed Noem Cluffem, Natanielem Lordem i Je-threm Fishem uroki wyprawy na Quebec i właśnie siedziałem przed namiotem Jethra w otoczeniu krajanów, zajadając porcję pieczonego jagnięcia i jabłkowy budyń, kiedy Cap Hurt' wyrzwał zza rogu i nie bacząc na nasze powitania, rzekł ochrypłym szeptem: — Nie znacie mnie, nigdyście mnie

nie widzieli, nic nie słyszeliście o mnie. — Po czym spiesznie ukrył się w namiocie.

Kiedy łamaliśmy sobie daremnie głowy nad sensem tego oświadczenia, ulicą nadbiegło czterech żołnierzy. Jeden z nich powiedział: — Na pewno biegł tędy. — W mówiącym poznałem Connecti-cutczyka, który mnie ostrzegał przed złodziejskimi nawykami moich kamratów z Maine.

- Hej, Maine! — okrzyknął mnie, a wyraz jego zapadłej, ziemistej twarzy nie wróżył nic dobrego. — Gdzie ten dryblas, co przed chwilą przebiegł tędy?
- Nikt tędy nie przechodził. Co to za jeden?
- Te, Maine! — gniewnie warknął Connecticutczyk. — Nie udawaj frajera. Gdybym wiedział, nie pytałbym ciebie! Z mowy poznałem, że to Mainczyk, ale kiedy go złapiemy, będzie wyglądał jak galareta z nóg wieprzowych!

189

—Cóż on wam zrobił takiego?

Connecticutczyk zaklął sprośnie. — Szedł ulicą, zataczając się, cały umazany piachem. Koło naszych namiotów upadł. Podeszliśmy, a on dalej stęka, że pobili go wirgińscy karabinierzy i obrabowali z surduta i muszkietu. Umrę chyba, powiada. Zaciągnęliśmy go do namiotu i jazda po doktora. Wracamy, a tu chłopa ani śladu, musiał się prześlizgnąć pod płótnem, a zabrał nam muszkiet, róg z prochem, dwie koszule, nóż i derkę.

Trzej towarzysze Connecticutczyka oddalili się już o kilkadziesiąt kroków. Obrzuciwszy nas podejrzliwym spojrzeniem, podążył za nimi.

Ledwośmy się uporali z pieczonym jagnięciem i budyniem, nadjechał

markietan. — Czy tu namiot Jethra Fisha? — zapytał spoglądając na nas z oznakami niepokoju. Zwalił nam do nóg spore zawiniątko. Wówczas z namiotu wyleciały, jeden po drugim, dwa oficerskie buty i para sarnich szarawarów. Zawiniątko cisnęliśmy w głąb namiotu, a szarawary i buty wręczyliśmy markietanowi. Zdaje się, że chciał już zawrócić konia. Zatrzymał go ochryply szept z wnętrza namiotu. — Zmykaj z Cambridge, jeśli ci skóra miła!

Markietan kiwnął głową i obejrzał się niespokojnie.

—Zaczekaj chwileczkę — szemrał namiot. — Jedziemy z tobą.

Pożegnałem moich Arundelczyków, wgramoliłem się na wóz i usiadłem obok markietana. Po chwili z namiotu wynurzył się Cap Huff. Miał na tyłku zgrabne skórzane szarawary, na nogach wełniane pończochy i mocne trzewiki ze sprzączkami, na ramieniu muszkiet i toból. Kiedy zagrzebał się w sianie nad tylną osią, wóz ugiął się i zakołysał pod jego ciężarem. Jethro wydał zdławiony okrzyk, skoczył do namiotu i skrzesał światło. Po kilku sekundach wrócił, uspokojony. Nic mu nie zginęło.

Wóz powlókł się, poskrzypując, w ciepły mrok sierpniowego wieczoru. Kiedy poczuliśmy w nozdrzach słone wonie, a na twarzach chłodne powiewy, idące od bagna Mystic, Cap wygrzebał się z siana, otarł twarz z potu i pyłu i przysiadł się do nas na kozły.

—Widzisz, Stefku — rzekł czując, że go nie pochwalam — nie każdemu papa zostawia dobrze zaprowadzoną oberżę. Wyruszamy na trudną i odpowiedzialną wyprawę. Muszę mieć coś do włożenia, bo i jakże? Pamiętasz, pułkownik opowiadał, jakie to hopki wyczyniali z nim Connecticutczycy. Czemu więc nie ukarać ich, czemu im nie świsnąć paru drobiazgów? Stefku, zanim mrug

niesz okiem, te pieskie syny dostaną i mundury za darmo, i wszystko, o czym dusza marzy!

190

- Słuchajcie — zawołał markietan. — Czy ten surdut należał do was?
- To był mój surdut — zapewnił go Cap. — Zostawiłem go u generała Gatesa, bo myślałem, że już mi się na nic nie przyda. Czy generał coś mówił, kiedyście się zgłosili?
- Dał mi do podpisania papier, że surdut jest dla pułkownika.
- Dla jakiego pułkownika? — wmieszałem się.
  - Dla pułkownika Eastona — odparł markietan, nieco zdziwiony. — Dla Eastona, powiedzieliście? Nie chciałbym nawarzyć sobie piwa przez jeden surdut!

Cap spojrział na niego z powątpiewaniem. — Dla Eastona czy dla Hinmana? — Nagle twarz mu się rozjaśniła. — Ten papier nie będzie miał żadnego znaczenia, jeżeli zapaść się broda.

- Nic mogę, chyba dopiero w listopadzie — jęknął markietan. — Podczas ciepłych pogód broda przyprawia mnie o swędzenie.
- Na I. Lucypera! — ryknął Cap. — No to co wielkiego, jak trochę poswędzi? To, co ci sprzedałem, warte jest pięćset talarów w bitej monecie. Ubranie, któreś ty mi dał w zamian, nie jest warte dwunastu talarów!

Markietan zasepił się i przy Malden oświadczył nam, że dalej nas wieźć nie będzie. Spotkawszy pusty wóz. prowiantowy, okrzyknęliśmy woźnicę. Zgodził się nas wziąć pod warunkiem, że my będziemy powozić, a on się prześpi. Dobrze, że ja byłem przy tym. Inaczej Cap, mając na względzie



perspektywę długiej podróży, połączonej z nieprzewidzianymi wydatkami, byłby ostrożnie ułożył śpiącego woźnicę wśród błot Lynnu, a wóz i konia sprzedał w Salem pierwszemu lepszemu chłopu.

Po drodze Cap zakradał się do sadów i odpędzając kopniakami strażujące psy, zrywał owoce. Dzięki temu jakoś przetrzymał tych parę godzin jazdy, póki nie dotarliśmy do Newburyport. W przystani Tracy'ego stała na kotwicy „Eunice”, zgrabna i połyskująca w świetle poranka.

Kiedy zeszliśmy po nadbrzeżu, Febe, obleczona w stary pasiasty kostium kąpielowy, śmignęła na rufę niby ciemnozłota wydra i skryła się w kajucie. Cap aż zaryczał z radości.

Po kilku minutach płynęła już ku nam w zapasowej łódeczce. Miała na sobie pełny ekwipunek, włączając w to marynarskie buty, pas nabijany mosiądzem, naszyjnik z kocich oczu i niebieską bawełnianą chustkę, związaną dokoła mokrych włosów. Z punktu oznajmiła, że na śniadanie będzie bób i gorczyca w marynacie, ale

191

któryś z nas musi iść do piekarni i przynieść dwa bochenki chleba. Poszedłem do piekarni i oprócz chleba kupiłem piękny jabłeczny przekładaniec, chcąc dogodzić Febe. Kiedy jednak wróciłem, nie spojrzała ani na mnie, ani na przekładaniec, tak była zajęta Capem. On czynił sprośne uwagi o kolorze jej skóry i sięgał po nią łapami, ona zaś wymykała się i tłukła go gdzie popadło. Zagadnąłem ją szorstko i powiedziałem, że jeżeli nie jest zainteresowana moim powrotem, to mogłaby przynajmniej zapytać o zdrowie męża.

Oddała wiosło Capowi, a sama przestąpiła poprzeczkę, przysiadła się do mnie i wsunęła mi rękę pod ramię.

- Stefanie, umieram z ciekawości, ale umyślnie odwlekałam rozmowę, bo wiesz, nie mogę odwieźć ciebie do Arundel.
- Musisz, Febe. Cóż takiego stało ci na zawadzie?
  - Widzisz, Stefanie, Nataniel Trący otrzymał rozkaz od generała Waszyngtona. Na kotwicy stoi jedenaście szalup i szku-nerów. Nie wolno im odpływać, bo będą musiały przewieźć do Fortu Zachodniego brygadę wojska. Rozkaz ten obowiązuje również „Eunice”. Bez specjalnego zezwolenia nie odpłynę.
  - Jeżeli tylko o to chodzi — rzekłem — pomówię z Tręcym i uzyskam dla ciebie zezwolenie. My z Capem dobrze wiemy, co to za brygada, prawda, Cap?
  - Ognie piekielne! — ryknął Cap. — Na pewno! Jerzy nie potrafiłby przetransportować jednego żołnierza bez naszej pomocy. Hej, Stefku?
- Co za Jerzy? — zapytała Febe.
  - Jerzy Waszyngton, ma się rozumieć — odparł Cap. — Ba, kiedyśmy już zbierali się z powrotem, Jerzy powiada: „Pamiętajcie, chłopcy, ta brygada jest waszą osobistą własnością. Pamiętajcie więc, nie sprowadźcie mi jej na manowce!”
- Cap, nie bluźnij! — zawołała Febe.
  - Jak mi własny pępek miły! — zahuczał Cap. — Kiedy zbieraliśmy się do odejścia, Jerzy tak był wzruszony, że powiada do mnie: „Kapitanie Huff — powiada — zanim odejdiesz, wpadnij do izby Gatesa i zostaw mu jakiś drobiazg, żebym miał po tobie pamiątkę. Zostaw, wiesz, ten twój surducik. Kiedy już po uszy będę miał tych wszawych złodziei z Connecticut, Rhode Island i Maine, niechaj spojrzę na surducik i przypomnę sobie, że przecież jest na świecie

paru dzielnych, uczciwych ludzi". Stefku, powiedział tak?

- Jego najwłaściwsze słowa!

192

- Stefanie — po chwili namysłu odezwała się Febe i ze spojrzeń jej mogłem wywnioskować, że boi się odpowiedzi: — Czy to wojsko wyrusza na Quebec?
- Zachowaj to dla siebie. Masz rację. Wyruszamy na Quebec.

Nic nie rzekła. Wdrapaliśmy się na pokład szalupy. Febe zaciągnęła główny żagiel na kształt parawanu, a my zrzuciliśmy ubrania i przez burtę zsunęliśmy się do wody, aby zmyć z siebie pot i pył podróży. Cap, uczepiony sznura, pluskał się w wodzie, niby rozjuszona krowa morska, wzbijał fontanny kropel aż do połowy głównego żagla i pięścią dużą jak szynka walił w deski okrętu. Febe rozwścieczona wysunęła głowę z luku i zagroziła, że jeżeli nie przestanie, rozbije mu na głowie garnek z bobem.

Nie znam lepszego śniadania niż prażony bób, gorczyca w marynacie, kawa, gorący chleb i jabłeczny przekładaniec z cynamonem. O ile, rzecz prosta, bób nie pływa w oceanie tłuszczu, jak to bywa u kucharek, nie wtajemniczonych w sztukę prażenia.

Kiedyśmy stąpili bobem ostrze głodu i podzielili przekładaniec na trzy równe części, Febe zaczęła mnie wypytywać o inne sprawy, a muszę stwierdzić, że nie pytała zbyt natarczywie.

- Widziałeś Jamesa? — zwróciła się *do* mnie. Odpowiedziałem, że owszem i że w niczym nie zawiódł moich przewidywań. Ponieważ nieraz już dawałem wyraz swoim poglądom na Jamesa, przeto wymigałem się od dalszych wyjaśnień, zaznaczyłem tylko, że życie obozowe dojadło mu do żywego i że chciałby wreszcie maszerować,

jak na żołnierza przystało.

- Dokąd maszerować? — zapytała Febe. Odparłem, że nie wiem i on również nie wie, że prawdopodobnie byłby zadowolony, gdyby mu kazano maszerować w kółko.
- Czy nie myśli wziąć udziału w wyprawie na Quebec?
- Nie wiem. Nic mu nie mówiłem, bo nie chciałem, aby moje życie zależało od jego dzielności i sprawności bojowej. Brygada składać się będzie z ochotników, a Bóg świadkiem, że wśród tych ochotników znajdzie się wielu nie lepszych od Jamesa Dunna, a może i gorszych.
- Biedaczysko — rzekła Febe. — Co dla niego lepszego, Stefanie? Zostać w obozie czy wstąpić do brygady?
- Skądże ja mam wiedzieć? Słyszałem nieraz od ojca, że Nowoangielczyk, zamknięty w obozie, nękany ospą i tęsknotą za domem, dostaje pomieszania zmysłów, natomiast świetnie się czuje w marszu, o ile, rzecz prosta, dadzą mu odpowiednich dowódców. Ale ta kampania należy do szczególnie uciążliwych.

193

Dotrzeć do Quebecu to nie to, co pójść sobie spacerkiem do Fal-mouth po nową pasiastą sukienkę.

Widząc, że Febe nie zamierza mnie dalej pytać, wsiałem do łódki i powiosłowałem ku nadbrzeżu. Nataniel Trący chodził przed pałacykiem swoim, zbudowanym z dochodów całej floty brygów i szkunerów, i oglądał rozkwitłe floksy. Miał na sobie piękny brokatowy szlafrok. Sponad ośmiograniastych okularów, co zsunęły mu się na czubek nosa,

ogarnął mnie dobrodusznym spojrzeniem.

- Panie — rzekłem. — Wczoraj po południu rozmawiałem z generałem Waszyngtonem i pułkownikiem Arnoldem. Oto list od pułkownika Arnolda.
- Ach! Ach! — mruknął pan Trący, biorąc ode mnie list i zbliżając okulary ku oczom. — Hm! Ha! Aha! No tak! No tak! — Spojrzenie jego powędrowało ku mojej twarzy i koszuli, wróciło do listu, po czym zsunęło się po szarawarach i trzewikach, rzekłbyś, stary w szczegółach garderoby szuka klucza do mojego charakteru. Przeczytał list do końca, a przeczytawszy, ze dwadzieścia razy mruknął: — Hem! Hum! Aha!
- Panie — rzekłem widząc, że gotów jest tak pomrukiwać do nieskończoności. — U brzegu stoi moja szalupa. Kobieta jest jej kapitanem.
- Tak, tak, tak! — rzekł pan Trący. — Tak, tak! No tak! „Eunice”! No tak! No tak! — Jęknął, jak gdyby wytwarzający te potakiwania mechanizm zaciął się nagle. — Dziewucha aż miło! Hum! Hem! Ha! Co za inteligencja! Co za energia! Co za pracowitość! Taka to grałaby w szachy! Gracie może w szachy?

Zaprzeczyłem. Spodziewałem się, że stary dalej będzie mówił, ale on zapatrzył się w baldach różowego floksa.

- Panie — rzekłem — pułkownik Arnold odkomenderował mnie do Fortu Zachodniego. Pragnę tam udać się własną szalupą. Jeżeli zechcecie zwolnić „Eunice” z postoju, Febe mnie przewiezie i wróci tu jeszcze przed przybyciem pułkownika Arnolda.
- Boże mój! — wykrzyknął starowina. — Tak! tak! tak! Ależ tak!

Myślałem, że chcecie pieniędzy. Jedźcie z Bogiem, a dziewczucha niech wróci! No tak! Hm! Ha! Aha! — Spojrzał spode łba na floks koloru wiśniowego. — Dziewucha, panie, ale zuch! Ma olej w głowie! Dobra sztuka! A bystre to! Taką za żonę! Sam bym się oświadczył, gdyby nie ta diabelna astma! Kto ona jest? Wasza siostra?

- Nie — odrzekłem dziwiąc się, że stary wciąż mówi o Febe. Jak często mężczyźni, rozważałem w duchu, przypisują kobiecie,

194

zwłaszcza kobiecie młodej, nie istniejące zalety i jak smutno to się dla nich kończy!

- Hm! Hm! Hum! Hem! Ha! Aha... I żoną waszą też nie jest? Panna jeszcze! To widać! Ham — barn — barn! He!
- Mylicie się. Tego lata wyszła za jednego z tutejszych żołnierzy, Pan Tracy potrząsnął głową i znowu chrząknął. — Nie rozumiem! Dowodzi waszą szalupą, a wyszła za innego? Któremuś z was brakuje klepki! Hum-bum-bum! Zresztą, nic mnie to nie obchodzi! Nie moja rzecz! Intrygi, romanse...; Brr! Bum! Barn! Hem! Hum! No, idźcie już! Z Bogiem! Szalupa ma tu być, zanim przyjedzie Arnold! A tej dziewczusze powiedzcie, żeby zgłosiła się do mnie, jak wróci! Nauczcie ją grać w szachy! He, po jednej lekcji da mi mata! Idźcie już, idźcie!

Odszedłem pozwalając panu Trący do syta chrząkać i bąkać wśród tloksów. Po drodze ku przystani zastanawiałem się, co też uderzyło do głowy starowinie.

Gdyby Febe miała, jak Mary, złote włosy i szlachetną białość skóry, mógłbym zrozumieć ten entuzjazm. Ale jej uroki — pożał się Boże! Skóra

brunatna jak stara księga praw, czarne włosy ucięte przy karku, rzekomo dla większej swobody, i zrudziałe od słońca. Ciało twarde i chłopięco płaskie. Słowo daję, chętniej bym objął maszt jodłowy, nabijany mosiężnymi ćwiekami, niż tę dziewczuchę.

Zszedłszy na przystań, pozbyłem się natrętnych myśli i za krzyknąłem na Febe, aby się zbierała do podróży. Zanim wsiadłem na łódkę, zanim dopłynąłem do s alupy. Cap zdąży! już podnieść kotwicę i zwinąć sznur. Właśnie rozwijał kliwer na bukszprycie i kończył opowieść o naszej naradzie wojennej z generałem Waszyngtonem.

—Od razu było widać — mówił — że (Jerzy zdaje się we wszystkim na Stefka.

„Jakim, uważasz, sposobem powinniśmy płynąć w górę Kenne-becu" — pyta Stefka. Boi się, biedaczysko, żeby Stefek nie powiedział: „wcale nie powinniśmy płynąć”.

„Co znaczy: jakim sposobem?" — pyta Stefek, bo nie chce się wsypać przy takiej ważnej sprawie.

„To znaczy — powiada Jerzy — czy płynąć wplaw, czy na drewnianych płaskich łodziach?"

„Hm — powiada Stefek, jako że jest dyplomatą — wy coście myśleli?"

195

„Ja — powiada Jerzy niepewnym głosem — myślałem, że trzeba by na łodziach”.

„Czy zamówiliście już łodzie?" — pyta Stefek, aby zwąchać skąd wiatr wieje.

„Tak — powiada Jerzy — zamówiłem dwieście sztuk”.

„Wobec powyższego — powiada Stefek — oto moja rada. Znam Kennebec od deski do deski, od Annasza do Kajfasza i jak własnych pięć palców. Radzę wam, a możecie mojej rady posłuchać albo nie posłuchać, i gwizdzę na to, jako że jestem wolny i niezależny mieszkaniec prowincji Maine. Radzę wam: płyńcie łodziami”.

Wówczas Jerzy wyciąga z kieszeni chustkę i wyciera sobie czoło. „Panie — powiada — sprawiłeś mi wielką ulgę. Jestem ci głęboko wdzięczny, chociaż przez chwilę drżałem ze strachu, że każesz mi płynąć na cielących pęcherzach!”

—Cóż ja mogłem poradzić? — rzekłem kwaśno.

„Eunice” pomknęła z prądem rzeki, wyminęła Wyspę Śliwową i zatańczyła na złośliwych przyławicznych wirach. — Czy uważasz, że brygada powinna wyruszyć na kanadyjkach? — zapytała Febe puszczając szalupę z ciepłym wiatrem zachodnim.

- Jasne, że na kanadyjkach! Taka brygada to cała armia! Drwale mają zawsze czas zatrzymać się i uszczelnić przecieki w łodziach, ale armia śpieszy się dokąds, u wszystkich diabłów! Kiedy natkną się na parę raf skalnych, trudno będzie powiedzieć, czy woda z zewnątrz wlewa się do łodzi, czy z wewnątrz wylewa się do rzeki!
- Zdobądź dla siebie kanadyjkę — rzekła Febe.
- W wojsku człowiek może zdobyć wszystko, absolutnie wszystko — wymamrotał Cap stojąc przy burcie dziobu i smętnie się wpatrując w krajobraz Wysp Ławicowych — wszystko, ale na krótki czas. Dobrze się wie dzie tylko pułkownikom.



Cap Huff nie pozwolił nam zawiązać do Portsmouth twierdząc, że nie znajdzie tam nic godnego wzięcia. Podejrzywałem, że jego niechęć ma zupełnie inne źródła, bo i w więzieniu ojczystym bywał, i koty darł z miejscowymi władzami. Skierowaliśmy się przeto na wschód, opłynęliśmy Przylądek Bryłowaty i skręciliśmy w Zatokę Wells. Ciepła, przesycona dymem bryza usposabiała nas do

196

drzemki. Na falach wieczornego przyboru wód dopłynęliśmy do Arundel.

Przybycie nasze wzniciło istny popłoch. Pamiętając o białych, ostrych mgłach, panujących jesienią nad Kennebekiem, zasadziłem matkę i siostrę do pracy, kazałem dla siebie i dla Capa zrobić na poczekaniu dwie pary dzianych pończoch z podwójnej przędzy wełnianej, długich do połowy uda, i dwie pary krótszych, do noszenia na wierzchu. Wydobyłem wełniane koszule. Spakowałem narzędzia. Z myślą o Hobomoku, Pawle Higginsie i wielu innych, zaopatrzyłem się w haczyki do wędek, igły, szydła i lusterka.

Gdzie się ruszyłem, szedł za mną Łowca. Przeczuwając, że rychło odjadę, czule ocierał się o moje nogi, raz po raz mnie przewracając. Matka i dziewczęta migotały drutami, zwijały i rozwijały przędzę, zapominały o świecie Bożym. Nic mogłem żądać, aby mi pomogły w pakowaniu. O północy byliśmy już tak znudzeni i rozdrażnieni, że przysięgłem sobie zaniechać dalszych przygotowań, choćbyśmy wskutek tego mieli zmarznąć na kość i zamorzyc się na śmierć. Rozsiedliśmy się w świetlicy, Cap i ja, dokoła nas dzwoniły druty jak gałązki klonu po gradowej burzy, a my, pociągając poncz ze szklanek, opowiadaliśmy matce i siostrze, jakie wrażenie wywarł na nas obóz w Cambridge, jak

wygląda generał Waszyngton, co powiedział, jak świetnie się odżywiają nasi Arun-delczycy, jak generał Waszyngton był ubrany, jaką cieszy się powszechną miłością itd., itd. Na pewno nieraz to wszystko słyszały już od sąsiadek, nareszcie będą mogły się odwzajemnić i dorzucić parę nowych szczegółów. Oto największa radość kobiet.

Gdy zmieniłem temat i przeszedłem do trudności, związanych z prowadzeniem oberży pod moją nieobecność, matka tylko parsknęła.

- Słuchaj — rzekła. — Mam dorosłe córki. Gotowaniem zajmuje się Malary. Prowadzić oberżę nie jest ani trochę trudniej, niż zajmować się pierwszym lepszym domem! Możesz być zupełnie spokojny! Nasi kochani bibosze pójdą na wojnę, a pieniędzy starczy nam na długo — sporo zostawił twój ojciec, sporo zarobiliśmy na futrach i na szalupie.
- Jeżeli tak — rzekłem — to czemu za narzeczeńskich czasów Febe nie mogłem oddalić się od domu, w obawie, że młodzi się pobiorą i zostawią cię bez pomocy?

Matka, zamiast odpowiedzieć, zerwała się z krzesła, a Febe ziewnęła i oświadczyła, że najwyższy czas położyć się spać, jeżeli chcemy odbić z porannym przyrywem. Siostry, z pończochami,

197

którym brakowało już tylko pięt, udały się na górę, gawędząc z Febe o błąhostkach. Cap i ja zostaliśmy przy ogniu. Piliśmy poncz i w duchu rozważaliśmy, czy zawsze będzie nam tak dobrze, jak w tej chwili?

Nazajutrz spłynęliśmy ku *morzu* i okrążyliśmy mierzeję. Oglądając się za siebie, przeżywaliśmy to pytanie, które zawsze przeżywali i zawsze przeżywać będą mężczyźni wybierający się na wojnę — czy wrócimy tu,

czy kiedyś jeszcze zobaczymy je wszystkie: matkę, siostry, Malary? Stały na cyplu srebrzystego wybrzeża machając rękami, uśmiechając się, ale wiedziałem, że te uśmiechy są wymuszone. Młody Łowca, sobowtór swego ojca, nastawił uszy i kołysał ogonem, w płonnej nadziei, że jednak przywołam go do siebie. Dom, szary i przytulny, zasłaniał się powoli garbami diun, z przysadzistego komina powiewał niebieski pióropusz dymu. Drobne zajutrzne fale padały bezsilnie na piaszczysty brzeg, żegnając nas ciepłym, smutnym szemraniem. Ławice były jak lśniące brunatne plamy na perłowej powierzchni morza. Przybrzeżne pasmo wody miało połysk szkła i dobrą osłonę przed łagodnym zachodnim wiatrem. Przeto dalekie błękitne kontury Wellsu i Yorku zdawały się pływać w powietrzu.

Wieczorem rzuciliśmy kotwicę koło Mielizn Parkera, na wprost wyspy Georgetown przy ujściu Kennbecu. Febe wołała nałożyć drogi i opłynąć wyspę, niż najechać na ratę podwodną. Na mieliznach znaleźliśmy dziesięć sporych llądcr. Febe wrzuciła je do garnka, dodała trochę wieprzowiny, kartofle pokrajane w talarki, parę sucharów okrętowych, dwie łyżki masła, całą cebulę, i z tego ugotowała potrawkę, że palce lizać. A więc zwłoka wyszła nam na zdrowie.

Z pomocą naszą Febe zmajstrowała sobie osobliwe narzędzie. Cztery kule muszkietowe owinęła kawałkiem skóry, oplotła rzemykami i rzemyki połączyła z pałeczką, a pałeczkę przymocowała do zgrabnej bransoletki. Kiedy włożyła bransoletkę, pałeczka dawała się łatwo ująć dłonią i jeszcze wystawała na sześć cali. Na końcu pałeczki tkwiły kule muszkietowe, mocno oplecione rzemykami.

Mężczyźni, wyjaśniła Febe, są okropni: wciąż by tylko z łapami do

kobiety, co w tym za przyjemność? Za pomocą tej zabawki łatwo będzie ich otrzeźwić.

— Ho! — ryknął Cap chwytając Febe ramieniem i przyciskając ją do siebie tak mocno, że wyglądała jak futro szopowe na

198

drzwiach stodoły. — I na co ci się zda to cacko, gdy mężczyzna zrobi, o tak!

Nachylił się ku niej wielką czerwoną twarzą. Jego brutalność nie poszła mi w smak, postanowiłem więc odciągnąć go od Febe i wyrzucić za burtę, gdy nagle ręka dziewczyny mignęła w powietrzu i twardy koniec skórzanego oręża obił się o czaszkę Capa, tuż nad karkiem. Olbrzym wypuścił ofiarę z łap i jął przewracać oczami, jak okoń wpatrzony w pasikonika. Zakołysał się w prawo, zakołysał się w lewo, jak pijany, wreszcie oparł się o główny żagiel i bokiem runął na pokład. Leżał tak i z miną astrologa studiował gwiazdy.

Następnego ranka stanęliśmy na wprost dolnego cypla Wyspy Łabędziej. Jeszcze lina kotwiczna szurgotała o burtę, a już od wyspy odbiła kanadyjka i skierowała się ku nam po śródbłotnym krętym strumieniu. Siedzący w czólnie Indianie byli jeszcze młodzikami i nie mogli mnie znać, odprawiłem ich więc z powrotem, przykazując oznajmić, że Stefan Nason przyjechał do Jacataqui i Hobomoka. Podnieśli do góry dwułopatkowe wiosła, zawołali: — Bracie! — dająca mi do zrozumienia, że imię mojego ojca nie zostało zapomniane, i tak szybko powiosłowali ku wyspie, że czólno zdawało się ulatywać ponad błotne trawy.

Doszły nas z wybrzeża stłumione, zmieszane okrzyki. Na wodę wypłynęło pięć kanadyjek. W jednej z nich dostrzegłem Jacataquę. Z wyglądu przypominała matkę swoją, ale była mniejsza i okrągłej-sza. Hobomoka bym nie poznał. Rozrósł się w piersiach i ramionach, twarz miał zwiotczałą i poznaczoną głębokimi bruzdami, wyglądał jak kapłan bez reszty oddany medytacjom i modlitwom.

Zbliżając się, wymachiwali wiosłami i wyli, ni to radośnie, ni to żałośnie. Wycie umilkło dopiero wtedy, gdy wdrapali się na szalupę i brunatnoczerwonym rojem obsadzili poprzeczki. Ho-bomok chwycił mnie za przegub i tak jął potrząsać moją ręką, jakby to była dźwignia pompy, a Jacataqua objęła mnie w pół i wsunęła mi się pod ramię, tak że chcąc nie chcąc obejmowałem ją również. Była ładna, przyjemna w dotknięciu, na jej policzkach jaśniała taka sama różowa czerwień, jak na policzkach jej matki. Miało się wrażenie, że od dołu pada jej na twarz snop światła. Jej czoło i szyję otaczało niebieskie wampum, a na nogawice spadał długi kaftan z sarniej skóry, podobny do kaftana, który nosiła niegdyś Rabomis.

Jak na człowieka, przejętego głębokim wstrętem do Indian,

199

Cap Huff zachowywał się co najmniej dziwnie. Uwięziwszy ramię Jacataqui w swojej olbrzymiej niedźwiedziej łapie, wskazał najpierw na mnie, potem na siebie i ryknął: — Brat! — Następnie wskazał tylko na siebie i ryknął: — Brat! — wreszcie poklepał czerwonoskórą dziewczynę tak, jak klepie się konia, i zahuczał: — Siostra! — Jacataqua zaśmiała się, zarzuciła mu ramię na szyję i pocałowała go. Wówczas ten bawół zawył jak Indianin i w szale radości wdrapał się na główny maszt szalupy.

Febe nie była zachwycona spotkaniem. Badawczo przyglądała się

Jacataqui i od czasu do czasu pokaszliwała. Znałem ten jej suchy, twardy kaszel, wiedziałem, co oznacza: że Febe czuje się nieswojo. Wobec tego objąłem w pół i jedną, i drugą i rzekłem do Jacataqui: — To moja siostra.

Febe wyrwała się. — Nie! Nie siostra!

Jacataqua uśmiechnęła się do mnie. — Mówię po angielsku lepiej, niż mówiła matka. — Podeszła do Febe, usiadła przy niej, ujęła ją za rękę. — Stefan znał moją matkę — rzekła. — Jego ojciec przed laty połączył nas obrzędem krwi, było to podczas owego pościgu za białą dziewczyną. — Febe wyswobodziła rękę, ale po chwili znowu ją wsunęła w dłoń Jacataqui.

—Gdzie się tak dobrze nauczyłaś mówić po angielsku? — zapytałem.

Jacataqua zaśmiała się. — Odwiedzają mnie chłopcy z Gardinerstown i Pownalborough. Czasami z Fortu Zachodniego, Wyspy Arrowsic i Brunswicku — o, z wielu, bardzo wielu miejsc.

Cap Huff zszedł z masztu. — Czekał, siostra, za jaki tydzień zwali tu się z Bostonu paręset chłopca — rzekł. — Poznasz wtedy jeszcze ze dwa, trzy języki.

- Jakie języki? — zapytała Jacataqua, zaciekawiona.
  - O, irlandzki — odparł Cap — connecticucki, może i harwardzki.
- Mówię trochę po niemiecku — oznajmiła Jacataqua.
- Po niemiecku! — zahuczał Cap.
  - *Gottverdammte!* — rzekła z zabawnym przyśpiewem. — Po tamtej stronie rzeki, w Pownalborough, mieszkają sami Niemcy.

Cap pokręcił głową i zamamrotał.

Jacataqua musiała dotknąć każdego kamienia w naszyjniku Febe, jej

nabijanego pasa, szarawarów, butów. Rozejrzałem się za Homobokiem. Siedział w kuchni po słonecznej stronie luku, obok niego Natawammet. Niewiele zmienił się Natawammet od owych dawnych czasów, tylko szyja zrobiła mu się cieńsza i ko-

200

łana nieco wychudły. Ucieszyłem się z widoku przyjaciół. Sądząc po ich zachowaniu się, i oni byli mi radzi.

Dowiedziałem się wielu rzeczy. Rabomis zginęła tragiczną śmiercią. Płynąc przez Pięciomil Falisty, wypadła z czółna i rozbiła sobie kark o skałę. Na jej miejsce sachemem obrano Jacataque, ponieważ w sąsiednich osadach cieszyła się wielkim wzięciem i wielu białych składało jej hołdy. Woromquid w towarzystwie trzech Assaguntikuków wyruszył przed dwoma laty do Quebecu i odtąd ślad po nim przepadł. Norridgewokowie przenieśli się na stałe do St. Francis i Becanocur, z nimi również wielu z Wyspy Łabędziej, bo osady zwierzały się coraz ciaśniejszym pierścieniem, zwierzyna umykała i coraz mniej Indian mogło się wyżywić.

Gdy woda zaczęła opadać, Febe pożegnała się z nami, rzekomo nie chcąc tracić pomyślnego wiatru. Posłaliśmy z nią dwóch Abe-naków, aby jej pomogli przepłynąć przez Siekance. Wiedziałem, że dalej już da sobie radę sama i z wiatrem dopłynie bez szwanku do Arundel.

Przyglądałem się jej, jak stała z dłonią na rękojeści steru, wolną ręką przebijając kamienie naszyjnika, zmrużonymi oczami wpatrując się w zachodni horyzont, niewiele większa niż owego dnia, gdy przyszpiliła mi bluzę myśliwską do desek chałupy. Zastanawiałem się, co takiego w tym skrzacie widzi Nataniel Trący. Korciło mnie też zapytać kiedyś Capa, co go tak ciągnie, że wiecznie sięga po Febe swoimi spoconymi łapami?

Obawiając się, że Cap, przy swojej znanej niechęci do Indian, spleta moim przyjaciołom jakiegoś przykrego psikusa, naradziłem się z Hobomokiem i wysunąłem myśl, żeby pokazać buńczucznemu bawołowi coś, co go olśni i pognębi. Zwłaszcza że, jak słyshałem, Hobomok jest wielkim irfteulinem, umie brnąć po kostki w skale i przeraźliwie krzyczeć.

Skinął głową, a Capa, który na dobre uczepełił się Jacataqui, obrzucił badawczym spojrzeniem i zaproponował, abyśmy udali się do chaty.

Nikt nie potrafi mi wytłumaczyć, dlaczego te dwie umiejętności — sztuka dobywania z płuc straszliwego wrzasku i sztuka zagłębiania się po kostki w skale lub twardej ziemi — uchodzą wśród Abenaków za cechy wielkiego m'teulina. Krzyk powstaje w sposób naturalny. Kandydat na m'teulina chodzi do lasu i od młodu wprawia się w tym kunszcie. Po niejakiem czasie wrzeszczy tak potężnie, tak straszliwie, że kto tego nie słyshał, ten nigdy nie zrozumie. Brnięcie w skale opiera się na jakimś oszustwie, ale nie

## 201

mam pojęcia, na jakim. Nie wiem też, dlaczego ten „cud” przejmuje Abenaków takim strachem i podziwem. Wygląda to tak, że stopy irfteulina nagle zapadają się w opokę, jakby chodził po miękkim piasku na zakręcie rzeki, podległej przyplływom i odpływom. Niektórzy twierdzą, że po przejściu wielkiego m'teulina znajdowali w skale głębokie ślady.

Kiedy zaprosiłem Capa do chaty Hobomoka na fajkę, oświadczył, że nie będzie palił z brudnym pluskwojadem, zwłaszcza że tytoń na pewno jest zmieszany z sierścią szczura i liśćmi czarciego łajna. Na to ja, że gdyby nawet miał rację, a nie ma jej, to nie może się tak zachowywać, bo przecież wysłano nas, abyśmy czegoś dokonali, a nie dokonamy nic bez



poparcia Indian.

Hobomok wszedł pierwszy, nabił fajkę i podał ją mnie, a Cap przyglądał się jego czynnościom, mamrocząc pod nosem. Hobomok bez jednego słowa odwrócił się i wyszedł z chaty.

— Jaki giez ugryzł tego pluskwożernego koziego syna? — zapytał Cap napastliwie. Ale w tym momencie Hobomok wrócił. Zdawał się nabrzmiewać, rosnać aż do pułapu, a twarz jego wykrzywiona była ohydnie. Postąpił ku nam o trzy kroki, ciężko, mozolnie, jak człowiek idący przez śnieg. Słyszałem chrapliwy oddech Capa, czułem, że ręka sięga do pasa, wiedziałem: szuka noża. Ale zanim Cap znalazł nóż, potworny skurcz wstrząsnął twarzą i ciałem Hobomoka. Jego oczy mało nie wyskoczyły z orbit, a z kon-wulsyjnie drgających ust dobył się wrzask tak ostry, tak okropny, że chociaż byłem wewnątrznie przygotowany, odniosłem wrażenie, że jakaś lepka ręka zimnymi palcami przebiera mi po kręgach stosu pacierzowego, a w uszach mam dwa druty.

Hobomok odwrócił się i wyszedł. Spojrzałem na Capa. Stał ze szklistymi oczami utkwionymi w drzwi, ze zwieszonymi bezwładnie ramionami, z ustami półotwartymi. Ojciec mi mówił, że kiedy dobry m'teulin niespodziewanie krzyknie w zamkniętej izbie, ludzie drętwieją i nieprędko przychodzą do siebie. Możliwe, że owe dziwaczne kroki m'teulina, po których następuje krzyk, działają otę-piająco na słuchaczy. Może też sprawa przedstawia się tak, jak w znanym doświadczeniu z kurą. Jeżeli dziób kury przystawić do deski i kawałkiem węgla drzewnego nakerślić na desce długą, prostą linię, równoległą do dzioba, a potem głowę kury przycisnąć do tej linii, ptak nie ruszy się, lecz pozostanie tak, z głową przyciśniętą do deski, bezradny, oszołomiony. Tak właśnie stał Cap,

póki nie potrząsnąłem go za ramię. Odtąd już nigdy w mojej obecności nie

202

nazwał Indianina wszarzem ani kozim synem, póki się nie upewnił, że nikt nie słyszy.

Rozkazy Arnolda były mgliste. Waszyngton wypowiedział się przeciwko współpracy z Indianami. Obaj zlekceważyli mój pogląd na kwestię łodzi. Nie wiedziałem, co począć. Uważałem siebie za dobrego wioślarza, ale płynąć w górę Kennebecu bez Indian, którzy znają te wody i okrzęzne puszcze, znaczyło tyle, co iść do Bostonu bez szarawarów. Okolice Kennebecu są dzikie, pełne jarów i wisza-rów. Nie pojmie tego człowiek, który tam nie był. Postanowiłem więc, że uczynię dla Arnolda to, co uczyniłbym dla samego siebie.

Zostawiwszy Capa na Wyspie Łabędziej, z tym że ma zasięgnąć języka u kobiet i dopilnować, aby uszyły dla Arnolda dobrą odzież z jelonkowej skóry, ruszyłem w towarzystwie Natawammeta w górę rzeki Androscoggin, aby zapewnić sobie pomoc Pawła Higginsa i jego Assaguntikuków — pomoc, którą mi przyobiecał przed paroma miesiącami.

Od samego początku prześladowały nas niepowodzenia. Wpłynęliśmy w strefę północno-wschodniego wiatru, który ochlapywał nasze bluzy cebrami deszczowej wody. Kiedy dotarliśmy do wodospadu na rzece Androscoggin, tam gdzie ludzie Pawła Higginsa rozbijali niegdyś wigwamy, zastaliśmy pustkę. W rozszczepionym kiju, zatkniętym w ziemię, tkwił kawałek kory. Z rysunków na korze wynikało, że miasto przeniesiono na południowy brzeg stawu Cobosseecontee, który leży gdzieś w połowie drogi między rzekami Androscoggin i Kennebec.

Doszliśmy do Cobosseecontee i wzdłuż krętych brzegów popłynęliśmy ku abenackiemu obozowi. Zastaliśmy tam tylko kobiety, dzieci i starców. Ze starcami wypaliliśmy fajkę. Opowiadali, że z Gardinerstown przybył niedawno Reuben Colburn, widział się z Pawłem Higginsem i przedstawił mu swój plan. Higgins miał wraz z wojownikami udać się do Cambridge i ofiarować pomoc generałowi Waszyngtonowi. Wysłuchawszy tej propozycji, Higgins zrazu się wzbraniał, pamiętając, że mnie przyrzekł pomoc. Ale Colburn mu oznajmił, zapewne nie bez racji, że zyska większe uznanie, jeżeli osobiście zjawi się w Cambridge, a rozkazy, które ja mógłbym wydać, i tak będą tylko powtórzeniem rozkazów, wydanych przez wielkiego wodza w Cambridge.

Wobec tego Natawammet i ja zostaliśmy na wybrzeżach Cobosseecontee, oczekując powrotu Higginsa i zabijając czas polo-

203

waniem na jelenie i kaczki. Wiedziałem, co myśli generał Waszyngton o Indianach, obawiałem się więc, że nie zostaną przyjęci w Cambridge z otwartymi ramionami i że jeżeli nie zdobędę się na jakiś stanowczy krok, będziemy w chwili niebezpieczeństwa na próżno wzywać ich pomocy.

Na trzeci dzień po południu wróciliśmy z przeciwległego wybrzeża stawu, wioząc dwa wielkie jelenie-ósmaki. Wyładowaliśmy je na brzeg i zabraliśmy się do zdzierania skóry i ćwiartowania, otoczeni gromadą jazgoczących kobiet i hałaśliwych dzieci. Nagle zapadło milczenie. Kobiety rozpierzchły się po krzakach, jak kurczęta na widok jastrzębia. Podniosłem głowę i ujrzałem Pawła Higginsa, w nogawicach tylko i zapasce. Stał na brzegu, podparty w biodrach, i patrzył na mnie spode łba,

zamiast, jak dawniej, podbiec i po przyjacielsku trzasnąć mnie w plecy. Za nim tłoczyło się ze dwudziestu Abenaków, wszyscy posępni i nachmurzeni. A więc moje obawy się ziściły. Przywitałem Higginsa jak najwyszu-kańszymi słowami, szeroko rozwiodłem się nad uczną, która nas czeka, nad zwierzyną i smalcem szopowym, w które zaopatrzyłem obóz podczas jego nieobecności. Natychmiast poszedłem po lusterka, szydła i nożyczki, dary przeznaczone dla Assaguntikuków — przedmioty bardzo potrzebne Pawłowi. Dawno już nie strzygł sobie włosów ani brody, tak że wyglądał bardziej na chodzący krzak jałowcowy niż na człowieka.

Lubiłem Pawła Higginsa, wbrew zarzutom, jakich mu nie szczędzili biali koloniści. Nie podobało im się, że tak często zmienia żony, że bierze sobie jakąś squaw i po upływie trzech lat ją odstawia. Nie zauważyłem jednak, aby squaw miały mu to za złe. Myślę też, że ci spośród białych, którzy najdostojniej byli zgorszeni jego rozwiązłością, postępowaliby w ten sam sposób, gdyby nasze prawo małżeńskie było takie łagodne, jak u Abenaków.

Był dzieckiem, kiedy go porwali Indianie, niewiele więc zdążył nabyć przywar białego człowieka. Nie kłął, nie pił, nie obmawiał sąsiadów. Trudno było po nim poznać, że jest biały. Cerę miał spaloną słońcem na brąz, a po angielsku mówił miękko jak Abena-kowie, a nie nosowo i gardłowo, jak nasi Nowoangielczycy.

Tak czy owak, dobrze się czułem w jego towarzystwie. Znając moje usposobienie, nie obciążał mnie odpowiedzialnością za afront, którego doznał. Kiedy zasiedliśmy do wspólnej biesiady, panowała między nami zupełna harmonia.

Z goryczą mówił o swojej podróży do Cambridge. Było z nim

dwunastu wojowników i Swashan, sachem z St. Francis, również.

204

aby walczyć przeciwko Anglikom. Kiedy dopuszczono ich przed oblicze wielkiego wodza Waszyngtona, Higgins przemówił zwięźle i treściwie, oświadczając, że Assaguntikukowie przez wiele lat żyli w zgodzie z sąsiadami, a teraz, zasłyszawszy, że wolności kraju grozi niebezpieczeństwo, przybywają, aby współdziałać w jej obronie.

—Wysłuchawszy moich słów — opowiadał Paweł — wielki wódz podziękował nam bardzo pięknymi słowami i powiedział, że jeśli usługi nasze okażą się potrzebne, da znać. Po czym odprawił moich wojowników, bez jadła i napoju, bez podarunków. Wiem, że biały wódz wysłał wojsko na Quebec. Jeżeli teraz nie skorzystał z naszej pomocy, nigdy z niej nie zechce skorzystać. Ja i moi bracia jesteśmy głęboko wzburzeni. Boli nas to lekceważenie.

Dla moich tylko uszu dodał gniewnie po angielsku: — Nie chcą nas, to niech ich diabeł porwie!

Nie wziąłem tych słów Pawłowi za złe. Wiem, jak ja bym się czuł, gdyby odrzucono moje usługi. Ale mając niejaki przedsmak czekających nas w drodze trudności, nie mogłem tak łatwo wyrzec się pomocy Pawła. Wolałbym śpiewać pod wodą niż przemawiać publicznie, ale wiedziałem, że muszę zabrać głos. Dźwignąłem się z ziemi, cały zlany potem.

—Bracia — rzekłem — wiele lat temu słyszałem, jak mój ojciec rozmawiał o wojnie z białym wodzem, który ma poprowadzić to wojsko na Quebec. W toku rozmowy wyraził się, że abenacki sposób wojowania lepszy jest od wojennej sztuki białych

i że biali wodzowie chętnie słuchają złej rady.

Bracia, biały wódz Waszyngton jest wielkim wodzem, nieustraszonym i sprawiedliwym, ale poszedł za złą radą. Poszedł za radą ludzi, którzy mienią się znawcami rzeki Kennebec i jej zwyczajów, a naprawdę to nic nie wiedzą. Ci doradcy poradzili mu użyć w wyprawie płaskodennych łodzi zamiast czółen kanadyjskich. Powiedziałem mu, bracia, że czółna są lepsze od łodzi, ale on wyżej sobie ceni radę tamtych i w myśl tej rady postąpi. Tego się nie da zmienić. Otóż nie jest moim obowiązkiem płakać, że użyte będą łodzie zamiast czółen. Moim obowiązkiem jest popłynąć w łodzi.

Jeszcze jedna sprawa, bracia. Przed wielu laty wielki wódz Waszyngton doznał zdrady od zachodnich Indian. Niechętnie język mój wypowiada te słowa, ale przemawiając do was, muszę trzymać się prawdy, podobnie jak prawdy trzymał się mój ojciec w układach z waszymi ojcami. Wielki wódz nie zna Abenaków

205

znad Kennebecu i Androscogginu, tak jak ja ich znam i jak znał ich mój ojciec. Pytam moich braci, czy nie lepiej byłoby pokazać całemu światu, kim jesteście, niż dąsać się dziecinnie tylko dlatego, że wielkiemu wodzowi wszyscy czerwonoskórzy wydają się podobni do czerwonych psów z Zachodu?

Rzekłszy to usiadłem, drżąc wewnątrz i modląc się, aby Swashan, wódz z St. Francis, dotknięty na sumieniu, nie zabrał głosu po mnie. Byłem niemal pewny, że nie puści mi zaczepki płazem.

Ledwo usiadłem, Swashan zerwał się na nogi, dostojnie oburzony. — Jakże mój brat może przemawiać w ten sposób — zapytał ostro —

wiedząc, że przez wiele dziesiątków lat wojownicy nasi wytrwale bili się z Anglikami? Honor mojego szczepu został tu znieważony...

Łamiąc prawidła, obowiązujące u Abenaków podczas narady, dźwignąłem się na nogi, poblady z gniewu. — Odpowiadam mojemu bratu, zanim przekroczy granice wskazane przez rozsądek — rzekłem. — Mój brat dobrze wie, że Abenakowie z St. Francis przez wiele lat byli dla Nowoangielczyków ostem pod koszulą, gdy tymczasem moi przyjaciele znad Androscogginu i Kennebecu żyli z nami w zgodzie i niewinnie cierpieli za zbrodnie, popełniane co dzień przez ich zachodnich braci!

- Przez Mikmaków, Etecheminów z Penobscotu, przez. Passamaquoddów! — przerwał Swashan, mierząc mnie zabójczym spojrzeniem.
- Przez. Indian z St. Francis — nalegałem. — Zapytajcie Hobomoka! Zapytajcie Pawła Higginsa! Za ich pamięci dostałem ten znak! — Tu pokazałem czerwoną szramę, wciąż jeszcze wyraźną na moim czole. — A dostałem ten znak dlatego, że Indianie z St. Francis zamordowali mojego sąsiada i porwali jego córkę!
- Indianie prowadzeni przez Francuza — mruknął.
- Tak, bracie — przywodziłem — prowadzeni przez Francuza. Ale czyż ważne jest, kto ich prowadził? Mordercy prowadzeni przez kata równi są mordercom prowadzonym przez kapłana. W czasach minionych wasi wojownicy z St. Francis tak nas nękali, że do dzisiaj nie możemy im tego zapomnieć. Tym więcej przeto jest powodów, abyście przestali pleść kosałki-opałki o swoim honorze, a postarali się oczyścić wasze imię w oczach świata.

W milczeniu patrzyli na mnie czarnymi, roziskrzonymi oczami.

Czułem, że moja napaść na Swashana raczej cieszy ich, niż gniewa, że zastanawiają się, jakby tu uratować swoją dumę, a zarazem,

206

zgodnie z moimi słowami, oczyścić się w oczach świata. Ale gdzieś na dnie duszy plątała mi się dokuczliwa myśl, że cokolwiek uczynią, jakichkolwiek dokażą cudów odwagi i poświęcenia, dla większości ludzi po wieki wieków zostaną po prostu Indianami — takimi samymi Indianami, jak Mohawkowie, Mikmakowie, Worki, Lisy, Shawanowie, Jowasi, Irokezi, Nipissingowie, Potawatomi, Winnebagowie, i jak tam na imię całej tej czerwonej załodze piekła!

- Bracie — w końcu rzekł Paweł. — Wielki wódz nie chciał naszej pomocy. Tego nie możemy ani zapomnieć, ani odmienić.
- Bracie — odparłem. — Nie w tym rzecz. Chodzi o coś innego. Czy wojsko, płynące przez Kennebec na Quebec, będzie potrzebowało waszej pomocy? Jeżeli będzie potrzebowało waszej pomocy, a wy tej pomocy odmówicie, będę mógł wtedy myśleć, co mi się spodoba. A sposobą mi się myśleć, że ofiarowaliście wielkiemu wodzowi pomoc, aby osiągnąć własne, osobiste cele, a nie aby poprzeć ten kraj i waszych białych braci.

Znowu zapanowało milczenie. Wojownicy, zatuleni w derki, patrzyli na mnie roziskrzonymi oczami.

—Płynąłem ongiś do Quebecu — rzekłem — w towarzystwie Hobomoka, Natawammeta i Woromquida. Przez cały czas, w każdej chwili, potrzebowałem ich pomocy i pomocy tej doznawałem. Wojsku, które płynie na Quebec, nieodzowna jest pomoc wszystkich Abenaków zamieszkujących te wybrzeża.



Paweł Higgins potrząsnął głową. — Nie wezmę udziału w wyprawie — oświadczył. — Już raz spotykaliśmy się z chłodnym przyjęciem. Nie będę się narażał na otwarte zniewagi.

- Bracie — rzekłem — odpowiedz na jedno pytanie. Higgins skinął głową.
- Wkrótce pora zacząć jesienne łowy. Skinął głową.
- Gdzie zamierzasz polować?

Wskazał ręką wszystkie cztery strony świata. — Jak kraina abenacka długa i szeroka — rzekł. — Gdzie tylko nasze oddziały myśliwskie wypatrzą jelenia, niedźwiedzia i bobra.

—Nad Carabasset? — zapytałem. — Nad Łosią Głowicą? Nad Carritunk?

Skinął głową.

- Przy Martwej Rzece?
- Niektórzy — zgodził się.
  - Pawle — powiedziałem — posuń się dalej, za Martwą Rzekę, i zapoluj na Wysokim Łądzie. Wybierz się rychło, nic nikomu

207

nie mówiąc, i zapoluj na Wysokim Łądzie. Przechodzące przez Wysoki Łąd wojsko albo wielce będzie spragnione twojej pomocy, albo niczyja pomoc nie będzie mu potrzebna. Jeżeli pomoc okaże się niepotrzebna, nie stracisz czasu, bo uda ci się polowanie. Jeżeli pomoc okaże się potrzebna, udzielisz jej. Proszę o to w imię przyjaźni.

—Pomoc okaże się potrzebna — rzekł Higgins.

Z ust wojowników wyrwał się chóralny szmer, szmer przytwierdzenia.

—Dobrze — powiedział Higgins. — Będę polował na Wysokim Łądzie.

Wojownik, siedzący po drugiej stronie ogniska, zawył dziko. Ze skowytów, pohukiwań i pokrzykiwań wywiązało się w końcu zdanie: — Będę polował na Wysokim Łądzie! — Wówczas wszyscy zaczęli wyc na znak radosnego przytwierdzenia, po czym dołożono drew do ognia i odtąnczono Taniec Samochwalny. Jak można było przewidywać. Swashan chełpił się głośniejsz, niż trzech Assagunti-kuków razem wziętych.

## XVI

O świcie pożegnaliśmy się z Pawłem i we dwójkę, Natawammet i ja, popłynęliśmy w dół krętego strumienia Cobosseecontee. Przebywszy szesnaście mil, skręciliśmy w Kennebec, tuż przy Gardiners-town, o sześć mil od Fortu Zachodniego.

Na Kennebecu spotkaliśmy tratwy budulca, spławiane do stoczni Reubena Colburna. W stoczni panował nieopisany łoskot i wrzawa. Kadłuby wykończonych łodzi, w wiórach po kolana, zalegały wybrzeże jak okiem sięgnąć. Po warsztatach uwijali się cieśle, wymachując przysiekami, przybijając sosnowe deski do białych, dębowych żeber, wołając o gwoździe, klnąc, zawadzając sobie wzajem.

Spośród wszystkich płaskodennych łodzi, łódź spotykana na Kennebecu, a zwana przez Francuzów *bateau*, jest najcięższa, najniezręczniejsza, najgorsza. W Arundel używamy płaskodenek zwanych „dorkami”. Dorka jest to łódka o wysokich, płaskich bokach i wąskim dnie, wygląda niezgrabnie, ale ma do pokonania mały opór wody, przeto łatwo nią wiosłować, a nie wywrócisz jej, choćbyś stanął na burcie.

*Bateau*, łódź, wynaleziona przez drwali dolnego Kennebecu, rozmiarami dwukrotnie przewyższa

208

naszą dorkę i przypomina ją nieco kształtem. Dziób ma ostry i mocno wysunięty nad wodę, rufę spłaszczoną i mniej wysuniętą, lecz boki zbudowane są dachówkowato w odróżnieniu od *doi ki*, która ma boki gładkie, zbite ze szczelnie dopasowanych desek. Moim zdaniem ta dachówkowata budowa boków zawadza, gdy płynąć trzeba wśród mielizn i raf, bo drewniane kanty czepiają się skał i łatwo powstają przecieki. Może i dobra jest taka łódź dla drwali dolnego Kennebecu, bo prąd tam wartki, a skał niewiele. *Aie po górnym Kennebecu, gdzie nie spotkasz jednostajnego nurtu*, a przed wywróceniem się chroni tylko szybki ruch, wolałbym płynąć w trumnie sosnowej.

Colburn był to masywny chłop, szybki w ruchach, energiczny. Odznaczał się bystrością umysłu, ale miał jedną wadę: nikomu nie ufał i lubił wszystko robić sam. Spotykałem już w życiu ludzi o podobnym usposobieniu i widzi mi się, że chcąc zapobiec nieszczęściu, sami je często wywoływali. Z góry liczyli, że inni źle się spiszą, przeto najmowali sobie współpracowników bez wyboru. Nic dziwnego, że wyniki bywały opłakane.

Byłem uprzedzony do Colburna, sądziłem bowiem, że to on zaszczepił Waszyngtonowi i Arnoldowi wiarę w przydatność płaskich łodzi. Ale rychło musiałem stwierdzić swoją pomyłkę.

Kiedy zauważyłem mimochodem, że łodzie są za ciężkie, Colburn kopnął wzgardliwie jedną z nich.

—Świeże! — zawołał. — Świeże deski! Nasiąknięte jak bibuła!

Na całej rzece, aż do Falmouth, nie znaleźć wysuszonego drzewa!

Dodał, że w tak krótkim terminie nie zdążyłby sprowadzić suchych desek szkunerem z Falmouth. — Jeżeli zajdzie zwłoka — rzekł, gdyśmy zbliżali się do jego domu — to nie przeze mnie! Zamówiono dwieście łodzi. Dwieście łodzi zastanie Arnoid, kiedy przyjedzie.

Oświadczyłem mu na to, że może zajść o wiele poważniejsza zwłoka, jeżeli świeże deski rozchylą się na bystrzynach.

—Chłopcze mój — rzekł trącając mnie przyjaźnie w pierś — zamówione łodzie. Chcąc zamówieniu temu sprostać, muszę łodzie zbudować ze świeżych desek. Cóż wy na to?

Powiedziałem, że mógłby zamiast łodzi zbudować kanadyjki.

—Ba! — zawołał. — Zamówiono łodzie, a ja mam budować kanadyjki! A jeżeli wyprawa się nie powiedzie? Bóg tu nie winien! Pogoda nie winna! Reuben Colburn winien! A i bez tego, chłopcze, budować łodzie dla wojska to marna sprawa. Czy dostanę należne mi pieniądze? Bóg raczy wiedzieć! Nie dostanę, jeżeli nie wygramy

209

wojny! Sylwester Gardiner więcej ma oleju w głowie, niż ja, i patrzcie, trzyma z Anglią! Cóż, ja wierzę w Waszyngtona i Arnolda, ale nie będę im wpychał towaru, o który nie proszą!

—Cóż ich tak usposobiło na korzyść łodzi?

Weszliśmy do przedsionka. Dom Colburna był to ładny, ob\* szerny budynek, położony na wzgórzu przy zakręcie rzeki. Patrząc przez okno, ogarniałem wzrokiem trzecią część drogi, dzielącej mnie od Wyspy Łabędziej. — Chłopcze — rzekł Colburn — chciałbym ja wiedzieć. Ale Waszyngton i Arnold mają widać swoje powody. — Zagłębił rękę w

szufladzie biurka i po chwili wyciągnął list od Arnolda.

*Panie! (głosił list) Jego Ekscelencja generał Waszyngton zapytuje Was, w jakim czasie moglibyście wyszukać lub zbudować na Kennebecu dwieście lekkich łodzi wojskowego typu. Każda łódź winna pomieścić sześciu lub siedmiu żołnierzy wraz ze sprzętem i żywnością.*

— Widzicie? — rzekł Colburn. — Już wtedy myśleli o łodziach. Kiwnąłem głową. U dołu stronicy zauważyłem dopisek:

*Zechcecie również u ludzi, którzy bywali w Quebecu, poinformować się o trudnościach, związanych z podróżą po Kennebecu, a nade wszystko wyszczególnić nam ilość i długość szlaków lądowych, które trzeba przebywać pieszo, oraz określić ich rodzaj: czy są równinne, góryste czy bagniste? Chcielibyśmy także znać głębokość wody o tej porze roku oraz charakter nurtu: gdzie gładka żegluga, a gdzie bystrzyny?*

- Czy zdobyliście szczegółowe informacje? — zapytałem.
  - Wysłałem na zwiady czterech ludzi zamieszkałych po tamtej stronie Fortu Zachodniego: Conkeya, Slike'a, ich dwóch przyjaciół, i na dodatek jednego Indianina.
- Aż do Quebecu?
  - Nie. Do Chaudiere i z powrotem. Kazałem im dobrze się rozglądać. Powinni już tu być.

Wydobył z biurka kwit, podpisany przez Patricka Conkeya.

*115 funtów solonej wieprzowiny, 106 funtów sucharów, pół buszla żyta, 6 galonów rumu na wyprawę wywiadowczą w kierunku Quebecu.*

- Dobrzy ludzie? — zapytałem.
- Nie gorsi od innych.
- Nie gorsi od Abenaków? — zapytałem zdumiony.
- Hm — rzekł Colburn. — Mówią po angielsku lepiej od Abenaków. Prawdę powiedziawszy, lubię Abenaków, ale wiecie, jak odnosi się do Indian generał Waszyngton. Pamiętajmy, że ludzie, nienawykli do obcowania z czerwonoskórymi, czują się bezpieczniej, gdy wywiadowczą służbę pełnią dla nich biali, choćby nawet mieli spełnić ją gorzej.
- Widziałem się z Pawłem Higginsem. On i jego wojownicy nie wezmą udziału w wyprawie.

Colburn poważnie kiwnął głową. — Co się stało, to się nie odstanie. Ośmiu Assaguntikuków mam pod swoimi rozkazami. Używam ich do przewożenia listów i zamówień.

—A ten Conkey? — zapytałem. — Jak on daleko potrafi za wędrować o galonie rumu?

Colborn zaśmiał się. — Tutejsi ludzie bez rumu nie ruszą się na krok. Będą się obchodzić bez zboża i bez chleba, kiedy im zbraknie pieniędzy. Ale rum nigdy dla nich nie za drogi!

- Cóż — westchnąłem — pod tym względem i w moich okolicach nie lepiej. Ale zastanawiam się nad czymś innym. O czym Patrick Conkey i jego przyjaciele potrafią się wywiedzieć po pijanemu? Ile zauważą i czy dokładnie zauważą?
- Dobrze będzie — pocieszał mnie Colburn. — Szlak jest prosty, na każdym kroku strumienie i stawy. Wojsko mogłoby nawet obejść się

bez przewodnika.

- Czy w ostatnich latach wędrowaliście tamtędy?
- Nie — przyznał Colburn. — Nigdy tam nie byłem, ale słyszałem od ludzi.
- Czy zdarzyło się wam rozmawiać z człowiekiem, który przebył Wysoki Łąd?
- Prawdę powiedziawszy, to chyba nie.
- Mnie się zdarzyło spotkać tylko jednego człowieka, który tego dokonał — rzekłem. — Poznałem go, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem. Otóż przyjmijcie do wiadomości: na Wysokim Łądzie nie ma strumieni ani stawów. Tylko ten przechodzi tamtędy, kto musi. Stawiam futro sobolowe przeciwko scyzorykowi, że Conkey usiadł sobie z flaszką rumu gdzieś w sąsiedztwie Wysokiego Łądu i ani mu się śni próbować przeprawy.

Colburn rozpaczliwie potrząsnął głową. — No i masz! Na nic wszystko, jeżeli człowiek sam się nie ruszy! Takie już czasy dzi-

211

siaj! Siedzę tu, pilnuję łodzi, baczę, żeby mi do nich wystrugano tyki, jednocześnie muszę zakupić sześćdziesiąt beczek solonej wołowiny i z całego wybrzeża zebrać wieprzowinę i mąkę, muszę jechać do Falmouth na spotkanie intendenta, którego główna kwatera wysyła dla nadzoru nad prowiantami... Chyba się rozerwę na pięćdziesiąt części! Chwilami myślę sobie: co. u diabła? Czy oni chcą, żebym sam jeden wygrał tę wojnę?

- Kiedy przyjeżdża Arnold? — zapytałem myśląc o Natanisie. Serce szalało we mnie z obawy, że znowu się coś nie powiedzie i po tylu

latach Mary wciąż pozostanie dla mnie nieosiągalna. — Gdyby był czas, mógłbym razem z Natawammetem popłynąć na zwiady i zobaczyć, jak sprawa stoi.

- Nie ma mowy! Arnolda tylko patrzeć. Przyjedzie za trzy, cztery dni, najpóźniej za tydzień.

Postanowiłem za wszelką cenę zasięgnąć języka o Natanisie.

Poszedłem z Natawammetem do tawerny Smitha, położonej za stoczną, najedliśmy się budyniu, zapiliśmy jabłecznikiem, wsiedliśmy w kanadyjkę i jazda w górę rzeki, o dziesięć mil za Fort Zachodni, do chałupy Conkeya.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zastałem Conkeya. Właśnie powrócił z wywiadowczej wyprawy. Brudny, rozczochrany, siedział na ziemi przed chatą, rozczapierzając w popołudniowym słońcu palce bosych stóp. Obok siedział brat jego Michał i jeden z tych, którzy towarzyszyli Conkeyowi w drodze. Wszyscy trzej pluli przed siebie. Chodziło o to, kto dalej plunie. Na uboczu, gdzie nie sięgała ślina, stał szary, kamienny dzbanek. Przywitałem się i okazałem giejt, dany mi przez Arnolda. Conkey wziął pismo, obejrzał z obu stron i bez jednego słowa oddał mi je z powrotem.

Zapytałem, czy w ostatnich czasach zmieniło się coś na Martwej Rzece. Na to on zapytał, kim jestem. Powiedziałem, że jestem Stefan Nason, jak wynika z okazanego mu pisma. Wówczas on tępo: — Myślałem, że to mapa.

Po chwili zastanowienia oświadczył, że moje nazwisko nie jest mu obce. Splunął na odlew, uważnie, wysuwając dolną wargę, aby uchronić podbródek od obślinienia. Tamci dwaj poszli za jego przykładem. Conkey



pluł najdalej. Zapytałem, czy przeprowiał się przez Wysoki Łąd.

Potrząsnął głową i rzekł krótko: — Niebezpiecznie!

Zręcznie umieścił dzbanek w zagięciu prawego łokcia i pociągnął haust rumu. Chuchnął na mnie mdłym, gęstym, dławiącym oparem i podał mi dzbanek.

212

Nie chcąc go obrażać, łyknałem trochę, ale później żałowałem tego przez cały dzień. Ten rum był przyprawiony sfermentowanym żytem i imbirem. Piekielna mieszanka.

Z urywanych, ochrypłych słów Conkeya wyrozumiałem tyle, że wraz ze swymi kompanami dotarł do spływu Kennebecu i Martwej Rzeki, gdzie spotkał Natanisa. Natanis nie chciał przyłączyć się do nich, pomimo że dawali mu talara dziennie. To skłoniło ich do powzięcia podejrzeń. W mózgach, zdurniałych od rumu, nie mogło się pomieścić, że ktoś bezinteresownie pogardza taką sumą. Widocznie, rozumowali, zapłacono mu więcej, aby się nie ruszał z miejsca. A że tylko naszym wrogom potrzebne były tego rodzaju usługi, przeto Conkey zarzucił Natanisowi uprawianie szpiegostwa na rzecz królewskiego sztabu. Natanis miał się przyznać. Dlatego właśnie, mrukliwie oznajmił Conkey, upłynęli parę mil w górę Martwej Rzeki, po czym zawrócili i oto są w domu.

Podniosłem z ziemi gałązkę i jąłem ją strugać scyzorykiem, w duchu przeklinając tego zapitego, załganego durnia. Okoliczności owej rozmowy u spływu rzek były dla mnie jasne. Zapewne Natanis, otrzymawszy moje wezwanie, nie chciał daleko odchodzić od chaty, aby się nie rozminąć ze mną. Oskarżony o szpiegostwo, przyznał się żartobliwie, wiedząc, że jeśli zaprzeczy, tamci będą nalegać, aby im towarzyszył.

— Jeżeli przyznał, że jest szpiegiem — niespodziewanie zagadnąłem Conkeya — czemu żeście go nie zastrzelili? Przecież jest wojna.

Conkey nie odpowiedział, ale ponownie splunął. Zrozumiałem, że jest nie tylko pijakiem, ale i skończonym tchórzem, i że pędził do domu co sił, podwinąwszy ogon jak zbity pies. Nie zwiedził Wysokiego Łądu ani innych szlaków, nie spełnił wyznaczonego zadania, przywiózł tylko worek kłamstw o człowieku, który wart był dla wojska więcej niż tysiąc Conkeyów.

Miałem wielką chęć chwycić go za łeb i wepchnąć mu w gardło resztki szerniałych zębów. Ale wiedziałem, że nie mam prawa, że Arnold upomni się o tego człowieka i że zechce skorzystać z jego bezwartościowych usług. Natomiast uznałem za pilny swój obowiązek uchronić Natanisa przed intrygami tego osobliwego patrioty. Nie tylko dlatego, że Natanis był moim przyjacielem. On, on jeden mógł przeprowadzić armię przez najeżony trudnościami teren, jego przeto ochronić należało za wszelką cenę.

Bezceremonialnie zostawiliśmy Conkeya i jego zaplutyh kamratów samotrzeć z dzbankiem rumu, a sami popłynęliśmy w dół

213

rzeki, śpiesząc rzekomo do Fortu Zachodniego. Przy pierwszym zakręcie, jaki nas oddzielił od budy Conkeya, przybiliśmy do lądu, roznieciliśmy ognisko i nałowiliśmy pstrągów na wieczerzę. Podczas gdy pstrągi się piekły, owinięte plasterkami solonej wieprzowiny, rzekłem do Natawammeta: — Jeżeli nie zawiadomimy Natanisa o ciężących na nim podejrzaniach o szpiegostwo, może mu się coś stać. Nie chcę tracić jego pomocy. Ktoś musi go ostrzec. Ja nie mogę, bo pułkownik Arnold kazał

mi czekać. Jak myślisz? Czy potrafiłbyś sam jeden dotrzeć do Martwej Rzeki?

Natawammet kiwnął głową. — Z łatwością, jeżeli dostanę cały nasz zapas solonej wieprzowiny i wszystek proch.

—Prawdziwy z. ciebie przyjaciel, Natawammccie — rzekłem. — Dostaniesz proch i wieprzowinę. Musisz wyruszyć o świcie i drałować co sił, bo czasu mało. Kiedy odnajdziesz Natanisa, opowiedz mu o tej rozmowie. Niech unika białych patroli, bo na wojnie ludzie najpierw strzelają, a potem dopiero pytają, kto, co i jak. Powiedz mu, że jestem, jak zawsze, jego bratem i przyjacielem, i że proszę go o pomoc. Niech czeka mojego przybycia.

Natawammet zdjął pstrągi z ognia i ułożył je na skrawku kory. — Zostanę z nim — powiedział — i razem będziemy wypatrywać ciebie.

—Jeszcze jedno — rzekłem. — Ważna sprawa. Niech Natanis narysuje mapę, dobrą mapę, z której można będzie się zorientować, jaki szlak prowadzi przez Wysoki Łąd i jak wiele jest mil od jego chaty do rzeki Chaudiere. Niech zostawi mapę w takim miejscu, żeby znalazło ją czoło wojska. Mapa jest bardzo potrzebna. Jeżeli wyjdzie na jaw, że to Natanis sporządził dla nas mapę, nikt się nie ośmieli uważać go za szpiega.

Natawammet kiwnął głową. Usta miał napchane mięsem pstrągów i soloną wieprzowiną.

Wysilałem mózgownicę, ale nie nasunął mi się żaden lepszy pomysł. Miałem nadzieję, że i tak zdołamy uratować Natanisa.

O świcie Natawammet pomalował sobie twarz cynobrem, zwinął derkę i pieszo ruszył na północ. Ja zepchnąłem czółno na rzekę, skierowałem się

na południe, wyminąłem Fort Zachodni i wylądowałem przy stoczni Colburna.

...Wrzało tam jak w ulu. Lada chwila spodziewano się Arnolda.

Najhałaśliwiej krzątał się Cap Huff. Przybył właśnie z Wyspy Łabędziej i, jeżeli wierzyć jego wrzaskliwym opowiadaniom, pomagał intendentowi z Cambridge w zakupie prowiantów. Zaszedł

214

wysoko, miał bowiem własną kanadyjkę z Hobomokiem jako wioślarzem. Była to niejako kanadyjka publiczna, wypożyczona armii przez Jacatakę. Oświadczył, że potrzebna mu jest tylko na razie, później odstąpi ją pierwszemu z brzegu amatorowi, wraz z Hobomokiem. Hobomok gra mu na nerwach, nie żeby zachowywał się niewłaściwie, ale po takim wszystkim można się spodziewać. Cap żył, zdaje się, w nieustannej obawie, że Hobomok nagle, ni z tego, ni z owego, krzyknie mu nad uchem.

W tej kanadyjce Cap uwijał się po rzece, uzupełniając (jego własne słowa) nasz stan posiadania. Czego on nie naprzywoził z tych wypraw! Mąkę żytnią w jelenich pęcherzach, najrozmaitsze drobne artykuły, a pieniędzy w bitej monecie tyle, że nie mając ich dokąd schować, nanizał na kilka sznurków i uwiesił z tyłu u koszuli, rzekłbyś, chodzi z pancerzem na tyłku. Nie mógł sobie przypomnieć, skąd ma to wszystko, ale z luźnych jego słów wyrozumiałem, że nakładał haracz na osadników, pragnących się wykupić od rzekomo przymusowego zaciągu do wojska.

Zastałem również Jacatakę. Przywiozła jelonkowe bluzy i no-gawice dla Arnolda i jego sztabu. Ale widząc, jak starannie unika serdecznych

klapsów, wymierzonych jej niekiedy przez Capa, zorientowałem się, że ci dwoje, jak to powiadają u nas w Arundel, nie bardzo przypadli sobie do wątroby.

...Ci spośród nas, którzy znali Kennebec, a i o lasach **mieli** jakie takie pojęcie, nie mogli się wprost doczekać Arnolda. Wciąż jeszcze panowała susza, a rzeka płynęła płytko. Jak to zawsze b.ywa po suchym lecie, liście wczesnie się odmieniły. Otaczała nas więc orgia barw, jakiej nie znaleźć nigdzie indziej w całej wschodniej strefie — złoto i pąs, ogień i purpura, oranż i rubin, amarant, seledyn i ciemna, dojrzała zieleń.

Były to barwy nadciągającej jesieni — zapowiedź niedalekiej zimy. A wiedząc, co to znaczy jesień na Kennebecu, chcieliśmy koniecznie wyruszyć, zanim północne szrony dadzą się nam zbyt dotkliwie we znaki.

Z każdym upływającym dniem nadzieja na rychłe przybycie Arnolda wydawała się coraz bardziej złudna. Pieniliśmy się, przeklinaliśmy, o byle co wszczynaliśmy między sobą spory, aż cel wyprawy niemal wywietrzał nam z głów i niewiele brakowało, abyśmy sobie wzajem nie ponabijali guzów.

Pewnego wieczora Cap i ja wraz z kilkoma cieślami od Col-burna siedzieliśmy w tawernie Smitha, jedząc na poły spleśniały

## 215

budyń i konserwowaną wołowinę. Wołowina była kwaskowata, ponieważ pochodziła z letniego uboju. Zwłoka, wywołana nieobecnością Arnolda, marne jedzenie, muchy brzęczące koło uszu, łażące po rękach i twarzach, dziko natrętne — wszystko to irytowało nas, gniewało, psuło nam krew. Kłóciliśmy się na temat daty, dlatego ją pamiętam. Był to 22-gi września,

piątek.

Cap oświadczył swoim huczącym basem, że lepiej, aby Arnold nie przybywał w piątek, bo to zła wróżba. Rozzłościłem się i powiedziałem, że wiara w złe następstwa przedsięwzięć, zaczętych w piątek, jest chyba najgłupszym ze wszystkich zabobonów.

Jeżeli Arnold, tłumaczyłem, przybędzie w piątek, to znaczy, że wyruszył z Cambridge w środę lub w czwartek, a ruszy dalej w sobotę lub nawet w niedzielę. Rozkazy wydał zapewne w poniedziałek, więc co tu gadać o piątku? Tylko idiota i krzykacz, dodałem, robiący gębą, a nie głową, może psuć powietrze takimi oświadczeniami. Wówczas Cap zapatrzył się w pułap i olbrzymie włochate ręce wytarł o szarawary.

Wiedziałem, że za chwilę skoczy mi do gardła, i bardzo byłem z tego zadowolony. Zamierzałem uniknąć zręcznie ciosu, potem pchnąć grubego byka w otwarte okno i dobrze mu przyłożyć stołkiem w tyłek. Ale zanim bójka się zaczęła, do izby wbiegł chłopiec krzycząc, że na rzece widać szkuner i dwie szalupy.

Biegiem rzuciliśmy się ku stoczni, przeskakując ułożone rzędem łodzie. Kiedy spojrzeliśmy w dół rzeki, w oczach nam zamigotało od tych niezliczonych żagli, bielejących na tle płomiennego, liściastego wybrzeża.

Na pokładzie roило się od ludzi. Pomiędzy szalupami i szkunerami mknęły kanadyjki z brzozonej kory. Krzyk i śmiech biły w niebo, budząc w nas taką szaleńczą otuchę, że poszlibyśmy w tej chwili szturmować bramy samego Londynu. Chociaż, prawdę powiedziawszy, wolałbym, aby to wszystko zdarzyło się nie w piątek.

Kto tego wrześnieowego popołudnia nie dorównywał szybkością ruchów jaskółce goniącej komara, a liczył na chwilę rozmowy z Arnoldem, ten się grubo przeliczył. Arnold to zjawiał się pośród łodzi, zaglądał w nie, oceniał ich wagę, to biegł po wybrzeżu, wykrzykując rozkazy swoim podkomendnym, to znów rozsyłał ludzi, tego do Colburna, tego do Fortu Zachodniego. Obmyślał tysiące

216

planów i natychmiast wcielał je w czyn z energią godną pięciu dowódców.

W dole rzeki stała „Eunice”. Nie mogła ruszyć dalej, póki nie usuną się z drogi inne statki. Wobec tego postanowiłem zostać i przyjrzeć się ludziom, których przywiozły czołowe szalupy. Były to trzy kompanie karabinierów pod dowództwem Daniela Morgana, rosłego mężczyzny, roślejszego jeszcze niż Cap Huff. Wydawał rozkazy tonem szorstkim i opryskliwym. W pierwszej chwili myślałem, że pewno na tej szalupie popłynęło dużo rumu. Później pouczono mnie, że Daniel Morgan z natury jest opryskliwy i dziki, jak żbik przy krwawym łupie.

Warto było popatrzeć na tych karabinierów. Wychodzili na ląd szybko, zręcznie jak wiewiórki. Chłop w chłopu same dryblasy, a wszyscy w dziwacznych płaszczach z szarego płótna.

Słyszałem o nich jeszcze w Cambridge, nic więc dziwnego, że gardło mi się ścisnęło od wzruszenia. Morgana kompania karabinierów wyruszyła z Winchesteru w Wirginii i w ciągu trzech tygodni przebyła sześćset mil, nie tracąc ani jednego człowieka. Dwie pozostałe kompanie pochodziły z Pensylwanii, wytrzymałością i zdolnością bojową dorównywały Wirgińczykom, a strzelały tak, że nasi strzelcy z Maine szeroko otworzyliby oczy. Chociaż, przyznać trzeba, i my nieźle władamy

muszkietem, który nie jest tak poręczny i nie tak celnie bije jak karabin.

Młody Nataniel Davis mówił mi, że ci karabinierzy, biegnąc po najbardziej wyboistym terenie, potrafią nabić broń i wypalić. Podczas takiego biegu przebijają tarcze celownicze, nie większe od spodka, z odległości dwustu pięćdziesięciu kroków. Nawet z nieruchomego stanowiska nie pokusiłbym się o taki strzał.

Gdy „Eunice” podpłynęła do brzegu, zszedłem ku wodzie i wymijając zwalone w piramidę toboły i czekających swojej kolei muszkieterów, oczami poszukałem Febe. Chciałem z nią porozmawiać przez godzinkę i dać jej parę poruczeń dla matki.

Przepychając się między stłoczonymi milicjantami, tu umacniając linę, tam pociągając za bras, wyglądała na małą, bezbronną dziewczynkę. Aż smutno mi się zrobiło na myśl o rozstaniu z nią.

Patrzyłem na jej małą, zgrabną figurkę, czupurnie przybraną w marynarskie buty, nabijany mosiądzem pas, naszyjnik z kocich oczu i niebieską chustkę. W przyływie sentymentalnego wzruszenia uplanowałem sobie, że na pożegnanie ją pocałuję. Będzie to pocałunek dla sióstr i matki, pocałunek, który mnie nie przyniesie najmniejszej szkody, a jej sprawi radość na wiele, wiele nocy.

217

Kiedy tak biegała z baku na rufę, z rufy na bak, niby małe, zwinne dziecko, jeden z muszkieterów chwycił ją w pól i przechylił. Momentalnie, szybciej niż myśl, lewą ręką uczepiła się sztakli-ny, a prawą, uzbrojoną w jakiś nieokreślony przedmiot, trzasnęła muszkietera po głowie. Zwalił się jak kłoda. Febe przeszła ponad nim i dalej pełniła swoje czynności, jakby nigdy nic. Chociaż zdawało mi się, że wygląda



teraz nieco doroślej.

Dałem jej znak ręką i przysięgłbym, że mnie dostrzegła. Udała jednak, że nie widzi, i po chwili znikła w kajucie. Wobec tego zacząłem się rozglądać po pasażerach szalupy. Wśród nich zauważyłem biednego Nataniela Lorda, Noego Cluffa i tego diabelskiego syna, Asę Hutchinsa. Na widok poważnego, dobrotliwego oblicza i dostojnej figury Jamesa Dunna, który właśnie przekładał nogę przez fałszburtę, postanowiłem sobie wywlec Febe z kajuty i palnąć jej takie kazanie, że wróci do domu z płaczem. Ale zanim zamiar wprowadziłem w czyn, dowódca kompanii, niejaki kapitan Goodrich, dał rozkaz ryczącym tenorkiem. Żołnierze wybiegli na ląd i ustawili się w szeregu.

To jednak mnie nie stropiło. Przepchnąłem się do kajuty Febe, gdyby nie to, że ona sama wynurzyła się na pokład. Powiedziała coś dwóm ludziom, którzy pozostali w szalupie. Ci natychmiast zaczęli podnosić kotwicę. Febe wyskoczyła na brzeg i przyłączyła się do mnie. Szła obok mnie, z nosem do góry, bezwstydną niby jaka dziewczka z Falmouth. Nie mogłem wykrztusić słowa, tylko wpatrywałem się w nią, jak pies wpatruje się w kota siedzącego wysoko na drzewie. To nie jej bezwstyd odebrał mi mowę, ale strój, w jaki się przyodziała. Zamiast codziennego ubioru marynarskiego miała na sobie kaftan z sarniej skóry, nogawice i mokasyny. Wziąłbym ją za młodą abenacką squaw, gdyby nie spowijająca głowę niebieska chustka i naszyjnik z kocich oczu zamiast paciorkowego wampum.

Wysunęła się naprzód o parę kroków, rzuciła tłumok na ziemię i mierzając mnie ukradkowym spojrzeniem, zaczęła coś sobie poprawiać koło talii. Zauważyłem, że pod kaftanem nosi szarawary i pas nabijany

mosiądzem, tylko zamiast butów włożyła nogawice i mokasyny.

Podszedłem, potrząsnąłem ją za ramię.

— Ty idiotko! — zawołałem. — Co ci strzeliło do głowy? Jak tyś się ubrała?

Ściągnęła brwi, ni to urażona, ni to zdumiona moim wybuchem, chociaż wiedziałem, że nie jest ani zdumiona, ani obrażona. — Co się stało? — zapytała rzucając za siebie okiem przez lewe,

218

potem przez prawe ramię, jak to zwykły czynić kobiety. — Jacataqua uszyła dla mnie ten strój, jesteśmy tego samego wzrostu.

- Jacataqua! — zawołałem. — Niby nie wiesz, o co chodzi, niewiniątko! Dlaczego nie jesteś na szalupie? Dokąd się wybierasz? Dlaczego pozwoliłaś Jamesowi Dunnowi wstąpić do brygady?
- Nie krzycz — powiedziała. — Nie jestem głucha!

Ta dziewczyna miała szczególny dar mówienia rzeczy chybiających celu.

- Będę krzyczał, bo tak mi się podoba — odparłem. — A ty, jeżeli nie jesteś głucha, toś na pewno ślepa, i jeszcze na dodatek brak ci piątej klepki.
- Zmienisz zdanie — rzekła — kiedy ci powiem, jaką cenę uzyskałam za szalupę.
- O czym ty mówisz?! — krzyknąłem oszołomiony, wzburzony, wściekły. — Co za cena? Za co cena? Za co cena?
- Za szalupę. Sprzedałam szalupę. Natanielowi Tracy'emu.
- Jak to? Nie miałaś prawa sprzedawać. Ja bym się nigdy nie zgodził

na to, więc sprzedaż jest nieważna.

- Mówiłam . twoją matką — odrzekła. — Twoja matka była zachwycona transakcją. Ona ma dwie piąte udziału w szalupie, ja jedną piątą, wspólnie więc uradziłyśmy, żeby sprzedać. Gdybyś nie przyjął ceny, jaką nam zaofiarowano, byłbyś indorem.
- Ile wam zapłacono?
  - Czteryście pięćdziesiąt talarów. Podwójną cenę kosztu. Kiedy wrócimy z Quebecu, będziemy mogli zbudować bryg, albo dwa brygi, jeśli będzie trzeba, albo nawet trójmasztowiec.
  - My! — zawołałem zostawiając na uboczu kwestię szalupy, gdyż cena rzeczywiście była wysoka. — My! Co to za gadanie? Chcesz płynąć na Quebec? Kto się będzie tobą opiekował? Dostyc kłopotu dbać o własną skórę, a tu jeszcze na głowie dziewczucha!
  - Nie doczekasz tego dnia, Stefanie Nasonie — powiedziała z takim wyrazem pogardy, że chętnie bym ją przełożył przez, kolano i wsypał z dziesięć tęgich — nie doczekasz tego dnia, w którym ja będę zależna od twojej głowy!
- Słuchaj, Febe — rzekłem poważnie. — Dostyc bzdur! Albo natychmiast wyruszysz do Arundel, jak się godzi, albo pójde do pułkownika Arnolda i postaram się, aby cię wyproszono z obozu. Jeśli nie ma innej rady, to pod grozą bagnetów.
- Świetny pomysł — odparła — tylko że ja już rozmawiałam z pułkownikiem Arnoldem. Powiedział, że jeżeli mój mąż się

zgadza, to mogę popłynąć z armią. Ty, jeśli się nie mylę, nie jesteś moim mężem, nie słyszałam też, aby cię upoważniał do występowania w swoim imieniu. Wiesz, nudzi mnie ta gadanina o uciążliwości kobiet. Sierżant Grier z kompanii karabinierów jest z żoną, kobietą trzy razy wyższą i grubszą ode mnie, i jakoś nikt nie uważa tego za uciążliwe. A Warner, też z karabinierów, popłynie w jednej łodzi z żoną i wszyscy godzą się na to. Co do Jamesa Dunna, to nie słyszałem, aby miał jakieś zastrzeżenia, nie słyszałam również, abyś ty był przeciwny obecności Jacataqui.

- Przecież Jacataqua nie wybiera się z nami?
    - Przecież wybiera się z nami! — rzekła Febe i rozdziawiła usta, sądząc zapewne, że doskonale naśladuje moje zdziwienie. — I wiesz, osobliwe to: kobieta, która nieustannie tylko miauczy, że jest twoją siostrą, i opiera się o ciebie, niby omdlewająca łania, nic ci nie mówiła o swoim zamiarze?
  - Słuchaj, co ty pleciesz?
    - Siostra! Pomyślałby kto! Nie plotę, tylko mówię o tym, co się rzuca w oczy. Pewno, że wolałbyś, aby kobieta z twojego domu nie brała udziału w tej wyprawie, bo mogłaby się napatrzeć, ho, ho! Zobaczyłaby, jak romansujesz z czerwonoskórą dziewczicą, która udaje twoją siostrę. Siostra! Dobre sobie!
    - Febe — rzekłem. — Mówisz od rzeczy. Poznałem ją jako małą, bawiącą się lalkami dziewczynkę, kiedy ranny wracałem z pościgu za Mary Mallinson. Nie wiążą nas żadne inne więzy poza braterstwem krwi. W moim sercu jest miejsce tylko dla Mary!
- Febe pociągnęła nosem. — Nie boisz się więc, że zobaczę za wiele, i nie masz nic przeciwko temu, żebym podróżowała z brygadą?

—Nie mam nic przeciwko temu! Choćbyś nawet przez całą drogę miała się wlec w odległości trzech stóp ode mnie!

Wzięła tobół na plecy. — No to nie mówmy już o tym! Jeżeli wybierasz się kanadyjką do Fortu Zachodniego, jadę z tobą.

Na to już nie było rady. Ona musiała mieć ostatnie słowo. Spierać się z kobietą — daremny trud. Wobec tego poszliśmy razem do tawerny.

Powoli narastał porządek. Łodzie ściągano na sam brzeg i ładowano tobołami i żywnością. Spuszczano je na wodę całymi flotyllami, żołnierze zajmowali miejsca przy wiosłach i rozpoczynała się wędrówka w górę rzeki. Woda, jak okiem sięgnąć, roiała się od ładownych łodzi, dążących ku Fortowi Zachodniemu. Oddziały

220

wojska ruszały pieszo drogą leśną, pożłobioną koleinami, mijały Cypel Agry'ego i szły na północ.

U południowych krańców stoczni, na łagodnym wzgórku, stał w otoczeniu kapitanów i poruczników jakiś wysoki, złocony oficer i okiem wodza spoglądał na trzy formujące się kompanie muszkieterów. Ale nie on przyciągnął moją uwagę, lecz mężczyzna stojący za nim. Wydało mi się, że znam tę skwaszoną szarą gębę, jakby ulepioną z gliny, w którą obfitują nasze zatoki rzeczne w Maine. Jak żywy, stanął mi przed oczami dom narad na Wyspie Łabędziej i ów chłodny wiosenny dzień w Arundel, gdy mój ojciec, ociekając wodą, po raz ostatni wspinał się po schodkach oberży. Zostawiłem Febe, okrążyłem oficerów i pochwyciłem szaromordego draba za fałdę myśliwskiej bluzy. W owych stanach półprzytomnych, które oddzielają sen od jawy, często marzyłem, że jeszcze go kiedyś

dostanę do rąk, że rozszarpie go powoli na kawałki za los, który zgotował mojemu ojcu.

- Nazywacie się Ezechiel Hook — powiedziałem ciągnąc go za bluzę. Spojrzał mi w twarz oczami, w których nie malowało się najlżejsze wzruszenie, i potrząsnął głową przecząco. Zanim zdołałem zadać następne pytanie, rozległ się ostry, wrzaskliwy głos: — Czy nigdy się nie nauczycie salutować oficerom? — Obejrzałem się. To krzyczał ów wysoki, złocony oficer. Twarz miał czerwoną z gniewu. Poznałem w nim pułkownika, który za to samo przewinienie zmył nam głowy w Cambridge.
- Pułkowniku! — rzekłem salutując przepisowo. — Proszę o przebaczenie! Ten człowiek, o ile dobrze pamiętam, wyrządził mi niegdyś krzywdę.

Ułagodzony moim pełnym szacunku tonem oficer zaśmiał się hałaśliwie: — Nie, nie! To niemożliwe! John Treeworgy nigdy nikogo nie skrzywdził. Dobry chłopak. Mój przewodnik. Zna Kennebec jak własną kieszeń. Najlepszy przewodnik w tych okolicach.

Nadbiegł łącznik i stanął na baczność. — Pułkownik Arnold — rzekł — pozdrawia pułkownika Enosa i prosi, aby zaczekał tu wraz ze swoją dywizją i dopilnował budowy dalszych dwudziestu łodzi.

Wróciłem do Febe, kręcąc nosem na świadectwo, jakie pułkownik Enos wystawił Johnowi Treeworgy. Zbyt podobny był ten John Treeworgy do Ezechiela Hooka, abym ja mógł spokojnie spać. A pułkownik Enos wyglądał na człowieka, który uwierzy w każdą brednię, dostatecznie długo i głośno trąbioną nad uchem.

Z tawerny Smitha doleciał mnie huczący bas Capa. Przystanąłem rozważając, czy przerwać Capowi wesołą biesiadę i wziąć go z sobą do fortu, czy lepiej go tu zostawić. Nagle usłyszałem cichy szelest i pod ramię wsunęła mi się Jacataqua. Jej pies o gładkiej, czarnej sierści, jaśniejszych nogach i jasnych obwódkach, podobnych do maski balowej, dokoła oczu, przyjaźnie lizał mnie po rękach, bił ogonem o moje kolana, Przypomniał mi się Łowca, a wraz z tym wspomnieniem wezbrała fala tęsknoty za domem.

—Słuchaj — zagadnąłem ją. — Co się stało z Ezechielem Hookiem?

Potrząsnęła głową. — Nie znam takiego.

—To pastor — rzekłem — duchowny, który chciał was wszystkich nawrócić na chrześcijaństwo.

To również nic jej nie powiedziało.

- Czy znasz człowieka imieniem John Treeworgy? — nalegałem.
- Znam — odrzekła marszcząc nos, jak gdyby nagle zaleciała ją zła woń. — Jest to nadzorca z ramienia Plymouth Company. Składał doniesienia na osadników i handlarzy i wplątywał ich w zatargi. Przed trzema laty znikł nam z oczu.

Febe dotknęła mojego łokcia i ruchem głowy wskazała drzwi tawerny. W progu stał mały Aaron Burr z New Jersey, gładki i wytworny, jakby prosto od krawca. A przecież, nie olśniewał swoją pięknnością jak niegdyś, bo przygarbił się, głowę wciągnął w ramiona, a oczy błyszczały mu złowrogo. Patrzył na Jacataquę.

Uśmiechnęła się do niego, zakołysała się w przód i w tył, wciąż opasując mnie ramieniem, i rzekła: — No to chodźmy.

—Nie podoba mi się twoja hojność — powiedział Burr.

Jacataqua spojrzała na niego, a wargi jej zadrżały.

- Panie — odezwałem się — moglibyście tak przywitać starego znajomego.
- Mógłbym — odparł Burr — ale nie mam chęci. Sytuacja temu nie sprzyja.
- Jaka sytuacja? — zapytałem. Jego oczy były trochę za bezczelne jak na mój gust.

Podszedł do mnie, czupurny jak kogut. — Dobrze wiecie, o czym mówię! Precz z rękami!

—Ha — odpowiedziałem —jeżeli bardzo wam na tym zależy... Pamiętając o usługach, jakich od was doznałem, gotów jestem na zawsze wyrzec się towarzystwa mojej siostry, aby tylko wam nie sprawiać przykrości...

222

- Waszej siostry?
- Kiedy miałem cztery lata, związano nas braterstwem krwi — rzekła Jacataqua.

Burr wciąż nie odrywał ode mnie uporczywego wzroku.

Spojrzałem na olśniewająco błękitne niebo, nie skażone najmniejszą chmurką, i powiedziałem do Febe: — Znosi się na deszcz, więc czas nam w drogę. — Klepnąłem Jacataquę po ramieniu i wziąłem Febe pod rękę, postanawiając, że przy pierwszej sposobności sprawię temu młodemu, smagłolicemu pyszałkowi tęgą kąpiel w nurcie rzeczonym.

Kiedy oddaliliśmy się o kilkadziesiąt kroków, Burr dogonił mnie, wlokąc za sobą Jacataquę. — Panie! — rzekł. — Zachowałem się



niewłaściwie. Ale oczy czarne jak noc i policzki niby czerwone wino na bursztynie najlepszych mężczyzn czynią gwałtowni-kami. W jaki sposób mógłbym naprawić popełniony błąd?

Zastanowiłem się. — Opowiedzcie mi o pułkowniku Enosie.

Burr obrzucił mnie spojrzeniem niemal wdzięcznym. — Enos to jeden z tych wszawych connecticuckich pułkowników. Właściwie podpułkownik. Może nie uważa siebie za Boga Wszechmogącego, ale w każdym razie przyznaje się do bliskiego z Nim pokrewieństwa.

—Wydało mi się — rzekłem — że ten człowiek nade wszystko dba o przepisowe saluty. Jeżeli nie wyzbędzie się tej manii, boję się, abyśmy nie wpadli w tarapaty na górnym Kennebecu. Widziałem łódzie. Wystarczy stanąć w takiej łódce na baczność, aby otarła się o podwodną skałę i zaczęła przeciekać.

Burr wzruszył ramionami. — Odzwyczaj się, niech tylko znajdzie coś do roboty. Ale nigdy nie zapomni o tym, że w ostatniej wojnie francuskiej służył, jako oficer, pod sztandarami Jego Królewskiej Mości i w roku 1762 brał udział w wyprawie na Hawanę, kiedy myśmy jeszcze raczkowali z koszulkami w zębach. Jest napchany po dziurki w nosie wiedzą wojskową, a lata nauczyły go ostrożności. Kiedy Arnold powiada: „Naprzód, do wszystkich diabłów!” — Enos wstrzymuje: „Chwileczka! Niech no ja sobie przypomnę, jak rozwiązywaliśmy podobne zadanie pod Hawanę!” Nic nam po takich panach ostrożnickich! Ostrożnością nie weźmiemy Quebecu!

Razem popłynęliśmy w górę rzeki. Burr dysponował małą, lekką kanadyjką. Wiosłowała Jacataqua, a jej pies stał na dziobie, bijąc ogonem w dno. Kiedyśmy mijali płynące łańcuchem ociężałe łódzie, wiosłarze

pytali nas żartobliwie, kiedy będą chrzciny i czy

223

można pocałować pannę młodą. Rzeka wyglądała jak szosa. Nie dostrzegłbyś skrawka wody pomiędzy tymi łodziami, płynącymi pojedynczo i szeregiem, pomiędzy kanadyjkami wiozącymi łączników i wywiadowców, pomiędzy czarnymi kadłubami szalup i szku-nerów. Oddziały wojska kroczyły brzegiem, wymijając wysokie dęby i sosny. Na koniach uwijali się gońcy i oficerowie.

Burr poinformował mnie o składzie armii. Liczyła niewiele ponad tysiąc ludzi. Wszyscy, co do jednego, byli zaprawieni w walce z Indianami, dobrzy drwale, cieśle i wioślarze, doskonali strzelcy. Wybrano ich spośród oddziałów oblegających Boston i postawiono nad nimi najlepszych oficerów. Małą liczebność żołnierzy wynagradzał z naddatkiem ich wysoki patriotyzm i gotowość bojowa.

Febe gwałtownym ruchem zanurzyła wiosło. — Jeżeli to wszystko tacy patrioci, to czym wytłumaczyć, że w Newburyport oddział żołnierzy, zgromadzony na szalupie „Orzeł”, chciał wracać na ląd? Musiano otoczyć ich strażą i w ten sposób powstrzymać od ucieczki.

Burr potrząsnął zgrabną głową. — Łamaliśmy sobie nad tym mózgownice, ale bez skutku! Chłopaki wsiadały ze śmiechem, rażno, radośnie, a po dwóch godzinach jakby ich czart ukąsił. Był wśród nich jeden z przewodników Arnolda — facet o skwaszonej gębie i takim nazwisku, że nie wypowiesz bez gorących kartofli w ustach. Twierdził, że żołnierzom zrobiło się niedobrze od wyziewów wody zgromadzonej na statku.

- Nowoangielczyk ma twardy żołądek i od byle czego nie dostaje

mdłości — rzekła Febe.

- Czy ten przewodnik nie nazywał się przypadkiem Treeworgy?
  - Tak, tak! Treeworgy! Dziwne nazwisko! Nazwisko, którego nie potrafi chyba napisać sam imiennik.

Ja odnosiłem podobne wrażenie. Postanowiłem w duchu, że trzeba będzie nad tym panem Treeworgy roztoczyć troskliwszą opiekę.

Zapytałem Burra, czy pułkownika Enosa również uważa za patriotę i dzielnego żołnierza. Przytwierdził. Enos ma za sobą walkę z Francuzami, był w brytyjskiej armii pod Hawaną. Dowiódł tam, że jest człowiekiem odważnym i zdolnym strategiem.

Jeżeli jednak, mówił, Enos ma pewne przywary, rachunek jest wyrównany dzięki wysokim zaletom bojowym pułkownika Arnolda i podpułkownika Greene'a. Arnolda generałowie Waszyngton

224

i Schuyler uważają za najlepszego oficera wojsk kolonialnych i wierzą, że przyniesie on sprawie niejedno zwycięstwo.

Z podziwem odzywał się o majorze Meigsie i majorze Bigelowie, o kapitanach, z których każdy zasługiwał na rangę generała. Jeśli pominąć kilka parszywych owiec, na ogół słowa Burra zgodne były z prawdą. I rzeczywiście, wielu z tych kapitanów zostało później generałami.

Mówiąc o karabinierach, wprost zachłystywał się z entuzjazmu. Świat jeszcze nie widział takich żołnierzy. On osobiście podjąłby się iść na Quebec w sile trzech tylko kompanii karabinierów, pod warunkiem, że zostaną ci sami oficerowie i główne dowództwo obejmie Arnold.

Wówczas sądziłem, że mówi od rzeczy, ponieważ kompania karabinierów

składa się zaledwie z siedemdziesięciu pięciu ludzi, ale niebawem miałem zmienić zdanie. W późniejszych dniach, po bitwie pod Saratogą, powtarzano mi słowa generała Burgoyne'a, który twierdził, że pułk karabinierów Morgana jest najlepszą jednostką bojową na świecie. Myślę więc, że Burr nie o wiele się pomylił.

Przy Forcie Zachodnim przed bystrzynami czekały konie i woły. Po gąbczastej drodze leśnej wleczono łodzie na płozach. Hobomok i ja wyciągnęliśmy kanadyjki z wody, ułożyliśmy je na najbliższej łodzi, a sami szliśmy z wolnymi rękami, jak hrabiowie.

Plac ćwiczebny, leżący pomiędzy drewnianymi zabudowaniami koszar a brzegiem rzeki, roił się już od namiotów i skleconych naprędce szałasów. Było to obozowisko karabinierów. U drzwi jednego z koszarowych budynków stał Cap Huff, dłubiąc w zębach odłamkiem drewna. Udawał pogrążonego w zadumie, ale widziałem, że uważnie przygląda się nowo przybyłym. Wyminął mnie i szarpnął za ramię młodego Rhode Islandczyka, niosącego parę nieżywych kurcząt.

—Masz gdzie spać, bracie?

Chłopiec zaprzeczył.

—Nam dano dwa miejsca w barakach — rzekł Cap — ale cóż stąd, kiedy zaraz odpływamy? Ty i twoje kamraty zostaniecie tu przez jakie pięć, sześć dni, i albo znajdziecie dach nad głową, albo przemokniecie do szpiku kości.

Rhode Islandczyk bezradnie patrzył przed siebie.

—Przyprowadź tu jakiego kompana — rzekł Cap. — Sprzedamy wam nasze miejsca za te kurczaki.

Przewidywania Capa odnośnie do deszczu były słuszne, ale wątpię, czy

miał prawo odstępować pryczę w koszarach. Zaczekałem. Po

225

kilku minutach zjawił się z tobołem na plecach, z kurczętami w ręku. Obok niego szedł wysoki, chwiejny drab o melancholijnym wejrzeniu. Cap przedstawił mi go. Był to porucznik Church.

—Porucznik — rzekł wrzaskliwie — jest najlepszym tropicielem i wywiadowcą, jakiego zrodziła prowincja Maine.

Porucznik spojrział żałośnie na kurczęta.

—Przyczep się, Stefku, do pierwszej lepszej wywiadowczej kolumny, radzę ci — szeptał Cap ochryple — inaczej zapędzą cię do ciągnięcia łodzi. Próbowalesz już?

Z wyrazem przerażenia na twarzy oznajmił mi, że łatwiej byłoby przenieść na grzbiecie więzienie w Kittery. — Podstawiłem się dziś pod jedną taką łódź. Ognie piekielne! — zawołał sięgając ręką do grzbietu i pocierając zbolące mięśnie. — Aż mi apetyt odebrało!

Zapytałem go, dlaczego odstąpił pryczę.

- Ach! — powiedział. — Pluskwy! Masa pluskiew. Porucznik je wytropił.
- Jakim cudem dostałeś się tu przed nami? — zawołałem w ślad za nim, gdy odchodził.
- Znalazłem konia w stoczni — wyjaśnił. — Wsiadłem, aby sprawdzić, czyj to jest koń.
- No i jak? Czyj?
- Nie wiem — odrzekł. — Nie miałem czasu pytać.

Pracowaliśmy aż do zmroku. Zmordowałem się setnie, przenosząc na

ramionach paki z żywnością. Po robocie odnalazłem kompanię kapitana Goodricha i przysiadłem się do wieczerzy. Żołnierze rozpakowali mąkę, soloną wieprzowinę i groch. Febe pokazała, co potrafi — nagotowała tęgiej grochówki, tak gęstej, że czuło się ją dobrze pod żebrami.

Siedząc w ciepłe ognia i wylizując miskę, słuchałem cudacznego opowieści o czekających nas udrękach. Jeden z żołnierzy opowiadał o górze, zaludnionej przez pluskwy, wielkie, drapieżne pluskwy, podobne do czerwonych krabów, co czepiają się naszych przymorskich skał. Te pluskwy ponoć od wieków pienią się na stokach góry. W okresach przeludnienia wyruszają całymi armiami w świat, przepływają rzeki, przechodzą przez martwice leśne, kurczą się od wysiłku, maleją. Wreszcie dosięgają osad, gdzie mogą się pożywić krwią ludzką. Kto w pobliżu tej pluskworodnej góry odważy się zasnąć, żywcem zostanie pożarty. Dlatego nie ma tam ptaków ani czworonogów.

226

Noe Cluff odezwał się piskliwym tenorkiem i zaczął opowiadać o rzece Chaudiere, z której prądem wypadnie nam płynąć. „Chaudiere”, tłumaczono mu, oznacza po francusku „kocioł”. Imię to nadano rzece, ponieważ jej koryto usiane jest przepastnymi wyrwami, które wsysają wodę, przeprowadzają przez podziemne ognie i kipiącą wyrzucają na wierzch. Czółno, które zbliży się do takiej wyrwy, jest stracone.

Inny twierdził, że będziemy przechodzić przez miejsce zwane Wysokim Łądem. Miejsce to widziało dotychczas tylko dziesięciu ludzi. Są tam podobno zbiki wielkości łośa i rosomaki tak drapieżne, że nawet bez głodu, z samego okrucieństwa, napadają na ludzi i miażdżą im kości.

Słuchając tych opowieści, śmiałem się w głos. Myślałem, że inni

również będą się śmiać, tak jak śmieliby się, gdybym im oznajmił, że po rzece Arundel co niedziela płynie wąż morski i pożera dwóch rybaków razem z dorką. Ale wtórował mi jeden Asa Hut-chins, ten, który śmiał się ze wszystkiego, nawet z Biblii. Inni szczyrzyli tylko zęby w bolesnym uśmiechu, spoglądali po sobie i wywracali oczy.

—Na miłość Boską! — zawołałem. — Kto wam nappełnił uszy tymi bajdami?

Jethro Fish rozgrzebał ogień bagnetem. Z pokładu „Eunice”, powiedział, wysadzono go na ląd, a potem wywieziono z Newbury-port na pokładzie „Orła”. Wszyscy jego towarzysze słyszeli o tych rzeczach, a krążą jeszcze upiorniejsze pogłoski. Podobno łąki nad rzeką Chaudiere stoją na fundamencie zbutwiałych liści i kto się tam zapaści stopą, ten ugrzęźnie i zginie.

—Czym wytłumaczyć — zapytałem Jethra — że twoi towarzysze wsiadając na „Orła” byli w doskonałym usposobieniu, a po tem nagle zachciało się im uciekać?

Jethro odparł, że przestraszyli się tylko Connecticutczycy i paru miastowych.

—Przestraszyli się? Czego? Tych bajek?

Rozległ się śmiech, śmiech ludzi, którzy drwią z tchórzostwa innych ludzi. Ale dobrze pamiętałem, z jakim wyrazem twarzy sami słuchali niesamowitych opowieści.

- Czy na „Orle” panował smród? — zapytałem. — Odór ryb? Wyziwy nagromadzonej wody?
- Nie — odparł Jethro. — Był to szkuner używany do przewozu drzewa.

Zapytałem go, czy widział przewodnika nazwiskiem Treeworgy

227

i czy z nim rozmawiał. Fish jednak ani go nie znał, ani o nim nie słyszał. Była w tym wszystkim jakaś ohydna tajemnica. Zabrałem głos i powiedziałem, co myślę o czekających nas okropnościach.

—Słuchajcie — rzekłem. — Kiedy byłem jeszcze bardzo młody, jak wszystkim obecnym tu Arundelczykom wiadomo, wypadło mi płynąć po Martwej Rzece. Spotkałem tam Indianina imieniem Natanis. Indianin ten był na Chaudiere i przewędrował Wysoki Łąd. Nie widział ani pluskiew, ani wrzątku, ani żbików. Te wszystkie historie są wyssane z palca. Takie łgarstwa podli ludzie opowiadają dzieciom, bo sprawia im przyjemność, kiedy dzieci trzęsą się ze strachu gdzieś na ciemnej rozstajnej drodze. Gdybym wiedział, kto jest autorem tych pogłosek, zdarłbym mu skórę na pasy! Raz na zawsze wyrzucicie z głów te śmiecie i nikomu więcej nie opowiadajcie! W przeciwnym wypadku jeszcze zanim trafimy na poważne przeszkody, Connecticutczycy i Rhode Islandczycy rzucą się do ucieczki, a nasi rodacy będą im towarzyszyć ku wiecznej hańbie prowincji Maine.

Do wrót palisady podjechał konny łącznik, zapalił małą blaszaną latarkę i w jej blasku odczytał rozkaz:

—Szeregowcy o brzasku dnia zgłoszą się do transportu łodzi i zapasów! Kapitanowie o godzinie dziesiątej zameldują się w kwaterze głównej, w domu kapitana Howarda, o milę za fortem! Przewodnicy o wschodzie słońca zameldują się w kwaterze głównej!

Sen bardzo był nam potrzebny. Wróciłem do Hobomoka, który



tymczasem przygotował posłania z jodłowych gałęzi. Naciągając derkę na twarz, powtarzałem sobie, że nareszcie wyruszamy, że nic już nie odwlecze wyprawy, że teraz mogę do woli rozmyślać o Mary. Ale zanim zdołałem wysnuć choćby jedną myśl, poczułem, że ktoś mną szarpie, otworzyłem oczy, ujrzałem Hobomoka, usłyszałem trąbienie gęsi lecących wysoko nad wodą. Świtało.

## XVIII

Często z ust siwobrodych starców, którzy nie brali udziału w wyprawie na Quebec, słyszę o uczcie, jaką rzekomo wyprawiono nam przy Forcie Zachodnim. Podobno zajadaliśmy niedźwiedzie polędwice, do tego pierogi z dynią, na deser arbuzy, a zapijaliśmy rumowym ponczem. Ha, ja tam żadnej uczyty nie widziałem, moi kompani gryźli powszednie racje żołnierskie. Ale kiedy powiadam, że uczyty nie było, siwobrodzi zżymają się, trzęsąc siwymi brodami.

228

Mówią, że odzieram wyprawę z uroków romantyzmu. Ja tam nie pamiętam, żebyśmy przeżywali jakieś romanse, nawet na początku. Pamiętam tylko pośpiech, od którego ręce pokrywały się pęcherzami, i ciężką pracę, od której pot nam zalewał oczy.

Do dziś dnia mam w uszach warkliwe rozkazy Daniela Morgana, pędzącego nas, zgiętych we dwoje pod ciężarem ładunków, przez bór i trzęsawisko, widzę, jak biegnie obok nas, jak nas wyprzedza, jak szarpie za koło wozu, ugrzęzłe w bagnie, jak podsuwa ramię pod łódź, słyszę jego przekleństwa, soczyste, złowonne, przekleństwa, których się nauczył w armii Braddocka, gdy szła na Monongahelę, ku swojej zagładzie.

Widzę zwał skalny zagradzający nam drogę. Kapitan Dearborn, ten sam, który miał zostać ministrem wojny, generałem broni i ambasadorem przy pewnym europejskim państwie, stał wraz ze swoim czarnym kudłatym psem u szczytu skały, u jej stóp kapitan Thayer, łagodny, wytworny mężczyzna, nie poznałbyś, że to były oficer Leśnego Batalionu, najgroźniejszej formacji podjazdowej, jaką zna współczesna wojna. Kiedy podchodziliśmy z ładunkiem do skały, Thayer nas popychał, Dearborn podciągał, czarny pies podskakiwał i szczekał, a my przechodziliśmy przez kamienisty zwał, jakby to był puchowy materacyk, taki sobie puchowy materacyk, którym rodzice odgradzają się od dzieci, gdy cała rodzina sypia w jednym łóżku.

Nade wszystko słyszę, nieustannie słyszę głos Arnolda, głos, który był ucieleśnioną energią bojową, głos który nową siłę wlewał w nasze uginające się nogi: — Do góry, chłopcy! Naprzód! Nie traćmy czasu! Jeden dzień włoki może przesądzić o klęsce! Do góry! Śmiało! Wyżej! Wyżej!

Tym, którzy rozprawiają o ucztach, na pewno nie zdarzyło się maszerować z przeszło dwiema setkami ciężkich łodzi na plecach, z tobołami, z żywnością, ze sprzętem. Oni nie wiedzą, co to znaczy po wielogodzinnym marszu rozbijać obóz, warzyć posiłki, spuszczać łodzie na rzekę, ładować je, wysłuchiwać rozkazów i ruszać w dalszą drogę.

Zdaje się jednak, że wiem, skąd się wzięły te pogłoski o ucztach. Wielu oficerów stało kwaterą i stołowało się u kapitana Howarda, w domu, który wybudował sobie, ustąpiwszy ze stanowiska dowódcy Zachodniego Fortu. Po dniu, wypełnionym uciążliwą wędrówką z łodziami na plecach, przeszedł przez nasze obozowisko pułkownik Arnold, zmierzając do

kwatery głównej, a po nim zjawił się wewnątrz palisady kapitan Hanchet, oficer z Connecticut,

229

odznaczający się tak wydatną dolną szczęką, że górnych zębów nie było mu wcale widać, i zrobił dziką awanturę o jakieś pierogi z dynią, rozglądał się po twarzach, zaglądał nawet pod prycze.

Cap Huff przysiadł się do mnie, zdyszany i spocony. Huczącym basem oznajmił Hanchetowi, że daremnie szukać w zabudowaniach koszarowych, bo jeżeli tam nawet ukrył ktoś pierogi, i tak robaki nie zostawiły z nich na pewno ani śladu. Rzeczywiście, robactwo pienilo się w koszarach tak obficie, że mogłoby w ciągu paru minut pożreć dobrą porcję pierogów razem z cynowym talerzem.

Z tego wszystkiego zrozumiałem tyle, że w kuchennych oknach domu kapitana Howarda postawiono dla wystygnięcia osiem wielkich pierogów z dynią i że jakiś zdrajca świsnął je zniecka.

Zapomniałbym, rzecz prosta, o całej tej historii, gdyby mi Cap Huff nie szepnął ochryple do ucha, że Hobomok zatknął na rożny całe stado kuropatw i dzikich kaczek, że Febe siedzi przy moim szałasie razem z Jamesem Dunnem i dogląda piekącego się ptactwa. Jacataqua przyrządza placki kukurydzone, jest tam również porucznik Church i smagły, buńczuczny elegancik nazwiskiem Burr. Ślinka mi napłynęła do ust na wzmiankę o kuropatwach. Pośpieszyłem do szałasu, za mną Cap. Kiedyśmy się znaleźli przy szałasie, Cap wskazał palcem na przewróconą kanadyjkę i znacząco mrugnął okiem. Opuściłem się na kolana i zajrzałem pod czółno. Wewnątrz dziobu spoczywało dumnie pięć wielkich pierogów z dynią.

Wiedząc, że z domu kapitana Howarda zabrano osiem pierogów, zapytałem, gdzie są jeszcze trzy.

- Trzy! — jęknął Cap. Niezręcznie przypadł do ziemi, aby na własne oczy przekonać się o katastrofie. Dźwignął się rycząc jak zraniony niedźwiedź. — Nikomu nie można zawierzyć! — skarżył się patrząc na Burra. — Klnę się wszystkimi diabłami piekła, kiedy poszedłem po Stefana, było sześć pierogów.
- A co się stało z tamtymi dwoma?
- Jeden upuściłem. Spadł mi na nogę. Drugi musiałem zjeść.
- Ha — rzekł Burr — widzę, że bez przysięg nie uwierzycie w naszą niewinność. Pozostaje mi więc prosić was, abyście pohamowali swój gniew aż do chwili, gdy uporamy się z pięcioma nienaruszonymi pierogami. Bądź co bądź jesteście osiem razy lepszym złodziejem niż my. Wy potrafiliście ukraść osiem pierogów, my tylko jeden.

To pochlebstwo najwyraźniej przypadło Capowi do smaku, bo

230

choć nie przestawał kląć pod nosem na bezceństwo naszych czasów, jednak Burra łaskawszym nieco obrzucał spojrzeniem. Co najbardziej zniechęcało go do Burra, to względy, jakimi ten cieszył się u Jacataqui. Indianka podczas jedzenia opierała się o wy-tworknisię i patrzyła w smagłą, piękną twarz z wyrazem takiej omdłałości, że Febe odeszła od nas i przysiadła się do Jamesa Dunna. James, zmieszany obecnością oficerów, usiadł na kłodzie drzewnej, na granicy ogniowego poblasku i mroku. Szarpał zębami udko kaczki z taką głęboką powagą, jakby obmyślał reformę systemu pieniężnego.

Całe szczęście, że znalazł się taki, co skłonił Capa do milczenia i

pośpiechu, bo ledwośmy uprzątęli ostatni okruc pieroga, na ścieżce zjawił się łącznik, wzywając wszystkich przewodników, tropiciele i oficerów do stawienia się w kwaterze głównej. Kiedyśmy tam przybyli, pułkownik Arnold siedział przy biurku w bawialni kapitana Howarda i kasował rejestry, sporządzał nowe, dyktował rozkazy sekretarzowi, wzywał kapitana Iks, to kapitana Igrek, i tyle myślał o jakiejś uczcie, ile my o pudrowaniu włosów.

Kiedy mnie do niego wezwano, upłynęła już połowa nocy. W bawialni zastałem pułkownika Greene'a, pułkownika Enosa, majora Meigsa i kapitana Morgana. Wszyscy byli w pięknych mundurach z wyjątkiem Morgana, który miał na sobie bluzę myśliwską, nogawice i mokasyny.

Pułkownik Arnold obrzucił mnie spojrzeniem szaroniebieskich oczu. — Nasonie! — rzekł. Byliście na Martwej Rzece. Przedstawcie zgromadzonym swój pogląd na kwestię, którą wyłuszczę.

Odczytał na głos sprawozdanie Conkeya.

- Czy sądzicie — zapytał — że sprawozdanie to pokrywa się z istotnym stanem rzeczy, czy też uważacie, że armii naszej grozi niebezpieczeństwo ze strony Indian i wojsk nieprzyjacielskich?
- Pułkowniku! — odparłem. — Sprawozdanie jest bezwartościowe! Ten tchórz Conkey niedaleko zawędrował. Sprawozdanie śmierdzi tchórzem! Nawet w tak skromną podróż nie odważył się ruszyć bez sześciu galonów rumu.

Pułkownik Arnold uśmiechnął się pojednawczo do swoich sztabowych kolegów. — Krótko mówiąc, my, którzy nie jesteśmy tchórzami, możemy niezwłocznie siadać na łodzi i płynąć, choćby i bez rumu.

- Pułkowniku! — dodałem. — A co się tyczy Indianina Na-tanisa...

- Wiem o nim tyle, ile trzeba! — niecierpliwie przerwał Arnold.

231

— Pułkowniku! — rzekłem. — W tej mierze sprawozdanie jest również...

Twarz pułkownika Arnolda skróciła się i nabrzmiała krwią. Trzasnął w biurko płazem dłoni. — Proszę mi nie udzielać rad bez pytania!

Dziękowałem gwiazdom, że zdążyłem ostrzec Natanisa przez Natawammeta. Postanowiłem odtąd trzymać język za zębami, póki zwierzchnicy nie zażądataj ode mnie wyjaśnień.

Tej nocy ustalono przydziały. Zapamiętałem sobie tylko trzy punkty: Capa Huffa przydzielono do wywiadowczej kolumny porucznika Churcha, która miała odpłynąć nazajutrz; Johna Treeworgy do podpułkownika Enosa; Stefana Nasona do pułkownika Arnolda.

Nazajutrz Cap, promieniejąc od potu i radości, usadowił się na dziobie jednej z dwóch kanadyjek Churcha. Był zadowolony, że udało mu się uniknąć ciężkiej łodzi, w której nie tylko się płynie, ale jeszcze trzeba ją nosić. Twarz jego zabarwiał świeży rumieniec, zapewne wywołany wczorajszą porcją pierogów. Równocześnie kolumna pensylwańskich karabinierów pod wodzą porucznika Steele'a \* ruszyła w dwóch kanadyjkach ku Wysokiemu Ładowi, aby zbadać teren i dostarczyć wiadomości, których nie potrafił zebrać ten przekłety Conkey. Steele był naprawdę człowiekiem ze stali i w pełni usprawiedliwiał znaczenie swego nazwiska. Świat pełen jest pomników, postawionych ludziom mniej zasłużonym niż Archibald Steele. Ale tamci mieli szczęście, Steele szczęścia nie miał. Przeto obejdzie się bez pomnika.

Następnie przenieśliśmy na start, to jest do punktu położonego w

połowie drogi między Zachodnim Fortem a domem kapitana Howarda, łodzie pierwszej dywizji. Pierwsza dywizja składała się z trzech kompanii karabinierów, które zgodziły się płynąć pod jednolitym dowództwem Morgana. Nasi Nowoangielczycy, źle zdyscyplinowani i bardziej sobiepańscy niż maciora z przychówkiem prosiąt, krzywili się na Morgana, ponieważ wydawał ścisłe, surowe rozkazy i ciężką ręką zmuszał do posłuchu. Ale karabinierzy, zdyscyplinowani żołnierze, chlubili się nim, kochali go i szanowali, poszliby za nim w ogień piekielny, co im nie przeszkadzało wynajdywać dla niego najbardziej obrazowe wyzwiska. Między sobą nazywali go Starym Żółtobrzuchem, Brudnym Danem, Meduzą i różnymi innymi imionami, które nie nadają się do druku.

\* Steel (ang.) — stal.

232

Stawiali go prawie na równi z Arnoldem, który uchodził nie tylko za najdzielniejszego i najmądrzejszego oficera naszej brygady, ale w całej armii kolonialnej nie miał godnego siebie współzawodnika.

Dziś, kiedy patrzę wstecz, widzę, że pod żadnym innym wodzem nie moglibyśmy takiej wyprawy doprowadzić do końca, chyba że to byłby sam Waszyngton. Każdy mniej rozważny oficer padłby ofiarą intryg i zawiści. Arnold był ryzykantem, jakich mało, a do walki wyzwiałby i piekło, gdyby było o co. Ale umiał również zjednywać sobie ludzi taktem i wdziękiem, w odróżnieniu od gwałtownego i gburowatego Morgana, również świetnego wojownika.

Licząc się z wysoką rangą pułkownika Greene'a, Arnold powierzył mu dowództwo pierwszej dywizji. Morgan zaprotestował, a słowa jego

słyszeliśmy wszyscy, bo głos miał jak dzwon. Oświadczył, że nie odda swoich karabinierów pod niczyje rozkazy, chyba że pod rozkazy Arnolda, a i karabinierzy innej władzy r.ie zechcą uznać. Albo więc on sam będzie nimi dowodzić, albo zostaną bez dowódcy. Spodziewałem się, że Arnold wybuchnie gniewem, ale nie. Ułagodził Morgana i ułagodził Greene'a. Morgan, powiedział, nie da się porównać z nikim, jeśli chodzi o prowadzenie wojny podjazdowej w lesie, i łączy tu wielki talent z wyjątkowym doświadczeniem. Ponieważ jednak celem wyprawy jest zajęcie Quebecu, a nie uwieńczenie zasług tego lub owego oficera, przeto on, Arnold, chętnie uczyni dla Morgana ustępstwo i powierzy Greene'owi komendę drugiej dywizji. Oświadczenie to wywołało w nas wszystkich odruch zadowolenia. Arnold i Greene upajali się własną wspaniałomyślnością, a Morgan był szczęśliwy, że jego, słuszne zresztą, żądania zostały całkowicie zaspokojone.

W ostatni poniedziałek wrześniowy roku 1775 rośli Wirgiń-czycy Morgana spuścili na wodę swoich szesnaście łodzi, obciążonych zapasem żywności na czterdzieści pięć dni, amunicją i siekierami. Wyruszyli bez dodatkowych obciążeń, mieli bowiem pierwsi dotrzeć do Wielkiego Międzyrzecza, przetrzebić las i wszystkim nam utorować drogę.

Każdą łódź pędziło tykami dwóch ludzi, a dwóch równoległe do niej maszerowało brzegiem, aby w odpowiedniej chwili zastąpić spracowanych kolegów. Kiedy pierwsza łódź z tej szesnastki była już tylko czarnym punktem na horyzoncie, szesnaście łodzi, przynależnych pensylwańskim karabinierom Smitha, ruszyło w ślad za tamtymi. Dalej pensylwańscy karabinierzy Hendricksa. Wiośla-



rze co sił robili tykami, a ich piesi towarzysze nawoływali z brzegu, żeby za żadną cenę nie dawać pierwszeństwa „tym wszawym Wirgińczykom” i „uważaj na skały podwodne, złotko ty moje”.

Wśród nawołujących rozróżniłem żonę sierżanta Griera, czcigodną matronę o ramieniu dużym jak moje udo, w pasie grubą jak perszeron, i panią Warner, wysokie, rumiane, wesołe dziewu-szysko. Gdy przyśpieszyły kroku, wyprzedzając mężów, sierżant Grier serdecznie klepnął żonę kolbą karabinu po szerokim zadzie, że aż biedaczka zawyła.

W ciągu trzech minut odprawiliśmy przeszło dwustu ludzi. W górze rzeki kołysały się łodzie, coraz mniejsze, coraz dalsze. Płynęły zygzakowato, bo znosił je raz po raz wartki prąd. Z purpurowego listowia, pokrywającego brzeg, dochodziły coraz słabsze, coraz cichsze gwary pieszych.

Następnego dnia w południe wyruszyła druga dywizja, a w niej kompania kapitana Thayera, kompania kapitana Tophama i kompania kapitana Hubbarda. Wyjazdu łodzi pilnowali pułkownik Greene i major Bigelow. Połowa żołnierzy szła, jak wczoraj, pieszo. Maszerowali gęsiego, nie próbując nawet zewrzeć się w szeregi, co zresztą byłoby niemożliwe, bo niedzielny deszcz pospołu z setką żołnierskich butów uczynił z leśnego szlaku wstęgę miękkiego błota.

Dywizji tej towarzyszył Burr w randze podchorążego. Zgrabny, uśmiechnięty, stanął obok mnie i rzekł cicho: — Pamiętajcie przywieźć nam porcję dobrych pierogów z dynią.

Gdy zapytałem go o Jacataquę, mrugnął tajemniczo i powiedział, że tylko jej patrzeć. Rzeczywiście, skoro zamęt ucichł, pojawiła się w lekkim

czólnie kanadyjskim w towarzystwie ciemnoskórego wojownika z Wyspy Łabędziej. Zołtomordy pies opierał się łapami na jej karku, ziewając przeciągle: wydawało się, że nudzi go ta cała zabawa.

Febe miała wyruszyć nazajutrz, wieczorem więc odwiedziłem ją w forcie. Odprawiała postrzyżyny Jamesa Dunna, on zaś siedział na obalonym pniu z miną zamyślonego filantropa, który założył kolegium, ale nie wie jeszcze, kogo mianować prezesem. Febe ścięła jeszcze parę kosmyków koło uszu, po czym wręczyła Jamesowi nożyczki i rzekła, klepiąc go po plecach, jak klepie się dziecko: — Zanieś Jethrowi, a mamusia tymczasem porozmawia ze Stefanem.

— Na Boga! — zawołałem, kiedy James się oddalił. — Wróc

234

do Arundel i zabierz go z sobą. Jesteście jak dwoje dzieci, które bezmyślnie narażają się na niepojęte niebezpieczeństwa.

Potrząsnęła głową. — Wczoraj zastanawiałam się nad tym. Z dywizji Ensona uciekło kilku ludzi i nikt ich nie ścigał. Pomyślałam sobie, że również mogłabym uciec i zabrać Jamesa.

—Dlaczego tego nie uczyniłaś?

Uśmiechnęła się boleśnie, przebierając palcami po kamieniach naszyjnika. — Kiedy mu powiedziałam, spojrzał na mnie takim wzrokiem, że wstyd mi się zrobiło mojego tchórzostwa. „To niemożliwe — powiedział — jeszcze ktoś pomyśli, że się boję”. Powiedział, że nareszcie żyje, że jest mu w wojsku tak dobrze, jak nigdy i nigdzie.

W zadumie bawiła się naszyjnikiem. — On nigdy nie żył po ludzku, Stefanie. Zawsze go wykorzystywano. Zawsze mu podstawiano nogę.

Jeżeli ktoś przewinił, odbijano sobie na Jamesie. Podśmiewano się z niego w stoczni i w oberży. Dzisiaj obrywa akurat tyle, co inni. Wykonuje rozkazy i widzi, że nikt go nie zaczepia. Niewielka sztuka, powiada. Z tobołem i muszkietem na ramieniu maszerujesz, dokąd ci przykażą, i basta. Nie jest gorszym żołnierzem niż inni i bardzo się z tego cieszy.

- Nie ma stracha?

- Nie. Powiada, że człowiek boi się tylko wtedy, kiedy wybiega myślą przed siebie. Najlepiej po prostu wykonywać rozkazy.

Pomyślałem sobie, że to nie jest uwaga od rzeczy. Ja sam po nocach oblewałem się zimnym potem, jęczałem i nakrywałem głowę derką na myśl, że bezkresna zwłoka może mnie znowu odgradzić od Mary albo że poślizgnę się na skale i złamię nogę.

—Dlaczego wysłaś za niego, Febe? — To pytanie nieraz mi się nasuwało, dając pole najbardziej bezsensownym domysłom.

Podniosła do oczu jeden z kamieni naszyjnika i przez opalizujący kryształek spojrzała w ogień. — Bądź cierpliwy. Powiem ci, kiedy znajdziesz Mary.

- Obyś mogła mi to powiedzieć jak najrychlej — rzekłem. Febe patrzyła w promienie przez szlifowany kamyk, obracając go w palcach, jakby chcąc ułoić największe natężenie blasku.
  - A więc — przerwałem milczenie — wśród żołnierzy Enosa były dezercje?

Kiwnęła głową. — Tak, i podobno przy rzece Chaudiere czeka na nas w zasadce tysiąc Irokezów.

—Podobno! Podobno! — zawołałem. — Wierutna brednia!

Jakim cudem Irokezi przedrą się przez armię Schuylera i z czego będą żyli? Dlaczego takie bajki słyszy się u Enosa, a w innych dywizjach nie?

Wstałem, piniąc się z wściekłości. Miałem pomysł. Podrywało mnie, żeby czym prędzej ten pomysł urzeczywistnić.

—No to do widzenia — rzekła Febe. — Kto wie, może się już nie spotkamy.

Zawróciłem i ująłem ją za ramiona. W ciągu ostatnich czterech lat przewijała się nieustannie przez moje życie i prawdę powiedziawszy, polubiłem ją, jak młodszego brata. — Owszem, zobaczymy się, i to nie raz. Uważaj na osuwające się głazy i patrz, aby ci noga nie uwięzła w szczelinie skalnej. — Obejrzałem się, ale nie było nikogo. — Jeżeli będziecie mieli trudności w okolicach Wysokiego Łądu, znajdziesz tam w lasach moich przyjaciół. Rozumiesz? Czerwonych przyjaciół.

Obdarzyła mnie spojrzeniem pełnym dziwnej ufności. Nachyliłem się i pocałowałem ją w usta. Były zimne.

- Na wiosnę — powiedziałem — kupimy bryg. Kiwnęła głową.
- Do widzenia, Febe!

Nie odpowiedziała. Udałem się na poszukiwanie Treeworgy'ego.

Znalazłem go przy ogniu. Siedział z gębą tak szarą, tak skwa-szoną, jak po zjedzeniu funta niedojrzałych czereśni. Tak, to był Ezechiel Hook, albo też jego doskonały sobowtór, może trochę cięższy i jeszcze bardziej szary. Obok siedziało kilku muszkieterów z ponurymi minami. Położyłem mu dłoń na ramieniu i zawołałem: — Hook!

Odwrócił się, spojrzał na mnie i wyszczerzył zęby w kwaśnym uśmiechu. — Nie ja — rzekł bez cienia urazy.

—Co mają znaczyć te dezercje?

Treeworgy wzruszył ramionami i' przygarbił się. — Kilku ludzi wróciło do domu. Jeden, może dwóch. Pewno się stęsknili. Pomyśleli sobie, jak to chłopaki, że całymi miesiącami, a może i latami, nie będą widzieli swoich matek i dziewczuszek. A może już nigdy nie wrócą.

Któryś muszkieter poruszył się niespokojnie. Wszyscy patrzyli w ogień.

—W tej waszej dywizji dzieją się różne dziwy — powiedziałem. — Tyle krąży wśród was kłamliwych pogłosek, że sam Belzebub nie wymyśliłby w ciągu miliona lat.

236

Treeworgy kiwnął głową. — I ja coś niecoś słyszałem. Opowiadano o Górze Tysiąca Grzechotników, na której węże najpierw kęsają, a potem dopiero grzechoczą, i o Bagnie Wrzątku, przez które nie można przejść, bo człowiek zapadnie się i ugotuje na czerwono.

- Na miłość boską, Treeworgy! — zawołałem. — Po co to wszystko powtarzacie? Od takich wszawych łgarstw można dostać drzączki, jeżeli kto nie wie, że Martwa Rzeka to jest zwyczajna sobie rzeka, nie gorsza od Kennebecu!
- Tak właśnie mówię żołnierzom — potwierdził Treeworgy. — Kiedy mnie pytają, czy nazwa Martwej Rzeki wzięła się stąd, że zginęły na niej tysiące ludzi, odpowiadam, że nie. To samo z innymi historiami. Nie sądzę, aby były prawdziwe.
- Nie sądzicie! Biedactwo! — Wybuchnąłem stekiem przekleństw, ale podczas tego mieszania nieba z piekłem ani na chwilę nie spuszczałem oka z Treeworgy'ego. — Wiecie doskonale, że w tych piekielnych bajdach nie ma ani cienia prawdy!

- Słusznie mówicie — zapał jak czajka w upalny dzień. Wyzwiska nie robiły na nim najmniejszego wrażenia.
- Pewno, że słusznie mówię! I wy o tym wiecie diablo dobrze! Kiedy dostanę do rąk tego z brudnej maci zrodzonego piekielnego wieprza, która tak gracko puszcza w ruch swój zapluty jęzor, sięgnę mu do gardzieli i wydrę z żywota wszystkie kiszki! — Pamiętając, z jakim histerycznym oburzeniem piorunował niegdyś Ezechiel Hook na „błźnicrcze słowa” mojego ojca, starałem się bluźnić jak najohydniej, kłąć jak najsoczyściej, aż mi prawie wstyd było roli, której się podjąłem. Ale w szarej twarzy Treeworgy'ego nie drgnął ani jeden mięsień. Pomyślałem więc sobie, że może to i naprawdę nic jest Ezechiel Hook.

Następnego dnia, w środę, wyruszyła trzecia dywizja, w niej kompanie: kapitana Dearborna, kapitana Warda, kapitana Han-cheta i kapitana Goodricha. Na ich czele stał major Meigs, który miał z chrztu imię Powrotek. Podkomendni nazywali go złośliwie „Wtyłzwrotkiem”, a inne dywizje witały ich okrzykiem: „Prr, stój!” Doszło do tego, że oni sami wzajem się tak okrzykiwali. Po każdym okrzyku: „Prr, stój!” robili tykami jak szaleni, pochodzili bowiem wszyscy z prowincji Maine i Północnej Nowej Anglii i znali się na takiej żegludze.

Rzeka zaroła się od łodzi. Było ich sześćdziesiąt cztery sztuki, a ładunku na każdej więcej niż na łodziach Morgana i Greene'a. Serce mi się ścisnęło od złych przeczuć na widok Jamesa Dunna

237

i Febe, ruszających piechotą równolegle do łodzi, odpychanej przez Jethra Fisha i Asę Hutchinsa. Asa z całej siły płuc wył miarowo: — Prr, stój! Prr,

stój! — Febe szła za masywnym Jamesem, miała na sobie kaftan jeleni, niebieską chustkę dokoła głowy i u pasa drugą parę mokasynów.

Odwróciła się, machnęła mi ręką na pożegnanie i znikła pod płomienistym listowiem olbrzymiego klonu. Byłem zbity z tropu. Co powiem matce, jeżeli wypadnie mi wracać do domu bez dziewczyny?

Z kolei odprawiliśmy dywizję pułkownika Enosa, czwartą i ostatnią. Była obładowana najciężej, bo czekały ją wyrąbane już szlaki leśne, wyznaczone obozowiska, pobudowane szałas. Przez cały ten dzień i przez następny ranek harowaliśmy jak niewolnicy. Czegośmy nie dźwigali! Łodzie, namioty, baryłki gwoździ, beczułki smoły, beczki chleba, grochu i wieprzowiny, worki ze skałkami, solą i mąką, tysiące pudów! A przecież nie wszystkie jeszcze łodzie wyszły ze stoczni, nie wszystkie zapasy wydobyto z magazynów. Enos uwijał się po stoczni Colburna jak kwoka wśród piskląt.

Minął czwartek. Arnold chodził z twarzą ciemną i nabrzmiałą, posyłał gońca za gońcem do Enosa. Dla nas wszystkich był miły i starał się nie uzewnętrzniać wzburzenia, które nim targało. Kiedy rozkazywał mi iść do Enosa i nakłonić go do pośpiechu za wszelką cenę, głos miał miękki i spokojny, tylko kąciki ust drgały mu niecierpliwie.

Również następnego ranka (był to znowu piątek, feralny dzień, chociaż co tu się przejmować zabobonami?) tylko dwie kompanie Enosa stały na rzece — kompania kapitana McCobba i kompania kapitana Scotta — a sam Enos wraz z intendentem, kompanią kapitana Williamsa i Reubena Colburna kompanią cieślów, wciąż jeszcze krzątał się po stoczni, zbierając rozmaite zapomniane drobiazgi. O dziesiątej adiutant Arnolda, kapitan Oswald, nadbiegł od domu kapitana Howarda i rozkazał McCobbowi i

Scottowi wyruszyć natychmiast. — Enos i pozostali odpłyną później — rzekł.

Obrócił się ku mnie, szczerząc zęby jak mały chłopak, któremu się udał figiel: — Właźcie do czółna! Za godzinę ruszamy na Quebec!

Hobomok zawiózł mnie przed dom Howarda. W kanadyjce naszej leżały toboły i wodoszczelne pęcherze z mąką, przykryte skórą niedźwiedzią. U brzegu stała długa kanadyjka Arnolda, naładowana już, z dwoma Indianami przy wiosłach. Zapytałem Ho-bomoka, *co* to za Indianie.

238

—Eneasza i Sabatis — odpowiedział.

Ledwo go słyszałem, bo Arnold właśnie zbiegł po spadzistym brzegu, odbił się jedną ręką i okręcając się w powietrzu skoczył do kanadyjki. Na wierzchu munduru nosił żółtą bluzę myśliwską. Był zupełnie inny od tych nadętych, napuszonych oficerów w rodzaju pułkownika Enosa.

—Trzymajcie się ze mną — zawołał. — Będziecie nosili rozkazy.

Po chwili kanadyjka odbiła i zatańczyła na wartkim nurcie. W zwięzający się ku horyzontom szpaler czerwonych klonów wjeżdżaliśmy niby w objęty płomieniami komin.

### Spis treści

- I. Od wydawcy (*Marek Wydmuch*) 5
2. Prolog 7
3. Księga pierwsza: Czerwone i białe 19
4. Księga druga: Burze wiosenne 119



